

ZOFIA  
MOSSAKOWSKA  
DZIESIĘĆ KROKÓW  
OD CALEHM



**Miasto Calehm** – bogate, potężne, zatrważająco piękne – pogardza światem, stoi ponad prawami i religią. Wypełnia posłannictwo i nieprzerwanie buduje swą wieżę Babel w autorskiej wersji będącej odwrotnością mitu. Arlena, kochanka przywódcy, dusi się wśród wyszukanych swobód nowego Babilonu. Jej odejściu sprzeciwia się Anioł Stróż. Rozpoczynają grę. *Udowodnij mi, że wszystko, czego strzegę, nie ma sensu, pokaż mi to krok po kroku* – mówi Anioł. Rozgrywka wymaga udziału kogoś spoza miasta, niewtajemniczonej i religijnej kobiety. Dagmar podejmuje zaproponowaną grę, nie znając wysokości stawki. Kobiety rozgrywają ją żetonami wspomnień. W połowie drogi mijają się, przekazując sobie wygrane i przegrane.

## Ta gra daje się skrócić do dziesięciu kroków. Dziesięciu jak Dziesięć Przykazań

Zofia Mossakowska, autorka powieści: „Tęsknoty wasze bez granic”, „że cię nie opuszczę aż do śmierci”, „Portrety na porcelanie”, „Ich dwoje i Julia”, bajki „Jaś w Mądrym Lesie” i opowiadań: „Wigilia dla Iskarioty”, „Morderca motyli”, „Lekcja Mistrza Leonarda” – w zbiorach wydawnictwa Prószyński i S-ka a także „Faraonka” w „Opowiadaniach pełnych pasji” oraz „Koty i reksy” w „Opowiadaniach pod psem i kotem” wydawnictwa MG.

Najnowsza powieść Zofii Mossakowskiej jest przeciwieństwem „Samotności w sieci” Janusza L. Wiśniewskiego. Podczas gdy w tamtej kultowej już książce wszystko służy miłości, w „Dziesięciu krokach od Calehm” – poszukiwaniu własnej duszy. Bohaterki rozmawiają o narodzinach i o umieraniu, o poszukiwaniu sensu życia i o popełnianych pomyłkach, o objawieniach, które okazują się katastrofami i o przypadkach, które zmieniają najświętsze postanowienia. Prowadzą nas po drodze, zwanej życiem, drodze, którą możemy pokonać mniej lub bardziej świadomie, choć nie możemy uniknąć popełnienia na niej błędów.

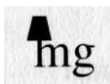
Dorota Grupińska



Cena 34,90 zł



**ZOFIA  
MOSSAKOWSKA  
DZIESIĘĆ KROKÓW  
OD CALEHM**



*-Jak się miewasz? - pyta starsza planeta młodszą przy okazji spotkania na orbicie - Wszystko u Ciebie w porządku?*

*- Niestety nie. Mam homo sapiens - wzdycha młodszą.*

*- Och, nie martw się - odpowiada starsza planeta. - To minie.*

Kiedy przybyliśmy do Calehm, wydało mi się ono niemal zwyczajnym miastem. Przyjechaliśmy pociągiem, dość nietypowo w czasach podróżowania samochodem, które ma to do siebie, że szyldami ze zmniejszającą się liczbą kilometrów przygotowuje jadącego na spotkanie z nowym miejscem. Jednak tamtego jesiennego dnia nie zastanawiałam się nad tym szczegółem. Nie czułam podniecenia podczas podróży, dotarło ono do mnie dopiero później, wraz z sykiem zatrzymującego się pociągu, w chwili zdejmowania z półki dwóch czy trzech walizek, dopinania futra, sprawdzania torebki i poszukiwania rękawiczek. Fala odgłosów wielkomiejskiego dworca wprowadziła mnie w urlopowy nastrój, jakbym przyjechała odpocząć gdzieś w starej Europie, w której każdy zakątek dotrzeć można tak ekstrawaganckim środkiem podróży jakim jest pociąg.

Wysiadając na błyszczącej posadzce dworca byłam rozluźniona; wydawał się zbyt ruchliwy i pełen zgiełku, bym mogła pojąć różnicę między nim a wszystkimi innymi dworcami świata. Zresztą, czy rzeczywiście mogłam to wtedy pojąć? Tak wielu ludzi przybywało wówczas do Calehm, ludzi przypadkowych, na krótki czas zatrzymanych w środku drogi, przejazdem w tym niezwykłym miejscu, bez szans na zawarcie przyjaźni. Przyjaźni albo związku głębokiego uzależnienia, który trudno było wyobrazić sobie w czasie krótszym niż wiele systematycznie mijających dni. Mnie się to w każdym razie nie udało, pomimo całego bagażu doświadczeń i treningów w obserwacji. Ja, wtajemniczona w różnicowanie, interpretacje i opinie, nie przeczuwałam wtedy niczego. Jednak nie mogło być inaczej, ponieważ - dotarło to do mnie dużo później - nikt nie zrozumie Calehm, jeśli ono samo nie daruje mu takiej szansy.

Na peronie rozejrzeliśmy się z ciekawością typową dla turystów, Joachim sprawdził ilość bagaży, automatycznie wskazując palcem na trzymaną przeze mnie podręczną kosmetyczkę, jakby zamiast niej policzył moją osobę. Podświadomie rozglądaliśmy się za kimś, kto odebrałby nas z peronu jak na lotniskach krajów, w których spędzaliśmy urlopy, odnajdując się dzięki transparentom z naszym na-

zwiskiem. Jednak, o czym wiedzieliśmy od początku, nikogo takiego być nie mogło. Z pomocą bagażowego wrzuciliśmy walizki na transportowy wózek i śladem tego usłużnego, w uniform odzianego mężczyzny ruszyliśmy w kierunku wyjścia. Po kilkunastu minutach zapakowani do przestronnej taksówki opuściliśmy dworzec, który pozostawił w nas być może wspomnienie podwyższonego tętna i szczególnego rozmachu, jednak, zbyt zajęci sobą, nie poświęciliśmy mu wtedy należytej uwagi. Także mijane ulice miasta wzbudziły w nas zainteresowanie z gatunku turystycznego, jakbyśmy utrwalali w mózgu obrazy niczym zdjęcia na digitalnym aparacie, z których lepsze zostaną wydrukowane, natomiast inne, mniej ciekawe, wykasowane bez żalu.

Teraz wiem, że nie doceniliśmy dnia pierwszego powitania, w którym umknęły nam, niczym nieuważnym rodzicom, pierwsze słowa jedyne dziecko. Czasami - choć nie bez żalu - śmieję się ze ślamazarności własnej percepcji, winnej temu, że wszystko nie zaczęło wydarzać się wcześniej.

Przyjechaliśmy do Calehm z wielu powodów. Joachim często nazywał wszystko „nowym początkiem”, jakby jakkolwiek początek rzeczywiście mógł okazać się nowy. Przywieźliśmy ze sobą nasze rozbite małżeństwo, które postanowiliśmy gdzieś posklejać, w dowolnym, byle innym od poprzednich, miejscu. Po minionych długich miesiącach, podczas których ważyły się nasze losy i przeplatały kolejne pomysły, podjęliśmy decyzję o tym, że jednak się nie rozstaniemy, nie rozjedziemy w przeciwne strony świata, ani nawet, pozornie pogodzeni, nie podejmiemy innych radykalnych kroków. Wyrzekliśmy się więc podróży do Afryki na ratunek ginącym szympansom czy też do Indii, gdzie zamiast sobie moglibyśmy poświęcić się innym. Odnajęliśmy mieszkanie wraz z wyposażeniem, zachowując sobie jedynie strych na przechowanie kilkunastu kartonów osobistych rzeczy. Niektóre z nich miały pewną wartość, do innych byliśmy przywiązani - był czas, kiedy nazywałam je „skarbami” - jednak już chwilę po zamknięciu na klucz drzwi prowadzących na strych nie pamiętałam, które z nich rzeczywiście były dla mnie ważne. Wszystkie wydały mi się bez znaczenia, podobnie

jak mieszkanie, które w pojęciu niemal symbolicznym miało być naszym prawdziwym domem - wypełnioną dobrą aurą sypialnią, gościnną kuchnią z drewnianym stołem, salonem z kominkiem, jasno oświetloną sienią oraz dwoma dziecinnymi pokojami, które do końca pozostały puste.

Bezpośrednią przyczyną naszego wyjazdu była jednak praca, którą zaproponowano Joachimowi w Calehm. Było w tym jednak coś fatalistycznego - propozycja ta pojawiła się jak na zawołanie w najbardziej krytycznym okresie, gdy stałam na rozdrożu wielu dróg, bliska decyzji o rozwodzie i gotowa zapomnieć w rekordowym tempie pisownię odmeżowskiego drugiego nazwiska. Jednak nic nie odbywało się gwałtownie: spustoszenia, które dokonały się w nas obojgu, przyjęły formę niewymuszonego spokoju i wydawało się, że nic ani nas nie zadziwi, ani nie wyprowadzi z równowagi. Uznaliśmy się za dość rozsądnych, by po wspólnie przeżytych kłopotach wypracować konkretne plany logicznego i godnego rozwiązania sytuacji. Czasem myślę, że właśnie owa spokojna determinacja narzuciła nam poprawność postępowania, aczkolwiek grzebiąc głębiej zaczynam podejrzewać, że po prostu zabrakło nam innych pomysłów. Wiem natomiast, że nawet od Calehm nie oczekiwaliśmy wówczas jakichś nowych, szczególnie interesujących impulsów do życia; powiedziałabym raczej, że korzystając z nadarzającej się okazji, chcieliśmy zająć sobie czas.

Teraz nasza ówczesna nieświadomość wydaje mi się niemal zabawna, podobnie jak brak wyobrażenia o tym, co naprawdę nas tu czekało.

Taksówka wiozła nas przez szerokie ulice pełne rozbuchanych wieżowców ze szkła i stali. Wysokie tak, że przez okna samochodu nie mogliśmy dojrzeć górnych pięter, nie pozwoliły zdominować się wszechobecnym reklamom. Pomyślałam wtedy, że pierwszy raz jestem świadkiem zachowania proporcji na korzyść fasady, której udało się pozostać dziełem sztuki. Rozglądając się wokół pochwyliłam spojrzenie Joachima, które, choć zachwycone, przygaszone było pokorą i rosnącym niepokojem. Oto potwierdzały się słowa, które wielokrotnie wcześniej słyszeliśmy: Calehm to miej-

sce dla największych artystów. Po niespokojnych ruchach mojego męża poznałam, że w obliczu architektonicznego przepychu miasta zaczyna powątpiewać we własne twórcze możliwości.

To, dlaczego zaproponowano pracę właśnie jemu, nie było zupełnie jasne. Joachim nie znał ani bogatego zleceniodawcy, który zamówił projekt systemu magazynów, ani nikogo ze środowiska budowlanego z Calehm. Miasto było mu znane; odwiedził je kilkakrotnie z okazji służbowych konferencji i, jako człowiek z branży, czytywał o nim w fachowych pismach sławiących architektoniczny przepych. Nie było więc nic dziwnego w tym, że - abstrahując od naszej rodzinnej sytuacji - Joachim, dotychczas specjalizujący się w dość ekskluzywnych projektach, skwapliwie zgodził się na magazyny w Calehm, gdzie skromne budowle przewyższały prestiżem katedry innych miast. Widziałam jego tremę i przytłumione lękiem nadzieje, zapamiętałam reakcje kolegów-architeków, których źle skrywaną zazdrość łagodziło jedynie współczucie z powodu jego małżeńskich kłopotów. Opuścili mu sądząc, iż to przede mną ucieka do Calehm, jednak dowiedziawszy się o tym, że mnie ze sobą zabiera, poczuli się wystarczająco oszukani, by prawie się z nim nie pożegnać. Jeden z nich złożył zgryźliwe życzenia odmiany losu na jeszcze lepszy.

Myślałam o tym, gdy taksówka zatrzymała się przed wysokim budynkiem, gładkim i jak cała reszta nieprzystępnym. Odpowiadał on moim wyobrażeniom o calehmskich domach, o których mówiono, że przypominają pozornie podobne do siebie kostki gigantycznego domina, rozsypanego jakby dla kaprysu po urbanistycznej mapie. Stając pod wyniosłą fasadą mojego przyszłego domu, witana przez jego dozorcę czy też może portiera, podałam Joachimowi dłoń w rękawicze na znak uczciwych zamiarów. W duchu życzyłam każdemu potarmoszonemu przez los człowiekowi, aby jego szansa na odmianę życia była tak wygodna i luksusowa jak nasza.

Jednak myliłam się. Zbyt szybko przyszło mi przekonać się o tym, że nasza kosmetycznie bezproblemowa przeprowadzka nie mogła niczemu zaradzić. Pojawszy to nie zmartwiłam się; raczej poczułam ulgę, jakbym oczekiwała tej ostatecznej klauzury jako dowodu, że ucieczka jako taka nie istnieje - ze stoma walizami czy z jedną,



z zapasem dobrej czy też poprawnej woli, z aptekarsko wyważonym optymizmem. Zobaczyłam zapowiedź obrazu nas dwojga: bezradnych, lecz pogodzonych z losem, pocieszających się wzajemnie: *Nie udało się, chociaż próbowaliśmy wszystkiego.*

To dobrze, że próbowaliśmy. Jeśli dziś istnieje we mnie jakiś rodzaj strachu przed niebezpieczeństwami, które były dość blisko, by móc się przydarzyć, to dotyczy on jedynie Calehm. Jeszcze teraz czuję nieprzyjemny dreszcz na myśl o tym, że mogłam je ominąć. Nie przyjechać tu, nie odpowiedzieć na jego zew, nie poznać, nie przynależeć. Nie wpisać się w calehmską geometrię.

Mój mąż Joachim mówił kiedyś, że geometria to nadanie kształtu doskonałego. Dawniej nie potrafiłam się z nim zgodzić; upierałam się, że idealne kształty w naturze nie istnieją, wypominałam planety, które również nie są prawdziwie okrągłe... Jednak on, architekt dotknięty geometrycznym fanatyzmem, także powoływał się na niebo: *Oglądana z góry Ziemia jest idealnie okrągła, podobnie jak wszystkie inne planety. Jej nieznaczne wypustki, te, które powodują odchylenie od promienia kuli, są tylko zwykłymi zabrudzeniami powstałymi przez miliony lat. Wystarczyłoby wypolerować Ziemię, zdrapać z niej warstewkę zanieczyszczeń, a stanie się na powrót idealna. Poza tym, co może wydawać się śmieszne, nawet my, ludzie, cielesny dowód kosmicznego tworzenia, zaburzamy mikroskopijnymi wymiarami geometryczną równość promienia Ziemi. My też burzymy jej doskonałość.*

Z wszystkich - fanatycznych lub nie - teorii Joachima tylko ta jedna została mi w pamięci: mit pierwotnie gładkiej Ziemi, na której uformowały się wypustki zaburzające jej doskonałość. Oraz rozpatrywanie ewentualności, według których możliwe byłoby przywrócenie jej nieskalanej, geometrycznej okrągłości.

Pewnym paradoksem było to, że, choć prawie nie zabrałam ze sobą bagażu, przeprowadzka do Calehm okazała się największą z wszystkich, które przeżyłam. Przypominała pierwszą wyprawę z domu - kiedyś mojego, potem domu Skorpionów - wówczas

gorąco oczekiwaną zmianę, która również miała poprawić moje życie. Wtedy jednak opuszczałam toksycznego ojca, natomiast teraz, z mężczyzną, którego sama sobie wybrałam, zmieniałam jedynie miejsce pobytu, aby wspólnie z nim zadławić fermentujący rozpad związku.

Joachim pozostawiał za sobą miłość do innej kobiety; z poświęceniem krył przede mną blizny będące następstwami zerwania i wiem na pewno, że cierpiał, choć czynił to w samotności duszy. Nie zostałam do tego dopuszczona i, prawdę mówiąc, przestało mnie to interesować już w szpitalu, w którym z powodu tej zdrady spędziłam kilka miesięcy. Myśli o niewierności Joachima, początkowo obsesyjne, wyparowały tam z mojej głowy z podobną intensywnością, z jaką wcześniej doprowadziły ją do wrzenia. Po wyjściu ze szpitala, już na wolności - „wolność” była moim ulubionym określeniem czasu, który nastąpił później - nie szukałam ani informacji o przebiegu romansu Joachima, ani o jego finale. Nie wiedziałam nawet, kto go zakończył i nie zgadzałam się, by mi o tym opowiadał, co usiłował robić już podczas wizyt w klinice, do której przychodził wbrew zakazom lekarzy, roztrzęsiony i pełen wstydu. Do dziś nie wiem, czy czuł się tak, bo jeszcze mnie kochał, czy też dlatego, że bał się uznać za sprawcę przestępstwa.

Po wyjściu ze szpitala spędziłam kilka kolejnych miesięcy w domu. Usiłowałam pracować w poradni kierowanej przez przyjaciela ze studiów, lecz moje zajęcia, to, w którym kiedyś umiałam się realizować, teraz wydawało mi się bezsensowne. Potem usłyszałam o kościelnej organizacji charytatywnej; dołączyłam do niej, choć bez poczucia szczególnego posłannictwa. Stanęłam z drugiej strony pulpitu: do niedawna sama w najgłębszej potrzebie, usiłowałam nieść ulgę innym. Z perspektywy wspominam to jako dobry czas - z jednej strony, miałam dość okazji, by robić coś użytecznego, z drugiej, w nadmiarze ludzkich trosk łatwo mi było odsuwać w cień swoje własne. Niemal uwierzyłam w to, że odnalazłam powołanie; dobremu samopoczuciu sprzyjał spokój panujący wśród ścian zabytkowego kościoła, którego proboszcz był tak zajęty losem swych owieczek, że zdarzało mu się opóźnić nabożeństwo

z powodu spraw przykościelnej noclegowni i garkuchni dla bezdomnych. Bliskość tego aż nierealnie altruistycznego człowieka oraz jego kościoła dawały mi poczucie powrotu do dawnych czasów, w których niedzielna msza należała do najważniejszych rytuałów w religijnym domu mojej matki.

Nie zdążyłam się jednak rozgościć. Na początku lata, kiedy wraz z proboszczem planowaliśmy ferie dla samotnych matek z dziećmi i moim zadaniem stało się poszukiwanie sponsorów, Joachim poprosił mnie o rozmowę. Był tak podniecony, że prawie zaczęłam podejrzewać odrodzenie się z popiołów jego niefortunnie zakończonej miłości. Jednak byliśmy parą lojalnych partnerów: usiedliśmy do stołu zastawionego potrawami z chińskiej restauracji i, wsparci butelką białego wina, rozpoczęliśmy pertraktacje. To właśnie tamtego wieczoru Joachim przedstawił mi swój zamiar zamieszkania w Calehm; mówiąc o tym był skoncentrowany i zarazem niespokojny, jakby od mojej decyzji zależało wiele więcej niż tylko jego zawodowa kariera. Tłumaczył mi szczegóły dotyczące proponowanej pracy, w napięciu mieszając je z informacjami o mieście, którego historia nie była mi całkowicie obca - a przynajmniej tak mi się wówczas wydawało. Joachim powtórzył znany mit o Calehm, głosząc jego sławę jako miejsca dla wybrańców. W świetle tego, co mi przedstawił, oraz moich własnych wiadomości, nie mogłam nie rozumieć jego podniecenia oraz lęku przed odmową współpracy, która zaprzęściłaby jego życiową szansę.

Butelka białego Chablis była prawie pusta, kiedy Joachim, dotarwszy do sedna sprawy, poprosił mnie wprost o zgodę na wyjazd do Calehm. Sam nie wypił do tej chwili ani kropli, co wydało mi się całkiem zabawne, w klasyczny sposób, w który trzeźwy człowiek zwykle rozśmiesza podchmielonego. Siedzieliśmy na przeciw sobie: napięty Joachim, który nie pozbył się nabytego niedawno lęku przede mną, wyprostowany na krześle, starannie ubrany, przed porządnie odstawionym talerzem i szklanką czystej wody bez gazu, oraz ja, której chciało się głupio chichotać, jakby śmiech był najlepszą odpowiedzią na wszystko. Tak jak mój nastrój był odwrotnością nastroju Joachima, tak część stołu, którą zajmowało moje

nakrycie, była przeciwieństwem jego fragmentu stołu; podczas posiłku usiłowałam jeść pałeczkami i bardzo bawiło mnie chwytanie ziarenek ryżu. Nie odniosłam w tym wielkiego sukcesu, a jeśli nawet zdołałam złapać między dwa drewnianka kawałek mięsa lub jarzyny, zupełnie nie panowałam nad sosami, czego świadectwem były malownicze plamy na obrusie.

Napatrzywszy się na nasz wspólny stół, zaczęłam się przyglądać naszemu mieszkaniu. Przypomniałam sobie, jak bardzo kochałam je kiedyś za to, że zastąpiło mi dawny dom ze szczęśliwego, choć krótkiego dzieciństwa. Miałam tu swoje ukochane meble oraz przedmioty, których przybywało przy okazji kolejnych urodzin i imienin, rozszerzające nasz stan posiadania o ciepły ładunek emocjonalny. Patrzyłam na nasze rzeczy - piękne, wartościowe, czasem tylko zabawne lub czysto symboliczne, przesunęłam wzrokiem po wszystkich obrazach, dotknęłam nim okien, krzesel i szafy z książkami. Jak zawsze, kiedy miałam kłopot, wplątałam się oczami w nierozwiązywalną plątaninę wzorów na dywanie - był centralną plamą kolorów w naszym domu - i starym sposobem podążyłam oczyma za jednym z meandrów, jak skupiona mrówka zapędzona do labiryntu. I pomyślałam wtedy, że nie chce mi się już oddawać tego dywanu do pralni chemicznej, ani prać go ręcznie, ani nawet odkurzać. Spojrzawszy w następnej chwili na Joachima pojęłam, że w podobny sposób jest mi obojętne, czy pozostanę z nim w tym, czy w jakimkolwiek innym mieszkaniu. Oraz to, czy w ogóle z nim zostanę.

- Oczywiście, że możemy przeprowadzić się do Calehm - odpowiedziałam po przyjacielsku. - Jeśli to jest dla ciebie ważne.

W nowym apartamencie nie było progów oddzielających pomieszczenia, a całą powierzchnię podłogi tworzyły ciasno ułożone płyty w dużym rozmiarach, optycznie powiększające i tak rozległe mieszkanie. Nie było dywanów i Dagmar nie mogła bawić się dłużej w uciekanie wzrokiem między meandry wzorów na tkaninie,

zabawę stworzoną na podobieństwo rysowania kół mandali przepędzających złe myśli. Jednak szybko odnalazła nową odmianę zabawy, za planszę rozgrywek uznając całość podłogi, a nici w strukturze granitu za ścieżki dla bosych stóp. Jak tropiciel wydreptywała je podczas picia porannej kawy lub popołudniowej herbaty, kiedy, nie podnosząc oczu, przemierzała po omacku pomieszczenia, rzadko natrafiając na meble i zawracając dopiero wtedy, gdy osiągnęła ścianę. Nigdy nie zdarzyło się, by uroniła choć kroplę napoju z kubka opróżnianego z namaszczeniem podczas nowego wariantu gry, który podobał się jej bardziej od dawnej zabawy z dywanem.

Nowe mieszkanie było przestronne i puste. Nie przypominało w niczym poprzedniego domu Dagmar i Joachima nie tylko dlatego, że nie zabrali ze sobą ulubionych bibelotów, które, przy pewnej dozie kiczu, dawały poczucie przytulności. Jego chłód był przede wszystkim efektem braku zainteresowania Dagmar, która, pozbawiona wsparcia zajętego zawodowo męża, nie zadawała sobie trudu, by zatroszczyć się o złożoną z kamienia i szkła powierzchnię. Apartament nie sprawiał wrażenia zamieszkałego; przyjmując formułę tymczasowości, Dagmar pozbyła się kłopotu poszukiwania i wstawienia mebli, lamp czy innych sprzętów poza tymi, które stanowiły wyposażenie wynajętego wraz z umeblowaniem mieszkania. W wyniku tego wszystko wyglądało tak, jak godzinę po wypakowaniu zawartości walizek do ściennej szafy i spełniało - przynajmniej według oceny Joachima - wszelkie warunki ekstrawaganckiego, sterylnego luksusu, który w wielkim świecie polega na nieposiadaniu niczego.

Wszystkie okna pozbawione były firan i zasłon. O tym, że musiało to należeć do miejscowych zwyczajów, Dagmar przekonała się już pierwszego wieczoru, gdy cały dom rozjarzył się sztucznym światłem. Wyszli z Joachimem na niezaplanowany spacer, ukrywając jedno przed drugim uczucie przytłoczenia pustką nowego otoczenia. Pod pretekstem zamiaru obejrzenia domu od zewnątrz znaleźli się na ulicy i oboje - walczący z kiełkującą frustracją Joachim oraz obserwująca go z maskowanym sarkazmem Dagmar - oddali się zachwytowi dla tego miejsca.

Dom przypominał wielką, lśniąca szachownicę; jego przednia ściana, w całości przeszklona w spójny cykl wielkich od podłogi do sufitu okien, tworzyła wygładzoną, jednolitą powierzchnię, której tylko nieliczne elementy zasłonięte były od wewnątrz. Gdzieś tam migotał ślad materiału, czasem wertykalne żaluzje cięły na pasy któreś z okien, jednak wszystko komponowało się w dobrej symetrii, jakby dom zaplanowany był centralnie. Od niepożądanych spojrzeń chroniło go specyficzne szkło w oknach, które sprawiało, że widziane od zewnątrz obrazy były niewyraźne i zmatowione jak w chińskim teatrze cieni. Joachim wytłumaczył Dagmar ten efekt; jako architekt od dawna zafascynowany był możliwościami szkła, które w praktyce udało mu się zastosować zaledwie kilka razy, ze względu na koszty, jedynie na małych powierzchniach. Słuchając jego wyjaśnień, Dagmar zrezygnowała z zamiaru zawieszenia żaluzji choćby tylko w łazience, uspokojona myślą, że przez kryształowo przejrzyste od wewnątrz okno nikt nie zauważy z ulicy, czy jest naga czy ubrana.

Dom, który mimo nadmiaru światła zdawał się pusty, nie przypominał w niczym klasycznych wielopiętrowców dużych miast. Choć i Dagmar, i Joachim wypatrywali śladów życia za jego ostentacyjnie przeszkloną frontową ścianą, nie dostrzegli nikogo w budynku. Nie podzielili się ze sobą kolejnym powodem do niepokoju i, oboje zdziwieni, zapamiętali ten fakt, każdy na własne potrzeby. Rozmawiając ze sobą zdawkowo, dokończyli spacer jak para dobrych kumpli i wrócili do siebie, zastanawiając się po cichu, czy pierwszą noc spędzą jako jedyni lokatorzy domu pustego niczym statek widmo.

Ulubionym miejscem Dagmar w nowym mieszkaniu stała się łazienka. Byłaby kwintesencją jego ascetyczności, gdyby nie miedziane rury poprowadzone, nie wiedzieć czemu, po ścianach i zakończone kurkami prostymi w formie, lecz ze staromodnym mechanizmem zatrzymującym wodę obrotami pokręta. Uzyskany efekt był odważny; skupiony Joachim długo przyglądał się rurom, zanim wyraził aprobatę dotyczącą bardziej nowatorstwa niż urody wnętrza, natomiast Dagmar bez zastrzeżeń zaakceptowała przestrzeń ła przenicowanego na wewnętrzną stronę. Ekspozycję wypatroszo-

nych żył i aort nazwała koncepcją „popatrz jak jest u mnie w środku” i usiłowała wyobrazić sobie człowieka, który ją wymyślił.

- To był syn mojego przyjaciela - wyjaśniła Arlena, jeszcze zanim upłynęło dwadzieścia minut od chwili, w której zaskoczona Dagmar otworzyła drzwi wejściowe przed swym pierwszym i całkowicie nieoczekiwanym gościem.

Arlenę poznałam kilka miesięcy wcześniej na jakimś oficjalnym przyjęciu, nie pamiętam już przez kogo zorganizowanym. Była wyzywająco znudzona i dość arogancka, choć najwyraźniej nie zamierzała nikogo prowokować. Jej zachowanie wyrażało raczej nieukrywaną irytację otoczeniem, któremu - nieproszona - okazywała bez ogródek, jak dalece się jej nie podoba. Tamtego wieczoru także ja żałowałam czasu poświęconego na nudne przyjęcie i dzieliłam jej uczucia, jednak manifestowany przez nią negatywizm był mi całkowicie obcy. Pomyślałam o tym, kiedy przypadkiem skrzyżowały się nasze spojrzenia, i natychmiast zawstydziłam się, czując, że odczytała moje niewypowiedziane pytanie: „Nie jesteś przypadkiem za stara, żeby tak podniecać się jednym nieudanym przyjęciem?”.

Rzeczywiście była sporo starsza ode mnie, o dziesięć, może dwanaście lat, jednak wyglądała doskonale, w stylu kobiet pięknych i rasowych, oraz, nade wszystko, świadomych swojej klasy. Była szczupła, jeśli nie chuda, co z radością skrytykowałyby każda z jej okrąglejszych rówieśniczek, którym dodatkowe kilogramy wynagradza gładkość cery. Rzeczywiście skóra szczupłej Arleny była niemal przezroczysta i nazbyt wysuszona, jednak mnie i to się w niej spodobało jako dowód szlachetnego przemijania lat. Arlena była opalona, miała pastelowy makijaż oczu, ostrą, prawie bordową pomadkę na ustach i odważnie ostrzyżone blond włosy, które tworzyły krótkiego jeża na czubku głowy i dłuższymi kosmykami spływały wzdłuż szyi. Miała na sobie fenomenalną suknię w kolorze brudnego piasku, pozornie prostą, a w rzeczywistości po mi-

strzowsku wykrojoną z materiału imitującego samodział i z całą pewnością kosztującą majątek.

Przyglądałam się Arlenie ukradkiem i, nie wiedzieć czemu, poczułam się z jej powodu tak, jak kiedyś w konfrontacji ze śliczną Edytą. I mimo że od tamtego czasu minęła wieczność i sama przestałam być ciotkowatą, źle ubraną kobietą, która z trudem przechodzi swą pierwszą ciążę, w obliczu emanującej pięknem Arleny przypominałam sobie smak dawnego smutku.

- Mam na imię Arlena - podała mi jeden z dwóch kieliszków szampana, które przyniosła, lekceważąc usługi kelnera.

Zdziwił mnie ton, którym zwróciła się do mnie, nieznamomej, nazbyt swojski i zwyczajny, jakbym była kimś w rodzaju portierki albo sprzedawczyni w piekarni, wartej zainteresowania wtedy, gdy brakuje innych, ciekawszych obiektów. Lustrując salę, zatrzymała w końcu wzrok na Joachimie, a ja, niezbyt tym zirytowana, pomyślałam, że nawet gdyby - niezależnie od niedogodności różnicy wieku - przyszło jej do głowy rzucić mu się na szyję, i tak nie zdołałaby mnie oburzyć.

- Mam na imię Dagmar.

Okazało się, że fałszywie ją oceniłam. Sposób, w jaki przyglądała się mojemu mężowi, nie wyrażał zainteresowania, przeciwnie, po kilkunastu sekundach, których potrzebowała, by otaksować go jak konia na wybiegu, lekceważenie w jej oczach ustąpiło miejsca otwartej deprecjacji.

- Miło mi - rzuciła lekko, nie przestając oglądać sobie mojego męża.

Nie wiem, jak wcześniej zauważył to Joachim, od czasu do czasu posyłający w naszą stronę spojrzenia, które niesprawiedliwe nazywałam kontrolnymi, jednak towarzysząca mi, a jemu nieznana kobieta wyraźnie go zaniepokoiła. Zaplątał się w prowadzonej w wianuszkach rozmowie akurat w chwili, w której oderwała od niego wzrok, jakby straciła zainteresowanie albo dowiedziała się wszystkiego, co było jej potrzebne.

- To twój mąż, prawda? - stwierdziła, tylko dla porządku nadając słowom formę pytającą.



- Prawda. A gdzie jest pani mąż?

Zacisnęła na chwilę powieki i uśmiechnęła się lekko, bez pretensji. Pomyślałam, że nie sprawia wrażenia kogoś, kogo łatwo jest oneśmielić.

- Nie mam męża. Kiedyś rzeczywiście byłam mężatką, jednak na szczęście nie trwało to długo - odparła swobodnie. - Zdaje się, że małżeństwa należą do błędów z gatunku pomyłek ogólnoludzkich, przed którymi rzadko komu udaje się obronić.

Rozczarowała mnie banalnością słów. Przyszło mi do głowy, że zwiódła mnie niezwykłość wytwarzanej przez nią atmosfery. Oraz że spodziewając się zbyt dużo, zbyt pochopnie ją oceniłam.

- Poza tym uważam, że powinnyśmy mówić sobie na ty - oświadczyła, podtrzymując swój przyczajony w kącikach ust uśmiech.

Nie wiem, w jaki sposób, jednak udało jej się mnie rozbroić.

- Zgoda - odpowiedziałam i stuknęłyśmy się kieliszkami.

Nie rozmawiałyśmy wiele, zajęte popijaniem szampana, i właściwie nic wielkiego się między nami działo - w każdym razie nic uzasadniającego moje zdziwienie tym, jak dobrze czuję się w jej towarzystwie.

- Czym się zajmujesz, Dagmar?

Wydawała mi się niezwykła; patrzyłam na nią, już nie ukradkowo, utwierdzając się w przekonaniu, że jej dojrzała uroda nie traci, lecz zyskuje z bliska.

- Logopedia - uśmiechnęłam się do niej. - Tak ładnie nazywa się mój zawód.

- Och - w jej głosie zabrzmiało zaskoczenie, którego nie zrozumiałam.

Przez chwilę przyglądała mi się dziwnie badawczym wzrokiem.

- Leczysz ludzi.

- Tylko ich sposób wypowiedzania słów.

- Które także mają ścisły związek z duszą.

- Podobno. I co z tego?

- Nic. Czy znasz się także na duszach?

Jak lekkie klepnięcie w policzek dotarło do mnie zrozumienie rodzaju smutku błędzącego w jej oczach. I już w następnej chwili

li przeleciało mi przez myśl, że w pewnym sensie wyczułam jego przyczynę od razu, nawet jeśli początkowo pomyliłam sygnały. Nie miałam jednak powodu, by się obwiniać - Arlena była zbyt dokładnie zapakowana w urodę, klasę i wyniosłość, bym natychmiast mogła odróżnić jej zewnętrzny, wyczelowany wizerunek od sposobów komunikowania się osoby, która umiejętnie się ukrywa. Teraz jednak pojęłam ją w ten sam sposób, w który owad danego gatunku rozpoznaje w wielkim skrzydlastym zamieszaniu jedyne go towarzysza stada.

- Ja osobiście nie, ale znam kogoś, kto jest w tym dobry - moje słowa w niezamierzony sposób zabrzmiały dość niechętnie.

Po jej ustach przebiegł ledwie dostrzegalny skurcz; nie miałam zamiaru świadomie zdradzać się przed nią z rozczarowaniem, które było ewidentnie śmieszną reakcją na porażkę nieuzasadnionych oczekiwań. Jednak tak właśnie czułam się wobec Arleny: byłam nią zawiedziona, gdyż pomimo krótkiego czasu znajomości w irracjonalny sposób cieszyłam się już na bliższe z nią kontakty. Nigdy wcześniej nie podlegałam podobnym uczuciom, przeciwnie, zawsze twierdziłam, że w mojej ostrożnej naturze nie leży szybkie obdarzanie sympatią.

- To terapeuta - powiedziałam odważnie, usiłując przestawić tory towarzyskiej konwersacji. Pomógł już wielu ludziom.

Nie podobało mi się to, co robię. Zachowywałam się jak zawiedziony dzieciak, który usiłuje się wykręcić, kiedy zamiast oczekiwanej zabawy proponują mu naukę ortografii.

- Mam przy sobie jego telefon.

I zostałam za to ukarana.

- Nie interesują mnie terapeuci - odpowiedziała Arlena.

Jej ton był wyniosły i kategoryczny, prawie nieprzyjemny, jednak sprowokował mnie do przekory.

- Przepraszam... Wydawało mi się, że chciałaś mnie o to zapytać?

- Nie - ruchem głowy wskazała Joachima.

Pod jej spokojnym spojrzeniem mimowolnie oburzyłam się na nią w środku, według prostego schematu zakłamanego alkoholi-

ka, któremu ktoś proponuje drugi kieliszek wódki. Jednak na jej potrzeby wzruszyłam jedynie ramionami.

- Och, nie - zaprzeczyłam dla formalności.

- Owszem - zaprzeczyła ona, jeszcze raz zaciskając powieki.

Zastanowił mnie ten wciąż na nowo powtarzany tik Arleny, mniej lub bardziej świadomy odruch, za pomocą którego zniknęła na krótko ze świata, aby o nim zapomnieć lub znaleźć się w jakimś innym. Przyglądałam się jej, kiedy otwierała oczy, przekonana, że nikt postronny nie widzi w niej nic podejrzanego. Jej smutek był świetnie maskowany, podobnie jak nienaturalna niemal rezygnacja; aby je ukryć, posługiwała się przede wszystkim arogancją, która zastanowiła mnie na początku. Gdyby poproszono mnie o określenie jej stanu, postawiłabym laicką diagnozę braku zainteresowania życiem.

Nie wiadomo po co podjęłam ostatnią próbę:

- Jednak jeśli mogę ci jakoś pomóc... - Uciekłam się do niewyszukanego żartu. - Mogę na przykład sprawdzić twoją wymowę. Mam powody sądzić, że trochę się na tym znam.

Choć nie udało mi się jej rozbawić, uprzejmie uniosła w górę kąćki ust w namiastce uśmiechu, który jednak nie przepędził z jej twarzy znudzenia.

- Mogłybyśmy też porozmawiać. Potrafię być pożyteczna.

Demonstrując pokojowe zamiary, uniosła teatralnie brwi:

- I uważasz, że znasz się lepiej niż inni?

- Owszem - odpowiedziałam, starając się nadać głosowi pogodny ton i zapożyczając od rozmówczyni wieloznaczną lakoniczność odpowiedzi.

Jednak ona pokręciła głową, jakby moja udawana pewność siebie ostatecznie ją znudziła.

- Tak sądzi prawie każdy - odparła. - Jak myślisz, ilu na tej sali?

Idąc za jej wzrokiem, rozejrzałam się dookoła. Przyjęcie osiągnęło punkt kulminacyjny i rozmowy stały się głośniejsze od muzyki przygrywającej w tle. Otaczało nas około trzydziestu osób, część siedziała na fotelach i kanapie, a kilkoro gości zgromadziło

się w pobliżu zastawionego przekąskami stoki, do którego właśnie zbliżała się gospodyni z nową tacą.

- Zapewne wielu z nich - przyznałam rację Arlenie.

Intuicja, więcej, moje całe doświadczenie podpowiadało mi, że coś przede mną odgrywa. Nie drobiazg, nie mały, przelotny dramcik. Z jakiegoś powodu testowała mnie na własną potrzebę, jakby sprawdzała, czy mogę się jej przysłużyć. A ja, choć nie byłam przekonana o atrakcyjności perspektywy zdobycia jej zaufania, chwyciłam przynętę. Umiejtnie przez nią sprowokowana zrobiłam coś, czego dotychczas unikałam jak ognia: posunęłam się do wykorzystania epizodu z własnego życia, aby zademonstrować swe kwalifikacje.

- Dobrze - powiedziałam. - Zdarzyło mi się, że zwariowałam i wyłądowałam w szpitalu. Włożyłam dużo pracy, aby móc stamtąd powrócić, i wiele się nauczyłam. Dlatego twierdzę, że jestem specjalistką w tej kwestii.

Nic się w niej nie zmieniło. Nie przestając mnie obserwować, milczała przez chwilę, po czym zaczęła wzrokiem szukać czegoś ponad moją głowę.

- Może masz rację - stwierdziła w końcu obojętnie. - Ale ja jestem tu tylko gościem. Nawet tu nie mieszkam.

Krótko potem ktoś nas rozdzielił, jacyś ludzie pojawili się z nowymi kieliszkami szampana i nawet Joachim zdołał wyrwać się z zakłętego kręgu zawodowych rozmówców. Kiedy i on przyłączył się do nas, Arlena zniknęła mi z oczu i choć szukałam jej później, także pod koniec przyjęcia oraz w porze wydawania płaszczy, nie udało mi się ponownie jej spotkać. Walcząc z rozczarowaniem, wróciłam z Joachimem do domu i dopiero po kilkunastu dniach pogodziłam się z myślą, że nigdy już jej nie zobaczę.

Naturalnie, że zdziwiłam się na jej widok, kiedy pojawiła się niespodziewanie w całkowicie nowej scenerii, wiele miesięcy po naszym pierwszym i niezobowiązującym spotkaniu. Jednak nie dla-

tego nie poznałam jej w pierwszej chwili w miejscu, w którym nie spodziewałam się nikogo znajomego. Stało się tak z powodu jej wyglądu. Gdy otworzyłam drzwi - to Joachim powinien być się w nich zjawić, lecz jak się później okazało, akurat tego dnia spóźnił się o dwie godziny - ujrzałam w nich dziwną postać, odzianą od stóp do głów w matową gumę przeciwdeszczowego ubrania. Wydała mi się ona tak złowroga, że natychmiast chciałam zatrzasnąć drzwi. Był to odruch, który zadziałałby u każdego, kto - tak jak ja - nie zdążył nawet rozpoznać się w nowym otoczeniu.

Moja niegościnnność nie speszzyła osoby zza drzwi, o czym zawiadomiła mnie monotonnym, lecz nie pozbawionym zniecierpliwienia sygnałem domowego gongu. Usiłując zachować spokój, pozostałam na miejscu i przyglądałam się intruzowi przez wkomponowaną w drzwi wysoką, wąską szparę zastępującą judasza. Korzystając z przeszklonego jak okna budynku calehmskiego udogodnienia, dokładnie widziałam nieproszonego gościa. Był uparty i nie decydował się odejść, a ja, nawet wiedząc, że dostrzega zaledwie zarys mojej sylwetki, czułam się obserwowana i stan ten odbierał mi resztki pewności siebie.

Po wielu minutach, które upłynęły mi na pełnym obaw oczekiwaniu, postać za drzwiami zdecydowała się na akt łaski i pozbyła się kaptura. Ocknęłam się z zainscenizowanego przez nią napięcia: rozpoznałam Arlenę - jasnowłosą z jej charakterystyczną krótką fryzurą, jej wyrazisty makijaż, oraz, ponieważ głęboko zapadł mi w pamięci, niewymuszony i obojętny uśmiech kogoś, komu nie doskwiera nadmiar złudzeń. Otworzyłam drzwi i gestem zaprosiłam ją do środka. Wyciągnięcie ręki wydało mi się głupie, a znaliśmy się zbyt mało, by padać sobie w ramiona. Pozostało więc pasywne czekanie na to, co powie mi, zjawiając się jak duch w nowym mieszkaniu, którego adresu nie posiadali jeszcze moi o wiele bliżsi od niej znajomi.

- Witaj w Calehm, Dagmar - powiedziała, wkładając mi w dłonie dwie grube świece w kolorze zmatowionej miedzi i spoglądając mi w oczy tak, że poczułam się zagrożona.

Było zbyt wcześnie, bym mogła domyślić się choćby części prawdy o naszym drugim spotkaniu - jego przyczynach i spodziewanym dal-

szym ciągu, podobnie jak nieznanne mi były zakresy innych spraw czekających mnie w przyszłości. Jednak sądzę, że wówczas wszystkiego nie wiedziała nawet sama Arlena, witająca mnie w Calehm oraz w mieszkaniu, które znała lepiej ode mnie. W przeciwieństwie do niej byłam w nim obca - zarówno tamtego dnia, jak i wiele miesięcy później.

Weszliśmy do salonu. Pierwsza szła Arlena w ociekającym deszczem gumowym płaszczu, z którego spływające strużki wody śledziły ją krok w krok, a za nią ja, z grubymi świecami w rękach. Kiedy podeszła do okna i odwrócona do mnie plecami zastygła przed oświetloną panoramą Calehm, pomyślałam, że jeśli ktoś oglądają w tej chwili zza okna, uzna jej pozbawioną kształtów sylwetkę za rzeźbę lub egzotyczną roślinę.

- Tu, w Calehm, nieczęsto pada deszcz. A taki jak dziś prawie się nie zdarza - powiedziała zamyślona.

Kiwnęłam głową, choć odwrócona ode mnie nie mogła tego zauważyć.

- Wiem, ktoś mówił o tym Joachimowi - powiedziałam do jej pleców. - Czy specjalnie wybrałaś taki wieczór, by zjawić się u mnie w szczególnie dramatycznej scenerii?

Odwróciła się do mnie z nikłym uśmiechem.

- Trochę.

Zacisnęła na kilka sekund powieki, a ja przypomniałam sobie o jej przyzwyczajeniu, wygrzebując jednocześnie z pamięci obraz jej samej na minionym przyjęciu, na którym była dla mnie jedną z wielu obcych postaci i nosiła bardzo piękną suknię w kolorze... tak - kolorze granitu. Przypomniałam sobie, że wtedy jej barwa skojarzyła mi się z piaskiem, jednak po tygodniach spędzonych w Calehm, podczas których nauczyłam się inaczej odbierać kolory, uznałam suknię Arleny - a także jej włosy - za odcienie tego miasta. A także mego domu i mieszkania, bo i do nich pasowała barwą tak dalece, że tylko rozpięty czarny płaszcz oraz bordowa szminka wyróżniały ją z tła i chroniły przed wtopieniem w bladość ścian.

- Może zdejmiesz płaszcz?

Zgodziła się skinieniem głowy i pozbyła mokrego okrycia, które, nie bacząc na ślady wilgoci, położyła na podłodze obok swoich

stóp. Zrobiła to prawie ostentacyjnie, jakby chciała przypomnieć mi, że jest moim gościem.

- Czy mogę zaproponować ci coś do picia?

Skinęła głową.

- Szampana z dodatkiem imbiru.

Zaniepokoiłam się i już chciałam niemądrze ją przeproszać.

- Nie sądzę, bym miała coś takiego...

Zreflektowałam się, widząc, jak obcesowo odwraca się i, nie czekając na mnie, kieruje się w stronę kuchni.

- Masz i szampana, i imbir, droga Dagmar.

W odruchu dziecinnego protestu pozostałam na miejscu i obserwowałam Arlenę z daleka, kiedy rozsuwała drzwi prowadzące do spiżarni, graniczącego z kuchnią dodatkowego pomieszczenia, z którego, przytłoczona wyborem aż nazbyt licznych szafek w kuchni, nigdy dotąd nie skorzystałam. Wiedziałam o nim tylko to, że jest wyposażone w agregat chłodniczy utrzymujący odpowiednią temperaturę dla win, co wydawało się niezbędne w Calehm, gdzie, według informacji pośrednika wynajmującego mieszkanie, nie przechowywano ich w piwnicy.

- Imbir jest w szufladzie z przyprawami - ponagliła mnie Arlena, zajęta otwieraniem zapieczętowanego kartonu, zawierającego, jak się okazało, sześć butelek szampana.

Pomyślałam, że powinnam była wcześniej zauważyć ten karton w pustym niemal pomieszczeniu, które Joachim zamierzał dopiero zagospodarować. Posłusznie weszłam do kuchni i zajęłam się przeglądaniem przypraw w szufladzie, która - w przeciwieństwie do spiżarni - była mi znajoma. Zawierała firmowo zapakowane zioła, które uznałam za część wyposażenia; wyjęłam odpowiednią fiolkę, a po zdarciu foliowego opakowania rozszedł się w powietrzu intensywny zapach imbiru.

- Nie to - powiedziała Arlena, nie spoglądając w moją stronę - otwórz pudełko z imbirem w kawałkach.

Ponownie zrobiłam to, co mi kazała, i na otwartej dłoni podałam jej kostki przypominające oproszone cukrem słodczyce. Pachniały jeszcze mocniej od imbirowego proszku; wydawało mi się,

że przez krótki moment trzymania ich dla Arleny moja dłoń na zawsze oklei się ich aromatem.

- Proszę.

Przyglądałam się, z jaką wprawą otwiera butelkę - w szpiźni było dość chłodno, aby szampan się nie pieniał - i odlewa część zawartości do zlewu. Odebrała ode mnie imbirowe kostki, wrzuciła je do szampana i, odstawiając butelkę, powiedziała:

- Musimy poczekać kilka minut. Chodź, znajdziemy jakieś dobre miejsce dla twoich nowych świec.

Postuszenie podniosłam świece z kuchennego stołu.

- Rozumiem, że do łazienki - powiedziałam uprzejmie, z góry znając odpowiedź.

Znalazłyśmy się w pomieszczeniu, które z całego mieszkania najbardziej polubiłam. Od niedawna podobało się ono także Joachimowi - nazywał je futurystyczną jaskinią, zapewne dlatego, że całość stanowiła jednolitą bryłę w skorupie granitu, w którą wbudowano potrzebne sprzęty. Wanna, zlewy i pozostałe urządzenia wtapiały się w kamień tak dokładnie, że przy sztucznym świetle wszystko wyglądało na wykute z jednego materiału. Także struktura ceramiki przypominała w dotyku granit, dzięki czemu, kąpiąc się w wannie, łatwo było wyobrazić sobie pływanie w niecce wykutej z kamienia. W tym pomieszczeniu, jednolitym tak, że podłoga nie różniła się od ścian, a ściany - za wyjątkiem jednej, radykalnie przeszklonej - od sufitu, rudawo iskrząca się płatanina miedzianych rur przypominała rusztowanie rozpięte do dekoracji niepokojącego happeningu.

Nie spiesząc się, czekałam, aż Arlena wskaże mi odpowiednie miejsce dla przyniesionych w podarunku świec. Patrząc na ich miedziany kolor pomyślałam, że gdziekolwiek by nie stanęły i tak będą mylić mi się z kawałkami rur, natomiast jeśli je zapalę, łazienka będzie wyglądała tak, jakby woda płonęła w kurkach zadartych nosami w górę.

- Przy wannie? - poddałam bez przekonania

- Albo tu - wyjęła mi świece z rąk i ustawiła na wąskim wykuszu nad wanną, tak małym i optycznie wtopionym w ścianę, że dołąd go nie zauważyłam.



Odwróciła mnie łagodnie w stronę lustra wiszącego na przeciwległej ścianie. Zobaczyłam najpierw siebie, a dopiero po chwili - i przy pewnym natężeniu wzroku - stojącą tuż za mną Arlenę, której, gdyby nie umalowane ostrą szminką usta, wcale nie dostrzegłabym na tle kamiennej ściany. Dwie ustawione w znakomitej symetrii świece oświetlały nasze dwie jakże odmienne głowy.

- Jaki związek z tobą ma nasz przyjazd do Calehm?

Opróżniłam drugi kieliszek pachnącego imbirem szampana.

- Twój mąż dostał tu pracę - odrzekła flegmatycznie Arlena.

- Tu nikt nie dostaje pracy na zawsze.

- To prawda.

- Jednak ta umowa... - nie rezygnowałam. - Podpisano z nim bezterminowy kontrakt.

- Nikt nie dostaje pracy na zawsze. Nawet tu, w Calehm.

- Miałam na myśli to, że zwłaszcza w Calehm.

- A ja miałam na myśli to, że Joachim wyjedzie stąd, kiedy będzie chciał. Jednak nie z powodu wygaśnięcia kontraktu.

- Czy wielu ludzi pracujących w Calehm posiada taki luksus?

Uniósła brew, jakbym ją rozbawiła. Siedziała wygodnie na wielkiej kanapie o kwadratowym kształcie, pokrytej grubym materiałem zbliżonym w kolorze do granitowych podłóg. Arlena znakomicie komponowała się w moim mieszkaniu - z pewnością lepiej niż ja.

- Bardzo wielu. Na tym polega wygoda tutejszego życia.

Nie zamierzałam tak łatwo ustąpić.

- I dotyczy to także sprzątaczek, kelnerów oraz aptekarzy albo księży?

- Wielu z nich tak.

Wyciągnęłam rękę w kierunku paczki papierosów leżącej nieopodal na stoliku i natychmiast zostałam skarcona.

- Nie - powiedziała sucho Arlena. - Akurat to nie należy do tujszych wygód i obyczajów.

Jej pewność siebie, bardziej wyzywająca od dotychczasowej chłodnej dezynwoltury, sprawiła, że poczułam narastającą irytację. I choć nie zamierzałam sobie na nią pozwalać, nie opanowałam drżenia dłoni, która zastygła głupio w powietrzu.

- Jakich - tutejszych? - Udało mi względnie spokojnie wyciągnąć z paczki papierosa. - Masz na myśli moje mieszkanie?

- Też - potwierdziła poważnie. - W twojej umowie o najem znajduje się klauzula dotycząca niepalenia.

- A skąd ty o tym wiesz?

- Chodzi raczej o to, dlaczego ty tego nie wiesz.

Zamilkłam na moment, czując, że w nieunikniony sposób zaczynam być naprawdę zła. Zapaliłam papierosa, dość niezdarnie, powstrzymując się siłą od złośliwego spojrzenia w oczy Allenie, która obserwowała mnie, jakbym była niegrzecznym dzieckiem robiącym jej na złość. Nie wyjaśniłam jej, że antynikotynowy pasus w umowie nie zainteresował mnie dlatego, że poprzedniego papierosa wypaliłam przed wieloma laty. Nieszczęsną paczkę papierosów pozostawił poprzedniego dnia calehmski sprzedawca ubezpieczeń.

- Więc Calehm to miasto nie tylko luksusowe, ale także zdrowe - stwierdziłam tylko odrobinę zjadliwie. - Jakie inne ma - oprócz tego - zalety?

- Och, zbyt wiele, by wyliczyć je przy pierwszym spotkaniu - odpowiedziała. - Jedną k przyjdzie na to czas. Mamy sporo czasu.

- Rozumiem...

Naturalnie nie rozumiałam niczego. Uczestniczyłam tylko, coraz bardziej pasywna, w dziwnej rozmowie przy imbirowym szampa nie i wmawiałam sobie, że jej tempo oraz charakter chociaż trochę zależą ode mnie. Chciałam myśleć, że to ja zadaję pytania i otrzymuję zadawalające odpowiedzi, jednak w gruncie rzeczy było dla mnie jasne, że wcale tak nie jest.

- To dobrze, że rozumiesz.

Kroczyła jakąś drogą, a ja, podążając za nią, nie domyślałam się nawet dokąd idę.

- J a k mnie tu znalazłaś? - spytałam, kapitulując.

- Mieszkam w Calehm.

Jej odpowiedź pozbawiona była wyrazu.

- To już wiem - zapewniłam ją, siląc się na spokój. - Mieszkasz tu jako jedna z ponad stu tysięcy ludzi. Pomimo to nikt poza tobą

nie przyszedł tu powitać mnie prezentem w postaci świec odpowiadających kolorem kafelkom mojej łazienki.

- Znam twoje mieszkanie - odrzekła znudzona, jakbym marnowała jej cenny czas - tak jak znam kogoś, kto zatrudnił twojego męża. Chciałam cię zobaczyć.

- Tak po prostu?

- Tak.

- Dość dziwny zbieg okoliczności - stwierdziłam.

Leniwie podniosła się z kanapy. Przyglądałam się jej idącej w stronę okna, myśląc o tym, że albo ona upodobniła się wyglądem do kompozycji takich, jak calehmskie domy, albo to one powstały z myślą o kobietach takich, jak Arlena po to, by ładnie prezentowały się na ich tle. Za oknem mojego mieszkania, kamienno-beżowego i piaskowo-szklanego, widziałam wycinek panoramy miasta, jakby był żywym - choć przerażająco statycznym - elementem wystroju. Natomiast Arlena, ze swoim nieodgadnionym wyrazem twarzy, nieodmiennie spokojna i niewzruszona, pasowała zarówno do wnętrza, jak i do widoku zza okna.

- Jesteś tu nowa - oświadczyła, stojąc do mnie tyłem. - Każdy potrzebuje czasu, by poznać czyjeś obyczaje.

- Twoje?

- Nie... Nasze.

- Wasze tutejsze?

- Nasze.

Jej głos brzmiał niewyraźnie, jakby mówiła nie do mnie, lecz do błyszczących światłem domów - do bliskiego budynku Biblioteki, nawet do nieznanego mi kościoła, którego zaledwie mały fragment wieży widoczny był z naszych okien. Nagle poczułam, że mam już dość Arleny, jej zagadek, łamigłówek oraz jej irytującej tajemniczości, co do której zaczynałam wątpić, czy cokolwiek kryje. Zirytowana dolałam sobie szampana, nie czekając na Arlenę i rezygnując ze stawiania następnych pytań. Mój papieros był niesmaczny i dopalał się powoli; odwrócona plecami Arlena nie przestawała wpatrywać się w oświetlone budynki Calehm, a czas przepływał między nami obiema tak wolno, że prawie mogłam go poczuć.

To uczucie, początkowo łagodne, zaczęło nagle narastać, jakby opływający nas czas był realną materią, składającą się z namacalnych molekuł, na wzór gęstego powietrza. Jednoznaczne poczucie jego obecności, w której wydawało mi się, że mogę określić pozycję jego strumieni, zaniepokoiło mnie jak nieoczekiwany list bez nazwiska nadawcy. Zdziwiona nowym stanem świadomości mimowolnie przymknęłam oczy na kilka sekund, jakby udzieliły mi się zwyczajnie Arleny. Jednak natychmiast zawstydyłam się śmieszności; otworzyłam je, ale ta krótka chwila wystarczyła, by Arlena znów stanęła przodem do mnie. Za jej plecami płynął deszcz. I wtedy, na widok jej sylwetki wtopionej pomiędzy jego strugi, tkwiącej w nim, a nienaruszonej, podanej do przodu, a jednak przykrytej jego masą, pojęłam wyraźnie: oto czas wokół nas przepływa pionowo jak deszcz. I ja, i Arlena, podobnie jak to miasto, dom i mieszkanie, znajdujemy się na drodze czasu poruszającego się wertykalnie niczym winda, z góry w dół i odwrotnie. Uniosłam oczy na Arlenę, pełna niedowierzania. Moje odkrycie wzburzyło mnie, miałam ochotę roześmiać się głośno w imieniu wszystkich historyków, którzy swą wiedzę o czasie przekształcają w chronologiczne, zawsze poziome wykresy.

- W dzień taki jak ten nic nie stałoby się dla ciebie ani bardziej proste, ani bardziej skomplikowane. Czas musi upłynąć - powiedziała Arlena, a jej słowa nie szybowały w moim kierunku, lecz spadały na moją głowę jak nieodległe krople deszczu. - Chciałabym tylko powiedzieć ci: to dobrze, że się tu znalazłaś. To wielkie szczęście dla ciebie. I ważna rzecz dla nas.

Przyjeżdżając do Calehm, Dagmar zamierzała kontynuować pracę jako logopeda, jednak skonkretyzowanie związanych z tym planów odłożyła sobie na później. Na odwlekaniu decyzji upłynęło jej kilkanaście tygodni, aż Joachim, sam intensywnie zajęty zawodem, zaczął się o nią martwić. Nie znając i nie rozumiejąc stanu jej ducha, obawiał się nawrotu choroby, zaczął ją więc namawiać, by

poszukała sobie zajęcia. Wiadomo było, że nie ma perspektyw na prywatne praktykowanie w mieście rozdzielonym między zasiedziały specjalistów, jednak szansa na zaczepienie się u któregoś z nich, choćby na kilka godzin w tygodniu, wydawała się dość prawdopodobna. Jednak Dagmar nie śpieszyła się i, z daleka obserwując otoczenie, usiłowała raczej skonkretyzować własne życzenia na przyszłość, jedynie marginalnie dotyczące pracy zgodnej z wykształceniem. Choć starała się kierować rozsądkiem, każda analiza sytuacji wskazywała na to, że zamiast logopedii prawdziwie pociąga ją działalność charytatywna, zajęcie, które - choć zaledwie się z nim zetknęła - zdążyła polubić bardziej od wszystkich innych.

Jednak także i te pobożne zamiary Dagmar pozostałyby w sferze niekonkretnych planów, gdyby nie ponaglenia zaniepokojonego jej pasywnością Joachima. To wskutek jego próśb - oraz dla świętego spokoju - Dagmar zapytała Arlenę o miejsca, w których mogłaby przydać się innym. Zrobiła to podczas drugiej wizyty, którą nowa znajoma złożyła jej jak poprzednio bez zapowiedzenia.

- Skoro już zaczęłaś o tym mówić... - powiedziała Arlena. - To ja chciałabym, żebyś mi pomogła. Nie zajmę ci więcej czasu niż przykościelna grupa samopomocy, jeśli, oczywiście, coś takiego istnieje w Calehm.

Zaskoczona Dagmar zastygła z filiżanką herbaty w dłoni.

- Sama mi to zaproponowałaś - przypomniała jej Arlena - a ja się zgadzam.

- Jesteś pewna, że mogłabym ci pomóc?

Dagmar pamiętała dokładnie tamten wieczór. Jego wspomnienie nakazywało jej ostrożność.

- Nie - odpowiedziała obojętnie Arlena. - Wcale nie jestem tego pewna.

- Więc dlaczego?

- Powinnaś zapytać: jesteś pewna, czy tego chcesz?

- Dobrze - Dagmar posłusznie potaknęła. - Pytam - i co?

- Chcę.

- Dlaczego?

- Dlaczego pytasz?

Dagmar, która nie otrząsnęła się jeszcze z pierwszego zaskoczenia, bezradnie pokręciła głową.

- Dlaczego pytasz? - powtórzyła pytanie Arlena. - Przecież twierdziłaś, że się na tym znasz.

- Tak mi się wydawało...

Odstawiając pustą filiżankę po herbacie, Arlena zaśmiała się głośno. Jej śmiech zabrzmiał niegrzecznie.

- A teraz? Czy coś się zmieniło, skoro tu przyjechałaś?

Nieokreślone uczucie, ponownie zbyt blisko spokrewnione ze złością, powróciło do Dagmar. Jeszcze raz zapagnęła zapalić papierosa, na złość napełnić dymem zakazane dla palaczy pomieszczenie, które w obecności Arleny wydawało się nie należeć do niej. Jednak nie zrobiła tego, w geście pasywnego oporu ograniczając się do splecenia ramion na piersiach.

- Potrzebuję twojej odpowiedzi - powiedziała Arlena z pewną niecierpliwością w głosie. - Ustalimy konkretne zasady, czas, jakieś opłaty...

- Nie rozumiem.

- Zamierzam przeznaczyć na ten cel pieniądze.

Nadal oszołomiona Dagmar pozwoliła sobie na nutę ironii:

- W moich - jak ty to nazywasz - kótkach przykościelnych nigdy nie brałam od nikogo pieniędzy.

Jej cios chybił celu, gdyż Arlena niedbale machnęła dłonią.

- Wiem o tym. Chciałam ci zaproponować raczej rodzaj skarbonki, w którą będę wrzucać pieniądze za każdą twoją godzinę - poświęconą mnie, albo mojej duszy, jak wolisz. Jeśli chcesz, oddasz to potrzebującym.

- Ale dlaczego? - chciała wiedzieć Dagmar.

- Aby nasze... rozmowy czy też pertraktacje...

- Pertraktacje?

- Miały oficjalniejszą formę niż rozmówki przy kawie dwóch pań. Czy wystarcza ci taka odpowiedź? Nienawidzę rozmówek przy kawie.

- To tak jak ja, jednak ta skarbonka... To twoja sprawa, na co wydajesz pieniądze, ale co ja mam do tego?

- Zróbmy po prostu tak jak mówię - ucięła Arlena. - I najlepiej zacznijmy od razu.

Wyglądała niezwykle stanowczo. Nie prosiła, lecz nakazywała, wbrew swym niejasnym wyjaśnieniom, według których zamierzała zająć pozycję osoby szukającej pomocy. Nawet płatnej... Dagmar spłoszyła się:

- Teraz? To nie jest salka parafialna... Nigdy nie zajmowałam się czymś takim w domu.

- To także nie jest twój dom.

Mimo równie konkretnych, co zaskakująco szybko powziętych ustaleń, tego dnia nie doszło do rozmów z gatunku tych, których życzyła sobie Arlena, a Dagmar, choć niechętnie, wpisała to sobie jako punkt po swojej stronie tabeli. Nie był to wyłącznie wyraz jej protestu przeciwko dyrygowaniu sobą, ale również głos rozsądku, przypominający jej o potrzebie wyrównania pozycji. Owa pierwsza konfrontacja wydarzyła się w pustym, nieurządzonym jeszcze pokoju, do którego Arlena, zgodnie ze swym obyczajem, wprowadziła ją jak gościa, jakby to ona, nikt inny, była gospodynią.

- T e n pokój został zaprojektowany jako gabinet. Obojętnie dla jakiej profesji - oświadczyła, otwierając, bez pytania Dagmar o zgodę, drzwi w końcu korytarza.

Prowadziły one do małego przejścia stanowiącego rodzaj służy albo dodatkowego przedpokoju. Ściana pomiędzy drzwiami była cofnięta na szerokość półki, jak większość elementów mieszkania wykonanej z granitu.

- Służy do siedzenia - wskazując na nią, wyjaśniła Arlena - możesz tu ułożyć poduszki.

- Które zapewne znajdę w jednej z szaf ściennych.

- W gabinecie.

- Posłuchaj - Dagmar odwróciła się gwałtownie i stanęła twarzą twarzą z Arleną, która otwierała już drzwi prowadzące do ostatniego z pokoi. - Nie wiem jeszcze, jak wykorzystam to pomieszcze-

nie. Nie zamierzałam pracować zawodowo we własnym mieszkaniu. Ponieważ nie piszę pracy doktorskiej ani publikacji do fachowego czasopisma, nie potrzebuję nawet biurka. Do czytania wystarczy mi kanapa w salonie.

Arlena zatrzymała się na progu, a w jej oczach nie było dawnej arogancji. Dagmar dostrzegła w nich rywalizujący ze znudzeniem smutek, jednak mimo to nie zamilkła:

- Jesteś tu drugi raz i po raz drugi odgrywasz przede mną scenkę według podobnego scenariusza. Oprowadzasz mnie po moim własnym mieszkaniu, wskazując mi miejsca, których nie znam.

- Robię to dlatego, że sama nie zadałaś sobie trudu, by je poznać.

- To tylko mieszkanie. Poza tym jest jednak moje i chcę poznać je we własnym tempie. Mam dość czasu.

Ani jedna, ani druga nie ruszyły się z progu, nie istniejącym właściwie w mieszkaniu jednolicie wyłożonym podłogą z kamienia, utrzymując pozycje na umownej linii pod framugą drzwi pokoju, o losach którego należało zdecydować. Dagmar chciała wierzyć w to, że wybór należy tylko do niej.

- Może zrobię tu buduar - oświadczyła odważnie. - Natomiast na tamtej półce poustawiam książki i pamiętki. Albumy ze zdjęciami i pluszowe misie...

- Nic takiego nie zabrałaś ze sobą do Calehm.

- Więc i to o mnie wiesz?

Ukłuta złością, brutalnie pozbawiona argumentów, Dagmar opuściła schronienie pod futrynę drzwi. Weszła do spornego pokoju i stanęła pośrodku, stwierdzając, że przypomina wszystkie inne w mieszkaniu. Nadawał się zarówno na gościnny pokój, jak i na jadalnię, pasował na gabinet lub salonik i nawet posiadał stół ze szklanym blatem, niewiele mniejszy od jadalnego, ustawionego w salonie kilka ścian dalej. Była w nim także sofa, bliźniacza siostra kanapy z tegoż salonu, w tym samym kolorze, tej samej kanciastej formie. Wszystko było jednakie - ze stali, szkła, granitu oraz tego samego, grubo tkanego materiału.

Dagmar zbliżyła się do okna eksponującego tę samą panoramę, dokładnie znaną z zarysu i ciągle pasjonującą szczegółami.



Nie liczyła na to, że dojrzy coś nowego z okna umiejscowionego w bezpośredniej bliskości innych, jednak pomyliła się, ponieważ z pokoju, którym bez interwencji Arleny nieprędko by się zainteresowała, rozpościerał się widok niewspółmiernie bardziej imponujący niż ze wszystkich innych pomieszczeń mieszkania. To stąd najdokładniej widoczna była potężna i olśniewająca rozmachem sylweta sztandarowego budynku miasta - słynnej na cały świat całeńskiej Biblioteki.

- J a k t o m o ż l i w e ? - zapytała Dagmar Arlenę, która od wielu minut nie poruszyła się z miejsca.

Kultowa budowla, znana światu dzięki niezliczonym fotografiom i relacjom telewizyjnym, wypełniała całe gigantyczne okno pokoju. Była jaskrawo oświetlona i znajdowała się tak blisko, że nieomal można było podać jej rękę.

- Kąt widzenia - usłyszała. - Stąd widać ją najlepiej.
- Przecież następne okno jest tuż obok...
- Kąt widzenia - powtórzyła Arlena.

W rogu pokoju, w miejscu zetknięcia się muru ze szkłem, wisiały zsunięte wertykalne żaluzje, które, choć doskonale pasujące do mieszkania kolorem i fakturą, zaskoczyły Dagmar swoją obecnością.

- Dlaczego akurat tu? - spytała Arlenę.
- A nie w sypialni czy w łazience?
- Na przykład.

Arlena podeszła bliżej okna, a Dagmar wydało się, że jej kroki brzmią inaczej, są wolniejsze, jakby bardziej nieśmiałe i wyważone. Obserwowała ją, chwytającą za sznurek rządzący żaluzjami i długo wążącą go w dłoni.

- Nie rozumiem tego.

Ostrożne pociągnięcie ręki Arleny sprawiło, że pokój zasłonił się przed zewnętrznym światłem.

- Potrzebuję twojej pomocy - powiedziała Arlena, odwracając się od okna i opuszczając w dół ciała ręce, które natychmiast skryły się wśród fałd luźnej sukni w granitowym kolorze. - To najlepsze miejsce dla rozmów. Jest stół i sofa jak u... psychoanalizy-

ka. Może nawet powinnaś zamówić sobie fotel, na wypadek, gdybyś zechciała coś zapisać. A ja przyniosę ci obraz.

Jeśli mówiąc to, zamknęła po swojemu powieki, Dagmar nie mogła już tego zauważyć. Nie widziała wcale Arleny, jakby ta nie istniała, jakby nie było jej w pokoju, w którego ściany wtopiła się kolorem sukni i bladością twarzy, chociaż zaciągnięte zasłony wcale nie wywołały szczególnego mroku i nie zabiły światła, ale odmieniły je w jednakową bladą mgłę, wchłaniającą w siebie ściany i sprzęty. Zdziwiona Dagmar machinalnie poszukała własnych dłoni i odetchnęła głęboko, czując, że są na miejscu, nieujednoliczone z tłem i niepołączone w jedno z mieszkaniem. Uśmiechnęła się do niewidocznej Arleny i, wdzięczna za brak strachu, powróciła wzrokiem do odgródzonej zasłonami Biblioteki.

- Zgoda - mówiła bardzo wolno. - Zamówię sobie jakiś fotel.

Potwierdzenie dokonanego wyboru przyniosło jej natychmiastową ulgę. Uspokojona poszukała oczyma miejsca, w którym powinna stać Arlena. Nie czuła niepokoju; ponownie odezwała się dopiero wtedy, gdy jej wzrok odnalazł niebieskie oczy tamtej.

- A jeśli chcesz przynieść mi obraz, niech będzie na nim dużo czerni i czerwieni. Innego nie chcę.

Postanowiwszy pomóc Arlenie, podjęłam dziwną decyzję w okolicznościach, które uznałam za niemal wymuszone. Sposób, w jaki wciągnęła mnie w swoje kłopoty, zmienił moją perspektywę osoby przyzwyczajonej do kierowania się instynktem we wszystkich podejmowanych sprawach. Przy Arlenie mój instynkt działał słabiej: jeśli ostrzegał mnie przed nią, to z daleka, jakby istniała jakaś warstwa przemilczana i coś kryło się przede mną, nie sygnalizując nawet tego, że będzie dla mnie dobre bądź złe. Nie wiedziałam, czego Arlena po mnie oczekuje, jednak jej aura ciekawiła mnie i pobudzała moją fantazję. Poza tym czułam się za nią odpowiedzialna - za nową przyjaciółkę, której lęk zgadywałam i mętnie przeczuwałam jego przyczyny. Chciałam jej pomagać jako ktoś,

kto sam niedawno jeszcze marzył o zapadnięciu w wielki sen. Kto sam prawie nie żył.

Nie była łatwym partnerem. Miałam trudności ze zrozumieniem jej życzeń, a jej pomysły były dla mnie niejasne, wręcz absurdalne, jak sama idea oficjalnych seansów w pokoju nazywanym gabinetem, których ton - czy mi się to podobało, czy nie - już za pierwszym razem upodobnił się do oficjalnych pertraktacji na zlecenie. Tylko w niewielkim zakresie udawało mi się nad nimi panować; w głębi duszy wciąż oskarżałam Arlenę o autokratyzm, co było dość niesprawiedliwe i niezupełnie odpowiadało prawdzie. Jednak mimo wszystkich tych utrudnień czułam, że podczas naszych rozmów wytwarza się między nami nie najgorsze porozumienie. Moja rozmówczyni naśladowała w nich zasady zbliżone do konsultowania kogoś w rodzaju męża zaufania, natomiast ja starałam się słuchać jej tak, jak sama kiedyś pragnęłam być wysłuchiwana.

- Może jednak wrócimy do salonu? - zaproponowałam Arlenie przed zajęciem miejsca w fotelu, którego kupno mi doradziła.

Jednak ona już usiadła na sofie; usadowiła się na niej z podwiniętymi nogami, z których nie zdjęła butów. Było to nasze trzecie spotkanie, na które zjawiła się punktualnie, po konkretnym ustaleniu terminu.

- Nie - odpowiedziała - będziemy pracowały tutaj.
- Dlaczego nazywasz to pracą? - zapytałam ją ostrożnie.
- Bo to jest praca - dla ciebie charytatywna, dla mnie emocjonalna. Ja muszę ją wykonać, a ty zarobisz pieniądze dla potrzebujących.
- Z tobą chętnie spotykam się zwyczajnie, jak z przyjaciółką.
- Praca bez zapłaty inaczej się liczy.
- Dlaczego musimy wykonywać jakąś pracę?
- To warunek.
- Warunek czego?
- Jeszcze nie mogę ci wszystkiego wytłumaczyć. Jeszcze nie.

Niechętnie poprawiłam się w fotelu, myśląc, że sytuacja jest w gruncie rzeczy dość groteskowa. I ja, i Arlena zaczynałyśmy zachowywać się tak, jakbym rzeczywiście prowadziła gabinet i bra-

kowało mi tylko kartoteki pacjenta. Pacjenta, z którym zamiast tu siedzieć, wolałabym popijać w salonie imbirowego szampa.

- Dobrze się tu czujesz? - zapytałam, aby jakoś zacząć.
- Owszem.

Na podłodze, tak, że mogliśmy widzieć go obydwie, stał oparty o ścianę obraz, który obiecała mi i przyniosła na spotkanie w opakowaniu z szarego papieru. Początkowo zamierzałam zawiesić go na ścianie - jeśli tylko Joachim znalazłby trochę czasu, by mi pomóc - jednak już wkrótce malowidło zaczęło podobać mi się tam, gdzie, być może przypadkowo, postawiła go Arlena. Postanowiłam je tak zostawić, zauroczona motywem czerwono-czarnego tunelu, który zdawał się wnikać w ścianę i przypominał rozpoczynające się wysoko wielkie gardło, u dołu obrazu topiące się w szarościach. Wyrzistość iluzji niemal natrętnie prowokowała do wyobrażania sobie miejsca, w którym tunel ten się kończy.

- Powiedziałaś mi, że muszę ci pomóc - zaczęłam ostrożnie.
- Potrzebuję twojej pomocy - powtórzyła.
- Aby ci pomóc, muszę wiedzieć w czym.
- Pytaj - powiedziała.

Był biały dzień, jednak nie porozumiewając się z Arleną, zasunęłam żaluzje, zasłaniając okna gabinetu. Komuś patrzącemu z zewnątrz moje działanie mogło wydawać się marnotrawstwem - z własnego wyboru zniweczyłam widok na Bibliotekę, do której z całego świata zjeżdżali się ludzie tylko po to, by napatrzeć się na nią i zrobić jej kilka zdjęć. Tymczasem dla mnie - nie wiem, jakimi pobudkami kierowała się Arlena - kontakt z tym ósmym cudem świata przybierał dziwnie niewyrównaną formułę, w której ja, jego niezamierzona sąsiadka, czułam się nieważna, niezdolna do samodzielnego działania i jakby przez nią zagrożona.

Siedząc w fotelu, postukałam palcem w gładki blat stołu.

- Zadam ci to samo pytanie, które już stawiałam, ale tym razem ty odpowiesz mi bez wykrętów.

Arlena uniosła głowę, ale ja uprzedziłam jej słowa:

- Wszystko inne już wiem, powiedziałaś, że potrzebujesz czasu i ja to rozumiem. Jednak chcę wiedzieć, po co właściwie do mnie

przychodzisz. Jeśli chcesz tylko rozmawiać, możemy pić razem kawę albo umawiać się na spacer. Skoro jednak upierasz się przy czymś w rodzaju seansów terapeutycznych, używasz przy tym słowa „praca” i nawet płacisz mi za to, muszę wiedzieć, czego to dotyczy.

Kiedy po długim milczeniu zdecydowała się odezwać, jej głos zabrzmiał tak, jakby należał do kogoś innego.

- Zgoda - wpatrywała się w tunel na obrazie, jakby szukała w nim pomocy.

- Powiedziałaś, że musisz spełnić pewien warunek - podpowiedziałam.

- Tak - kiwnęła głową.

- W jakim celu?

- Aby móc zrobić to, co zamierzam.

- A co zamierzasz zrobić?

Oderwawszy wzrok od tunelu, przeniosła go na mnie. W jej oczach odnalazłam wszystkie te uczucia, którymi dotychczas zaledwie mnie muskała: złość i rozdrażnienie, rezygnację i resztki dawnej woli, dotyczące mnie niedowierzanie oraz maleńkie ślady po umarłych nadziejach.

Teraz ja skinęłam boleśnie głową; wiedziałam dość, by móc ją wyręczyć.

- Chcesz się zabić - stwierdziłam zamiast niej.

Jeśli Arlena rzeczywiście chciała ode mnie pomocy w realizacji tego, co zamierzała przeprowadzić, winna była zwrócić się do kogoś innego. Wiadomo, że istnieją przyjaciółki pomagające obrabować bank, usunąć ciężę, zabić męża, wyjechać na koniec świata, podobno są nawet takie, które pożyczą samochód, którym można roztrzaskać się o ścianę. Prawdziwe przyjaciółki, które rozumieją. Jednak ja - obecnie i w przyszłości - nie byłam kimś takim ani dla zaledwie poznanej Arleny, ani dla nikogo innego. Ja, Dagmar, nie uznawałam samobójstwa: zawsze kwestionowałam jego kłamliwy sens, podobnie jak podstawy i prawo do podejmowania takiej decy-

zji. Po całym zamieszaniu w moim życiu, po śmierciach, z którymi się zetknęłam, i cierpieniach, których byłam świadkiem, odrzucałam kategorycznie podejmowanie działań sprzecznych z ustalonym, boskim zapewne, planem. Według mnie, uleczonej i racjonalnej, wszelkie sceniczne rewolty na planie precyzyjnego dramatu życia były niewłaściwe - i nic niewarte.

- Mam nadzieję, że chcesz, bym cię od tego odwiodła - powiedziałam do Arleny.

Wypiłyśmy już kawę, wyplukałyśmy ekspres po jej przygotowaniu, umyłyśmy filiżanki i przewietrzyłyśmy gabinet. Zdążyłyśmy nawet rozstać się na czas, w którym Arlena odświeżyła się w łazience, a ja zadzwoniłam do Joachima, co spowodowało, że - zaskoczony nieoczekiwanym zainteresowaniem - trzykrotnie zapytał o moje zdrowie i samopoczucie.

Pomimo wszystkich tych uników temat, który zawisł w powietrzu między Arleną i mną, nie zniknął. Wbrew moim oczekiwaniom, Arlena nie zamierzała się z niego wycofać.

- Zakładam, że nie jesteś religijna? - zapytałam ją, ponieważ jedyną odpowiedzią na moje poprzednie pytanie nadal było tylko przeczące pokręcenie głową.

- Czy pytanie nie powinno brzmieć: czy wierzysz w Boga?

- Nie. W niego można wierzyć także nie będąc religijnym.

Nie odpowiedziała. Wciąż miałam nieodparte wrażenie, że świadomie oszczędza słowa, jakby wołała, bym to ja wiodła tę rozmowę, prowadząc ją w taki sposób, w jaki ona oprowadzała mnie po nowym mieszkaniu. A ponieważ nadal uważałam ją za kogoś niezwykle autorytatywnego, byłam pewna, że owa wstrzeźliwość niełatwo jej przychodzi.

- Na początek chciałabym wiedzieć - powiedziałam, nie doczekawszy się odpowiedzi - co dotychczas cię powstrzymywało. Oraz co sprawiło, że zwracasz się z tym akurat do mnie.

- Może chodzi właśnie o religię? - zignorowała moje ostatnie pytanie, choć nie zmieniła tematu.

W jej głosie odkryłam ślad ulgi, jakby udało się jej podjąć jakąś decyzję.

- A chodzi o religię?
- Religia zakazuje samobójstwa - powiedziała bez zdecydowania.
- Nie każda - zaprzeczyłam.
- Dla Sikhów to nawet jedno z jedenastu przykazań: „Nigdy nie popełniaj samobójstwa”.
- Podczas gdy - przypadkiem wiedziałam coś o Sikhach - inne z nich głosi: „Nigdy nie dotykaj wdów”.
- Co zapewne ma większy sens niż się nam wydaje - zripostowała z powagą. - I kiedyś o tym porozmawiamy. Jednak teraz...
  - T a k ?
- Patrzyła mi prosto w oczy.
- Pozostańmy przy dziesięciu przykazaniach.
- Naszych, to znaczy chrześcijańskich?
- Tak. To o nich chciałabym z tobą rozmawiać.
- Wyjaśnij mi to - poprosiłam ostrożnie. - Bo jeśli twój dylemat dotyczy wiary, powinnaś raczej udać się do księdza. Nie mam dostatecznych kwalifikacji, by przekonywać cię do życia, powołując się na prawa boskie.
- Uśmiechnęła się:
  - To są prawa ludzkie...
  - Zapewne - przyznałam niechętnie. - Jednak istnieją prawdziwi specjaliści w tej dziedzinie, o niebo odpowiedniejsi ode mnie. Ja wprawdzie świetnie znam się na nieszczęściach i jestem niezła w depresjach, ale...
  - Tak, wiem - przerwała mi nieuważnie. - Mówiłaś mi o tym.
- Po długim milczeniu, kiedy już poczułam się zmęczona niekompletnością pytań i odpowiedzi, naszym wspólnym werbalnym dreptaniem w kółko, Arlena zaczęła mówić. Wiedziałam, że jej wyjaśnienia wymagają czasu i słuchałam ich z uwagą, zadowolona ze zwolnienia od zadawania pytań. Pozostawiłam jej wolną rękę w kolejności wyspyływania tajemnic, usatysfakcjonowana świadomością, że wreszcie posuwamy się do przodu. Pełna dobrej woli postanowiłam jej towarzyszyć, choć z całą pewnością byłoby lepiej dla nas obu, gdybym już tamtego dnia domyśliła się, dokąd konkretnie zmierza.

- To było na koncercie jazzowym - rozpoczęła Arlena. - Występowała grupa, o której słyszałam wcześniej. Mówiono o niej, że składa się z uzdolnionych młodych ludzi, grających ciekawą muzykę.

Dagmar poczuła chłód, który, zdziwiona, spróbowała początkowo zignorować. Nie chciała przyjąć do wiadomości, że posiada jeszcze odruch mechanicznego reagowania na podstępne słowa-klucze. Znała niebezpieczeństwo podobnych pułapek; unikanie ich trenowała w przeszłości niezliczoną ilość razy, sama albo z pomocą szpitalnych terapeutów.

- Mieli nową wokalistkę, ze świata. Tego nie wiedziałam.

Jednak. Dagmar oplótła się ramionami, czując, że chłód rozlewa się w niej z natężoną siłą.

- Poszłam do tego klubu, aby uspokoić gonitwę myśli, które rozsadzały mi głowę.

Usiłując koncentrować się na słuchaniu, Dagmar wbiła wzrok w przyjaciółkę, która tego dnia wykazywała dyscyplinę godną pacjentki kasy chorych.

- Stała przy fortepianie i śpiewała, gdy ja zaczęłam zapijać ten huk myśli. Przeszkadzały mi w ostatecznej decyzji.

- T e j o samobójstwie? - zapytała obcym głosem Dagmar, wszelkimi siłami odpierając ataki własnego zaniepokojonego umysłu.

Arlena zawahała się na chwilę i Dagmar pomyślała, że jeśli jej rozmówczyni również posiada słowa-klucze, samobójstwo najpewniej do nich należy.

- Tak - potwierdziła Arlena.

- I co było dalej?

- Nawet tu, w Calehm, ktoś, kto przychodzi o północy do baru i, rozmawiając sam ze sobą, opróżnia kieliszek za kieliszkiem, robi z siebie widowisko, jak w każdej innej stronie świata. Budzi litość jako opuszczony mąż lub zdradzona żona, jako ktoś, kto stracił wszystkie pieniądze, dowiedział się, że ma raka albo - po prostu - postanowił pożegnać się z życiem. Wszyscy wysyłają podobne sygnały, ale o tym zapewne wiesz...



- Owszem - kiwnęła głową Dagmar. - Psychiatrzy prowadzą odpowiednie kursy dla policjantów, aby nauczyć ich rozpoznawania ludzi stanowiących zagrożenie dla siebie lub innych.

- Może ta dziewczyna też ukończyła taki kurs...

Arlena zaśmiała się smutno, natomiast Dagmar utraciła ostatni pretekst do złudzeń. Ta dziewczyna... Przeczucie okazało się słuszne: Arlenie chodziło o Edytę. To ona, czerwona dama fortepianu, zeszła na moment ze sceny, aby podać szklankę wody Arlenie, która przy samotnym stoliku nie zamawiała niczego prócz alkoholu. I to Edyta zapytała: „W czym mogłabym jeszcze pani pomóc?”

W spokojnym strumieniu słów Arleny Dagmar nie potrafiła pozbyć się chłodu, który rozgościł się w jej ciele. Lekko dygotały jej ręce; zadowolona z pozycji słuchacza, zwalnijającej ją od używania boleśnie zasznurowanego gardła, cierpliwie śledziła opowieść. Miała nadzieję, że wkrótce wszystko złoży się w całość w świadectwie kobiety, w której coraz jaśniej podejrzewała przyczynę - czy może tylko motor? - ostatnich zmian w swoim życiu. To fatalistyczne przeświadczenie sprawiło, że jak pasywny świadek coraz rzadziej pytała o szczegóły historii, której częścią była.

- Byłam pijana... Za bardzo. Byłam pijana i dlatego powiedziałam jej o głosach, które szamocą się w mojej głowie, a ja nie potrafię ich rozróżnić. A ona wtedy, przyglądając mi się dokładnie tak jak ty albo...

Zbyt szybko Dagmar odgadła dokończenie zdania, by zechcieć się o nie upomnieć: Arlena chciała dodać „jak siostra”, jednak z jakiegoś powodu porzuciła ten zamiar.

- I zapytała, czy nie domyślam się, kto do mnie mówi. Najpierw mnie zirytowała, bo... Bo ostatnim, czego potrzebowałam tamtego wieczoru, były głupie rozmowy o podświadomości. Nie miałam ochoty na żaden psychologiczny bełkot i gdyby nie to, że wypiłam za dużo, poinformowałabym o tym tę dziewczynę. Lecz nic nie dzieje się przypadkiem. Ona znalazła się przy mnie we właściwym czasie i we właściwym miejscu, więc ja, która to czułam, powiedziałam: „Wiem, że to głosy sumienia, ale przeszkadza mi to, że mówią tak głośno”.

Arlena uśmiechnęła się na wspomnienie dawno minionej scenki, jednak w wyrazie jej ust zabrakło wesołości.

- Bo tak było - powtórzyła poważnie, wpatrując się w milczącą Dagmar. - One przemawiały zbyt prawdziwie. Te głosy były przerażliwie głośne i realne.

Błękit oczu Arleny był zmęczony i wyblakły, jak u kogoś, z kogo wyszano wszelkie siły.

- Słyszysz głosy? - spytała Dagmar ostrożnie, bojaźliwie omijając temat Edyty.

- Nie tak, jak sądzisz - Arlena pokręciła karcąco głową. - Nie jestem schizofreniczką, jeśli o to ci chodzi.

Dagmar przeprosiła ją kiwnięciem głowy i dłoni, krótkimi gestami, które na kilka sekund zmieniły dramaturgię obrazu. Tkwiły w nim obie, same w pustym pomieszczeniu, ogarnięte podobną myślą: być może samotność jest tylko złudzeniem.

- Skróć to wszystko, aby było prościej... - powiedziała monotonnie Arlena, jakby brak modulacji głosu mógł złagodzić amplitudę uczuć i utrzymać spokój w zamknięciu czterech ścian. - Tamta dziewczyna wyjaśniła mi, że to mój Anioł Stróż usiłuje się ze mną skontaktować. To on mówi do mnie, chociaż go nie słucham i nie robię nic, by nawiązać z nim kontakt. To mój błąd. Natomiast on, mimo że z nim nie współpracuję, jest zobowiązany do obecności przy mnie. Pozostanie, dopóki żyję, ponieważ jest to jego funkcja - j e g o zadanie Anioła Stróża.

W gabinecie zapadła nagła, lecz wyrównana cisza. Pasma lniających żaluzji sączyły światło przypominające kolorem kamień, przejrzyste i nieszczęśliwie ciepłe.

- Czyli... twój Anioł Stróż ci tego zakazał - cicho powiedziała Dagmar.

Nie oczekiwała odpowiedzi i przymknęła oczy jakby naśladownictwem drobnego gestu Arleny przejmowała jej świadomość rzeczy.

- Powiedz mi jeszcze - poprosiła - dlaczego właśnie ona? Dlaczego ta kobieta... Edyta. Dlaczego właśnie ona pośredniczyła między tobą a twoim Aniołem?

- J e j Anioł Stróż jest - powiedziała sennie Arlena, jakby zapadała w odrętwienie - jakby to powiedzieć? Jest blisko, czy może jest z nim spokrewniony... Nie wiem, to zbyt dziwacznie brzmi. Jej Anioł zna mojego.

Dagmar westchnęła, jakby podarowano jej brakujące ogniwo. Nie była zdziwiona, nie czuła zaskoczenia ani obawy. Otrząsnęła się z obezwładniającej ciszy, kiedy pojawiła się w niej nowa, przyjemna w smaku ciekawość. Stało się tak w chwili, w której dopuściła do siebie możliwość istnienia w swej życiowej tamigłównie jeszcze jednego - być może decydującego - elementu: obecności Anioła Stróża.

Arlena poszła do siebie, a ja zostałam sama w pustym mieszkaniu w ten niezwykły wieczór, gdy Joachim, jak prawie za każdym razem, gdy ją przyjmowałam, zniknął gdzieś w nawale pracy. Nie sprawdzałam go, zadowolona z wolnego czasu. Wolałam myśleć, że lubię być sama.

Czy rzeczywiście tak było? Zaczęłam wahać się i wątpić prawie we wszystko, co dotąd o sobie sądziłam. Urywana rozmowa z Arlena przenicowała się na drugą - moją - stronę, jakby tylko po to, by nadwyrężyć całą moją z trudem uformowaną stabilność. Byłam tym przestraszona i zarazem oburzona, jak każdy, kto po wyczerpującej pracy, z własnej woli zdecydował się na samotność i ograniczone obcowanie ze światem. Ja, Dagmar, chciałam uważać życie za własne dzieło, jeśli nie doskonałe, to przynajmniej solidne. W tej starannie uplecionej koncepcji nie było miejsca na niczyjego Anioła Stróża.

W mieszkaniu panowała cisza typowa dla tego miejsca, posiadającego nieokreśloną umiejętność spowolniania czasu, że aż podejrzewałam ściany oraz podłogi o funkcję filtra zatrzymującego godziny i minuty. Przypominałam sobie każde słowo Arleny oraz wszystkie moje odpowiedzi, coraz bardziej zaniepokojona faktem, że połączone podczas naszej rozmowy we względnie spójną całość, po jej zakończeniu pomieszały mi się w gąszczu wątpliwości. Usi-

łowałam zmusić się do analizy: raz po raz odtwarzałam w głowie film ze spotkania i wkładałam sporo trudu w to, by jako jego bohaterkę postrzegać wyłącznie Arlenę. Uparcie powtarzałam sobie, że nie odgrywam żadnej istotnej roli w tej dziwnej historii, a mimo to wciąż powracała myśl, że zostałam w nią wplątana i jest zbyt późno, bym mogła zdystansować się wobec niej.

Na początku, aby bronić swego marginesu bezpieczeństwa, usiłowałam zdeprecjonować wiarygodność Arleny. Po dyletancku szkicowałam jej psychologiczny profil, jakbym posiadała kwalifikacje do postawienia diagnozy w myśl podejrzenia, że moja nowa przyjaciółka jest jednak - wbrew zapewnieniom - zwykłą schizofreniczką. Gdyby tak było, nie musiałabym podłączać się do jej dialogów z głosami i znów wszystko stałoby się proste. Jednak...

Dialogi, o których mi opowiedziała, nie były mi obce. Ja również znałam, choćby z daleka, podobną formę porozumienia, i ja prowadziłam niegdyś podobne rozmowy. Inaczej je traktowałam: jawiły mi się jako zwyczajna analiza wariantów i możliwości, standardowe ludzkie rozważania ujmowane słowami „tak, ale” bądź „nie, ponieważ”. Czyniłam tak, odkąd pamiętam, i zawsze byłam przekonana o naturalności takiego przepływu myśli. Nawet podczas choroby, gdy nasilały się tak, że momentami przyjmowały formę kłótni, uważałam, że prowadzę wewnętrzny dialog.

Dlaczego miałabym uwierzyć Arlenie? - pytałam samą siebie, zapomniawszy o zapaleniu światła i o tym, że jestem głodna. Cisza panująca wokół zaklejała mi uszy i zapewne przez nią, nienasyconą czarną dziurę, myśli w mojej głowie zaczęły przybierać kształt, o którym opowiadała mi Arlena - stały się zbyt intensywne i zbyt głośne, zupełnie jak u niej, zwyczajnej być może wariatki. Przestraszyłam się; hałas w głowie rozhulał się akurat w chwili, gdy wydawało mi się, że zbliżam się już do logicznej odpowiedzi na najważniejsze pytanie: dlaczego miałabym jej słuchać?

- Mój Anioł znalazł sobie miejsce w górnym lewym rogu mojej głowy - wyjaśniła mi kilka godzin temu Arlena.

- Czy on tam mieszka?

Usiłowałam zachować chłodną perspektywę słuchacza.

- Nie... - odrzekła niechętnie, jakbym rozczarowywała ją swoją otępią ignorancją. - Stamtąd dociera do mnie jego głos. Jednak kiedy zamknę oczy, widzę go, czasami zupełnie jasno, tuż pod powiekami, przed sobą.

- Powiedziałaś, że dzieje się tak od czasu, gdy Edyta uświadomiła ci jego obecność. Czy to znaczy, że przedtem go tam nie było?

- Nie wiem... Mówiłam ci, że wcześniej wszystko odbierałam jako własne myśli - uśmiechnęła się lekko, nieco pogodniej niż poprzednio. - A dokładnie powiedziawszy, konflikt własnych myśli. Dialog. Kłótnię. Jakby jedna część mnie mówiła: „zrobię to”, a inna: „nie wolno ci tego zrobić”.

- Chodzi ci o twoje myśli samobójcze? - upewniłam się, chwytając pierwotnego tematu oraz słowa, które nie mogło być jej objętne.

- Też. Jednak także o innych rzeczach.

- Dlaczego teraz uważasz, że nie chodzi o twoje wewnętrzne konflikty? Dlaczego uwierzyłaś tej... Edycie?

Arlena otworzyła oczy, zniecierpliwiona, jakbym odrywała ją od czegoś ważnego.

- Ponieważ dzięki jej wskazówce w końcu zobaczyłam go i usłyszałam. Właśnie tam, powyżej lewej brwi. Od tamtej chwili wyraźnie słyszę jego wypowiedzi, inaczej niż twoje, inaczej niż wszystko, co dociera do mnie przez uszy, jednak wystarczająco jasno, bym potrafiła je rozumieć. I wiem, że są to jego słowa, jego, Anioła - nie moje własne.

Powtarzałam sobie ten dialog ciągle od nowa. Byłam już nim zmęczona i zaczynałam tęsknić do chwili, w której Joachim wróci do domu i zacznie szukać mnie w mieszkaniu. Kiedy pójdziemy razem do kuchni, wyciągniemy coś z lodówki i wspólnie zrobimy kolację. Otworzymy butelkę wina i on opowie mi o swojej pracy, fascynującej pracy przy rozbudowie fascynującego miasta Calehm i o wszystkich innych rzeczach, które zupełnie mnie nie interesują, a których wysłucham skwapliwie jako zwyczajnego ludzkiego głosu, płynącego falami w powietrzu, docierającego z zewnątrz, przez uszy...

Zamknęłam oczy, lecz przestraszona natychmiast otworzyłam je na nowo. Nie, jeszcze nie. Choć nie mogłam uciszyć tego, co Arlena początkowo nazywała gonitwą myśli, natomiast potem, kiedy już złapałam się na jej haczyk - głosami Anioła, nie byłam jeszcze gotowa dostrzec kogokolwiek w lewym, czy prawym, dolnym czy górnym fragmencie mojej głowy. Ja, Dagmar, nie chciałam jeszcze nikogo zobaczyć.

Nieudolnie udawałam zaangażowaną psychoanalityczkę.

- I co mówi ci twój Anioł Stróż?

- To samo, co ty - odpowiedziała Arlena. - Stwierdził, że nie wolno mi odbierać sobie życia.

- Uzasadnił to jakoś?

Coraz bardziej wstydziłam się groteskowości swego postępowania. Byłam żałosna, jakbym w serialu grała rolę terapeuty, przygotowawszy się z kilku kartek wyrwanych na chybił trafił z „Vademecum psychologa”. Tak też się czułam - nie wiedziałam nic, nie pamiętałam niczego i byłam o stokroć bezradniejsza niż siedząca na przeciw mnie niby-pacjentka.

- Uzasadniał to długo i na wiele sposobów. To trwało wiele miesięcy... Na końcu powstał ten warunek.

- Warunek?

- Tak, mówiłam ci o tym pierwszego dnia.

- Warunek, który musisz spełnić...

- Jeśli go spełnię, wolno mi będzie odejść.

Nagle wydało mi się, że już za chwilę powrócą moje zawroty głowy; zapragnęłam przed nimi uciec, jak z kina, w którym puszczają nazbyt krwawy film. Jednak opanowałam się - ze wzrokiem wbitym w Arlenę raz na zawsze zakazałam sobie słabości, nie pozwoliłam sobie nawet na zamknięcie oczu.

- Anioł Stróż zgodzi się, abyś odebrała sobie życie?

- Sądzę, że on nie wierzy, by mi się udało. Jednak zawarliśmy umowę.

*Ty wiesz tylko tyle, że chcesz odejść, powiedział Anioł. Nie wiesz do kąd, nie wiesz jak. Nie znasz konsekwencji. Więc powiedz mi o nich - zaproponowała mu Arlena. Nie mogę - odpowiedział. Dlaczego? - Arlena*

*chciała wiedzieć. Jej Anioł roześmiał się: Mówiąc twoim językiem, to tajemnica zawodowa. Nie wierzę ci - odpowiedziała, już zmęczona. - Nie trzymasz w rękawie żadnego asa. Także o tym nie warto rozmawiać... Arlenie wydało się, że słyszy cię wyrzutu w głosie Anioła, jednak natychmiast uznała, że to niemożliwe. Muszę cię zatrzymać - powtórzył Anioł. - Musisz dokończyć swojej drogi... Tu na Ziemi - uzupełniła za niego. Tak - potwierdził. - i zanim zacznę zatrzymywać cię siłą... Siłą? - zapytała Arlena, złośliwie przekorna. Moimi sposobami - sprostował Anioł. - Wolałbym przekonać cię do pozostania z własnej woli. Jak chcesz to zrobić? - spytała. Chcę ci coś zaproponować. Zawrzemy umowę - odpowiedział Anioł. Arlena wzruszyła ramionami: Po co? I dlaczego miałoby to mnie interesować? Anioł nie zdenerwował się, jego anielska cierpliwość zachowała swój jednolity, pogodny styl. Muszę dojść z tobą do porozumienia - powiedział. - Nie mam innego wyboru. Bo to twoja praca? - zakpiła Arlena. Oczywiście, ale to przecież już wiesz. Na czym miałyby polegać ta umowa? - spytała. To proste - powiedział Anioł. - Udowodnij mi, że wszystko, czego strzegę, nie ma sensu. Pokaż mi, że ja sam jestem pozbawiony sensu. Wtedy przestanę istnieć, a ty zrobisz, co zechcesz. I wtedy będzie ci obojętne, co się ze mną stanie? Tobie, Aniołowi? - zdziwiła się Arlena. Skoro przestanę istnieć? - odpowiedział pytaniem Anioł.*

Anioł i Arlena porozumieli się i wybór padł na mnie - przynajmniej tak, przed godziną, a może dwoma, określiła to moja dziwna przyjaciółka, rozbielona na tle białych ścian gabinetowego pokoju, niemal przezroczysta w precedzonym świetle z ulicy. A dlaczego na mnie? Stało się tak, ponieważ Edyta - znowu Edyta! - opowiedziała jej o mnie tamtego pamiętnego wieczoru. Przekonująco, jak się wydaje, skoro nikt bardziej odpowiedni nie przyszedł Arlenie do głowy. Śmiałam się i płakałam, przypominając sobie jej słowa: według opinii Edyty żyję tylko dlatego, że wierzę w Boga i jego dziesięć przykazań.

*Wybrałem coś dla ciebie, coś, co zrozumiesz, co jest proste i wspólne obydwu naszym światom. Skoro życie nie ma dla ciebie znaczenia, skoro porządek świata jest dla ciebie zbędny, pokaż mi to krok po kroku. Udowodnij mi, dowiedź, że są nieprzydatne. Jak mam to zrobić? - spytała Arlena. - To przecież niewykonalne. Nie - zaprzeczył Anioł. - To daje*

*się skrócić do dziesięciu kroków. Dziesięciu jak Dziesięć Przykazań. Arlena oburzyła się na niesprawiedliwość: Co za pomysł! Ja mam przekonać Anioła o bezsensowności Dziesięciu Przykazań! Nigdy byś mi nie uwierzył, obojętnie, co bym zrobiła. To prawda - zgodził się Anioł. - Dlatego jestem Aniołem. Jednak nie stawiam ci niewykonalnego zadania. Wystarczy, że udowodnisz to komuś z twojego świata. Ale komuś spoza Calehm.*

Przyłączyłam się do zakładu Arleny z Aniołem. Dlaczego to robiłam? Myślę, że istniało wiele powodów. Tkwiły we mnie, w mojej przeszłości oraz w tym, co aktualnie działo się w moim świecie. Było w tym trochę ciekawości oraz, do czego niełatwo było mi się przyznać, pragnienia wyrwania się z zakłętą kręgą samotności. Wprawdzie dotychczas udawało mi się wierzyć, że nikogo nie potrzebuję - nawet Joachima - jednak była to prawda naciągana. Uświadomiłam ją sobie w momencie, gdy poczułam, jak niezwykle ważna jest dla mnie obecność Arleny. Prócz niej nadal nie miałam w Calehm nikogo bliskiego: przyjaciół, znajomych, sąsiadów. Od dnia naszego przyjazdu do miasta uczestniczyliśmy wprawdzie w kilku spotkaniach z ludźmi z zawodowego kręgu Joachima, jednak zawsze odnosiłam wrażenie, że jestem przyjmowana zaledwie z grzeczności i żadna z nowych znajomości nie ma szans na to, by by się pogłębić. Zresztą uważałam, że nie ma czego żałować... Przyglądałam się tym ludziom, rozmawiałam z nimi, dorównując im grzecznością, jednak fenomen przypadkowego spotkania z kimś nieznanym, a natychmiast bliskim - tak jak przydarzyło się z Arleną - nigdy więcej się nie powtórzył.

Jednak na mojej ostatecznej decyzji zaważył inny, nieporównywalnie istotniejszy od pozostałych, powód. Uświadomiwszy go sobie, poczułam się lepiej, jakby za moje spóźnione odkrycie nagrodzono mnie poczuciem niespotykanej, oczyszczającej ulgi. Tymczasem nic wielkiego się nie stało - po prostu pojęłam, że właściwie nie mam wyboru. Obowiązek decydowania ciążył na mnie czysto teoretycznie, ponieważ gra i tak dawno się rozpoczęła, a ja tkwi-



łam w niej zbyt głęboko, by móc się wycofać. I nie chodziło w niej jedynie o obawy zerwania porozumienia wiążącego mnie z Arleną, ani nawet o to, że szczerze pragnęłam jej pomóc. W rozprawie, w którą zaangażowałam się pod pretekstem charytatywnego zadania, mój udział nie polegał wyłącznie na dawaniu, ponieważ przy odrobinie szczęścia i ja mogłam zaznać w niej wiele dobrego. Stawką w tej grze były nie tylko Anioły, o istnieniu których miałam się przekonać, ale również ja sama, Dagmar, obdarowana szansą na ponowne zweryfikowanie przeszłości. Tej samej przeszłości, którą - być może niesłusznie - uznałam za jednoznaczną i którą zamknęłam kategorycznie jak szafę pełną niekorzystnych dokumentów. Angażując się w sprawę Arleny, wkraczałam w nowy zakres postrzegania: dopuszczając do siebie wiarę w jej Anioła Stróża, stawiałam się przed koniecznością uznania faktu, że i w moim życiu nie wszystko zależy wyłącznie ode mnie.

- Nie rozumiem jednego - powiedziałam do Arleny po podjęciu ostatecznej decyzji. - Dlaczego ja? Czy aby nie powinien to być ktoś naprawdę głęboko wierzący?

- Czy uważasz, że moje zadanie nie jest wystarczająco trudne?  
- odpowiedziała pytaniem.

- Nie o to mi chodzi - lubiłam, kiedy pozwalała sobie na ledwie dosłyszalną żartobliwość. - Powiedziałaś o mnie, a raczej powtórzyłaś słowa Edyty, że żyję dzięki przestrzeganiu przykazań. To nieprawda! Istnieją miliony ludzi, do których odnosi się to bardziej niż do mnie.

Zastanowiła się przez chwilę. Odkąd wiedziałam o niej, że rozmawia ze swoim Aniołem, lepiej rozumiałam jej zachowania. Jednak gdy w tamtej chwili przyglądałam się jej zakłopotaniu, przyszło mi do głowy, że albo Anioł nie mówi Arlenie wszystkiego, albo ona - niezależnie od tego, co twierdzi - nie w pełni go rozumie.

- Oczywiście, że nie jesteś Hiobem albo kimś takim - powiedziała z wahaniem. - Ale i ja nie jestem jakąś szczególnie ważną osobą.

- Sądzisz, że dobrano nas według kryterium niewielkiego znaczenia na tym świecie?

- Możliwe - przelotnie popatrzyła na sufit. - To może być przypadek albo chodzi o to, że nasze Anioły również nie są najważniejszymi Aniołami w niebie.

Syknęłam głośno.

- Nie boisz się mówić takich rzeczy?

- Nie. Przecież nikogo nie obrażam.

Znowu umilkła, jakby czekała na odpowiedź z górnego lewego fragmentu swojej głowy.

- Myślę, że są różne Anioły...

- Archanioły, Trony, Cherubiny, Serafiny - podpowiedziałam.

- Chodziło mi o Anioły Stróżę.

- J a k mogłam zapomnieć...

- Przyrównałabym ich raczej do nauczycieli - jedni uczą w podstawówkach, inni w gimnazjach, a jeszcze inni na uniwersytecie. Jednak każdy z nich jest pewnego rodzaju nauczycielem.

Roześmiałam się, a Arlena przyłączyła się do mnie. Tego dnia zauważyłam, że coraz częściej zdarza się nam razem śmiać.

- I gdzie w tym systemie edukacji umiejscowiłabyś nas obydwie?

- Nie wiem dokładnie - odrzekła. - Jednak nie chodziło o to, bym znalazła sobie trudnego partnera do dysput filozoficznych. Nikt nie wymaga ode mnie polemik, sporów czy pisemnych dysertacji. Nie chodzi też o moją czy twoją siłę argumentów.

- Więc o co?

- Zrozumiałam to tak: wystarczy postawić moje życie naprzeciw twojego, a wnioski pojawią się same.

Jej odpowiedź nie rozjaśniła niczego.

- Tyle tylko, że ja nigdy nie uważałam swego życia za przykład wypełniania przykazań - powtórzyłam z uporem - w związku z czym, mimo najlepszych chęci, nie może ono posłużyć do przedstawienia żadnych przydatnych ilustracji.

- To bez znaczenia - odpowiedziała. - Wszystko musi się samo rozwiązać, tak jak samo się zaczęło.

Jej słowa, które w pierwszej chwili uznałam za rozsądne, już sekundę później wydały mi się karygodnie naiwne. Jednak ponie-

waż nie przychodziło mi do głowy żadne inne - rozsądne czy nie - rozwiązanie, westchnęłam i zapytałam:

- Zaczniemy od ciebie czy ode mnie?

- Od ciebie.

Wbrew uprzednim zapewnieniom, byłam na to przygotowana. Nie mogłam zasnąć dzisiejszej nocy i miałam dość czasu, by poukładać pomysły.

- Dobrze. Zacznijmy ode mnie.

Nabrałam głęboko powietrza, co Arlena skwitowała uśmiechem, pod którym ukryła rozbawienie, coś, co odebrałam jako uznanie oraz całkiem spory ładunek ulgi.

- Skorpiony zabrały mi dom - powiedziałam odważnie. - To był mój dom, po matce. Ewa, macocha, zabrała mi ojca oraz dom, który należał do mojej matki.

- A więc dom. Czy jednak ojciec i matka?

- Dom - powtórzyłam. - To skomplikowana historia. Jak choroba z wieloma nawrotami. Niełatwo zebrać to w całość.

- Spróbuj - zachęciła mnie Arlena.

- Zacznę trochę od tyłu, od dnia przed trzema laty. Oraz od kobiety, która objaśniła ci obecność twojego Anioła.

# *DAGMAR:*

## *...Z DOMU NIEWOLI*

„Dziecko urodzi się na początku nowego roku”, powtarzałam sobie w rytm przyspieszonych uderzeń serca. Nie zastanawiałam się jeszcze nad jego horoskopem, odnotowałam tylko automatycznie, że będzie Koziorożcem, co nie wywołało we mnie niedobrych skojarzeń. Nie znałam żadnego niesympatycznego człowieka spod tego znaku. Byle nie było Skorpionem jak ojciec i jak Ewa - inne znaki nie budziły we mnie negatywnych emocji. Skarciłam się w myślach, jak zawsze, gdy wciąż na nowo koncentrowałam się na rodzicielu, niedorzecznie rozpatrując nasze - na szczęście już nieaktualne - stosunki rodzinne. Dawno powinnam była z tym skończyć, od dziewięciu lat zamężna i oddalona na bezpieczną odległość od toksycznego ojca i jego towarzyszkę życia, mogłam już przestać na obserwowaniu ich wewnętrznej walki, w której pięknie torturowali się swymi skorpionimi żądłami, odznaczającymi się imponującą siłą destrukcji.

Popijając miętową herbatę, okryłam nogi kocem wyciągniętym z szafy. Maj był wyjątkowo chłodny, a ja całkowicie skupiona na dbaniu o własne zdrowie. Miałam zostać matką - tak jak sobie wymarzyłam i jak zaplanowałam. Wraz z dzieckiem nie pojawił się w mojej głowie jakiś szczególny mętlik myśli, odczuwałam raczej euforyczne zadowolenie ze spełniania się kolejnych ogniw mego łańcuszka życzeń. Wszystko toczyło się według planu - pozostało mi tylko ograniczyć do minimum pracę zawodową i dopiąć na ostatni guzik harmonogram nielicznych domowych obowiązków, które zaplanowałam pod kątem stanu przyszłej matki. Niezbędnie

potrzebowałam optymizmu, który nie zawsze był moim udziałem. Bywało i tak, że nie panowałam nad emocjami, a wtedy w miejsce radości pojawiały się myśli pełne lęków i złych wróżb, wciąż z postacią ojca w roli głównej. Świadoma jawnego nonsensu skojarzeń byłam zła na siebie za strach, którego nie potrafiłam wyμαzać z umysłu.

Jednak nie poddawałam się - pracowałam nad sobą, wmawiając sobie, że pozytywne myślenie jest najskuteczniejszą bronią przeciwko niebezpieczeństwom rodzinnego genotypu. Stosując ją, pomagałam mojemu dziecku w drodze na świat z wiarą dorównującą zapałowi, z jakim wypełniałam zalecenia lekarzy. Zażywałam lekarstwa, zdrowo się odżywiałam, uprawiałam gimnastykę, a na dręczące myśli o ojcu stosowałam odtrutkę w postaci świadomego przesuwania ich w kierunku Joachima. Po wielu godzinach treningu - o odpowiedniej technice przeczytałam w poradniku - nauczyłam się wywoływać obraz ukochanego mężczyzny, który oprócz tysiąca dobrych uczuć obudził we mnie nadprogramową dawkę wdzięczności za dziecko rosnące mi pod sercem.

Choć nagły dźwięk telefonu sprawił, że wzdrygnęłam się na fotelu, ufnie sięgnęłam po słuchawkę. Spodziewałam się usłyszeć głos Joachima, przekonana, że ściągnęłam go myślami. Niestety, pomyliłam się.

- Edyta? - powtórzyłam zaskoczona, ponieważ nic innego nie przyszło mi do głowy. - Ile to już lat...

Czy to Edyta była winna temu, co stało się z moim małżeństwem, czy to ona była przyczyną wszystkiego? Zapewne nie, chociaż wówczas winałam ją bezlitośnie, nienawidziłam jej i życzyłam najgorszego. W nieskończonej serii wymyślanych dla niej kar śmierci grom z jasnego nieba należał do najbardziej humanitarnych, choć, żądając zemsty od nieodgadzionych niebieskich mocy, zwalniałam się z odpowiedzialności. Byłam zbyt słaba, by wziąć sprawę w swoje ręce i zbyt tchórzliwa, by prawdziwie się zemścić - i zapewne

z tego powodu wszystko obróciło się przeciwko mnie. Zbyt późno zrozumiałam, że cała historia potoczyłaby się prościej, gdybym stała do walki przeciwko Edycie natychmiast, już wtedy, gdy pojawiła się w naszym bezchmurnym małżeńskim życiu i - za skwapliwą zgodą mojego męża - postanowiła je zniweczyć.

Zbyt długo tego nie zauważałam, to prawda. Drugim, poważniejszym problemem był fakt, że nie chciałam zranić Edyty. Postanowiłam być dla niej dobra i choć w maleńkiej części zrekompensować zło, którego wcześniej ode mnie doznała. Poza tym byłam w ciąży, a to oznaczało, że kocham cały świat. Hormony ciążowe wpływały na każdą emocję, którą odczuwałam; nie tylko związaną z nienarodzonym dzieckiem, lecz także jego kosmicznego otoczenia, wraz z ludźmi, z którymi miałam kontakt. Cud przyszłego macierzyństwa sprawił, że moja nagle wyszlachetniona, choć niezupełnie stabilna psychika zaczęła lewitować w oparach dobra i robiła wszystko, by łagodnie porozumiewać się ze światem. Od początku drugiego miesiąca ciąży nie podniosłam na nikogo głosu. Wysłuchiwałam wszystkiego, co ktokolwiek miał mi do powiedzenia. Dokarmiałam koty w piwnicy i dawałam pieniądze każdemu napotkanemu żebrakowi - nawet jeśli był ewidentnym pijakiem. Znów chodziłam do kościoła i byłam obeszradniająco pozytywna.

Byłam przyjazna do bólu w stosunku do wszystkich ludzi - z wyjątkiem własnego ojca. On, uzupełniony o nierozdzieloną część jego jestestwa, żonę Ewę, był jedynym elementem burzącym doskonałość moich uczuć. Oczywiście usiłowałam się przed tym bronić; dyskretnie unikałam wszelkich kontaktów, wykręcając się od odwiedzin i niemal całkowicie rezygnując z dotychczasowych, grzecznościowych rozmów telefonicznych. Starłam się przy tym nie myśleć o tym, jak bardzo ranie ojca, zwłaszcza w jego ówczesnej sytuacji: był już w końcu nie najmłodszy, miał kłopoty ze zdrowiem oraz intensywne życie z Ewą, które z pewnością nie oznaczało pasma radości.

Edyta nie mieszkała z nimi od dawna. Miała zaledwie szesnaście lat, kiedy w odruchu rozpaczliwej obrony uciekła od ojca i Ewy. Była brzydka i chuda, w rodzaju wynędznienia, niepokrewnego jednak

anoreksji, będącej ekstrawagancją, do której nigdy nie dopuściłoby żadne ze Skorpionów. I jedno, i drugie zakatowałyby ją za brak subordynacji dużo wcześniej, nim groźna skądinąd choroba przyniosłaby jakiegokolwiek widoczne rezultaty. Edyta odeszła z domu cicho, rezygnując z ewentualnych korzyści, które, godząc się na kilka kolejnych lat udręki, zdołałaby może z tego układu wyciągnąć. Nie miała nawet matury, nie najlepiej skończyła szkołę zawodową - stąd brała się ich pogarda - i pojechała w świat, podobno po otrzymaniu obietnicy uczciwej pracy. Zabrała ze sobą niewiele bagażu oraz kilka ton niedobrych wspomnień, w których w głównych rolach występowaliśmy kolejno: mój ojciec, a jej ojczym, jej matka, a moja macocha, oraz ja, jej niby-siostra.

Wraz z odejściem Edyty utraciłam ostatnią odskocznnię, osadzającą dotychczas mój również nie najprostszy los. Nie miałam już komu przypominać o moich prawach do domu i wytykać, że nigdy nie należał do ojca-Skorpiona - po poślubieniu Ewy ojczyma Edyty - ale wyłącznie do zmarłej matki, która przeznaczyła go dla mnie. Nieodwracalnie straciłam możliwość wyliczania drzew sadzonych przez dziadka i nie miałam już po co odkurzać portretu, na którym tłuściutką dwuletnią Dagmar otacza zachwycona rodzina Mamy. Aż do chwili odejścia Edyta była jedyną osobą, na której mogłam wypróbować podobne sztuczki, ponieważ i u ojca, i u macochy za drobniejsze przewinienia groziły mi tylko kolejne szewskie - a czasem naprawdę groźne - awantury. Kiedy ona odeszła, zostałam w domu sama.

Wytrzymałam jeszcze dwa lata. Z uporem i w samozaparciu ukończyłam szkołę, w regulaminowo wysprzątanym pokoju przygotowałam się z korkami w uszach do matury, którą zdałam celująco. Wówczas niewiele myślałam o Edycie, może z wyjątkiem momentów, w których spora ilość obowiązków domowych, dotychczas dzielonych między nas obydwie, zabierała mi czas przeznaczony na dodatkowe zajęcia. A było ich wiele, każde atrakcyjne jako pretekst do opuszczenia domu: od szkolnej gazety, przez Koło Młodych Biologów, pomoc w miejskim ZOO, treningi siatkówki, aż po kościelny chór, z którego bezlitośnie kpiły oba Skorpiony.

Swoje szkolne książki spakowałam do kartonów natychmiast po otrzymaniu wiadomości o przyjęciu na studia w oddalonym o kilkaset kilometrów mieście. Wyczekawszy chwili, kiedy Ewę dopadła migrena, poprosiłam ojca o miejsce na strychu dla najbardziej osobistych rzeczy, a ponieważ nie chciałam prowokować losu, oddałam resztę walkowerem, rezygnując z mebli, firan, nawet z grającego sprzętu. Pozostawiłam w pokoju nieliczne prezenty od ojca, by mógł opowiadać kolegom, że mój wyjazd jest jedynie tymczasowy, podobnie jak przerwa w rodzinnych więzach. Moja materialna egzystencja była zapewniona; za dotychczasową pokorę i wytrwałość zostałam nagrodzona możliwością startu w nowe życie, wspomóżona przez ojca, który zaokrąglił fundusz powstały ze spadku po Mamie.

I ja, i on konsekwentnie przemilczeliśmy temat domu, w którym Mama wyobrażała sobie moją przyszłość i planowała pokoje dziecinne dla wymarzonych wnuków. Wszystko to dotyczyło przeszłości, natomiast teoretycznie należący do mnie dom stał się pieczęcią Skorpionów i wiedziałam, że aby go odzyskać, musiałbym posunąć się do morderstwa. Taka odważna nie byłam. Nosiłam na sobie zbyt wiele blizn po skorpionich walkach o błahę sprawę, by ryzykować wojnę.

Nie miałam do siebie pretensji z powodu tej rezygnacji. Koncentrowałam się na osiągniętym celu, mojej nagrodzie za minioną uległość, i byłam zadowolona, że nadszedł czas zbierania plonów. Postanowiłam wykorzystać go do końca - i nigdy więcej nie powrócić do domu.

Przyspieszone bicie serca sygnalizowało mi sytuację nową. Byłam zakłopotana i w żadnym wypadku nie cieszyłam się rozmową telefoniczną, wydarzeniem nieoczekiwanym w czasie, w którym chciałam żyć samym spokojem. Gdyby Edyta nie przedstawiła się w słuchawce, gdyby powiedziała coś w rodzaju „cześć, to ja”, nie wiedziałabym, z kim rozmawiam. Mogłaby także powiedzieć „to ja,



twoja siostra", ale bo byłoby najgorsze, ponieważ nigdy nie uznałam Edyty za swoją siostrę.

- Dzień dobry... - teraz to ja rzuciłam obce mi słowo w słuchawkę telefonu. - Siostrzyczko.

Pełna wahania cisza trwała zbyt krótko, bym mogła uspokoić oddech.

- Dagmar, to naprawdę ty? - upewniła się niewidoczna Edyta.

- Tak, to ja. Dagmar.

- Dobrze się czujesz?

Telefon zaczynał parzyć wewnątrz mojej dłoni.

- Tak... to znaczy, bardzo dobrze - powiedziałam. - Dziękuję.

- To fajnie.

- Tak... - wzięłam parę głębokich wdechów. - A ty? Powiedz mi, co z tobą? Co działo się u ciebie przez te wszystkie lata?

- Och - powiedziała od niechcienia Edyta, a jej westchnienie odebrałam jako wystudiowane - te wszystkie lata... Dokładnie rzecz biorąc dwanaście lat.

- Dwanaście lat! - powtórzyłam z szacunkiem.

- Właśnie.

- Powiedz mi, proszę, co robisz, kim jesteś, czy masz rodzinę...

- No wiesz, przez cały czas jestem córką mojej matki i pośrednio twojego ojca. Na tym koniec.

- To znaczy, że nie wyszłaś za mąż?

- Nie. Za to przez dłuższy czas żyłam w trwałym związku z pewną kobietą.

- Och... - powtórzyłam po Edycie, starając się, by zabrzmiało to naturalnie.

Przełożyłam słuchawkę z jednej ręki do drugiej, gdyż była już mokra od potu, i ciaśniej otuliłam się pledem.

- Dagmar, jesteś tam?

- Oczywiście!

- Twój telefon dostałam od ojca. Zmieniłaś nazwisko, więc nie mogłam cię znaleźć w książce telefonicznej. Podobno wyszłaś za mąż. Masz dzieci?

- Nie... to znaczy, jeszcze nie.

- Czyli powinnaś się spieszyć, bo robi się późno. Przecież jesteś starsza ode mnie.

Wzdrygnęłam się na tę ironię. Jednak dwanaście lat zrobiło swoje i nawet gdybym chciała, nie potrafiłabym odpowiedzieć jej pięknym za nadobne. Zamiast tego powiedziałam:

- Skontaktowałam się więc z matką i ojcem.

W słuchawce rozległ się śmiech, a ja nie potrafiłam ocenić jego barwy.

- Jak i ś czas temu. Ale ty... Chcesz wiedzieć, jak bardzo ich zaskoczyło, co?

- Nie, chciałam tylko wiedzieć, czy... jak z nimi rozmawiałaś.

- Zupełnie normalnie. Przecież zawsze przysyłałam im pocztówki z pozdrowieniami.

- Ojciec mówił, że na święta.

- I raz w lecie. Ani razu nie zapomniałam.

- Nigdy na urodziny.

- A uważasz, że Skorpiony powinny mieć urodziny? - Jej śmiech rozległ się w słuchawce tak gwałtownie, że w obronnym odruchu odsunęłam ją od siebie.

Uświadomiłam sobie, że drzę. Ogarnęły mnie mieszane uczucia, a rozmowa z Edytą, dziwną dziewczyną, która choć zamazała się w mojej pamięci, nigdy z niej nie zniknęła, wyzwoliła we mnie strach. Nie dotyczył on jednak ewentualnej konfrontacji z przeszłością, lecz już wtedy - mimo że w dość niejasny sposób - odnosił się do czasu, który dopiero miał nadejść.

- Słuchaj, Dagmar - Edyta podjęła rozmowę, a jej ton zabrzmiał wyzywająco lekko. - Właściwie dzwonię, żeby zaprosić cię, czy może ciebie z twoim mężem, na mój koncert.

- Na twój koncert? - powtórzyłam osłupiała.

- Tak, i aby cię dłużej nie męczyć, wyjaśnię od razu, że występuję z małą grupą muzyczną. To nic wielkiego, bo dopiero zaczynamy. Jesteśmy w objeździe i mamy całkiem dobrą trasę. No i zachaczymy właśnie o twoje miasto.

Mimo starań, nie potrafiłam zebrać myśli. Usiłując nadać głosowi naturalną i serdeczną barwę, powiedziałam:

- To wspaniale, Edyto. Oczywiście, że przyjdziemy. Musisz mi tylko dokładnie powiedzieć, gdzie i kiedy.

- Przyślę ci bilety. Zaraz włożę je do koperty i wyślę.

- Masz mój adres?

- Dostałam twój adres. Razem z numerem telefonu.

- Wspaniale - powtórzyłam entuzjastycznie. - Występujesz więc na scenie?

- Śpiewam - odpowiedziała Edyta zwyczajnym tonem. - Może przesadziłam trochę, mówiąc, że to mój koncert, ale śpiewam tam kilka kawałków. Sama się przekonasz, kiedy przyjdziecie.

Czułam, że chce już zakończyć rozmowę. Choć sama niczego innego nie pragnęłam, spytałam jeszcze najcieplej jak potrafiłam:

- Gdzie to będzie?

- W klubie...

Nazwa klubu zabrzmiała dość znajomo, więc ponownie zdobyłam się na entuzjazm:

- To naprawdę wspaniale i bardzo się cieszę.

- Super - skwitowała moje starania Edyta. - To co? Do zobaczenia.

- Do zobaczenia ciebie na scenie. Cieszę się, naprawdę...

- Więc cześć.

- Do zobaczenia... - Dopiero słysząc dźwięk odkładanej słuchawki, zawołałam: - Edyta, zaczekaj sekundę...

Jednak było już za późno, a słuchawka odpowiedziała mi cichym pip-pip-pip.

Pamiętam doskonale, jak bardzo ten telefon wyprowadził mnie z równowagi. Aż do tamtej chwili Edyta była ukryta głęboko, gdzieś wśród zakładek mojej pamięci, a ja odmawiałam sobie myślenia o niej, według reguły podobnej do tej, która usprawiedliwiała mnie z niemyślenia o ojcu. Jednak w mojej prywatnej kartotece personalne akta ojca były jasno sprecyzowane: wyszłam cało, nie jestem mu nic winna, życzę mu zdrowia - jak najdalej ode mnie. Byłam z siebie dumna za odej-

ście z honorem oraz rezygnację z rewindykacji, natomiast w stosunku do Edyty o niczym takim nie mogło być mowy. Względem niej nie mogłam mieć czystego sumienia, przeciwnie, winno pęcznieć od wyrzutów, i to już od pierwszego dnia po opuszczeniu przez nią domu.

Wcześniej, dopóki krzątała się po nim niewiele znacząca i chuda, ze swymi wielkimi oczyma zbyt łatwo zachodzącymi łzami, nigdy nie zastanawiałam się nad ranami jej duszy. Nie uważałam siebie za winną jej cierpien jako istoty, którą widziałam przede wszystkim jako przedłużenie jej matki i jeszcze jedną *persona non grata* w domu Mamy. Pozbawiona szans w walce z uzurpatorską Ewą, przelewałam frustracje na jej córkę.

Kiedy odeszła, poczułam się źle. Dręczące myśli o tym, że ją skrzywdziłam i wygnałam, dopadały mnie podstępnie w niespodziewanych momentach, jakby sumienie przekształciło się nagle w najsprawniejszy z moich organów. Edyta zaczęła mi się śnić, a co najgorsze, pojawiała się w snach wspólnie z Mamą, na wzór Kopicuszka, dla którego w przewrotny sposób byłam Złą Siostrą. Dokuczliwość obrazów sprawiła, że wyrzuciłam je w końcu do prywatnej mrocznej krainy Id w głębi pamięci i opatrzyłam wywieszka: *Przecież nawet nie była moją siostrą*. Później jej odejście wraz z następstwami dla mnie analizowałam wiele razy, sama, z terapeutą albo w kręgu terapeutycznej grupy. Ciężar przewinień wobec Edyty wahał się zależnie od czasu i mojego nastroju: czasami myślałam, że obydwie padłyśmy ofiarą Skorpionów, innym razem natomiast, że to ja byłam wyłączną sprawczynią wszystkiego.

Gdy zadzwoniła do mnie tamtego dnia, po dwunastu latach, w ciągu których tak skutecznie wymazałam z pamięci jej obraz, że niemal zapomniałam jak wygląda, byłam przerażona. Odżyło wspomnienie jej płonących, czarnych oczu, a duch dawnej Edyty zabrał się za robienie porządków w mojej pogodnej egzystencji, którą uważałam za ciężko zasłużoną. To, że przynosiła ze sobą nie wspomnienie ciosów, których doznałam w domu Skorpionów, ale tych, które sama zadałam, zupełnie mi się nie podobało. Instynkt podpowiadał mi, że obca kobieta, którą nazwałam siostrą, zburzy harmonię mojego życia. Groziło mi niebezpieczeństwo, a ja oba-

wiałam się, że nie będę umiała sobie z nim poradzić - ja, dobra Dagmar o pełnym, zaokrąglonym miłością brzuchu.

Joachim spóźnił się nieco na kolację, czego nawet nie zauważyłam. Zjedliśmy ją razem w salonie, gdzie od dłuższego czasu spożywaliśmy posiłki, choć wiązało się to z kłopotliwym noszeniem talerzy do dużego stołu, zarezerwowanego raczej na niedziele. Nasze zwyczajowe miejsce, dwuosobowy kącik jadalny w kuchni z wysokimi barowymi stołkami, stało się dla mnie nieosiągalne właśnie z powodu trudności związanych z wdrapywaniem się na stół. Sporo przytyłam już na początku ciąży, poza tym często powracały skurcze, które, choć wytrwale hamowane lekami, były przeciwskazaniem dla wszelkich ryzykownych ruchów.

Przy jedzeniu opowiedziałam Joachimowi o telefonie Edyty, a on, niedokładnie wprowadzony w moją zawikłaną przeszłość, powiedział:

- To świetnie, że twoja siostra w końcu się odezwała! Zawsze miałem wrażenie, że trochę się o nią martwisz.

Uśmiechnęłam się niepewnie.

- Edyta nie jest moją siostrą. Jest córką Ewy i nie wiadomo kogo. Kiedy ojciec ożenił się z jej matką, miała już dziewięć lat.

- Ale ją adoptował.

- Dla mnie to nie ma znaczenia.

- Tak... - odpowiedział Joachim. - Jednak nosicie to samo nazwisko.

- Nosiliśmy - poprawiłam go z tym samym przyklejonym do warg uśmiechem. - Ponieważ ja od wielu lat noszę twoje.

Po kolacji Joachim zniósł talerze i poukładał je w zmywarce, a ja wróciłam na kanapę. Nie włączyłam telewizora, niespokojnie czekając na wieczorną miętową herbatę.

- Dlaczego ta Edyta aż tak cię dręczy? - zapytał Joachim, podając mi filiżankę.

## DZIESIĘĆ KROKÓW OD CALEHM

- Nie wiem sama, jakoś głupio to wszystko wyszło - wyznałam.
- Wcale nie ucieszyłam się, kiedy zadzwoniła, a teraz myślę tylko o tym, jak okropnie się zachowałam. Nawet nie zaprosiłam jej tutaj... Czuję się paskudnie.

Joachim potarł palcem brwi, co oznaczało u niego pierwszy stopień zakłopotania.

- Przecież obiecałaś jej, że przyjdziemy na koncert.

- T a k , ale ona jest tu obca, powinnam była przynajmniej zaprosić ją do domu!

- Byłaś zaskoczona, miałaś prawo o tym nie pomyśleć.

- Powinnam była...

Joachim odstawił własną filiżankę i pogłaskał mnie po ręce. Był zaniepokojony.

- Więc zadzwoń do niej i zaproś do nas.

- Nie mam numeru.

- Nie zostawiła ci?

- Nie poprosiłam o to.

Wiedziałam, że próbuje zajrzeć mi w oczy, swoim wyjątkowym, najcieplejszym na świecie wzrokiem.

- To jeszcze nic takiego - powiedział łagodnie. - Jutro, a najpóźniej za dwa dni przyjdą zaproszenia, o których mówiła. Wtedy zadzwonisz do tego klubu, dowiesz się o numer Edyty i zadzwonisz do niej. Problem będzie rozwiązany.

Dopiero gdy podniosłam na niego wzrok zauważyłam, że płaczę.

# DAGMAR: X

## ...RZECZY, KTÓRA JEGO JEST

Bilety na występ Edyty przysły pocztą, tak jak przepowiedział Joachim i już następnego dnia Dagmar z ulgą wyciągnęła je ze skrzynki na listy. Spoczywały w niebieskiej, cienkiej kopercie, nie towarzyszył im żaden list, znaleźć można było na nich jedynie nazwę klubu, w którym miał się odbyć koncert. Dagmar, dla której informacja ta była chwilowo najważniejsza, natychmiast zadzwoniła pod wydrukowany na kartonikach numer telefonu, jednak klub był zamknięty, a z zapowiedzi automatycznej sekretarki wynikało, że nie ma szans na zastanie kogokolwiek przed wieczorem.

Nie w pełni uspokojona wykonaniem pierwszego kroku Dagmar zajęła myśli komponowaniem pytań i odpowiedzi na spotkanie po latach. Jednak czuła lęk, czym jej organizm nie był zachwycony; odwołując się do rozsądku, zmusiła się do chwili relaksu przy oknie, przez które Joachim często podglądał ptasie gniazdo. Ciągłe zapominała nazwę ptaków, które w nim się rozgościły. Były czarne i miały żółtawe dzioby. Jej zdaniem przypominały kosy, ale nie sprzeczała się z Joachimem, który twierdził co innego. Zgodzili się natomiast co do imion dla ptaków, nazywając samczyka Sulikiem, a samiczkę Ślinką. Ochrzczenie gromadki ptasich dzieci, zbyt małych, by można było je policzyć, odłożyli sobie na później; nawet Joachim, regularnie podpatrujący gniazdo przez lornetkę, nie był pewien co do tego, czy jest ich pięć czy sześć.

Przyglądająca się gniazdu Dagmar została świadkiem powrotu Sulika - czy może Ślinki - oraz gorącego powitania rodzica przez pisklaki, które na jego cześć rozkrzyczały się radośnie, napętniając

powietrze wrzawą wibrujących nawoływań. Rozczulona odeszła od okna i, zabierając po drodze telefon, poszła do kuchni na herbatę z podwójnej porcji melissy.

- Nie mam telefonu do tej pani - zabrzmiał niedbale głos w słuchawce. - Nie znam poszczególnych artystów z grupy, która przyjeżdża. Wiem tylko, jak się nazywają i kim jest ich menedżer.

- Rozumiem - odpowiedziała Dagmar, z wszystkich sił trzymając na wodzy rozstrojone nerwy. - Czy byłby pan tak miły i dał mi numer telefonu do tego menedżera?

Choć rozmówca - właściciel klubu jazzowego - starał się być miły, jego informacje okazały się niewielką pomocą. Kiedy Dagmar, dodzwoniwszy się do menedżera Edyty, poprosiła go o jej telefon, nie odważyła się wyznać prawdy o przyrodnim siostrzeństwie i jako osoba postronna spotkała się z odmową. Jedyne, co udało jej się osiągnąć, było ponowne zaproszenie na koncert, na który bilety i tak już posiadała.

Popadając w coraz większe zwątpienie, po kilku dniach ponownie zadzwoniła do klubu, w którym jednak tym razem nie zastała uczynnego właściciela. Z powodu późnej pory rozmowę automatycznie przełączono do baru i Dagmar, choć spokojna we własnym, bezpiecznym mieszkaniu, zakosztowała zaocznie atmosfery miejsca z gatunku tych, w których bywała jej przyrodnia siostra. Dotarło do niej podzwanianie kieliszków i urywki rozmów przy barze, ściszonych ze względu na grany w tle jazz ze spokojną wokalizą, która wibrowała blisko, jakby Dagmar od podium artystów nie dzieliły telefoniczne kilometry, a tylko kłęby unoszącego się w knajpie papierosowego dymu. Dagmar nie poczuła się urażona, kiedy ponaglany zamówieniami barman na dłużej odłożył słuchawkę, która spoczęła w sąsiedztwie szkła napełnianego napojami.

Do jej uszu popłynęły etiudy dźwięków wygrywanych przez strużki płynów na kieliszkach, szklankach i sześcianach mrożonej wody. Mieszanie alkoholi zabrzmiało egzotycznie i malowniczo; jako nieproszony świadek ceremoniału przymknęła mimowolnie oczy, kiedy niemal przy jej uchu kostki lodu stuknęły o dno szklanki. Wyobraziła sobie bladą jak westchnienie elfa chmurkę pary, uciekającą od zalania alkoholem, gęstym i ciemnobrązowym, o konsystencji



rozwodnionego miodu. Alkohol usiłował zatopić kryształowe lodowe kostki w jednym naczyniu, potem w drugim... A później nastąpiła chwila ciszy, matowy protest odstawianej butelki, uniesienie z blatu - zapewne był wilgotny - następnej oraz szum innego sączonego do szklanek płynu. Wsłuchana w obraz Dagmar uśmiechnęła się do siebie: drugi alkohol z pewnością miał barwę amarantu, był lżejszy i mniej zawiesisty, a wpadając do wpełnionego naczynia zakreślił zawijasy na powierzchni poprzedniego, cięższego trunku. Niemal zobaczyła wewnątrz szklanki pomalowane w lepki galimatias, który jednak nie trwał długo, bo już po kilku sekundach przybyło coś syczącego, nalanego z trzeciej butelki, jak inne czekającej na swą kolej tuż przy uchu Dagmar. Bim-bom, bim-bom - cicho powiedziały kostki lodu do słuchawki, kiedy słomka, zapewne różowa, pogoniła je po ścianach naczynia.

- J e s t tam pani jeszcze? - powiedział barman do Dagmar, kiedy wszystkie przygotowywane drinki przeniosły się z baru na metalową tacę kelnerki.

Nie powinnam była tam jechać. Mogłam poczekać na występ Edyty, pójść na niego według jej życzenia, mojej zgody oraz terminu wydrukowanego na zaproszeniu i plakatach zdobiących wejście do klubu jazzowego. Może wtedy nie zabrałabym ze sobą Joachima? Tyle lat udawało mi się trzymać go - symbol nowego świata, szczęśliwego i prawdziwie mojego - z dala od mojej przeszłości. Przecież już wtedy wiedziałam, że nie tylko ze względu na siebie uciekam od Skorpionów, nie siebie samą chronię przed ich dawnym i terazniejszym jadem. Odsuwałam od nich również Joachima, bojąc się, by mi go nie zainfekowali, nie zarazili uszczypliwą złością i egoizmem. Nie chciałam, by zobaczył i poznał ich skorpionie sztuczki, wymyślne metody wybierania, tropienia i atakowania ofiary, ich niewyczerpaną agresję, podstawowe życiowe paliwo.

Niestety nie przyszło mi do głowy, że coś gorszego groziło mu ze strony Edyty. Byłam głupia: w pragnieniu naprawy dawnych win

zachciało mi się pojednania na prastary sposób, nakazujący powitać dawnego wroga boso, bez broni i bojowego hełmu, a na dodatek zawierzyć mu w dowód zaufania bezbronnych i nieświadomych niczego domowników.

Do klubu wybrałam się dużo wcześniej, bo już na trzy dni przed zapowiedzianym występem. Znajdował się w centrum, w bocznej uliczce odchodzącej od jedyne go w mieście deptaka; znałam to miejsce zaledwie ze słyszenia, gdyż ani ja, ani Joachim nigdy w nim nie byliśmy. Tamtego dnia zajrzałam tam dlatego, że akurat przechodziłam obok. Wracałam od lekarza i, nie licząc na to, że w przedpołudniowej porze kogokolwiek zastanę, zatrzymałam się przed głównym wejściem. Jego nędzny wygląd był dowodem na to, że kluby muzyczne, podobnie jak nocne knajpy, nie prezentują się najlepiej w dziennym świetle. Nawet nie spróbowałam otworzyć ciężkich, odrapanych drzwi, przed którymi moją uwagę przykuł plakat z nazwą grupy muzycznej Edyty.

Afisz wydał mi się dziwaczny: przedstawiał duży czerwony fortepian i kilku mężczyzn w nienaturalnych, powykręcanych pozach. Trzymali w dłoniach instrumenty i wskazywali nimi na kobietę, siedzącą tyłem na fortepianie tak, że jej niemiłosiernie głęboki dekolt na plecach stanowił najważniejszy motyw plakatu. Odważnie wykopcypowane wycięcie ukazywało przynajmniej połowę pośladków. Długo przyglądałam się postaciom na plakacie, szukając wśród muzyków drugiej żeńskiej istoty, jednak bez rezultatu. Bezwstydna dama na fortepianie była jedyną kobietą, a jako że przy najlepszych chęciach nie zdołałam połączyć jej obrazu ze wspomnieniem o Edycie, poczułam się zdezorientowana.

Wybił mnie z niego młody człowiek, nagle otwierający mi przed nosem drzwi klubu, przed którym tkwiłam przekonana, że jest zamknięty na cztery spusty. Zobaczyłam długowłosego młodziana; nie zwracając na mnie uwagi przeszedł obok, prawie mnie potrącając, na co oburzyłam się i przeraziłam jednocześnie, jak zawsze wobec czyjegoś braku szacunku dla mojego brzucha. Przez kilka sekund, podczas których drzwi już zamykały się automatycznie, a młody mężczyzna oddalał się ulicą, słyszałam muzykę dobiegają-

cą z wnętrza. Podjąwszy szybką decyzję o wejściu do środka, przytrzymałam drzwi, by nie zatrzasnęły się na dobre, jednak przez dłuższy czas nie odważyłam się na więcej. Czułam niepokój i wietrzyłam niebezpieczeństwo w miejscu, do którego przyszłam niejako mimowolnie i właściwie wcale tego nie chcąc. Prawie tego żałując, zebrałam siły i zajrzałam do środka.

Za drzwiami czekał na mnie długi, pusty korytarz, oszczędnie oświetlony ciemnymi żarówkami i obwieszony plakatami oraz fotografiami nieznanymi mi artystów. Jak się okazało, biegł w dół do pomieszczeń koncertowych klubu, które znajdowały się na poziomie piwnicy. Sam klub, zapewne z tego powodu, nazywał się „Underground”.

Pokonując mroczny korytarz, który, pochylony pod nienaturalnym kątem, zakończył się wejściem do sali koncertowej, Dagmar skoncentrowała się na oddychaniu. Nigdy dotąd nie podejrzewała się o żadną z odmian klaustrofobii, jednak długie metry przejścia pozbawionego okien napędziły jej strachu. Łapczywie zajrzała do mniejszej niż zapowiadały to reklamy klubu sali; od korytarza oddzielały ją tylko wahadłowe drzwi, chwilowo unieruchomione przy pomocy wysłużonych krzesel. We wnętrzu również nie dostrzegła okien. Przytłumione światło dzienne z trudem przesączało się przez niewielkie, umieszczone tuż pod linią sufitu przeszkłone otwory, których jednak było zbyt mało, by mogły zapewnić dostateczną widoczność.

W pomieszczeniu zgromadziło się wiele osób, jednak żadna z nich nie zwróciła uwagi na zastygłą niepewnie na progu Dagmar. Jakiś, ciągnący za sobą długi kabel, człowiek minął ją obojętnie, ktoś inny, stojący niedalej niż trzy metry od niej, spokojnie rozkładał na podłodze nuty. Ktoś ćwiczył na saksofonie, ktoś stroił gitarę. Pomimo wczesnej pory pomieszczenie było pełne dymu, jakby palili wszyscy, nie tylko chudy mężczyzna, który z wyciągniętymi przed siebie nogami siedział bez ruchu na drewnianym krześle dokładnie

w środku sali. Palił cienkiego papierosa, wolno wypuszczając kłęby dymu w kierunku Dagmar, przez którą, jakby była przejrzystą ścianą, patrzył w jakiś daleki, niewidoczny punkt. Zakasłała - wcale nie na pokaz - i rozejrzała się nerwowo, poszukując Edyty. Dostrzegła fortepian stojący na niewielkim podeście w rogu sali, nie czerwony, lecz czarny, jednak i tak ostentacyjnie drapieżny w kontrastach zimnych światel reflektorów, które krzyżowały się z płynącym spod sufitu precedzonym blaskiem dnia.

Obok fortepianu stała młoda kobieta; pochylona nad pianistą, z pozy przypomiwała nieco odwróconą tyłem damę z plakatu, jednak, co uspokoiło Dagmar, z całą pewnością nie mogła nią być. Brakowało jej prowokującej linii odsłoniętych bioder i nastroszonych włosów, zresztą ich koloru nie można było określić w złym świetle i ze zbyt dużej odległości. Nie były one jak u tamtej czerwone, choć to wcale nie było pewne, jeśli instrument także był tylko pozornie czarny...

Żadne pomieszanie kolorów nie uzasadniało grudy lęku ścisającego gardło Dagmar, gdy zbliżała się do podestu z fortepianem, pianistą oraz niepokojącą postacią w opadających dżinsach, wciąż odwróconą tyłem, niewysoką i drobną jak nastolatka. Ubranie dziewczyny było byle jakie, niekorzystne światło podkreślało powyciąganą formę bluzki, a także to, że apaszka ściągająca jej włosy nie była nawet wyprasowana. Jednak Dagmar już wiedziała: osoba w trampkach - tylko jeden był zasznurowany - ta drobna istota, która w skupieniu pochylała się nad klawiaturą fortepianu tak, jakby na powrót tropiła kurz na meblach nieswojego domu, z pewnością była Edytą.

Wolnym krokiem Dagmar zbliżyła się do fortepianu. Nadal nikt jej nie zauważał, żadna z obecnych postaci nie poświęciła jej choćby spojrzenia, a nienaturalne oświetlenie zadymionego miejsca, w którym rozmywały się kształty sprzętów i ludzi, nadawało sytuacji wymiar męczącego snu. Dagmar często śniła w ten sposób: w tonacjach szarych i mrocznych, w sennej nierealności przerażenia zjawiskami wyptukanymi z koloru. Po takich snach, przytłaczających ją zalewami zimnego światła albo duszących welonem

z mgły, budziła się przygnębiona, z trudem oddzielając rzeczywistość od nocy.

Pianista towarzyszący dziewczynie był pierwszym, który dostrzegł Dagmar. Choć nie mógł usłyszeć jej kroków, odwrócił się i podniósł na nią oczy, pod których spojrzeniem zamarła. Przeszył ją niedobry dreszcz, który sparaliżował jej napięte ciało i sprawił, że mimowolnie objęła dłońmi brzuch. Pomieszenie myśli o podobieństwach tego dnia z niedobrymi snami dosięgło zenitu: nieprzygotowana Dagmar pojęła spojrzenie nieznanego.

Nigdy przedtem go nie spotkała; mężczyzna był jej obcy, paradoksalnie w przeciwieństwie do jego spojrzenia - znajomego, przewidywalnego i prawie zaprzyjaźnionego. Nie mogła się pomylić - to Joachim ze snów spoglądał na nią w ten sposób, Joachim, który zjawiał się pod inną, roztrzaskaną postacią, niepodobny do siebie, zimny, z twarzą bez wyrazu i spojrzeniem ciężkim od okrucieństwa. I choć zakochana Dagmar buntowała się przeciw intruzowi i całą siłą woli przeciwstawiała jego projekcjom prawdziwego, troskliwego Joachima, senne obrazy dewastowały jej duszę. Od ostatecznego lęku ratowało ją tylko ich nieprawdopodobieństwo oraz rzeczywisty Joachim, który na jawie przytulał ją po przebudzeniu i patrzył na nią wzrokiem, w którym nie było niczego złego.

- Czy coś się stało? - pianista wwiercał się wzrokiem w Dagmar, która zmuszona była oprzeć się o kolumnę przy podeście. - I kim pani w ogóle jest?

Przymknęła powieki, aby ulżyć oczom atakowanym przez dym. Nie chciała opowiadać mu snów.

- Ja ...

*Dzięki pana oczom zobaczyłam na jawie okrucieństwo mojego męża.*

- Nic - powiedziała tylko, mobilizując siły przyszłej matki. - Przyszłam tu do Edyty.

Schowała się za dzielnym i tylko w niewielkim stopniu nienaturalnym uśmiechem. Nie patrzyła już na niego, towarzyszącego Edycie mężczyznę o oczach będących krzywym zwierciadłem oczu jej Joachima. Czekało ją spotkanie z przeszłością. Gdy Edyta wolno od-

wróciła się od fortepianu, Dagmar nadal obejmowała rękoma swój cenny brzuch, chroniąc go przed kolejnym bolesnym dreszczem.

Właściwie nic wielkiego się w niej nie zmieniło. Kiedy stanęła przede mną, po długim, trwającym wieczność obrocie, poczułam ulgę. To była ona i w jej oczach nie doszukałam się spodziewanej nienawiści do mnie, choć - przez ostatnie, turbulentne dni nie robiłam nic poza pieczołowitym grzebaniem w pamięci - istniały ku temu tysiące powodów. Kolejny raz błysnęła mi w głowie magiczna liczba dwunastu lat jej nieobecności, oraz, niemal jednocześnie, uczucie bliskości z nią, jakby te lata nigdy nie nastąpiły. Dwoista nielogiczność wrażeń nieomal odebrała mi mowę, więc uśmiechając się niemądrze i jak marionetka kiwając głową, oczekiwałam od niej słów powitania.

Jeśli jak ja czuła skrępowanie, zgrabnie zamieniła je w żartobliwą ironię; uśmiechnęła się, bez wyciągania do mnie ręki, a ja, nie wiedząc nawet, czy tego chce, objęłam ją i przytuliłam. Niechciane łzy napłynęły mi do oczu, kiedy poczułam ją przy sobie taką małą, niższą ode mnie przynajmniej o pół głowy. Spróbowałam przypomnieć sobie chwilę, w której obejmowałam ją po raz ostatni, jednak nie odnalazłam w pamięci niczego podobnego.

Być może to był powód, dla którego spóźniony uścisk po latach uznała za zbędny. Nie wiem, czy potrzebowała go dawniej - wszystkie czytane przeze mnie ostatnio książki o rozwoju dziecka twierdziły, że t a k - j e d n a k po dwunastu latach nie miała już ochoty na fizyczną bliskość ze mną. Łagodnie wyzwoliła się z moich rąk i odsunęła na bezpieczną odległość po to, by z uśmiechem, którego nie potrafiłam zinterpretować, móc spokojnie stwierdzić: Więc jesteś w ciąży.

Podczas tygodni, które nastąpiły później, miałam dość czasu na rozpatrywanie znaczeń słów „więc”, „jesteś”, „więc jesteś” oraz innych możliwych wariantów zdania, które w jej ustach zabrzmiało tak niewinnie. I nawet jeśli rzeczywiście takie było - a nie wiem

tego do dziś - wówczas w ogólnym zamieszaniu zdobyłam się jedynie na ogólne pytanie o to, czy Edytę o moim przyszłym macierzyństwie zawiadomiły Skorpiony, czy raczej samodzielnie rozpoznała u mnie ciążę, nie myląc jej, jak inni, z tuszą. Byłam zbyt skrępowana, by chcieć zgadywać, która z tych możliwości jest dla mnie gorsza.

Nasza rozmowa nie trwała zbyt długo. Edyta była w niej spokojniejszą stroną; wydawała się przygotowana, może nawet zaplanowała sobie słowa odpowiednie na spotkanie ze mną i nie zbiło jej z tropu nawet to, że pojawiając się wcześniej, samowolnie je przyspieszyłam. A może wszystko było jeszcze prostsze: przesunięcie w czasie było jej obojętne, bo po prostu stała się spokojnym, zrównoważonym człowiekiem, który nie zawyża - jak ja - znaczenia okoliczności.

Paplałam z determinacją, słowami pokrywając skrępowanie. Wyjaśniłam swoje zaskoczenie po jej telefonie, przeprosiłam za niezaproszenie do nas i spróbowałam naprawić błąd, proponując jej wizytę - natychmiast, albo wieczorem, albo następnego dnia... Jednak odmówiła. To był przypadek, jak stwierdziła, że zastałam ją w klubie podczas jedynej próby, na której zespół zjawił się po drodze na występy w innym mieście, aby sprawdzić akustykę i atmosferę miejsca. Nie miała nawet ochoty na wspólny obiad ze mną, nie zamierzała rezygnować z przygotowania do występu z zespołem, którego członków mi nie przedstawiła. Poświęciła mi jednak dobre dwadzieścia minut - ktoś przyniósł wodę mineralną dla mnie i piwo dla niej - podczas których zajęte trzymaniem butelek gawędziłyśmy niepoważnie o ważnych sprawach.

Zatem Edyta śpiewała. Według jej własnych słów jazzowała trochę, ale o tym miałam przekonać się dopiero trzy dni później. Oprócz występowania na scenie pracowała gdzieś dorywczo, ale nie dowiedziałam się dokładnie, o jakie zajęcie chodziło. Prawdę mówiąc, nie odważałam się wypytywać jej o cokolwiek, szczególną ostrożność wykazując w sprawach życia emocjonalnego, gdyż jej pierwsza informacja o homoseksualnym związku nadal nie dawała mi spokoju. Tak czy inaczej moja gadanina nie zawierała w sobie

wiele sensu, co nie uszło uwagi Edyty, obserwującej mnie z zainteresowaniem, w którym wyczułam coś w rodzaju rozbawienia.

Byłam gotowa na kompromisy. Zależało mi na tym, by móc ją sobie obejrzeć i przekonać się, że nadal jest tą samą osobą. Chciałam zobaczyć w niej dziewczynę, która żyła ze mną pod jednym dachem, sypiała za ścianą i słuchała dziwnej muzyki, którą uciszałam wściekłym waleniem butem w tapetę. Wspominałam nasze wspólne sprzątanie domu, uciążliwe, na dwie rozdzielone obowiązki, z których próbowałam się wykpić na jej niekorzyść oraz posiłki przy stole - rytualne tortury w naszej tak nieprawdziwej, nienormalnej rodzinie. I pod spokojnym - czy ten spokój był rzeczywisty? - spojrzeniem jej wielkich oczu ogarniały mnie kolejne fale wstydu za tę przeszłość, wstydu, który wyplątał się ze mnie po jej pierwszym telefonie, rósł z każdym kolejnym dniem i nie pozwolił zabić się wymuszonym, nadprogramowym spotkaniem.

Żegnając się z Edytą, wiedziałam już, że trzy dni dzielące nas od momentu właściwego, zaplanowanego przez nią spotkania - tym razem na podyktowanych przez nią warunkach - niczego nie rozwiążą. Jedyne, na co mogłam liczyć, to perspektywa pokojowego przebiegu tego wydarzenia oraz niewielka nadzieja na coś dobrego w przyszłości dla nas obu.



# DAGMAR: IX

## ...ŻONY BLIŹNIEGO TWEGO

Kiedy podjechali pod klub, na ulicy przed wejściem zdążył zebrać się spory tłum. Było dość wcześnie, w porze, w której kina przygotowują się do ostatniego seansu, a pary pragnące spędzić wspólnie wieczór zaczynają go od kolacji, na później odkładając niezobowiązującą rundę po barach. Wysiadająca z samochodu Dagmar liczyła po cichu na to, że w klubie uda się zamówić coś do jedzenia, gdyż z powodu opóźnionego powrotu Joachima z pracy nie zdążyli zjeść kolacji. Jeszcze nie była głodna, ale nieprzyjemny ucisk w żołądku wskazywał na to, że nie wytrzyma dłużej niż godzinę. Joachim wysadził ją przed klubem, a sam pojechał do podziemnego parkingu, od którego powrotnej drogi, mimo że niezbyt dalekiej, chciał jej zaoszczędzić. Kropiło, więc Dagmar, która zapomniała wziąć z samochodu parasol, zamachała ręką za odjeżdżającym Joachimem. Jednak już jej nie zauważył; początkowo chciała schronić się pod niewielkim daszkiem przy wejściu do klubu „Underground”, jednak tłoczyło się pod nim zbyt wielu ludzi z papierosami i widok dymu opływającego ich głowy wystarczył, by ciasniej otuliła się żakietem i nadal mokła na chodniku. Stała tuż przy krawężniku i odsunęła się od niego dopiero wtedy, gdy spod kół sportowego auta prysnęła na nią struga tłustego błota. Posiała urażone spojrzenie znikającemu szybko samochodowi w kolorze krwistej czerwieni i zajęła się nic nie dającym wycieraniem plam. Joachim pojawił się dopiero po kilku minutach i pomógł jej oczyścić buty, do których nie zdecydowała się schylić.

- Mam wrażenie, że nie bardzo tu pasujemy - poskarżyła mu się, gdy przedzierali się do wejścia.

I tu nikt nie zwracał uwagi na jej niewyraźnie zarysowany brzuch; przejście i następujący po nim korytarz opalone były przez swobodnie zachowujących się ludzi, którzy choć sprawiali wrażenie sympatycznych, onieśmielali Dagmar. Wyglądali inaczej niż publiczność spotykana w filharmonii - jedynym publicznym miejscu, w którym ciężarna Dagmar chciała jeszcze być - aczkolwiek większość z nich zapewne i tam czułaby się jak u siebie. Goście klubu byli wymieszani wiekowo, od uczniów szkół średnich, po modnie ubranych panów i panie po sześćdziesiątce, z których jedni demonstrowali drogą, a niedbałą elegancję, natomiast inni przeciwnie, nonszalancką kontestację idei wyjściowego ubrania.

Dagmar miała wrażenie, że wszyscy palą papierosy i była tym przerażona. Uczepiona ramienia Joachima, patrząc pod nogi, by nie upaść, z trudem dotarła do wejścia prowadzącego do sali. W drzwiach poprosiła sprawdzającego zaproszenia kelnera o stolik w strefie dla niepalących.

- Nie mamy czegoś takiego, proszę pani - zaśmiał się tamten bez złośliwości, jednak widząc lzy napływające jej do oczu, litościwie dodał: - Macie państwo stolik pod samą estradą, tam jest mniej dymu niż w głębi sali. Poza tym są wentylatory.

Moszcząca się na twardym krześle Dagmar przyrzekła sobie nie zostawać w klubie dłużej niż godzinę. Żałowała, że w ogóle się tu pojawiła, i czuła złość na Edytę jako sprawczynię jej fatalnego samopoczucia. Była zirytowana na swój dawny, znajomy sposób, którego wolałaby już sobie nie przypominać.

- Czego się napijesz, kochanie? - Joachim powtórzył pytanie kelnera, który stanął przed nimi z odrapaną tacą pod pachą, niezauważony przez Dagmar.

- Jestem głodna - przyznała - właściwie chciałam później coś zamówić, ale wtedy będzie jeszcze bardziej zadymione.

Gdyby mogła, natychmiast poszłaby do domu, jednak myśl o Edycie zatrzymywała ją na miejscu. Zdecydowana wyczekać odpowiedniego momentu na wyjście, obiecała sobie, że opuści

sałę podczas pierwszej przerwy w programie, obojętnie jaki by nie był.

- Do jedzenia możemy zaproponować tylko słone orzeszki i oliwki do koktajli - powiedział kelner, uśmiechając się szeroko.

- Żartowałem. Podajemy również zupełną ogonową.

- Ogonowa to jedyna zupa, której moja żona nie jada.

- Och, w takim razie pozostają tylko *nachos* z sosem.

Dagmar znowu powstrzymywała łzy; głód odezwał się dużo wcześniej niż przewidywała, dopełniając splotu okoliczności, które jak na złość sprzymierzyły się przeciwko niej.

- Z ostrym sosem? - zapytała cicho.

- Może być łagodny - obiecał kelner.

Joachim zamówił piwo, przyrzekając oddać jej podawane do niego orzeszki, jednak Dagmar nie była w nastroju do żartów. Uznała, że wieczór, nawet gdyby udało się konsekwentnie ograniczyć go do godziny, już od samego początku zapowiada się tragicznie. Zmoknięta i ubłocona oczekiwała najgorszego, siedząc w niewygodnej pozycji na twardym krześle i przy pustym stole, na którym nie miało pojawić się nic prócz chipsów w łagodnym ponoc sosie. Uznała je za wątpliwe urozmaicenie występu przyrodniej siostry, o której nie było nawet wiadomo, czy rzeczywiście potrafi śpiewać. Połykając łzy z żalu nad sobą, Dagmar odczekała zgaśnięcia świateł na sali, by poszukać dłonią pociechy pod ciepłymi palcami Joachima. Na stolikach rozjarzyły się wątko kolorowe lampki, a Joachim odpowiedział łagodną pieśczętą, która przepłynęła na nią falą czułości i pozostała w niej na wiele długich minut.

Sala cichła powoli w oczekiwaniu, goście jakby mimowolnie wy-ciszali rozmowy, a kelnerzy przyjmowali ostatnie zamówienia półgłosem i nawet ten, który ich obsługiwał, zrezygnował z żartów, pojawiwszy się po raz drugi, aby podać im napoje oraz *nachos* z sosem. Ciemność spowijała scenę, z której wymykały się stłumione głosy instrumentów, bardziej niż przedkoncertowe strojenie przypominając orkiestrą uwerturę. Dagmar, choć obojętna jeszcze na bliskość sceny, łowiła uchem dźwięki, które przeinaczały atmosferę sali tak, że stała niemal przytulna. Wpatrywała się w Joachima,

bliska rozczulenia i prawie szczęśliwa, wdzięczna, że jest przy niej i choć błądzi oczami dookoła, podnosi do ust szklankę piwa i gryzie orzeszki, nigdy nie zapomina powrócić do niej wzrokiem.

Nagły błysk reflektorów i zespolone siły instrumentów gwałtownie wyrzuciły Dagmar poza strefę spokoju. Drgnęła wystraszona i obronnym ruchem obydwu rąk zasłoniła swój okrągły brzuch. Odruchowo odwróciła się od źródła światła, nie zauważając naglego skamienienia Joachima, do którego nie dotarło ani jej przerażenie, ani nawet to, że jej ręka wyrwała się spod jego dłoni. Jednak już w przeciągu następnych sekund i minut musiała pojąć oszałamiającą prawdę o tym, że nagle została sama przy stoliku, gdyż jej mężczyznę porwała w powietrze zdradziecka siła, przypominająca mocą tajfun. Zanim zdążył zauważyć, zbyt szybko, by mógł pomyśleć o obronie, nieznana potęga zakręciła nim jak piórkiem, poderwała go i szarpnęła ku odsłoniętej scenie. Na krześle pozostała jedynie jego cielesna powłoka, natomiast jego duch lewitował już w pobliżu podniesionej kurtyny.

Joachim zapomniał o wszystkim, także o Dagmar, jakby wcale jej nie było. Wstrząśnięta niesprawiedliwością poszukała jego szeroko otwartych oczu, jednak ich właścicielem był już nowy Joachim, zdrajca o pobladytch policzkach, które w pomieszeniu światła ze sceny i czerwonej stolikowej lampki nabrały trupiego koloru. Jego usta rozchyliły się w nieświadomym grymasie wiejskiego chłopaka niespełna rozumu, którym przerażona Dagmar zapragnęła potrząsnąć. Jednak nie uczyniła tego, czując irracjonalny strach przed nieznanym osobnikiem. Zachciało się jej płakać: jej prawdziwy Joachim zniknął, a ona nie rozpoznała nawet przyczyny jego transformacji.

Odwróciła się w kierunku sceny. Potrzebowała czasu, by kontury obrazu uformowanego na scenie wyostrzyły się pod jej wzrokiem jak w aparacie fotograficznym po regulacji obiektywu. Kiedy to się stało, usłyszała bicie własnego serca, które nagle zagłuszyło hałas instrumentów. Ignorując jego ostrzeżenie, skoncentrowała się na patrzeniu i wzorem Joachima - choć każde robiło to inaczej - wbiła wzrok w postać odzianą na czerwono kobiety, o której

wiedziała, że jest niewielkiego wzrostu, a mimo to wydawała się olbrzymką.

Kobieta siedziała na czerwonym jak jej strój fortepianie, półbokiem i półtyłem, nienaturalnie wygięta w linię podpatrzoną u instrumentów. Światło reflektorów skupiało się na jej plecach, odsłoniętych głęboko aż po wypukłość pośladków, i opływało ramiona oraz smukłe nogi, które podciągnęła do góry, nie bacząc na gładkość fortepianu, zagrożonego agresywnie ostrymi obcasami lakierowanych butów. W palcach osłoniętych koronkową rękawiczką trzymała długi ustnik z papierosem, a siwy obłoczek dymu zasłaniał ją zwodniczo, rozdrażniając wszystkich tych niecierpliwych, którzy jeszcze się jej nie napatrzyli, choć już unosili się z miejsc, sprowokowani niepokojącym zarysem jej twarzy.

Nierzeczywista zjawiskowość postaci namagnetyzowała salę; przez chwilę wydawało się, że narastające napięcie zwycięży krzyk instrumentów, które zamilkły, ustępując miejsca ciszy. Smakując ją i doceniając jej sprzymierzeńczą siłę, pieszczona światłem reflektorów kobieta leniwie zsunęła się z fortepianu. Obojętna na spojrzenia z widowni, dłonią w rękawicze pogłaskała korpus instrumentu. Pianista, oddalony od niej o długość skrzydła, podsunął jej popielniczkę, po którą sięgnęła, rozciągając ciało jak kotka i łamiąc się w prosty kąt, w przecięciu którego jej łono przylgnęło do brzegu fortepianu. Jawność tego gestu, jednoznacznego i prawie bezwstydneho, trwała zbyt krótko z winy sukni, której fałda opadła i jak kurtyna przysłoniła intymny pocałunek z fortepianem. Zamiast niego zatriumfował obraz piersi kobiety przywierającej do lakierowanej skóry instrumentu, który, zwyciężony siłą jej atrybutów - sytą czerwienią sukni, wypukłością pośladków i siłą stopy błyszczącej jak epolety poskramiacza lwów - w jednej chwili zamienił się w potulne zwierzę.

Świadkowie widowiska osłupieli w obliczu demonicznej kobiety, która żonglowała mieszanką magii wytrzebionych przed wiekami czarownic i naukowych zasad kontrolowanej hipnozy. Jej milcząca obecność działała jak rzucona w twarze rękawica, wzywając ich do ryzykanckiego pojedynku Goliata z setką bezsilnych Da-

widów. Jeszcze jej nie podjęli; leniwe ruchy kobiety zapowiadały eksplozję, więc napięcie widowni zastygło na kształt falochronu w bezpiecznej odległości od estrady. Powstała ostatnia naturalna granica, niezbędna podczas spotkania, w którym przewagę posiada jedna ze stron.

Zdawało się, że kobieta może zażądać władzy, ofiary z pieniędzy albo spalenia miasta, a wypełnienie polecenia będzie przyjemnością dla obecnych mężczyzn, których determinację przeczuty już ich posmutniałe, zepchnięte w cień towarzyski. Kolejne chwile przedłużającej się ciszy mogły przeistoczyć estradę w katedralną ambonę albo przynajmniej w mównicę potrzebną do wypowiedzenia wojny kobiecie, która otworzyła już usta do planowanego orędzia. Okazało się jednak, że w jej prywatnej walce nie ma miejsca na przelew krwi i agresję. Nie zamierzała też odprawiać tłumu, gdyż skupiony, wielogłowy wielbiciel potrzebny jej był do dokonania końcowego podboju.

Odłożyła papierosa i łagodnie ujęła mikrofon, jakby posiadał osobną moc i, w zależności od traktowania, mógł okazać się albo dobrym kumplem, albo najzacieklejszym z wrogów. Postała mu zawikłany, proszący uśmiech, musnęła spojrzeniem oswojony fortepian i pozostałe instrumenty, nie zapomniała powitać usłużnych reflektorów, muzyków oraz - na ostatnim miejscu - napiętej widowni. Potem, nie troszcząc się już o publiczność, przeniosła uwagę na serce mikrofonu i muzykę rodzącą się dookoła. Zachłannie zacerpnęła powietrze i jak skoczek, który z rozwartymi ramionami oderwał się od wysokiej skały, płynnie zanurzyła się w śpiew.

Miała niski, wibrujący głos, który bezszelestnie dokleił się do tła instrumentów. Powiewna wstęga jej ballady rozwinęła się jak otwierany i składany przez nią na nowo wachlarz. Szeptane matowo altowe tony prześlizgiwały się w czysty sopran, podbijając uwagę słuchaczy piruetami pauz i oddechów. Nie było wątpliwości - ta kobieta urodziła się po to, by stanąć na scenie. Prawdę tę potwierdzała każda nuta, ofiarny ptak posyłany muzycznym bogom, których kaprysem było wyróżnić ją darem hipnotyzującego śpiewu. Wydawało się, że towarzyszą jej teraz w pełnym składzie, przebi-

jając liczebnością niedowiarków, którzy przecenili przedkoncertową pantomimę na fortepianie. Teraz, kiedy śpiewała, wstydzili się pomyłki jak dzieci, które zamiast czekać na rozpakowanie prezentu, zaczęły się bawić jego opakowaniem.

- To jest właśnie moja przyrodnia siostra Edyta - wyszeptła oszołomiona Dagmar do Joachima, który o milimetr nie zmienił pozycji ciała i nie słyszał niczego poza dźwiękami ze sceny. - To Edyta, chociaż jakoś inaczej wygląda...

Jednak on nie zwracał uwagi na Dagmar, zaczarowany i nieobecny, zapomniawszy o miejscu, do którego przyszli we dwoje, prawie we troje. Nie słyszał jej słów, utracił świadomość jej istnienia. Było mu obojętne, kim jest i jak się nazywa druga kobieta - ta, która pozbawiła go woli i ukradła pierwszej. Wiedział jedynie, że eksplozja uczuć, które nim zawładnęły, zdarza mu się pierwszy raz w życiu i, nie poznawszy dotychczas jej siły, jeszcze się nie bał.

A potem już wszystko potoczyło się błyskawicznie. Joachim przestał należeć do mnie. Kolacja, na którą zaprosiłam Edytę, była czystą formalnością i nie mogłam jej uniknąć w kontekście spotkania po latach, szansy na pogodzenie i nawiązanie nowych więzów w skomplikowanych rodzinnych układach. Czułam niebezpieczeństwo; wiedziałam, że dzieje się coś bardzo niedobrego, jednak odpychałam od siebie myśli o nadciągającej burzy, ufając, że odgonię ją modlitwami.

Tamtego wieczoru nie wyszliśmy wcześniej z koncertu, który wcale nie trwał długo, ale nawet gdyby tak było, Joachim nie dopuściłby do utraty choćby pięciu minut. Każda z nich była dla niego cenna i chłonał ją, siedząc jak zamurowany, a ja, bojąc się go prowokować, usiłowałam przeczekać ten czas. Czułam się jak na rollercoasterze - wsiedliśmy już do wagonika, który toczył się w dół, i nie pozostawało mi nic innego, jak trzymać się poręczy.

Po koncercie poszliśmy za kuliszy przywitać się z Edytą. Byliśmy jej gośćmi, więc pozbawiona szans na uniknięcie konfrontacji

ograniczyłam się do prób względnie naturalnego i spokojnego zachowania. Ratowałam się myślami o dziecku, oddychając głęboko i bezgłośnie recytując dziwaczne zaklęcia. Joachim i ja nie byliśmy jedynymi, którzy ruszyli wyrazić hołd wokalistce, jednak tylko my zostaliśmy do niej dopuszczeni. W klubie, którego funkcjonowanie parę dni wcześniej wydało mi się całkowicie nieformalne i dość baganiarskie, nagle pojawili się ochroniarze odpowiedzialni za spokój wykonawców i porządek na sali. Grzecznie wskazali nam drogę do wspólnej garderoby artystów, spełniając, jak się okazało, prośbę oczekującej nas Edyty. Wszedłszy do środka, dostrzegliśmy ją natychmiast: w źle oświetlonym, zagraconym pomieszczeniu pita wódkę z muzykami z zespołu.

Ciągle miała na sobie tę niezwykle czerwoną suknię, jednak wyglądała już inaczej, na powrót niewielkiego wzrostu, sporo niższa ode mnie, z rozwianą na czole grzywką, która na scenie ostro cięła jej czoło wzdłuż równej linii. Gdy Joachim i ja stanęliśmy w progu, zastygła na sekundę w geście solidarnego wychylenia kieliszka wódki, który trzymała po męsku, w sposób nieróżniący jej od kolegów muzyków. Uśmiechnęła się do nas; jej uśmiech był tak nieśmiały, jakbyśmy przyłapali ją na czymś zakazanym, czym rozbawiła mnie natychmiast i uspokoiła jako nowa-dawna Edyta, z którą zaczynałam się oswajać. Jednak Joachim widział w niej tylko fascynującego wampa ze sceny, oszołomiony i ogłupiały jak dziecko, nie odezwał się ani słowem, kiedy schylał się głęboko, by z wyolbrzymionym szacunkiem ucałować dłoń, którą, pozbawioną estradowej rękawiczki, wyciągnęła do niego na powitanie.

A ja? Czułam strach, do którego wciąż jeszcze nie chciałam się przyznać. Być może powinnam była uciekać, wyrwać stamtąd Joachima i ratować nas oboje, póki jeszcze był na to czas. Może powinnam była przynajmniej spróbować. Jednak w rzeczywistości - tamtego wieczoru mogłam jeszcze tego nie wiedzieć - już wtedy wszystko było stracone. Moja karygodna pasywność musiała się wydarzyć i nie minęło wiele czasu, nim pojęłam, że od momentu spotkania Edyty z Joachimem przestało mieć znaczenie wszystko to, co zrobię oraz czego nie zrobię.



Rekordowo szybko umówiliśmy się na kolację u nas; wystarczyło, że powtórzyłam Edycie zaproszenie z pierwszego spotkania, możliwe nawet, że sama o nim przypominała... Nie było to dla mnie jasne, podobnie jak to, czy Joachim spotykał się z nią w przeciagu dwóch dni dzielących nas od jej odwiedzin. Wiedziałam tylko - choć cała moja świadomość koncentrowała się na niedostrzeganiu niczego - że gdy Edyta przyszła do naszego mieszkania z butelką wina i bukietem tulipanów, ona i Joachim posiadali już wspólną tajemnicę.

Rozmawiali tylko ze sobą, z trudem dopuszczając do siebie moją obecność, zaplątani w siebie wzrokiem, wyostreni w słuchaniu swoich słów. Tak minęło kilka godzin, podczas których słuchałam ich obojga, ani na chwilę nie opuszczając pokoju. To Joachim przynosił kolejne potrawy i zmieniał talerze, to on zajmował się kolacją, lecz był zupełnie innym Joachimem, nieobecnym i uważnym jednocześnie, wykonującym jak automat czynności w pośpiechu, by wrócić do stołu - do mnie i tej obcej kobiety, z obecności której nie chciał uronić ani sekundy. Jakby wiedziony dawnym nawykiem, spoglądał także i na mnie, sprawdzając, czy jeszcze istnieję i czy nic mi nie grozi, machinalnie dolewał mi wody i podsuwał krzesło, nie zapominając nawet o poprawieniu poduszki pod moimi bolącymi plecami. Jednak również to było czystą rutyną, gdyż jego prawdziwe skupienie dotyczyło tylko Edyty.

Kiedy poczułam, że brakuje mi tchu, zareagowałam standardowo: zrobiłam to, do czego jako przyszła matka uciekałam się w każdej z chwil grożących mi skurczami albo zawrotami głowy, albo wtedy, gdy bałam się infekcji zdolnej zaszkodzić dziecku. We wszystkich podobnych momentach kładłam się do łóżka z letnim termoforem w nogach, koncentrując się na równomiernym oddychaniu i wmawianiu sobie, że nie wolno mi być chorą ani zdenerwowaną. Zachowałam się tak i tamtego wieczoru, po kilku godzinach tortury, jaką było świadkowanie źle ukrywanym rytuałom tańca godowego mego męża i mojej przyrodniej siostry. Z przyklejonym do ust uśmiechem odłożyłam na stół zmiętoszoną do utraty koloru serwetkę i oznajmiłam, że muszę się położyć.

- Za dużo wrażeń, umówmy się na następne dni - powiedziałam, wiedząc, iż Edyta wyjeżdża.

Z nadzieją, że już nigdy nas nie odwiedzi, powtórzyłam z premedytacją zaproszenie i wysłuchałam bez żalu wyjaśnienia o niemożności jego spełnienia.

- Będziemy telefonować - dodałam.

Joachim zaproponował Edycie odprowadzenie do taksówki.

- Po co? - zaprotestowałam spod woalki naiwnego zdziwienia.

- Przecież wystarczy zadzwonić. I proszę cię, Joachimie, rozmasuj mi plecy, bo potwornie mnie rozboleły.

To wszystko nic nie dało. Oni i tak się spotkali, beze mnie, przeciwko mnie, wysyłając mnie w zapomnienie, albo świadomie ze mnie rezygnując. Nie miałam już znaczenia i nie miałam żadnych szans.

# DAGMAR: VIII

## ...FAŁSZYWE ŚWIADECTWO BLIŹNIEGO

Już od kilku miesięcy mieszkałam w Calehm, jednak Arlena była jedyną osobą, z którą utrzymywałam regularne kontakty. W innych ludziach, z którymi się zetknęłam - nie było ich wielu - nie zauważyłam niczego szczególnego, może z wyjątkiem dość powszechnego upodobania do wegetarianizmu, zauważalnego zwłaszcza na przyjęciach u nowych znajomych Joachima. Jednak nie przywiązywałam wówczas większej uwagi ani do tego faktu, ani do innych związanych z życiem towarzyskim w Calehm. Nadal brakowało mi ochoty na bliższe poznawanie kogokolwiek, jakbym była tu przejazdem.

Natomiast z niekłamaną przyjemnością poznawałam miasto. Na chodzeniu po nim spędzałam długie godziny, przyglądałam się mu, próbowałam zrozumieć i szczerze podziwiałam, gdyż było tego warte. Gdy Joachim pracował - a pracował właściwie bezustannie - wypuszczałam się na długie wędrówki, bawiąc się w odkrywanie nowych zakątków. Wbrew namowom mojego męża nie kupiłam, ani nie wzięłam w leasing samochodu, przechodząc na stronę użytkowników miejskiej komunikacji, która w Calehm funkcjonowała sprawnie jak nastrojony instrument. Czasami korzystałam z taksówek, aczkolwiek najbardziej lubiłam autobusy, nieprzepełnione i wygodne, zaaranżowane indywidualnie, jakby każdy z kierowców traktował wóz jak swój własny. O tym, że autobusy należą do ciekawostek Calehm wiedziałam już wcześniej; niejedno znane cza-

sopismo ekscytowało się taborem komunikacyjnym, którego nie obowiązuje ani konkretny kolor, ani nawet jednolitość tablic z numerem linii. Na szczęście swoboda ta nie dotyczyła porządku wytyczonych z artyzmem tras autobusowych.

Znalazłam sobie nową zabawę: wsiadałam do przypadkowego autobusu, by przejechać dwa lub trzy przystanki, po czym ruszałam przed siebie, nie wcześniej niż na skrzyżowaniu ulic wybierając kierunek dalszej drogi. Za każdym razem udawało mi się odnaleźć nowy powód do zachwytu, jednak największy z nich przydarzył mi się w dniu, w którym, wędrując bez porządku, dotarłam przed główny portal Katedry Świętego Franciszka.

Stałam przed najznacniejszą budowlą Calehm, zjawiskiem i niespodzianką, o której mówiono, że jest zdolna oszołomić każdego. Tak stało się i ze mną: wystarczyło kilka chwil sam na sam z Katedrą, bym uległa jej urokowi. Zaskoczyła mnie, zachwyciła i nieodwołalnie zaczarowała. Nie pomogło mi to, że po niezliczonych kilometrach, które wydreptałam po ulicach miasta oraz godzinach poświęcania uwagi jego fenomenalnej zabudowie, uważałam się za wstępnie oswojoną z jego architektoniczną siłą. W obliczu Katedry Franciszka całokształt moich impresji - próby ocen, małe zachwyty i amatorskie recenzje, wymieszały się w drobną kaszkę niecelnych wyobrażeń. Zabrakło mi określeń i porównań, ponieważ jej doskonałość okazała się nieprzetłumaczalna na słowa.

Przepełniona uniżonym podziwem krążyłam wokół Katedry i usiłowałam pojąć koncepcję, według której ją zbudowano. Nie wiedzieć czemu przypominałam sobie słowa mojej matki: w obliczu rzeczy wielkich miłość własną uratować może jedynie szczerzy podziw. Czy miała na myśli wielkich ludzi? W mojej zadartej ku najwyższej dzwonnicy głowie nie było jasności - czułam najgłębszy szacunek dla geniuszu twórców tej budowli i jednocześnie adoro-wałam ją samą, skończone dzieło, emanujące wyrazistą aurą, jak-by było żyjącą, obdarzoną duszą realną postacią. Moje nieskoordynowane rozmyślenia podsumował znajomy głos:

- Przypomina duże zwierzę, prawda?

Odwrociłam się powoli: za moimi plecami stała Arlena.

Nie zdziwiłam się na jej widok. Jej charakterystyczna sylwetka już przed kilkunastoma minutami mignęła mi za jednym z czterech potężnych rogów katedry. Uznałam to jednak za pomyłkę i powróciłam do kontemplacji symetrycznych elementów budowli, rzeczywiście przypominających łapy futurystycznego zwierzęcia.

Teraz, jak przyłapaną na gorącym uczynku, uciekałam się do samoobrony:

- Czy to aby nie jest zbyt banalne? - powiedziałam, usiłując skrzywić się prowokująco. - Katedra Świętego Franciszka alegorią zwierzęcia?

Usta Arleny drgnęły; trafiłam celnie.

- Nie daj się zwieść pozorom, droga Dagmar - odpowiedziała, powoli składając słowa. - Nikt tu nie naśladował Sfinksa.

- Sfinks jest kobietą.

- A święty Franciszek był ascetą.

- Czego już nie można powiedzieć o jego świątyni w Asyżu... - stwierdziłam uszczypliwie. - Jednak wasza Katedra bije ją na głowę swoją przerażającą pysznością. Żeby nie powiedzieć - pychą.

Arlena posłała Katedrze przyjazne spojrzenie. Było pełne dumy i trudnej do sprecyzowania tęsknoty.

- J e s t pyszna, to prawda - przyznała otwarcie. - J e j sklepienie to najczystsza pieśń gotyku. Natomiast jeśli chodzi o te cztery... łapy, nikt w Calehm nie ceni sobie porównywania ich ze zwierzęcymi. Choć wszyscy uważamy je za mniej obraźliwe od porównań z wieżą Eiffla.

Roześmiałam się. Według mnie cudowna Katedra, mimo swej ewidentnie gotyckiej smukłości, ryzykownie klasycystycznych kolumn i nowoczesnego, mlecznobiałego przeszklenia okiennych otworów, które aż prosiły się o barwne witraże, była przede wszystkim futurystyczna. Świetnie nadawałaby się na miejsce akcji filmów fantasy albo science fiction.

- Nie pomyślałam o tym - powiedziałam, trzymając się ironicznej przekory. - Ale skoro już mi podpowiedziałaś... Rzeczywiście, ta szeroka kwadratowa podstawa... Na czterech łapach...

- Nie - przerwała mi stanowczo. - Wierz mi, Katedra w Calehm i wieża Eiffla nie mają ze sobą punktów stykowych.

- Dlaczego się tak oburzasz? Jest po temu jakiś powód?

- Nie.

- Mam na myśli jakiś inny powód niż wasza słynna calehmska ksenofobia?

Arlena zatrzymała wzrok jakieś dwa centymetry nad moim czołem.

- Właściwie nie - odpowiedziała spokojnie.

Zajęłyśmy miejsca na surowej ławie przy jednym z drewnianych stołów. Dzięki ustawieniu ich w rozrzutny wachlarz, przed wszystkimi gośćmi czekającymi na kawę i dziwne w smaku sojowe ciasteczka - ja k się dowiedziałam, specjalność lokalu - rozpościerał się urokliwy widok na zakole rzeki. Kawiarnia, do której zaprosiła mnie Arlena, mieściła się na tarasie jednej z części Katedry Świętego Franciszka.

- Naprawdę sądzisz, że zaliczyliśmy już aż dwa przykazania?  
- zapytałam.

Zamiast kontemplować obraz rzeki, rozglądałam się dookoła. Pierwszy raz w życiu zaproszono mnie do kościoła na kawę i ciastka.

- Chyba tak - odrzekła Arlena. - Anioł nie zaprotestował.

- I nie buntował się, że zaczęłam od końca?

Spróbowałam zażartować, nagle zażenowana wspomnieniem nazbyt długiej spowiedzi. Jednak, trochę się sobie dziwiąc, wcale się jej nie wstydziłam. Opowiadanie mrocznego epizodu wypadło inaczej niż wówczas, gdy przekopywałam się przez niego podczas szpitalnej terapii. Mogłam o nim mówić - lepiej, lżej, z pewnością pełniej. Relacjonując go Arlenie - ku memu wielkiemu zaskoczeniu - zupełnie dobrze się w nim czułam.

- A dlaczego zaczęłaś od końca? - spytała poważnie.

- Nie wiem.

Moja odpowiedź była szczerą i absolutnie prawdziwą. Usłyszawszy ją, Arlena uśmiechnęła się; błędziła wzrokiem gdzieś po wodach

rzeki, a ja czułam, że jest spokojniejsza niż wtedy, gdy poznawałyśmy się i badałyśmy jak dwie obce istoty nieświadome wzajemnych zamiarów. Widziałam ulgę na jej rozluźnionej twarzy i, nawet nie znając przyczyny - nadzieja na spełnienie ułożonego planu czy fakt, że zabrałyśmy się za jego realizację? - cieszyłam się z jej wewnętrznej równowagi.

- Nie śmieję się ze mnie... Naprawdę nie wiem.

Nie chciałam burzyć nastroju, jednak niepokój o brak porządku w konsultowaniu naszych światów nadal mnie męczył. Potrzebowałam pewności, że idziemy słuszną drogą, bez skrótów i objazdów, bez wieszania anonsów na niewłaściwych słupach ogłoszeniowych.

- A jeśli to niesłuszne? - zdecydowałam się zakwestionować niezamierzoną zamianę ról. - To ty miałś przekonać mnie, nie odwrotnie.

- Jesteś pewna?

- Tak, to ty przyszedłś do mnie.

- Dopóki robimy to, czego się od nas wymaga...

- Czyli co? - spytałam.

- Stawiamy twoje życie naprzeciw mojego, a moje naprzeciw twego.

Sądząc po jej tonie, potrzebowała odpoczynku od porównań i teorii, nawet wytchnienia ode mnie. Kiedy przymknęła oczy, zrobiła to inaczej niż zwykle - jakby niczego nie nasłuchiwała, lecz uległa pokusie na zwyczajną drzemkę, ułamkowy urlop na świeżym powietrzu. Nie miałam serca jej popędząć. Poprawiłam się na twardej ławie i dolałam sobie kawy, zdecydowana zaczekać, aż sama zechce się odezwać.

- Następne w kolejności byłoby fałszywe świadectwo... - powiedziała Arlena, kiedy wypitałam ostatnie kropelki z drugiej filiżanki kawy. - Czy fałszywym świadectwem było to, że Joachim wziął winę na siebie?

Spojrzałam w dół: do ziemi było bardzo, bardzo daleko.

- Fałszywym świadectwem było to, że napisano o mnie „wyleczona” - powiedziałam.

- Wtedy, w szpitalu?
- Też. To był taki... zatrważający czas.

Dochodziła druga w nocy, kiedy Dagmar obudziła się kolejny raz od chwili ułożenia się do snu późnym piątkowym wieczorem. Machinalnie wyciągnęła rękę w kierunku drugiej połowy małżeńskiego łóżka, lecz, tak jak się spodziewała, nikogo tam nie było. Gwałtowny skurcz żołądka obudził dziecko, które poruszyło się niespokojnie, wywołując kolejną falę paniki u Dagmar. Zrezygnowała ze wstania z łóżka, co robiła po każdym poprzednim przebudzeniu, kiedy podchodziła do okna i drzwi wejściowych oraz wykonywała rundę po mieszkaniu, poszukując Joachima ukrywającego się być może w kuchni, gabinecie albo w łazience. Okłamywała się wciąż na nowo, wiedząc, że wyczulona na szelesty i tak usłyszałaby, gdyby wrócił, jego kroki, odkładanie teczek, wstawianie butów do szafki czy wieszanie płaszcza. Były to dla niej przyjemne odgłosy, mniej bolesne od wystawiania butów, podzwaniania kluczkami wyjmowanymi z szuflady, wyciągania płaszcza z szafy. Stokroć lepsze od warkotu jego samochodu odjeżdżającego spod domu. Teraz w domu panowała cisza. Była zimna i wroga, a nade wszystko obojętna, jak oczy Joachima w odmianie, którą Dagmar poznała w snach, jednak realnie doświadczyła dopiero wtedy, gdy jak kometa wpadła w ich życie Edyta.

Od tamtej kolacji, po której przyrodnia siostra odjechała zamówioną taksówką, nie spotkały się ani razu. Edyta, według własnych słów „zajęta w trasie”, zadzwoniła następnego dnia, aby obojętnie podziękować za miły wieczór i fizycznie zniknąć dla Dagmar, która ze wszystkich sił właśnie tego od niej oczekiwała.

Jednak stało się inaczej: temat Edyty przybrał formę katastrofalnej wszechobecności w życiu Joachima i jego żony, która obsesyjnie wypatrywała jej na każdym miejscu i przeklinała coraz bardziej otwarcie, niczym odpornego na egzorcyzmy demona.

Z każdym dniem coraz silniej opętana Dagmar wypatrywała Edyty przed domem, w bramie wejściowej, na schodach i w śle-



dzonym przez okno samochodzie Joachima. W każdej, nawet najkrótszej nieobecności męża podejrzewała zdradę - potajemne spotkanie, które usiłowała zdemaskować kontrolnymi telefonami do biura. Coraz głębiej zapadała w szaleństwo, którego zaczynała być świadoma. Ponieważ nie odnajdywała dowodów swoich przeczuc i mimo starań nie natrafiła na żaden ślad kontaktu męża z tamtą, zaczęła myśleć o sobie, że jest wariatką. Jednocześnie zyskiwała śmiertelną pewność tego, że Joachim przestał być jej mężczyzną, pomimo że jedynym świadectwem odmiany były jego nieobecne oczy. W jego postępowaniu wobec niej niewiele się zmieniło, podobnie jak w jego czynnościach w domu oraz w pracy, w której jednak zniknął na dłużej, tłumacząc się pilnymi obowiązkami. Podobno zamierzał pozamykać najważniejsze sprawy zanim dziecko przyjdzie na świat.

- Kochanie, jesteś ostatnio dość niezrównoważona, ale to normalne w twoim stanie - nie pozwalał się sprowokować, spokojnie zaprzeczając wszelkim podejrzewaniom. - Nie widziałem twojej siostry od czasu, gdy była u nas na kolacji. Proszę, nie rozmawiajmy już o tym.

Nie kpił z niej nawet wtedy, gdy zdesperowana wykrzykiwała mu swe najgorsze obawy. Jednak był dla niej zimny, kiedy szukała czułości w jego oczach, bezskutecznie, bo nic w jego postaci nie przypominało już dawnego Joachima. Brnąc w szaleństwo, śmiała się przez łzy i parodiowała filmy science-fiction o ludziach podmienionych w cielesnej powłoce. Rozmawiała sama ze sobą, samotna w domu, z którego Joachim zniknął coraz częściej i wracał zbyt późno, by o tej samej godzinie położyć się z nią do małżeńskiego łóżka.

Kiedy wrócił w końcu do domu, wybiła trzecia. Zachowywał się cicho, co zauważyła Dagmar, wydobywając się z oparów nienaturalnego snu. Obok niej stała jeszcze na nocnym stoliku nie wiedzieć która z kolei niedopita szklanka z uspokajającymi ziołami stężo-

nymi tak, że płyn był gorzki. Gdy Joachim zamknął drzwi łazienki, zapadła ponownie w niezidentyfikowany stan pomiędzy snem a utratą świadomości, z którego zbudziła się po trudnym do określenia czasie. Nie spojrzała na budzik, zapomniawszy, gdzie jest jego miejsce, i usiłowała odnaleźć się w rzeczywistości, dotykając powiek, aby sprawdzić, czyjej oczy na pewno są otwarte.

Dzięki mocy jakiegoś tajemnego źródła wiedziała, że Joachim śpi już obok niej, jednak w pokoju pojawiły się również Skorpiony. Otepiła, zaczęła podnosić się łóżka, aby zaproponować im coś do zjedzenia. *Jest za późno na kolację*, powiedział kpiąco ojciec, *lepiej się położyć*. I rzeczywiście skierował się w stronę łóżka zajmowanego przez Joachima, podczas gdy Ewa, jego kpiąca połowica, śmiała się, siedząc w fotelu, i poprawiała długą, czerwoną suknię, w której wyglądała jak postarzała o kilkadziesiąt lat Edyta.

- Odejdźcie stąd - powiedziała cicho Dagmar, nie chcąc budzić Joachima. - To jest mój dom. Nie macie tu nic do szukania, tu wszystko jest moje.

Czerwona płachta błysnęła jej przed oczami, jakby suknia Edyty miała opleść jej głowę i pozbawić oddechu, więc wyszarpnęła się z nieoczekiwaną siłą. Dziecko w jej brzuchu skuliło się w twardą kulkę.

- Odejdź stąd - powtórzyła szeptem w kierunku krzesła zajmowanego przez znieawidzoną kobiecą postać - drugi raz ci się to nie uda.

Poduszką zerwaną z łóżka Dagmar przycisnęła roześmiane usta tamtej. Drugą ręką przytrzymała jej czarne włosy, jednak nie czując oporu, uznała, że przeciwniczka zasnęła. Minęły długie minuty i nic nie drgnęło pod poduszką, jakby dusiło się pod nią dziecko - wstrętne, groteskowym żartem przysposobiona siostra albo słabe i bezbronne niemowlę. Zadowolona z dzieła Dagmar odrzuciła poduszkę i, oddychając płytko, ruszyła w stronę łóżka. Walcząc z nawracającą sennością, pamiętała jedynie, że idzie do swego małżeńskiego łóżka. Po drodze, która wydała się nieskończenie długa, dostrzegła stojącą na wysokiej półce figurkę indyjskiego bożka. Był wyciosany z ciężkiego kamienia i nieporęczny; sięgnęła po niego,

jednak minęło sporo czasu, zanim udało się jej go dosięgnąć. Krew niebezpiecznie pulsowała jej w skroniach, mimo to poczuła ulgę, kiedy bożek jak wezwana pomoc znalazł się w jej dłoni. Poruszyła się, jednak jeden krok wystarczył, by poślizgnęła się na brunatnej wilgoci, którą rozdeptała ze złością, uznając ją za rzucony na podłogę tren czerwonej sukni. Pośpieszyła do śpiącego w łóżku mężczyzny i, nie odważając się odsłonić przykrywającego go koca, na oślep uderzyła go figurką. Potem jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze, aż rozbłysło światło, które odparowało kolejny cios.

Dagmar otworzyła oczy, lecz jej wzrok natrafił na gęstą, siwą mgłę. Nie zainteresował jej głos, którego i tak nie potrafiła zidentyfikować. Zadała sobie pewien trud, nie zamykając oczu natychmiast, ponieważ spodobały się jej opary mgły spowijającej ją tak dokładnie, że nic innego poza nią nie istniało. Gdyby nie ten głos, coraz bardziej natarczywy i nieprzyjemny, mogłaby przypuszczać, że jest częścią tej mgły, która zaczęła przybierać malownicze formy fal, zawijasów i pulsujących punktów. Kształty uspokajały ją, przypominając jasne włosy jakiejś nieznanej, dobrej kobiety. Jednak Dagmar nie potrafiła rozwinąć i określić obudzonej w głowie myśli. Pozostała tak kilka minut, nie widząc pochylonych nad sobą twarzy, i zamknęła oczy, kiedy mgła obsunęła się niżej, oblepiając jej powieki i usta.

- Dagmar - powtórzyła ubrana na biało pielęgniarka - czy pani mnie słyszy?

Po chwili przerażenia przelotną myślą o tym, że mgła zajmuje miejsce powietrza, Dagmar odetchnęła z ulgą i ponownie zapadła w sen.

- Zostawmy ją - powiedział lekarz.

Lekarze i pielęgniarki opuścili separatkę. Ordynator zlecił zastrzyki, a jedna z pielęgniarek poszła po nową kroplówkę - kolejną, która miała spłynąć w żyły znieruchomiałej Dagmar, nie reagującej na otoczenie i nie przyjmującej pokarmów ani płynów. Pozostali zatrzymali się w szpitalnym korytarzu.

- Dzwonił jej mąż - powiedział jeden z młodszych lekarzy.  
- Co z nim? - zapytał ordynator.  
- Twierdzi, że wszystko w porządku. Został wypisany z oddziału i pytał, czy może ją zobaczyć.

- Zgodził się pan?

- Tak... Myślę, że nie ma przeciwwskazań. Czy może - przestraszył się nagle asystent, co jednak usiłował ukryć - pan ordynator jest innego zdania?

- Ależ nie. To nawet byłoby wskazane. Oczywiście zakładając, że wersja męża jest prawdziwa.

- Właśnie - wtrąciła się jedna z lekarek - kolega z Izby Przyjęć powiedział, że nie wierzy, aby facet sam zadał sobie podobne rany. Jego zdaniem, były to ewidentnie ciosy ciężkim narzędziem. Dlatego zawiadomił policję.

Ordynator wzruszył ramionami.

- Cóż z tego, skoro mąż twierdzi co innego? To nie nasza sprawa.

- Trochę i nasza, panie ordynatorze - powiedział niepewnie młody asystent - ponieważ komisarz policji już kilkakrotnie dzwonił z pytaniem, kiedy będzie mógł przesłuchać pacjentkę.

Poprawiając grube okulary na nosie, ordynator obrócił się w jego stronę.

- Niech pan mu powie, że nieprędko. Za miesiąc, może dwa. To jest oddział zamknięty, panie kolego, powinien być pan mu o tym przypomnieć. Skoro mąż nie złożył skargi, pan komisarz nie ma powodu, by w ogóle zajmować się tą sprawą. Jest wiele ważniejszych, i nie mówię tu nawet o moim skradzionym samochodzie, ale na przykład o zgwałconej czternastolatce spod siódemki. Jej ojciec do dziś jest na wolności. A propos, czy matka ją odwiedziła?

- Nie... - odpowiedziała pielęgniarka. - Nie było jej ani razu.

Ordynator bezradnie podrapał się po głowie.

-Ale wracając do pani Dagmar - powiedział nieśmiało asystent.  
- Właściwie dlaczego nie odzyskuje świadomości?

- Ponieważ niesprawiedliwie, w przeciwieństwie do wspomnianej rodzicielki zgwałconej dziewczynki, nie zostanie matką? - odpowiedział pytaniem ordynator.

- Przecież zapewne nawet o tym nie wie! Nie reaguje, nie rusza się, nie kładzie ręki na brzuchu, choćby nieświadomie...

- J e s t w szoku, panie kolego. Jednak po to, by zdawać sobie sprawę z utraty dziecka, nie potrzebuje ani sprawdzania dotykiem, ani naszej werbalnej informacji.

To, co powiedziała, zabrzmiało niemal lekceważąco:

- Wspomniałaś, że twój mąż nie oskarżył cię o okaleczenie... Co tu właściwie jest fałszywe? Jego zeznania? Tak naprawdę to nie ty zadałaś mu rany.

- A kto? Bożek indyjski?

- Być może.

Arlena była jak zwykle zapatrzona gdzieś daleko, jakby nie miała dla niej znaczenia miejsce, w którym się znajduje. Tak jak poprzedniego dnia na tarasie katedry wysłuchiwała początku mego opowiadania, tak teraz zmierzyła się z jego dalszym ciągiem w pomieszczeniu umownie nazwanym gabinetem. Nie wyrażała uczuć; była nieporuszona, aż zdenerwowała mnie obojętnością wobec mojego jąkania i załamania głosu, który utykał w krtani. Jednak gdy skończyłam, zaproponowała mi przerwę. Jej zdaniem, nadeszła pora, aby -według jej określenia - podzielić się przykazaniami.

- Nie wiem, czy uda mi się to tak gładko jak tobie, jednak spróbuję - oświadczyła.

Zgodziłam się skwapliwie.

- Wymieniamy się po prostu.

Przemilczałam tęsknotę za drobnym gestem pocieszenia z jej strony. Siedziałam w fotelu, natomiast Arlena skuliła się pod ścianą; jej karykaturalnie skrócona sylwetka z podciągniętymi pod brodę i schowanymi pod suknią kolanami przypominała śmieszny, duży grzyb z jasną główką. Pierwszy raz widziałam ją w podobnej pozycji, pozbawioną niewiarygodnej charyzmy i wyniosłości. Siedziałam wyżej od niej i dzieliła nas spora odległość, a ja byłabym szczęśliwa, mogąc opuścić miejsce mentora i siąść przy niej na podłodze

jako drugi, mniejszy grzybek, w samotności lasu skazany na brak przyjaciela.

- Najwięcej fałszywych świadectw jest w sztuce, moja droga Dagmar - powiedziała nagle. - Właściwie cała sztuka jest fałszywym świadectwem życia na tym świecie.

- Bo świat jest gorszy od powstałych na nim dzieł sztuki?

- Właśnie - jej nieudawana powaga nieco mnie zaskoczyła. - Ci, którzy będą go kiedyś osądzać według zastanych dzieł sztuki, uznają go za wspaniałą. Wyidealizują go, nie mając pojęcia o prawdziwym życiu, które się na nim toczyło i rzeczach, które się wydarzyły.

- To nie przyniesie nikomu szkody...

Zaprotestowała uniesieniem głowy:

- Ależ tak! Zwłaszcza jeśli ci następni mieszkańcy Ziemi będą chcieli się uczyć i uznają nasz świat za wzór do naśladowania. Poszukają nauki u ludzi, którzy byli na tyle genialni, by stworzyć wspaniałe dzieła. Nie będą wiedzieć, że ci sami ludzie stworzyli także piekło.

- Nie lubisz świata - stwierdziłam.

- Raczej człowieka... Świat istniał przed człowiekiem i z pewnością poczuje się lepiej, kiedy się go w końcu pozbędzie.

- A ty chcesz zacząć od siebie.

- Niestety, nikt nie pójdzie za moim przykładem.

Zawahałam się w obliczu jej narastającego smutku. Poczułam pokusę, by skłonić ją do zmiany tematu, jednak zrezygnowałam. W końcu wszystko toczyło się na jej życzenie.

- Powiedz mi w takim razie, co w tym wszystkim jest najgorsze. W tym piekle stworzonym przez człowieka. Chodzi ci o wojny, głód i niesprawiedliwość?

- I o podłość, obojętność, mordowanie zwierząt - odpowiadała beznamiętnie. - Transformacje miłych dzieci w złych dorosłych. Oraz o inne temu podobne rzeczy.

- Zwierzęta także mordują się między sobą.

- T a k - potaknęła niedbale. - Jednak ja urodziłam się człowiekiem. I bardzo mi z tym źle.

Poczułam nagły lęk i, poszukając bezpieczniejszego gruntu, zapytałam:

- A jeśli będziesz musiała jeszcze raz tu powrócić? Mam na myśli: urodzić się ponownie, wybrać jakiś los.

- Wybrać? Myślisz, że mogłabym cokolwiek wybierać?

- Nie wiem - powiedziałam wzruszając ramionami - o to powinnaś spytać raczej swojego Anioła.

- Według Aniołów, powrotne egzystencje nie istnieją - stwierdziła sucho. - Wiesz o tym lepiej ode mnie, rzymska katoliczko.

Pokręciłam przekornie głowę.

- Wbrew temu, co sądzisz, nie jestem zbyt dobrą rzymską katoliczką. Ale nie odpowiedziałaś na moje pytanie: jako co chciałaś się jeszcze raz urodzić?

- Nie chcę się nigdy więcej urodzić.

- Załóżmy, że musiałabyś.

Wtuliła się plecami w ścianę.

- J a k o kamień - odpowiedziała.

Nie wiedzie kiedy przybrała swój ironiczny, nieokreślony ton, którego nigdy nie potrafiłam rozszyfrować. Wiedziałam tylko, że się za niego chowa, jednak ta ograniczona wiedza nie pomagała mi w rozumieniu.

- Moja miłość urodziła się na kamieniach - mówiła kpiąco, jakby recytowała wiersz albo odczytywała graffiti ze stacji metra.

- Albo: droga do mojej miłości prowadziła przez kamienie. Albo: oboje kochaliśmy kamienie. Albo nawet: nasza miłość rozpoczęła się na kamieniu... Jak wolisz.

- Mamy więc miłość silną jak kamień - wysiliłam się na coś w rodzaju żartu. - Chociaż nie rozumiałam jaką: „twoją” czy „waszą”?

- A jeśli „waszą”, to kto jest tym drugim, prawda? - podpowiedziała Arlena.

- Znam cię jako Arlenę-całkiem-samą - wyjaśniłam. - Wspominałaś o byłym mężu, musiał więc istnieć ktoś taki. Mówiłaś również o innym mężczyźnie, jednak nie czuję przy tobie nikogo.

Pochyliła jasnowłosą głowę.

- Opowiem ci o tym - powiedziała.

# ARLENA: ...KTÓRY WYWIÓDŁ Z DOMU

Miała to być jedna z jej ostatnich podróży. Toskanię, mityczne miejsce w starej Europie, wyobraziła sobie jako magiczny krąg ceglastego koloru, oblany turkusowym niebem i spowity zapachem lawendy. Śniła o wspinaczkach w najwyższe góry, wśród których niezagasłe wulkany czekają na jej przybycie. Jednak kiedy się tam znalazła, spotkało ją rozczarowanie. Wulkany znajdowały się zbyt daleko, rośliny były tylko roślinami, nawet zapachy i kolory Toskanii nie zaskoczyły jej żadną nową nutą. Krajobrazy wydały się jej ckiwe, jak stworzone wyłącznie na tło dla hoteli oplecionych hodowlaną winoroślą. Zniechęcona i posępna udała się na poszukiwanie ostatniej deski ratunku. Znalazła ją w postaci tokańskiego marmuru, na który przelała całe zainteresowanie.

W tym zakątku Ziemi było go mnóstwo. Tokański marmur kusił tysiącami odmian - wyrafinowanymi kształtami rzeźb, posągowością kolumn, gładkością posadzek i ścian. Jednak Arlena kochała go inaczej: szczęśliwa w obliczu nienaruszonej skały buntowała się przeciwko jej rozbijaniu. Każda z form nadawanych kamieniom, przeróbka i cięcie ich na kawałki, budziła w niej gorzki sprzeciw. Kochała kamień w pierwotnej postaci i była przekonana, że odarty z chropowatości i wyprapowany do głębokich żył przestaje być kamieniem.

- Zabiera mi pani najpiękniejszy kawałek marmuru - powiedział do niej siwy mężczyzna, którego nie zauważyła w opustoszałym w południe kamieniołomie.

Odwiedzała to miejsce, odkąd przesyciła się dowodami sprawności ludzi przerabiających marmur na własne podobieństwo.



- J a k na pamiątkę z Wioch jest zbyt ciężki - dodał.

Wzruszyła ramionami. Zajęta sobą czekała, aż odejdzie i zostawi ją w spokoju.

Obcy mężczyzna nie wydawał się urażony jej milczeniem.

- Waży kilkanaście kilogramów.

Mógł być jednym z tych, którzy wycinali z marmuru kwadraty, prostokąty i toczne, obłe kule.

- Poradzę sobie - odpowiedziała bez złości, spoglądając mu prosto w oczy.

Były błękitne jak jej własne.

- A gdybym panią poprosił, by mi go pani oddała? Dokładnie wiem, co z niego powstanie.

- Co miałyby z niego powstać? - zapytała szorstko, nie spodziewając się po jego odpowiedzi niczego dobrego.

Fragment skały, który pakowała do plecaka, zabierała ze sobą po to, by nikt go w nic nie przemienił.

- Ptak. Gołąb albo kruk.

- Kruk to nic typowego dla Toskanii.

- On nie pozostanie w Toskanii.

Uśmiechnęła się lekko.

- Ma pan rację. Ten kamień nie pozostanie w Toskanii, aby nikt nie zechciał przerobić go na gołębia albo kruka. Jednak pan tego jako rzeźbiarz nie zrozumie.

- Nie jestem rzeźbiarzem - zaprzeczył siwy mężczyzna. - Jestem architektem.

- Buduje pan miasta...

- Nie - zaśmiał się - ciągle buduję tylko jedno miasto.

W upalne południe żadne z nich nie miało nakrycia głowy, jak by jasne włosy Arleny i siwe obcego mężczyzny nie potrzebowały ochrony przed żarem lejącym się z nieba. Mężczyzna wydawał się bardzo wysoki, kiedy oddalony o kilkanaście kroków od Arleny zasłaniał sobą ścianę marmuru wrywanego z łona Ziemi.

- Nie oddam panu tego kamienia - powiedziała stanowczo. - Nie oddam go panu ani nikomu innemu. Wystarczy, że odbito go od macierzystej skały. Dalej nie pozwolę go kaleczyć.

Jej słowa zdawały się go nie dziwić.

- I nie kusi pani, żeby wydobyć z niego wewnętrzne piękno?

- Nie, dopóki nie mogę zapytać go o to, czy tego chce. Poza tym - kto zaręczy, że chodzi o jego prawdziwe piękno?

- J e g o struktura, rysunek żył i gama kolorów nie ujrzą światła dziennego bez pomocy dłuta.

- To jest połączone z bólem.

- Bólem kamienia... - powtórzy! z namysłem mężczyzna, nie spuszczać z niej oczu. - A może on tego chce? Cierpieć, by ukazać doskonale wnętrze?

- Tego nie wiemy - odpowiedziała Arlena. - A ryzyko pomyłki wydaje mi się zbyt duże.

-A co z tymi wszystkim pięknymi kamieniami, po których pani stąpa, ot, choćby w tutejszych pałacach i kościołach?

- Są odarte ze skóry. Czasami wydaje mi się, że czuję ich ból.

- A drewniane podłogi?

- Drzewa płaczą, kiedy człowiek tnie je na kawałki.

- Co ze skórą butów, w których pani chodzi?

- Nie noszę niczyjej skóry.

Mężczyzna usiadł na dużym kamiennym bloku. Nadal nie przeszkadzało mu to, że słońce uparcie pali jego siwą głowę. Ściągnął z ramienia obszerny, plecak, podobny do tego, w który Arlena zapakowała kamień. Wyjął z niego butelkę wody oraz dwa zielone jabłka.

- Nie zrywałem ich - zapewnił ją z uśmiechem. - Przysięgam pani, że same spadły z drzewa. Miałyby pani ochotę zjeść je ze mną na obiad?

W hotelu na skale, w pokoju z rozwartymi okiennicami i szmerzącymi firanami z muślinu, w którym powiewał rytm morskiej bryzy, Arlena i Oloff połączyli się w jedno. Upływały godziny zmęczonego, upalnego popołudnia, zmieniały się odgłosy dochodzące zza okna. Do pobliskiego portu powróciły łodzie, miejscowi ludzie podnieśli się

z ceremonialnej sjesty i usiedli na tarasach do filiżanek espresso, którego aromat wymieszał się z zapachem morza. Niedługo później wygrzebieli z pensjonatów i hoteli goście, z ulgą smakując powietrze, które przestało palić w nozdrza. Wszyscy oczekiwali zachodu słońca, a kiedy nadszedł, pyszny w swej nadmorskiej urodzie, powitali go, wznosząc kieliszki anyżówki lub czerwonego wina. Do pokoju na piętrze wdarł się przez okno zapach smażonych w oliwie ryb i pomidorów.

- Jesteś śliczna - powiedział mężczyzna, odsuwając się na odległość łóżka i opierając o żelazne wezgirowie.

Był nagi i cały lśnił od potu. Jego siwe włosy nabrały w półmroku niebieskawego połysku, nadając mu wygląd przybysza z innej planety. Arlena skuliła się w kłębek po drugiej stronie łóżka. Smutek sięgnął już jej serca i właśnie zaczynał owijać ją całą, jakby chciał zająć miejsce płataniny długich włosów. Oloff dostrzegł go, jednak nie ruszył się z miejsca.

- Nie... - powiedział z uśmiechem. - To niepotrzebne.

Jednak ona zamknęła oczy i schowała twarz w prześcieradle. Dopiero wtedy przysunął się do niej i wziął ją w ramiona. Odgarniając włosy z jej twarzy cichym głosem obiecał:

- Nigdy już się nie rozstaniemy. Zabiorę cię ze sobą.

Jego słowa, łagodne jak kołysanka, były pełne mocy.

- Zabiorę cię do innego świata, w którym będziesz się czuła bezpiecznie. Już nie będziesz samotna, koniec z twoimi lękami. Tam, gdzie pojedziemy, spotkasz wielu takich jak ty oraz innych, którzy, choć niepodobni, też będą cię rozumieli. Nikt nie będzie z ciebie kpił i nikt nigdy cię nie zrani.

- Takiego miejsca nie ma - zaprotestowała cicho, wiedząc, że i tak pójdzie za nim wszędzie.

- Wierz mi, że istnieje. Jedyne na całym świecie. Jest osobnym światem - lepszym od prawdziwego.

Oloff nie zamierzał zabierać Arleny jak złodziej i nie zgodził się, by opuściła swój świat po kryjomu. Chciał, by pożegnała się z wszystki-

mi i nie powstrzymały go jej wyjaśnienia dotyczące czysto formalnych rodzinnych powiązań, w tym od dawna wiszącego na włosku małżeństwa. Tłumaczyła mu, że swym odejściem sprawi tylko radość mężczyźnie, który wprawdzie ożenił się z nią z miłości, jednak gdy ta wygasła, ciągnął niedobry związek ze zwykłego emocjonalnego lenistwa. Oloff nie dał się przebłagać i dopilnował, by umówiła się na wizytę u rodziców, którzy zarezerwowali dla niej czas, nie wiedząc, że przyjdzie z kimś innym niż mężem. Nie przygotowała ich na niespodziankę, mimo że miała stanąć przed nimi jako kobieta prawie rozwiedziona, po decydującej rozmowie z mężem, zaplanowanej przez Oloffa jako najważniejszy punkt programu pobytu w jej rodzinnym mieście.

Niepokój matki przybrał formę wyraźniejszego niż zazwyczaj chłodu okazanego córce, którą powitała u boku nieznanego mężczyzny. Założyła maskę osoby, której nic nie zadziwi; Arlena знаła jej małe ucieczki, trudne do ogarnięcia. W przedpokoju wysprzątane mieszkania czekał także ojciec, postawny, dystyngowany mężczyzna, który jakby posmutniał na widok nierównej pary. Z powodu dużej różnicy wieku trudno mu było zidentyfikować towarzysza córki, jednak dorównując grzecznością żonie, także on uprzejmie się z nim przywitał. We czworo weszli do salonu, gdzie czekała już młodsza siostra Arleny, dziewiętnastoletnia maturzystka, która natychmiast podniosła się z kanapy i wyłączyła telewizor w polowie oglądanego filmu. Przywitała się z przybytymi, wyróżniając siostrę przelotnym pocałunkiem w policzek. Poprawiając spódnicę, przeprosiła za nieobecność zatrzymanego pilnymi sprawami brata, którego Oloff znał z opowiadań Arleny.

Kiedy usiedli do stołu i matka Arleny zajęła się rozlewaniem kawy do przygotowanych filiżanek, atmosfera w salonie była już dostatecznie napięta. Przyczyną była odmieniona Arlena, zadziwiająco spokojna i pełna determinacji. Stan ten, nieznanym rodzicom, niepokoił ich i drażnił. Jednak nie pozwolili sobie na zniecierpliwienie; wdali się w rozmowę o jej urlopie, celnymi uwagami sygnalizując znajomość miejsc, które odwiedziła. Dość szybko dotarli do punktu jej spotkania z Oloffem - akurat w chwili, w której ojciec zaledwie coś podejrzewał, natomiast matka osiągnęła już wzmo-

żoną czujność. Stało się jasne, że to on jest przyczyną niemiłych zmian - siwowłósy człowiek, niemal równy im wiekiem, irytujący swoją trudną do określenia uprzejmością oraz nieskrywaną pewnością siebie. To przy nim emanująca dziwną, jakby wypożyczoną od niego siłą Arlena stała sięomalże obcą osobą.

- Przyszłam wam powiedzieć, że się rozwodzę - Arlena uśmiechała się, choć trudno jej było zachować spokojny ton - oraz to, że wyjeżdżam. Z Oloffem.

Ze wszystkich słuchających jej domowników jedynie siostra pozwoliła sobie na zdziwienie, choć i ona ani nie upuściła filiżanki, ani nawet nie zgubiła nabitego na widelczyk kawałka piaskowej babki. Ograniczyła się do parsknięcia nerwowym śmieszkiem, którego powodem nie były jednak rewelacje starszej siostry, ale wyraz twarzy rodziców. Zagorzałej kinomance spodobało się podobieństwo scenki do sekwencji filmowych, w których bohater przyznaje się rodzinie do wysokiej przegranej w karty, mezaliansu albo homoseksualizmu. Jednak brak dyscypliny młodszej siostry nie trwał długo, gdyż także ona stanowiła ogniwo nietypowej, ponadprzeciętnie sprawnej w opanowywaniu emocji rodziny. Przestała chichotać i ograniczyła się do obserwowania rodziców, o których wiedziała, że staną na wysokości zadania.

Nie pomyliła się. Odpowiedzią ojca na lakoniczność oświadczenia Arleny było równie powściągliwe milczenie. Tylko na krótki moment przeniósł wzrok na jej towarzysza, jednak nie otrzymawszy wsparcia w bezsłownym dialogu, powrócił do flegmatycznego picia kawy. Oddał inicjatywę żonie, która zabrała głos po chwili uzasadnionego zastanowienia.

- Czy zechciałabyś dodać może coś bliższego na ten temat? - Jej ton zdradzał osobę przyzwyczajoną do ludzkich fanaberii.

- A co bliższego chciałybyś wiedzieć?

Niekontrolowaną dawkę złości, która wymknęła się Arlenie, zauważyli wszyscy obecni, także Oloff.

- Arlena zdecydowała się wyjechać ze mną - odpowiedział za nią niskim, nieco metalicznie brzmiącym głosem - oraz ze mną zamieszkać. W Calehm.

- W Calehm? - wyrwało się zaciekawionej młodszej córce. - Pan jest z Calehm?

- Nawet je buduję - powiedział, uśmiechając się do niej.

Jego uśmiech zawstydził siostrę Arleny; zarumieniła się, wściekła na siebie za nieporadność wobec mężczyzny, który wydawał się jej karygodnie wiekowy. Skrępowana nakazała sobie milczenie.

- Nie potrzebujecie państwo martwić się o córkę i w każdej chwili możecie nas odwiedzić - Oloff przerwał ogólną ciszę. - Wyjeżdżamy za trzy dni, kiedy tylko Arlena spakuje swoje rzeczy.

Matka oglądała paznokcie, jednak ojciec odstawił filiżankę.

- Co z twoją pracą? - zapytał, zwracając się tylko do córki.

Jego żona natychmiast go poprawiła:

- Albo raczej: co z twoim małżeństwem?

Arlena odwróciła się do Oloffa, jednak nie po to, by szukać u niego pomocy. Po prostu oddała mu głos, jakby nie chciała ingerować w jego pole działania. Jeżeli do tej pory matka niedostatecznie oceniła jego wpływ na Arlenę, teraz musiała zdać sobie sprawę z oczywistości. Zobaczyła ubezwłasnowolnienie, poddanie i zależność córki od siwego człowieka, którego zaprosiła do rodzinnego stołu. Ze złością i dobrze znanym uczuciem rezygnacji matka zwróciła ku niemu twarz.

- Tym wszystkim zajmą się adwokaci - uprzejmie powiedział nieznajomy. - Natomiast mąż Arleny... On zgadza się na wszystko. Rozmawialiśmy z nim dwukrotnie.

- Ach tak? - pozwoliła sobie na bezsilną ironię matka. - Odbędziecie państwo rozmowę we troje?

- Owszem. Jak mówiłem, on na wszystko się zgadza. Według mojej oceny, był zadowolony z takiego rozwoju sytuacji.

Siostra Arleny prychnęła bezgłośnie na dowód uznania dla reakcji szwagra. Nie zdobyła się jednak na zabranie głosu, o co i tak nikt jej nie prosił.

- Nietrudno zauważyć, jak mało mamy tu do powiedzenia - plecy matki Arleny tworzyły prostą, boleśnie napiętą linię. - Arlena jest dorosła, od wielu lat od nas niezależna... I, jak się okazuje, także więzy emocjonalne w naszej rodzinie nie są dość silne, by

zechciała wziąć je od uwagę przy podejmowaniu ważnych decyzji. Także tak niespodziewanych jak dzisiejsza.

Przerwała; nie miałyby nic przeciwko temu, gdyby ktoś wpadł jej w słowo, jednak tym razem nie odezwał się ani słuchający uważnie Oloff, ani zapatrzona w niego Arlena. Nie mając wyboru, ciągnęła głosem, który zaczął drżeć:

- Cóż, pewnie powinniśmy być panu wdzięczni, że zechciał się pan nam przedstawić... Mogło być przecież gorzej: Arlena mogła po prostu zniknąć, jak to już się jej zdarzało. Znów martwilibyśmy się o nią i wyobrażali sobie najgorsze rzeczy. A tak... Zawiadamia nas, że się rozwodzi - oficjalnie, odważnie. Wyjeżdża z panem. Dowiedzieliśmy się, że jest pan architektem... Rozumiem, że jest pan wolnego stanu, skoro tak po prostu zabierają pan do siebie? Oczywiście nie musi pan odpowiadać, wiem, że nie jesteśmy upoważnieni pytać...

- Przyszedłem do państwa właśnie po to, by odpowiedzieć na wszystkie pytania - odpowiedział grzecznie Oloff. - Ja także jestem ojcem.

- J e s t pan ojcem... - powtórzyła matka.

- Mój syn jest o cztery lata starszy od Arleny.

Matkę, która wolałaby poczuć złość, nagle ogarnęło zmęczenie. Jej wyćwiczona odporność rozpułyła się gdzieś w filiżance kawy i przez kilka sekund wydawało się, że poprosi o pomoc męża. Nie posunęła się jednak tak daleko. Wygładziwszy spódnice, wyprostowała się na krześle. Wolno otarła usta serwetką i złożyła ją starannie w kwadrat. Wiedząc, że wszyscy przy stole ją obserwują, podniosła głowę i przywołała na usta dzielny uśmiech.

- Dziewczęta - zwróciła się do córek - czy mogę poprosić was o sprzątnięcie ze stołu i pozmywanie?

- Zmywarka się popsowała?

Matka odłożyła serwetkę.

- Tego serwisu nie wkładamy do zmywarki - uśmiechnęła się łagodnie do Arleny. - Myślałam, że o tym pamiętasz.

- Nasz świąteczny serwis wystawiony w zwykłą niedzielę... I jak mogłabym zwątpić w siłę twojej intuicji, mamó?

W słowach Arleny nie było wrogości, co matka natychmiast zauważyła. Wyciągnęła dłoń i pogłaskała córkę po policzku.

- Wolałabym, by moja intuicja dawała mi konkretniejsze znaki - wyznała. - Chciałabym zamienić parę słów z panem Oloffem, jeśli się zgodzisz.

Niepokonana Arlena lekko wzruszyła ramionami:

- Co zmieniliby, gdybym się nie zgodziła?
- Oraz jeśli pan nie ma nic przeciwko temu.

Matka nadal uśmiechała się w ten sam zmęczony i uprzejmy sposób.

- Jestem do pani dyspozycji - odpowiedział Oloff, skłaniając przed nią głowę.

Ojciec Arleny palił fajkę. Przesiadłszy się na fotel pod oknem, przyjął pozycję bezstronnego obserwatora, który zna temat czekającej na rozpoczęcie rozmowy. Pod pewnymi względami Oloff był do niego podobny: w ten sam sposób okazywali spokój oraz swą trzymaną w korbach dobrego wychowania obojętność. Byli mniej więcej w tym samym wieku - dwaj mężczyźni, z których jeden był ojcem, drugi kochankiem tej samej kobiety. Także z tego powodu jej matka czuła się pomiędzy nimi niezręcznie.

- Proszę mnie skorygować, jeśli się w czymś pomylę - zastrzegła. - Jesteśmy wszystkim bardzo zaskoczeni.

Oloff uśmiechnął się.

- Proszę mi wybaczyć, ale nie odnoszę takiego wrażenia.

Matka przechyliła głowę i, zmuszając się do odwzajemnienia uśmiechu, powiedziała:

- Mam na myśli to, że jesteśmy zaskoczeni rodzajem niespodzianki, ponieważ do nieobliczalności czy też gwałtowności jej poczynań rzeczywiście zdążyliśmy przywyknąć.

- Arlena jest niezwykłą osobą - powiedział grzecznie Oloff.
- Nie wiem, czy jest pan zorientowany, jak dalece jest niezwykła...
- Sądzę, że potrafię to sobie wyobrazić.
- Otóż, nie jestem tego pewna - zaprzeczyła matka, szukając w jego wzroku czegoś, co ułatwiłoby porozumienie. - Dopiero co się poznaliście, to niemożliwe, by wiedział pan o niej wiele.



Ani wyraz twarzy, ani spokojny głos Oloffa nie uległ zmianie, gdy odpowiedział:

- Nie chciałbym, aby moje słowa zabrzmiały arogancko, ale nie potrzebuję wiedzieć o Arlenie niczego ponad to, co już wiem.

Matka wyprostowała się mimowolnie.

- Zagrajmy w otwarte karty - powiedziała trochę zbyt smutno. - Jesteśmy jej rodzicami. Nawet jeśli jest dorosła i nie możemy przeciwdziałać jej szalonym pomysłom, nie przestajemy się o nią martwić. Arlena nie jest całkowicie samodzielna, nie ma nawet prawdziwego zawodu. Ima się różnych zajęć i nigdzie nie zagrzewa miejsca. Ona... ma wielkie problemy w nawiązywaniu kontaktów. Oraz w utrzymywaniu kontaktów... wszelkich kontaktów. Jedynym, który udawało się jej dotychczas utrzymać, było jej małżeństwo, i moim zdaniem, działa się tak dlatego, że jej mąż jest rzetelnym człowiekiem. Zaakceptował jej naprawdę trudne strony... Cechy jej charakteru, które wielu nazwałoby chorobą.

- Dlaczego pani mi to mówi?

- Mój zięć na wiele się zgodził. Natomiast pan, nie znając Arleny, chce zabrać ją z jej środowiska - i od nas. Kiedy to wszystko pana przerosnie, odeśle ją pan z powrotem.

- Ma pani tu na myśli - jak to pani wyraziła - cechy jej charakteru, które wielu nazwałoby chorobą?

- Właśnie to. Nikt tego nie wytrzyma.

- A państwo?

- My jesteśmy jej rodzicami.

- J e j mąż?

- To wierzący człowiek. Ożenił się z nią na dobre i na złe.

- Dziwię się więc, dlaczego tak skwapliwie z niej rezygnuje. Czyżby jednak go to przerosło?

- Zapewne tak - odezwał się ojciec Arleny ze swej pozycji w oddalonym od stołu fotelu - jednak on nigdy nie odszedłby od niej pierwszy. Do końca zapewniłby jej byt. Wyjeżdżając z panem, nasza córka przekreśla wszystko.

- Zapewniłby jej byt, nawet gdyby chodziło o sfinansowanie pobytu w klinice psychiatrycznej?

Rodzice wymienili spojrzenia.

- Nie wiem, jak dalece Arlena wprowadziła pana w szczegóły...
- Nie potrzebowała tego robić - przerwał matce Oloff i uczynił to po raz pierwszy, jakby rozmowa zaczęła go nudzić. - Powiedziałem już, że wiem i rozumiem wystarczająco wiele. To wystarczy, bym zaopiekował się państwa córką. Ja także zapewnię jej byt.
- Dopóki będzie to panu odpowiadało - powiedział ojciec.
- To będzie mi odpowiadało.

Z kuchni od dawna nie docierały już odgłosy przestawiania naczyń, pomimo to wiadomo było, że żadna z córek nie pojawi się w salonie przedwcześnie. Pozostawionych w nim troje obcych sobie ludzi wytrwale prezentowało dobrą wolę, jednak mozolny dialog zaczynał im ciążyć. Rodzice Arleny czuli się źle we własnym domu, jakby odebrano im pozycję gospodarzy. Zatem sknili do spokojnego wieczoru, aby w samotności móc przyznać się do frustracji.

- Proszę mnie wysłuchać - powiedziała matka, uniesioną dłońią uprzedzając nowy protest Oloff'a. - Przez wiele lat przykładaliśmy starań do tego, by Arlena prowadziła normalne życie. Aby żyła na tym świecie i czuła się dobrze wśród ludzi. Od dziecka była trudna, nadwrażliwa, wyalienowana... Histeryczna. Miała kłopoty w szkole i w każdym nowym miejscu, w którym się znalazła. To nie ja pierwsza zaprowadziłam ją do lekarza, stało się tak na żądanie nauczycieli. Nigdy nie wykryto u niej niczego konkretnego poza chorobliwą nadwrażliwością. Nie pomogła terapia, wyjazdy na obozy dla trudnych dzieci, nawet środki farmakologiczne. Jako dziecko mdlała podczas wiadomości telewizyjnych, słysząc o wojnie. My zrezygnowaliśmy z telewizora, jednak nikt nie zwolnił Arleny ze szkoły, gdzie mała wojna odbywa się codziennie, między normalnymi dziećmi, które popychają się, krzyczą i czasem się biją. Nasza córka przepłacała to napadami bezdechu. Najdrobniejsze rzeczy - spojrzenie, gest, słowo, odbierała jako krzywdzące. Dla Arleny cały świat był i jest tragedią. Któryś z lekarzy, zapewne żartem, określił jej stan jako „alergię na świat”. Moim zdaniem, było to celne określenie. Są alergie na kocią sierść czy ukąszenia pszczoł, jednak podobnych alergenów można unikać. Istnieje na-

wet alergią na światło dzienne, ale także z nią, poświęcając odpowiednio dużo wysiłku, można sobie poradzić. Można zamknąć się w wyizolowanym pomieszczeniu, na przykład w piwnicy...

W przypadku Arleny jest trudniej, gdyż dla niej alergenem jest wszystko, co istnieje. Jakby spotkały się w niej wszystkie alergię naraz - na jedzenie, picie, obrazy i dźwięki... Ona nie zgadza się na świat, na życie, na człowieka. Wiem, że do dziś z tego nie wyrosła. Nasza córka cierpi z powodu zabijanych i trzymany w niewoli zwierząt, bitych dzieci, głodu i powodzi, zatruwania Ziemi spalinami, sztucznej regulacji rzek.... Tego nikt nie jest w stanie znieść.

- Ja jestem w stanie to znieść.

Oloff patrzył jej prosto w oczy. Pomimo podobieństwa wieku dostrzegła tysiące różnic dzielących go od jej milczącego pod oknem męża. Nie wiedziała jeszcze, na czyją niekorzyść.

- Zniosę wszystko lepiej niż pani i ojciec Arleny, nie mówiąc już o jej mężu - oświadczył Oloff. - I nigdy nie będzie to uciążliwe. Dlatego, proszę mi wierzyć, związek ze mną jest dla Arleny najlepszym rozwiązaniem.

Już przed przyjazdem do Calehm Arlena tkwiła w stanie porównywalnym z transem, jednak nie samo miłosne zauroczenie było jego przyczyną. Obok fascynacji Oloffem pojawiło się w niej odkryte dzięki niemu poczucie bezpieczeństwa oraz coś, co na własne potrzeby nazwała „zaopiekowaniem”. Była nasycona szczęśliwą energią, a instynkt podpowiadał jej, że w bukiecie nowych okoliczności jej miłość wspiera solidne zaplecze odpowiedzialności i troski. Powierzała swój los ledwie poznanemu mężczyźnie, czując, że przyjemnie smakująca ufność nie zagościła w niej bez powodu.

Przeprowadzka do Calehm, wszystkie jej formalne strony, a nawet drobne kłopoty związane z likwidacją małżeństwa, przepłynęły obok niej. Była jedynie fizycznie obecna w paru wyznaczonych miejscach, w których podpisywała potrzebne papiery, poza tym dryfowała za Oloffem jak nieożaglowana łódka uczeplona do wielkie-

go okrętu. Nie zadawała mu pytań, gdyż nie było niczego, czego chciała się dowiedzieć. Pozostawiała jedno życie za plecami i nie zastanawiała nad następnym. W czasie, w którym Oloff załatwiał jej sprawy, ona wykorzystywała swój urlop od codzienności.

- Czy to możliwe, że twoje Calehm znajduje się na końcu świata? - zapytała Oloffa, kiedy podczas trwającej wiele godzin podróży samochodem mijali kolejne drogowskazy z malejącą liczbą kilometrów dzielących ich od celu.

- Świat jest okrągły, więc w pewnym sensie każde miejsce znajduje się na jego końcu - odpowiedział.

- To dziwne - powiedziała, śledząc wzrokiem zamazujące się paski na asfalcie - ostatnio tyle słyszałam o Calehm... Moja siostra twierdzi, że jest jednym z najświęniejszych miejsc na świecie. Podobno przyjeżdżają do niego wycieczki, jak do Paryża czy Berlina... Nawet mama znalazła jakieś zdjęcia w gazetach.

- Ludzie pielgrzymują do różnych miejsc, na przykład do nieważnej miłośnicy o nazwie Lourdes. Rok w rok zjeżdżają tam niezliczone tłumy turystów.

- Pielgrzymów! - poprawiła go ze śmiechem. - I jeżdżą nie do miłośnicy, ale do cudownej wody, która znajduje się w Lourdes. Gdyby było inaczej, to miejsce znalazłyby jedynie najbliżsi sąsiedzi.

Po Oloffie, który całą drogę sam prowadził samochód, nie było widać zmęczenia:

- Do Calehm ściągają turyści, których zwabia jego zewnętrzna forma - powiedział. - Przyjeżdżają do nas obejrzeć budynki, jedzą gdzieś obiad, odbywają przejażdżkę po rzece, wieczorem natomiast idą do któregoś z klubów lub oglądają nasz grany od trzech lat ciągle ten sam musical. Resztę nocy spędzają w hotelu i wracają do siebie ze świadomością zaliczenia kolejnego ciekawego miejsca.

- To chyba dobrze?

- Tak, z pewnością. Wielu ludzi z tego żyje.

- A ty, budując nowy dom, myślisz o tym, by podobał się turystom czy wam, mieszkańcom Calehm?

Oloff uśmiechnął się. Miał szaroniebieskie oczy o zimnym, stalowym odcieniu. Kiedy się śmiał, migotały w nich szafirowe płomy-

ki żywe tak, jakby chciały przeskoczyć na gęste brwi, które ciemnymi liniami przecinały jego twarz. Brwi te zuchwale kontrastowały z siwymi włosami, jakby należały do dwóch ludzi.

- Wszystko, co powstanie w Calehm, spodoba się również turystom. Nikt z nas nie bierze obcych pod uwagę.

Arlena zmarszczyła swe dwudziestopięcioletnie czoło, na którym pierwszy raz pojawił się grymas wątpliwości.

-A ja? Jak długo ja będę obca?

Ponownie uśmiechnęła się do niej, rozpraszając jej obawy:

- Zabieram cię do domu.

Wysłuchałam opowieści Arleny w gabinecie; obserwowałam ją z fotela, podczas gdy ona siedziała po turecku na kanapie. Czułam się skrępowana, a panująca między nami cisza była dłuższa niż podczas zwykłych spotkań nazwanych kiedyś przez Arlenę „aniołowymi”. W końcu to ona podniosła na mnie oczy i pozbawionym emocji głosem powiedziała:

- Odezwij się wreszcie. Powiedz: „Jak banalnie to wszystko brzmi”.

- Byłaś bardzo młoda - odpowiedziałam, broniąc się - i jeśli była to miłość od pierwszego wejrzenia...

-Miałam dwadzieścia pięć lat i byłam już mężatką - zaprzeczyła. - I nie miłość do Oloffa była wtedy najważniejsza.

- Nie miłość? A co?

Wyprostowała plecy i przeciągnęła się jak ktoś zmęczony monotoną pracą. Przed udzieleniem mi odpowiedzi - zanim do niej doszło, minęły kolejne minuty ciszy - nie zapomniała o zamknięciu oczu.

- To, że on mówił prawdę. Głęboko w sobie czułam, że każde jego słowo jest prawdziwe, jednak moja racjonalna część widziała to, co ty: uwiedzioną przez starszego mężczyznę dziewczynę, która daje się zwabić na nierealne obietnice i rusza w nieznaną, pozostawiając wszystko za sobą.

- I co się okazało?

- Okazało się - zawałała się Arlena badawczo patrząc mi w oczy
- że wszystko było prawdą.

Rozłożyłam ręce, ale ona uzupełniła:

- Choć zupełnie inaczej niż mogłam się spodziewać.

Długo oczekiwałam, że jeszcze coś mi wyjaśni, dokończy urwane w pół słowa zdanie, jednak nie zrobiła tego. Milczała tak długo, aż zaczęłam wiercić się na swoim miejscu. Dopiero wtedy zareagowała na moją obecność, jakbym właśnie pojawiła się w pokoju.

Wyprostowała się i jej twarz zajaśniała w strumieniu światła zza okna, w które instynktownie wkomponowała się nieoczekiwanym ruchem. Znieruchomiłam zaskoczona, pierwszy raz widząc ją tak piękną, wolną od arogancji i zniechęcenia. Pomyślałam, że tak właśnie musi wyglądać, kiedy otula się jednym ze swych dobrych snów, o których zechciała mi opowiedzieć. Nie chcąc jej ponaglać, zafascynowana milczałam, gotowa czekać bardzo długo. Nie wiem, ile czasu upłynęło, zanim podjęła swoją opowieść:

- Naprawdę poczułam się jak w domu, Dagmar, dokładnie tak, jak przepowiedział Oloff. Przez długi czas byliśmy tylko we dwoje, ale zdarzało się, że Oloff opuszczał mnie na całe tygodnie, a wtedy pozostawałam sama, tak jak ty teraz. Jednak nigdy nie czułam się samotna. Nie spieszyło mi się do niczego, nie żałowałam czasu, który mijają, bo wydawało mi się, że moje bezpieczne życie nie będzie miało końca. Wszystko wokół mnie było spokojne, toczyło się wolniej niż dotychczas. Jak ty wędrowałam po mieście, obserwując ludzi i miejsca... Byłam szczęśliwa. Czułam, że do nich należę - do Oloff'a, który stał się niemal moim bogiem, i do Calehm, mojego raj. To miasto zaopiekowało się mną, czuwało nade mną od pierwszej chwili, w której udzieliło mi schronienia i obrony. Było moim przyjacielem.

- Byłaś zakochana - rzuciłam cicho, nie chcąc jej płoszyć. - Po prostu byłaś zakochana.

Kiedy przyszła do mnie po kilku dniach, nie czułam się dobrze. Od jej ostatniej wizyty trwałam w nastroju nudnej beznadziei. Moje

mieszkanie wydawało mi się puste i zimne, jakby nie było miejscem stworzonym dla człowieka. Sterylność ścian i podłóg, tak przeze mnie podziwiana, wysysała ze mnie resztki ciepła.

Na przyjęcie Arleny sparzyłam herbatę i z ciepłymi filiżankami w rękach zajęłyśmy umówione miejsca. Nie spodziewałam się niczego dobrego na ten dzień, więc kiedy zapytała mnie o samopoczucie, odpowiedziałam wykrętem. Nie otrząsnęłam się jeszcze z jej poprzedniej opowieści, która sprawiła, że wpadłam w łapy uczucia zbyt blisko sąsiadującego z zazdrością. Wygrzebało się ze mnie, kiedy niemal wbrew woli zajrzałam do swego emocjonalnego pamiętnika i przypominałam sobie własne zakochania. Porównanie wypadło na moją niekorzyść - rozkładałam wspomnienia na sceny, a sytuacje na drobiny chwil, jednak nie pojawił się we mnie nawet ślad podniecenia, a z pamięci nie wychynął choćby nikły odblask euforii. Za to wszystko czułam żal do Arleny, ponieważ jej pamięć pełna była radości.

Nawet jeśli jej Anioł miał powody do zadowolenia z naszego zadziwiająco pilnego porównywania losów, mnie ogarniał niepokój. W jego przedsięwzięciu przestałam dostrzegać korzyści dla siebie. Czułam narastające niebezpieczeństwo; wydawało mi się, że zamiast zyskiwać w tej grze nowe argumenty zdolne przekonać Arlenę do życia, ryzykuję utratę już posiadanych. Ciągle miałam przed oczami jej obraz, kiedy rozjaśniła się wspomnieniem wielkiej miłości - jeżeli euforia taka jak ta mogła zakończyć się fiaskiem, czego ja, pozbawiona uniesień Dagmar, mogłam spodziewać się od życia?

Przypuszczam, że właśnie tamtego dnia - czyli względnie wcześniej - przestałam być obiektywnym słuchaczem i zaczęłam śledzić historię Arleny zazdrosna o przeżycia, które mnie nie były dane. Pojawiły się we mnie żale i pretensje, dość podstępne, bym zaczęła uznawać się za gorszą. „Jak ty...” mawiała Arlena, a ja powtarzałam sobie, że strzela obok tarczy. Mnie przecież było gorzej - byłam samotna, nie zaproszona przez nikogo w lepsze światy, nie objęta niczyją opieką.

- Kiedy stłukłam sobie kolano na chodniku - Arlena opowiadała mi scenki z pierwszych dni w Calehm - ktoś pomógł mi wejść

do apteki. Była jasna i pełna światła. Dostałam szklankę wody, jakiś męczyzna przemył mi skórę i zakleił ranę plastrem. Jego dotyk... był opiekuńczy, lecz zarazem... zmysłowy. Niosłam go na sobie całe popołudnie, aż do czasu kąpieli, kiedy wrócił Oloff i kochaliśmy się w wannie.

Słuchałam jej nieuważnie. Od dłuższego czasu czułam, że coś rozprasza moje myśli i sprawia, że nie czuję się swobodnie. Źródło roztargnienia nie pochodziło ze mnie. Poszukując go, rozjeżdżałam się mimowolnie. Nic nie zmieniło się w ścianach, meblach, nic nowego nie zaszło w Arlenie. Nadal mówiła o sobie; ponad jej głowę spójrzałam za okno i dopiero wtedy ogarnął mnie prawdziwy strach.

- Wszyscy w Calehm byli dla mnie jak wielka rodzina.

Ktoś mi się przyglądał. Czułam na sobie obcy wzrok, który jednak nie przypominał ludzkiego. W mojej głowie rozbłysła absurdalna myśl: to Biblioteka wpatruje się we mnie.

- Pilnowali mnie, czuwali nade mną, zachowywali się tak, jakby czuli się za mnie odpowiedzialni.

W przeciągu kilku chwil słowa Arleny przestały do mnie docierać, dobiegały jak z oddali, zakłócone i niewyraźne, aż zaczęłam się obawiać, że znowu wariuję. Przywołując się do rozsądku, skontrolowałam wzrokiem Bibliotekę, tłumacząc sobie, że nie posiada oczu, a jedynie tysiące okien. W najgorszym wypadku za nimi mogli ukrywać się ludzie.

- J a k ty chodziłam bez celu po mieście - tłumaczyła mi daleka, nieświadoma mojego stanu Arlena. - W restauracjach i barach tylko na początku dziwiło mnie, że dostaję bezmięsne dania i nikt nie proponuje mi ryb. W powietrzu nie unosił się zapach krwi. Szybko przestałam się nad tym zastanawiać - po prostu cieszyłam się życiem w miejscu, w którym nie zjada się zwierząt.

Otrząsnęłam się, jakby ktoś szarpnął mnie za ramię. Nie była to Arlena, odwrócona ode mnie połową ciała, snująca swą opowieść monotonna, jakby mówiła tylko do siebie. Wstałam i pośpiesznie spuściłam żaluzje; pokój pogrążył się w półmroku, a ja poczułam ulgę.



- Nie bój się - powiedziała Arlena, nie odrywając wzroku od obrazu, który mi podarowała. - Nic ci tu nie grozi, powinnaś w to w końcu uwierzyć. Prędkiej czy później sama pójdziesz do Biblioteki.

- Ach tak? - spytałam niemal opryskliwie.

- Tylu ludzi zjeżdża tu tylko po to, by zobaczyć ją choćby z zewnątrz i zrobić jej zdjęcie, natomiast ty, mając ją pod nosem, nie zadałaś sobie jeszcze trudu, by powiedzieć jej „dzień dobry”.

- Czy to aby nie ty twierdzisz, że w Calehm nie należy się do niczego śpieszyć?

Odwrociła głowę, by spojrzeć mi w oczy. Uśmiechnęła się nieoczekiwanie i powiedziała:

- To prawda. Przepraszam cię - wstała nagle. - Wiesz co? Chodźmy do salonu.

W salonie zajęła miejsce na kanapie. Nie zezłościło jej, że ostentacyjnie lustruje jej buty i suknię z wyszukanego materiału.

- Moje buty nie są ze skóry - wyjaśniła niepytana.

- W tych nieprawdopodobnie drogich sklepach, w których kupujesz swoje rzeczy, sprzedaje się buty ze skaju?

- O, tak. W sklepach, w których kupuję, sprzedaje się wyłącznie buty ze skaju, jak ty to nazywasz. Albo z płótna.

Jeszcze raz pomyślałam o tym, że zbyt wielu rzeczy nie wiem o Arlenie i ciągle płaczę się w składance wiadomości na jej temat. Oraz że jak dziecko wciąż na nowo daję się zaskakiwać wariantami tej kompozycji.

- Ja noszę buty ze skóry - powiedziałam - a także torebki i paski. Nie przeszkadza ci to?

- Przeszkadza.

- Nie jestem też wegetarianką.

Choć pilnie ją obserwowałam, nie dostrzegłam w jej twarzy niczego nowego. Oczywiście, zamknęła na krótko oczy.

- T a k, wiem. Nie jesteś wegetarianką, nosisz buty ze skóry. I nie tylko buty - ty masz nawet futro z norek.

Nieoczekiwanie spłoszyłam się, właściwie bez powodu. Choć słusznie należała mi się reprimenda jako dla głupiej damulki, z powodu której mordowane są zwierzęta, przybrałam pozycję obronną.

- Powinnam zapytać: skąd o tym wiesz? Nie miałam go na sobie ani razu - z powodu tego futra nigdy nie miałam czystego sumienia. - Spokojnie wisi sobie w szafie.

- Przyjechałaś do Calehm w futrze.

- I Calehm to zauważyło? - zapytałam ironicznie, nie spodiewając się bezlitośnie surowej odpowiedzi:

- O tak. Calehm zauważyło, że przyjechałaś ubrana w futro.

W jej oczach nie było złości ani agresji, nie wyglądało nawet na to, że jest mną zawiedziona. Okalał ją znajomy smutek, którego jednak nie przypisywałam sobie. Być może wynikał jedynie z szarawej pogody, która, przyprószając miasto drobną mgiełką deszczu, złagodziła ostre kontury budynków.

- Powiedz mi, proszę - powiedziałam. - Skoro jestem jedną z tych, z powodu których czujesz ból, skoro jem mięso i noszę na grzbiecie futro zamordowanego zwierzęcia, dlaczego spotykasz się ze mną? Dlaczego ze mną rozmawiasz i powierzasz mi swoje tajemnice?

Wzruszyła ramionami.

- Nie jesteś inna niż pozostali ludzie. To znaczy-ani lepsza, ani gorsza. Właśnie z kimś takim winnam mieć do czynienia.

Być może tylko ubzdurałam sobie nutkę pogardy w jej głosie, jednak mimo to poczułam się dotknięta.

- Ty sama jesteś kimś lepszym, prawda?

- Nie... kimś innym.

- I warto było ci ściągać mnie tutaj?

To był tylko bluff z mojej strony. Dojrzewające we mnie podejrzenie zbiegu okoliczności, w wyniku którego Calehm upomniało się o Joachima - przywiózł mnie tu prosto w opiekuńcze ramiona Arleny - nigdy dotąd nie znalazło potwierdzenia.

- Nie wiem, czy było warto - odpowiedziała z maleńkim uśmiechem. - A jak ty uważasz?

- Nie tylko ty jesteś zawiedziona światem - odparowałam zła. - I ja, choć nie choruję na obniżoną odporność, również nie jestem nim zachwycona. Tyle tylko, że zamierzam dożyć końca mojego życia, tak jak jest mi pisane.

- I... - Arlena zadała sobie pewien trud, by jej słowa zabrzmiały grzecznie - co z tego?

- T o , że nie marzyłam o tym, by się tu znaleźć. Prawdę mówiąc, jestem tu, bo jest mi obojętne, gdzie jestem.

- I z kim jesteś - dodała Arlena.

- Tak. Również to.

- **1** modlisz się wieczorem?

- Tak - odpowiedziałam trochę zdziwiona.

- I to też jest ci obojętne?

- Właściwie tak.

Wiedziałam już, że wpadłam we własną pułapkę.

- Niczego nie rozumiem - poskarżyłam się głośno, chcąc wyplątać się z myśli, które wyskoczyły z przewidzianego toru. - Tak często mam ochotę powiedzieć, że czuję się przez ciebie manipulowana, jednak wiem, że to nie odpowiada prawdzie. A ty mówisz, że to wszystko toczy się również bez twego udziału...

- Ponieważ tak właśnie jest - odrzekła, nie wysilając się na nic więcej. - A ty, skoro prawie wszystko jest ci obojętne... równie dobrze możesz być tu ze mną, czyż nie?

- Tak, mogę - zgodziłam się. - Tylko...

- Tylko co?

- Chyba przeszkadza mi myśl, że możesz mną gardzić...

Cierpliwie zaczęła na mój ciąg dalszy:

- Za to, że jem befsztyki, noszę futro. Że akceptuję wojny i karę śmierci.

- Mów dalej... - zachęciła mnie, kiedy umilkłam.

- **1** przede wszystkim za to, że jestem wobec tego obojętna i nie cierpię tak jak ty. Widzisz, kiedy się nad tym wszystkim zastanawiam, wiem, że i ja posiadam w sobie załączek takiego bólu, jednak mój organizm nie pozwala mu się rozwijać. Myślę, że tak funkcjonuje to u większości ludzi.

- Zapewne.

- Jednak nie jestem z tego dumna.

- Jesteś obojętna.

- Tak, jestem obojętna i właśnie z tego nie jestem dumna...

Rozejrzałam się wokół siebie, łapiąc słowa i poszukując pomocy, aby na nowo natrafić na właściwy wątek wśród tych wielu, które, niepotrzebnie posupłane, krążyły mi po głowie.

- Nie jesteś ani lepsza, ani gorsza - powtórzyła Arlena.

- Słowem nijaka, wiem. Jednak... Gdy o tym myślę, gdy zmuszę się do takiego myślenia, lub gdy ty mnie do niego zmusisz, pojmuję, że moja obojętność nie ma nic wspólnego z następstwami choroby podobnej do twojej...

- Ja nie powiedziałam, że wciąż cierpię na to samo - przerwała mi stanowczo, aleja, zajęta mówieniem o sobie, niestety nie zwróciłam na to należytej uwagi.

- Chodzi mi o to, że być może wcześniej obchodziły mnie nieszczęścia tego źle funkcjonującego świata - jego wojny, choroby, kataklizmy, wielka polityka i głód. Jednak ja... zobojętniałam. To stało się przez moje indywidualnie i zwyczajnie złamane serce. To taki upokarzający, nic nieznaczący powód.

Jeśli nawet przedtem chciała mi coś wyjaśnić, zmieniła zdanie. Nieodkrywcza spowiedź i moja obnażona twarz wywołały w niej litość, a ja, choć zawsze twierdziłam, że darowane uczucia działają jak trucizna, byłam jej za nią wdzięczna.

- Czy to ważne, na co się umiera? - zapytała łagodnie, jakby była ode mnie starsza nie o dwanaście, ale o dwieście lat. - W gruncie rzeczy liczy się tylko efekt, czyli to, że serce przestaje bić. A czy przyczyną było ostrzelanie przez baterię mózdzierzy czy zwykła grypa, naprawdę nie ma znaczenia.

# ARLENA: I

## ...BOGI CUDZE

Arlena zamieszkała w bezpiecznym domu Oloffa. Nie przywiozła ze sobą niczego ważnego, a nieliczne rzeczy poutykała w szafach swego nowego pokoju, przez Oloffa nazwanego sypialnią. Od chwili, w której ją do niego wprowadził, rozpoczął się dla niej czas lepszy od najdoskonalszego snu.

Rozpoczęła go rozczulonym powitaniem: rozsunęła szeroko zastony i otworzyła okna, aby wpuścić do sypialni światło, które, jakby czekało tylko na zaproszenie, pojawiło się natychmiast i, niczym ciepła, migocząca rzeka, wlało się do środka. Arlena położyła się na kamiennej, niepolerowanej podłodze, wtulając się w nią jak w ramiona przyjaciela. Wiarygodność posadzki przypominała stuletnie drogi, była jak one nierówna, gdzieś popękana, poznaczona wgłębieniami, przypominającymi ślady stóp, i zawałaniami koloru. Rozgrzała się natychmiast pod dotykiem Arleny i promieni słońca, które zaanektowało ją skwapliwie, spadając na nią rozmazanymi plamami, upstrzonymi przez chybotliwe, wesołe refleksy. Światło, zanim wpadło do pokoju, musiało pokonać przeszkodę starych drzew. Było ich nadspodziewanie dużo, obrastały teren bez szczególnego porządku, na dowód tego, że kiedyś żył w tym miejscu nieokiełznany las. Twórca domu nie zamierzał go przetrzebić; pnie drzew posłużyły mu za tło dla budynku, którego sylwetka rozrosła się na kształt niejednoznacznego wieloboku. Dom żył w przyjaźni z leśną polaną, która przysyłała mu poranne słońce.

Arlena nie spieszyła się z poznawaniem całego domu. Przyrze-

kia sobie zwiedzić go w całości, jednak powoli, we własnym rytmie i właściwym czasie. Na początek wystarczyło jej wyobrażenie o tym, że znalazła się w przestrzeni, która zdawała się być stworzona specjalnie dla niej. Myślała o niej jak o skrojonej na wyrost sukni, która tylko czeka, by przesiąknąć jej zapachem, zebrać przeżycia w zagłębienia fałd i, jeśli będzie trzeba, w miarę upływu lat pozmieniać dla wygody szwy, kolory i aplikacje.

- Mam osobną sypialnię? - zapytała Oloffa.

Dotychczas o nic go nie pytała, przekonana, że wszystkie jego postanowienia będą dla niej dobre.

- Będziesz miała swoją sypialnię oraz każdy pokój, który ci się spodoba.

Ufnie wtuliła się w jego ramiona.

- Miałam na myśli to, czy nie będziemy sypiać razem?

- Oczywiście, że będziemy. Za każdym razem, gdy tego zapragniesz.

- I kiedy ty zapragniesz?

- I ja.

- Ludzie, którzy są razem, zwykle mają wspólne łóżko.

- Będziemy mieli wiele wspólnych łóżek - odpowiedział poważnie. - Ten dom jest ich pełen. Będziesz odwiedzała mnie w moim pokoju, ja będę przychodził do ciebie, będziemy brali wspólne kąpiele, chodzili do sauny i do altany w ogrodzie. Będziemy kochać się na trawie, w saunie, przed kominkiem, w basenie, w piwnicy i na strychu.

Przy każdym słowie pozbawiał ją fragmentu ubrania. A kiedy już była naga i na łóżku jej osobnej sypialni zapadła się głęboko między lniane poduszki, które osypały się jak bryły śniegu do przełęcz, zagarniając ją sobą, powiedział:

- Poznasz setki miejsc, w których będę cię kochał.

Oloff nie kłamał: jego dom rzeczywiście krył w sobie nieskończenie wiele miejsc przeznaczonych do miłości i w przeciągu pierwszych

wspólnych miesięcy nie udało się wypróbować ich wszystkich. Arlena rzadko opuszczała dom; ukryta w nim czuła się szczęśliwa i nie kusiło jej, by wychodzić. Oloff do niczego jej nie zachęcał, także wtedy, gdy zajęty obowiązkami nie miał dla niej czasu. Jednak ona nie cierpiała nawet podczas jego dłuższych nieobecności; wykorzystywała je na poznawanie domu i ogrodu, spełniona, jakby podarowano jej niezastuzone wakacje. Nie miała obowiązków, inaczej niż w swoim poprzednim małżeństwie. Nie musiała troszczyć się o utrzymanie i o prowadzenie domu, ponieważ zajmowali się tym inni.

Poznała ich już pierwszego dnia: Jula była znakomitą kucharką i odpowiedzialną gospodynią, natomiast Tom troszczył się o zakupy i ogród. Mieszkali na stałe u Oloffa i byli z nim zaprzyjaźnieni; oboje zwracali się do niego po imieniu, bez ugrzeczniczonych form. Tę samą metodę zastosowali bez zbędnych wstępów wobec Arleny, która była im za to wdzięczna. Polubiła ich natychmiast i instynktownie szukała ich towarzystwa. Gdy Oloff wyjeżdżał, chętnie zaglądała do kuchni, w której Jula parzyła dla niej herbatę i pozwalała pomagać w gotowaniu, albo udawała się na poszukiwanie Toma pracującego gdzieś w ogrodzie.

Oprócz Juli i Toma, z którymi Arlena obcowała na co dzień, w domu pojawiała się rzesza innych osób, pozostających dłużej lub krócej, często widywanych tylko w przelocie, jakby zjawili się jedynie po to, by powiedzieć jej „dzień dobry”. U Oloffa nocowało wielu ludzi; zajmowali nieznane Arlenie pokoje i nazajutrz siadali razem z nią do śniadania, traktując ją tak, jakby należała do grona gości. Nie zamierzała się tym martwić. U Oloffa większość obyczajów różniła się od tych, wśród których - nigdy ich nie akceptując - wyrosła. Także im na przekór podobało się jej być kochanką pana domu, nawet bez nazwania tego po imieniu. Wystarczało jej, że czuje się uprzywilejowana i kochana.

- Ktoś może tu wejść i nas zobaczyć... - wyszeptwała w mokre włosy Oloffa, kiedy w basenie uniośł ją lekko w wodzie i owinął jej nogi wokół swoich bioder.

Podziemne pomieszczenie oświetlały migotliwe lampy łudząco przypominające pochodnie.

- Może... - odpowiedział cicho i kochał ją tak, jakby byli tylko we dwoje w jej albo jego sypialni, w łóżku, za zatrzaśniętymi drzwiami.

Choć usiłowała zdusić zbyt głośny oddech, Oloffdoprowadził ją do krzyku, który dotarł do najdalszych zakamarków pomieszczenia, do kolumn, rzeźb, foteli, kanap i wiodących w niewiadome korytary drzwi. Przyszła tu za jego gospodarzem; nie protestowała, gdy wziął ją w ramiona i ze spokojem rozebrał. Nie spuszczał z niej swych niepokojących, zmrużonych oczu, bawił się nią jak dużą lalką, która nie posiada własnej woli. Poddała mu się, jak za każdym razem, pozbawiona osobnych życzeń, które spełniały się, zanim zdążyły pojawić się w jej głowie. Niemal traciła świadomość podczas tańca nieoczekiwanych kroków i obrotów, a otaczające ją obrazy przybrały nierzeczywisty kształt, jakby nic nie odbywało się na jawie. Krzyk, który miał zatrzymać jej zacierającą się obecność, poniósł się po wzburzonej wodzie i zawilgoconych kamieniach. Uciekał od niej, a odbiwszy od sklepienia sufitu, wracał w postaci kropli potu na skórze wplecionego w nią mężczyzny. Krzyczała coraz głośniejszym echem wzmagając siłę rozrywającą jej ciało. Brakowało jej oddechu, własny krzyk paraliżował jej uszy, jednak ona nie milkła i nie zamierała, rozwartymi oczyma przemierzając ściany, drzwi i fontanny i nie zdziwiłoby jej, gdyby inne gardła - kamienne, drewniane albo ludzkie - także przyłączyły się do niej.

- Tu może przyjść każdy, prawda? - wyszeptwała kilka wieczności później.

Ani nie ułożyła słów w pytanie, ani nie oczekiwała odpowiedzi od Oloffa.

- Może - był jak ona zmęczony i głaskał ją leniwie.

- Kim są ci wszyscy ludzie?

Wtuliła twarz w jego brzuch.

- Goście, przyjaciele...

- Są jak domownicy...

- Wśród nich są i domownicy.

- Mieszkam z ludźmi, których nie znam? - zapytała, nie otwierając oczu.



- Hmm... Stałymi lokatorami jesteśmy my dwoje, Tom i Julia, ojciec Toma...

- Widziałam go?

- Nie wiem, jest bardzo stary. Spotkałaś kogoś bardzo starego?

- Być może, tylu ludzi przewija się przez twój dom...

Roześmiała się, ubawiona śladem pretensji w jej głosie.

- To jest także twój dom, kochanie - poprawił.

Jeszcze tego samego wieczoru pojawił się na kolacji ktoś, wobec kogo Oloff dokonał czegoś w rodzaju prezentacji. Zwykle zadowalał się słowami „to jest Arlena”, jednak zadając sobie trud przedstawienia, tym razem zmienił porządek rytuału.

- Poznaj Adama, Arleno - powiedział. - To mój syn.

Stał przed nią wysoki i jak ojciec szczupły mężczyzna. Już po wymianie niewielu zdań domyśliła się, że w przeciwieństwie do niej dużo o niej wie. Jego oczy były życzliwe i może tylko nazbyt obojętne jak na syna, którego ojciec sprowadza do domu młodą kochankę.

- Mój pokój znajduje się na drugim piętrze - powiedział do niej przyjaźnie. - Przyjdź, kiedy będziesz miała ochotę.

Oboje pili podanego przez Julę szampana.

- Nie rozumiem...

Zabawnie uniósł jedną brew, jakby zdziwiło go jej zakłopotanie.

- Gdybyś miała zabłądzić, Julia albo Tom wskażą ci drogę. Albo zagadnij mnie, kiedy miniemy się na schodach.

- Czy my mijamy się na schodach?

- Widziałem cię przynajmniej trzy razy.

Niepewnie potrząsnęła głową:

- Wielu ludzi mijają mnie tutaj i wydaje mi się, że nie rozpoznaję nikogo. Nie wiem, kto tu mieszka, kto jest gościem twojego ojca...

Uspokajająco położył jej dłoń na ramieniu.

- Oloff mówił mi, że się tym niepokoisz. Nie ma powodu, naprawdę. Dlatego cię zapraszam: gdybyś czuła się samotna, po prostu mnie odwiedź. Wypijemy herbatę albo posłuchamy muzyki. Czasami spędzam w tym domu całe tygodnie, aż wydaje mi się, że przebywam tu częściej od własnego ojca.

- Nie rozumiem - powtórzyła tonem, który wbrew jej woli zabrzmiał przeprasząjąco. - To znaczy, że mieszkasz tu na stałe czy nie?

- I tak, i nie - odpowiedział. - Mam tu swoje pokoje, ale mieszkam również w mieście. Powiedz ojcu, aby kiedyś cię do mnie zabrał.

- Dobrze - odparła, postanawiając nie dziwić się niczemu - poproszę o to Oloffa.

Jedli kolację we czworo: oprócz Arleny, Oloffa i Adama usiadła do stołu elegancka starsza kobieta, dzięki której stworzyli geometryczną kompozycję rombu. Jego dwa najbardziej oddalone punkty stanowili siedzący naprzeciw siebie mężczyźni.

Nietypowy porządek stołu zaskoczył i onieśmielił Arlenę, a siedząca najbliżej niej nieznajoma nie zamierzała jej niczego ułatwić. Rozmawiała głównie z Oloffem, z którym łączyło ją szybko dostrzeżone przez Arlenę podobieństwo. Dotyczyło ono oczu obojga - ich barwa kryła w sobie podobne ślady chłodnej, niepokojącej metaliczności, z powodu której Arlena zaczęła podejrzewać bliskie więzy pokrewieństwa. Poczwała niepokój z powodu kolejnej ukrywanej tajemnicy.

- Nie, nie zdążyłam jeszcze poznać wszystkiego - odpowiedziała z roztargnieniem Adamowi, który zagadywał ją z odległego końca stołu.

Czuła się pomijana w rozmowie i lekceważona przez nieznajomą kobietę, której nie przestawała się przyglądać. Chociaż starała się być dyskretna, jej ukradkowe spojrzenia nie uchodziły niczyjej uwadze; po sporej ilości rozpoczynającego wieczór szampana Arlena opróżniła już drugi kieliszek wina.

- Nawet nie spróbowałaś przystawek - zauważył Adam. - A nasza Julia jest w nich mistrzynią.

W przeciwieństwie do Arleny starsza kobieta rozkoszowała się jedzeniem. Jadła powoli, jakby zastanawiała się nad każdym kęsem. Była siwa, w naturalnym kolorze popielatego srebra, rozświetlającego jej piękną, bladą jak suchy śnieg twarz.

- Owszem - zaprotestowała wpatrzona w nią Arlena. Nie znała nazw podawanych potraw. - Zjadłam kawałek tego...

Działanie alkoholu było oczywiste: wnosząc danie główne Julę widziała już przez mgiełkę, inaczej niż białą damę z naprzeciwnika, do obserwowania której naraz przybyło jej odwagi.

- Piękna suknia. Pewnie z brabanckiej koronki - powiedziała do kobiety, o której wiedziała zaledwie to, że ma na imię Weronika.

- Nie - grzecznie zaprzeczyła zagadnięta. - Materiał pochodzi z Calehm.

Arlena nigdy nie widziała brabanckich koronek.

- Piękna - powtórzyła z przekonaniem. - Bardzo chciałabym mieć coś takiego.

Jej uśmiech pozostał nieodwzajemniony.

- Twoja Arlena interesuje się strojami?

Choć Weronika zwróciła się do Oloffa, w uszach zlekceważonej Arleny jej słowa zabrzmiały jak niegrzeczny wyrzut.

- Ona interesuje się wszystkim, co piękne - Oloff napętnił winem pusty kieliszek Weroniki i dołączył wody Arlenie. Uśmiechając się do obydwu, powiedział: - Nic dziwnego, że doceniła nasze koronki, Weroniko. Na zwykły materiał zwykłej sukni nie zwróciła-by uwagi.

Weronika wysłuchała go uprzejmie, nie zmieniając wyrazu twarzy.

- To oznacza, że nadeszła pora na wizytę w pracowni koronek - powiedziała tonem, który zabrzmiał oschle.

Jednak w jej oczach, w których odbiła się zakłopotana, podchmielona Arlena, nie było ani śladu wrogości.

- Zaprowadzę cię tam, kochanie - powiedziała. - Taka suknia z pewnością ci się należy.

Zanim zdumiona Arlena zdobyła się na podziękowanie, jej rozmówczyni zajęła się rozmową o czymś innym. Nastrój podniecenia

opuścił ją równie gwałtownie jak się pojawił i ucichła jak młody pies, którego zamiast poskromić klapssem, obdarowano niezastużonym cukierkiem. Kolacja toczyła się w spokoju i nikt, nawet Oloff, szczególnie się nią nie zajmował. Zatęskniła za zainteresowaniem swojego mężczyzny, jednak on odzywał się do niej rzadziej niż do pozostałych dwojga, o których pomyślała smutnie, że w przeciwieństwie do niej są prawdziwie zadowoleni. Nadal nie dolewał jej wina; ograniczyła się do śledzenia rozmowy i przypatrywania się nowo poznanym. Nie zmieniło się także to, że nie przystojny i młody Adam, ale Weronika wydawała się jej atrakcyjniejsza.

Wstydziła się swoich pretensji. Żal do Weroniki za brak uśmiechu nie wydawał się jej już ani uzasadniony, ani sprawiedliwy. Srebrzystowłosa kobieta była damą i obywatela się bez wyniosłości oraz zewnętrznego okazywania sympatii. Nie szafowała nimi, nawet wobec bliskiego sobie Oloffa, jednak nie uchybiała nikomu brakiem szacunku. Próbując ją określić, Arlena uznała Weronikę za zjawiskową postać o urodzie Królowej Śniegu i dobrym sercu Kaja przed zamianą w bryłę lodu.

- Ona jest prawie przejrzysta - powiedziała sennie do Oloffa, ostatecznie zapomniawszy o przelotnych animozjach przy stole.  
- I taka piękna w tej swojej bladości. Jej obecność ma w sobie coś wiecznego.

- Ona wkrótce umrze - wyjaśnił jej ze spokojem.

Uniosta się na łokciu, w jednej chwili rozbudzona.

- J e s t chora?

- Lekarze stwierdzili u niej śmiertelną chorobę. Poza tym jest już stara.

- Umrze ze starości?

- Prawdopodobnie nie, bo wszystko wskazuje na to, że choroba będzie szybsza.

- I nie można nic zrobić?

- Co masz na myśli?

Patrzył na nią, jakby powiedziała coś niedorzecznego.

- Leczenie! - zawołała z irytacją.

- Zastrzyki? Operacje? Naświetlania?

- Tak! Wszystko to, czym ratuje się życie!

- Weronika nie chce niczego takiego.

- Dlaczego, na Boga?

Oloff pogładził ją po głowie jak nierozgarnięte dziecko.

- Ona swoje życie przeżywa z powagą i szanuje wszystko, co do niego należy. Również zakończenie.

Arlena poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Ogarnął ją nieokreślony, tępy bunt.

- Jesteś jej przyjacielem, prawda?

- Jestem więcej niż jej przyjacielem - odparł.

Zadrżała.

- Kiedy przyglądałam się wam przy stole, wydaliście mi się bardzo podobni. Jakbyście byli rodziną, jakby Weronika była twoją siostrą. Albo matką Adama - powiedziała cicho.

Bezradnie oplótła się ramionami, jednak Oloff nie uczynił żadnego gestu. Dopiero gdy milczenie przedłużało się, zapytał:

- Coś cię niepokoi?

- Tak... To, że nie rozumiem, dlaczego tak spokojnie mówisz o jej śmierci.

- O śmierci należy mówić spokojnie - odpowiedział poważnie.

Jednak ona była zbyt przestraszona, by mógł się nad nią nie zlitować:

- Nie martw się o Weronikę. Jest dokładnie taka, jaką ją postrzegasz. Jest piękna, mądra i posiada dar zgody ze światem. Żyje tam, gdzie czuje się szczęśliwa, i przebywa życie w jego naturalnym rytmie. Nigdy mu się nie przeciwstawiła, więc nie miało powodu jej kaleczyć. Teraz nadchodzi jej czas. Śmierć zabierze ją ze sobą łagodnie, z uśmiechem na twarzach obojga.

Weronika wkrótce dotrzymała słowa i zabrała Arlenę na wspólne zakupy. Umówiły się w centrum miasta, w pobliżu Katedry Świętego Franciszka, przed którą pojawiła się punktualnie, jak tamtego

wieczoru ubrana w biel i połyskliwa niczym płatek śniegu. Przywitała Arlenę z serdecznością, której nie umniejszał brak uśmiechu.

- Wy, zakochani - odpowiedziała łagodnie na nieśmiałą propozycję obejrzenia Katedry, którą Arlena widziała zaledwie z daleka, bez zwiedzenia wnętrza - spędzacie większość czasu na miłości i nie starcza go wam na wędrówki po mieście. To Oloff powinien pokazać ci Katedrę Franciszka, kochanie. Nie mogę odbierać mu tej satysfakcji.

Nie spiesząc się, ruszyły jedną z ulic odchodzących od placu, na którym stała Katedra.

- Rozłożenie tych uliczek przypomina nieco Plac Gwiazdy, prawda? - zagadnęła Arlena.

Zatrzymawszy się w pół kroku, Weronika zabawnie zmarszczyła nos. Grymas tak bardzo kontrastował z jej niewzruszoną twarzą, że Arlena roześmiała się głośno.

- Jednak są sprawy, na które Oloff powinien znaleźć czas - Weronika pogroziła jej palcem. - Na przykład powinien przestrzec cię przed największymi grzechami, jakie można popełnić w Calehm. Jednym z nich jest porównywanie go do Paryża.

- Chodzi tylko o Paryż czy też o inne wielkie miasta? - zapytała Arlena, nie wiedząc, czy Weronika rzeczywiście żartuje.

- O większość wielkich miast, jednak głównie o Paryż.

Arlena rozłożyła ręce w geście ubolewania nad swoją niewiedzą.

- Natomiast - Weronika poklepała ją litościwie - tolerujemy niewielkie aluzje dotyczące Rzymu.

W jednej z uliczek weszły do małego sklepu, którego wystawie Arlena nie zdążyła się przyjrzeć. Zdążyła zapamiętać jedynie tonację kolorów, które pochodziły z palety barw naturalnych i zamykały się w rozpiętościach odcieni beżu.

- Witamy cię, Weroniko! - zawołała z radością sprzedawczyni, która pojawiła się na dźwięk mosiężnego dzwonka powieszonoego nad drzwiami.

Była w średnim wieku i nosiła barwy swego sklepu. Uściskawszy Weronikę jakby były koleżankami, które spotykają się na kawie, odwróciła się do Arleny.

- To jest...

-Arlena - dokończyła za sprzedawczynię Weronika. - Oloff nie miał dość czasu, by kupić jej wymarzoną suknię.

Kobieta skinęła głową i z uśmiechem wyciągnęła dłoń. Jej badawczy wzrok onieśmielił Arlenę.

- To nic ważnego, naprawdę - powiedziała. - Weronika była tak miła...

Przerwała zaskoczona: na twarzy Weroniki pojawił się cień uśmiechu. Był ledwie zauważalny, a mimo to sprawił, że stała się jeszcze piękniejsza.

- Oloff nie wyjaśnił ci jeszcze wielu rzeczy, kochanie - powiedziała łagodnie Weronika. - Także tego, że to kobieta powinna pokazać ci miejsca, w których w Calehm kupuje się suknie.

Ujęła dłoń Arleny i, nie oglądając się na sprzedawczynię, pociągnęła ją w głąb pomieszczenia. Było nieoczekiwanie duże, z wysokimi sklepieniami, które opłatały iluzoryczne ornamenty. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że przedstawiają kłębowisko węży schwytanych w sieć, jednak przyjrawszy się im dokładniej, Arlena dostrzegła w nich splątane korzenie drzew.

- Może trudno będzie ci w to uwierzyć - powiedziała Weronika, nie wypuszczając jej ręki - ale cały ten budynek, wraz z wnętrzem sklepu, w którym się znajdujemy, jest jednym z pierwszych oficjalnych projektów Oloffa.

Zatrzymały się przed niewielkimi drzwiami, które Arlena wzięła za wyjście na zaplecze.

- Obiecał mi, że w końcu zabierze mnie na długie zwiedzanie jego budynków - powiedziała nieśmiało.

- To oznacza, że będziesz potrzebowała wielu dni.

- Sama Biblioteka... - zagadnęła sprzedawczyni, jednak Weronika przerwała jej w pół słowa:

- Biblioteka nie jest jeszcze gotowa - i długo nie będzie. Nawet Oloff nie jest w stanie zbudować jej tak szybko, jakby sobie tego życzył.

- Wyobrażam sobie, jak to musi go złościć - skwitowała sprzedawczyni.

Zdziwiona Arlena odwróciła się w jej stronę:

- Złościć? - zapytała z niedowierzaniem. Nigdy dotąd nie dostrzegła u niego przejawu złości. - Oloff miałby złościć się jakąś biblioteką?

Poczuła nieprzyjemny niepokój na myśl o tym, że wszyscy - nawet sprzedawczyni w sklepie z ubraniami - zdają się znać go lepiej od niej.

- Biblioteka to wielkie przedsięwzięcie - powiedziała uspokajająco Weronika - jedna z najważniejszych budowli w Calehm. Oloff wiąże z nią wielkie nadzieje.

- I ma z nią wiele pracy - westchnęła niepewnie Arlena. - Między innymi dlatego ty musisz iść ze mną na zakupy...

Weronika przecząco pokręciła głową:

- Nie dlatego, kochanie. Ale uważaj na schody, bo schodzimy w dół.



# ARLENA: II

## ...PANA TWEGO NADAREMNO

Drzwi zatrzęsły się, gdy kobiety pokonały dziesiąty stopień dość stromych schodów, a Arlena, dziecięcym nawykiem licząca stopnie, zatrzymała się zdziwiona ich głuchym odgłosem, który nasunął jej na myśl dźwięk ostrzegawczego gongu. Jej towarzyszki nie zwróciły na niego uwagi - ani wolno wiodąca pochód beżowa sprzedawczyni, ani podążająca z tyłu Weronika, której przyspieszony oddech coraz głośniejsz odbijał się od kamiennych ścian. Ze spokojem schodziły w dół, prowadząc między sobą Arlenę, która z ulgą powitała następnie, kończące wędrówkę po pięćdziesięciu stopniach schodów, żelazne drzwi.

- Czy... - Arlena nieśmiało odwróciła się.

- Nie - uspokoiła ją Weronika, walcząc z niemiarkowatością oddechu. - Wróćmy windą.

Jej łagodna stanowczość sprawiła, że Arlena i tym razem powstrzymała się od pytań. Sprzedawczyni podała jej rękę na pożegnanie, następnie odwróciła się do Weroniki.

- Do widzenia - powiedziała do niej, delikatnie ujmując jej dłoń. - Pamiętaj, że czekamy na ciebie.

- Do widzenia.

Sprzedawczyni ucałowała jej pergaminowy policzek.

- Zaopiekuj się tą małą, kiedy znajdzie do ciebie drogę - poprosiła ją Weronika.

Zanim Arlena zdążyła się odezwać, otworzyły się potężne drzwi. Składały się z dwóch szerokich skrzydeł, które jednym ruchem rozsunięły się na boki.

- Muszę wracać - powiedziała sprzedawczyni, która nie zamierzała ich przekroczyć. - A ty witaj w Calehm, Arleno.

Na początku był cichy szum, który zalał uszy Arleny: melodyjny, regularny, nienapastliwy. Usłyszała dochodzące z oddali głosy, brzmiające jak współgranie wielu, słabo rozpoznawalnych melodii. Każdy z nich wyływał z osobnego zakątka.

Chwilę później Arlena poczuła na skórze powietrze - chłodne i nasycone zapachem, nieprzypominającym żadnej ze znanych jej woni - które, chłodząc jej twarz i włosy, wdarło się do jej płuc tak gwałtownie, że prawie się nim zachłysnęła. Spojrzała na swoją towarzyszkę. Weronika zareagowała inaczej: powiew dziwnego powietrza przyniósł jej natychmiastową, orzeźwiająca ulgę i Arlena stała się świadkiem metamorfozy chorej kobiety, która odprężyła się jak przytuliłone dziecko.

W końcu stało się: schwytana w płamę światła, którego pochodzenia i natury nie potrafiłaby określić, Arlena stanęła twarzą w twarz z prawdą o miejscu swego przeznaczenia. U wylotu tunełu, w którym się znajdowała, rozpościerała się rozległa przestrzeń monumentalnej jaskini. Wystarczyło zrobić kilka kroków, by wejść w strumień wypełniającego ją życia. Arlena zobaczyła ludzi, zwierzęta i rośliny. Żadne z nich nie było wirtualną dekoracją: jaskinia była realna, na wskroś jawna i pulsowała życiem. Rozjaśniało ją nieznanym światło i syty szum wody.

Uczepiona ramienia Weroniki Arlena chciała zarazem poruszyć się i zastagnąć na stałe w tym samym miejscu. Z nawałnicy myśli wyłapywała zaledwie jedną, tę, która podpowiadała jej zatrzymać chwilę, wydłużyć czas potrzebny na zrozumienie, powstrzymać przepływ obrazów, aby nie zabił jej swoją gwałtownością. Drgnęła dopiero pod dotykiem Weroniki.

- Czy... to istnieje naprawdę? - wyjąkała w obliczu ostatecznych dowodów istnienia Ziemi Obiecanej.

Jej głos brzmiał tak, jakby należał do kogoś innego.

- To jest prawda, kochanie.

Weronika pociągnęła ją za sobą.

W zdumieniu potężniejącym w rytm kroków stawianych po chropowatym korytarzu Arlena wdzieriała się w głąb obcego świa-

ta. Prowadzona za rękę szurła stopami, jakby kleiły się do podłoża świata, którego rozbuchana dynamika zdawała się wchłaniać ją w siebie. Oddychała płytko; wokół niej trwało widowisko, które uczyniło z niej oszołomione, zachwycone dziecko, pierwszy raz zabrane do kukielkowego teatrzyku. Przetaczająca się obok, poszturchująca ją nawałnica obrazów odebrała jej zdolność mówienia, zbędnego na czas żywego spektaklu, wymagającego użycia ważniejszych zmysłów. Poddała się, nastrajając się na patrzeć, słuchać, wąchać oraz pozazmysłową zachłanność na odbieranie wydarzeń, jakby wszystko, co działo się dookoła, mogło też gwałtownie zniknąć.

- Weroniko... - udało się jej wydobyć z gardła coś w rodzaju cichego szeptu. - Gdzie my jesteśmy?

Drżała, jakby powietrze jaskini przenikło ochronną powłokę jej ciała i w zabawie miotało nią od wewnątrz.

- Powiedz mi po prostu, proszę cię...!

Minął ją pierwszy przypadkowy człowiek, mieszkaniec magicznej jaskini. Arlena przystanęła, by obejrzeć się za przygarbionym mężczyzną i jego wielką torbą, z której, znacząc szarą ścieżkę w korytarzu, wypadały pnącza suchych traw. Podniosła odruchowo jedną z nich, niezauważona przez mężczyznę, który, nie oglądając się za siebie, dreptał w nieznanym kierunku. Był bosi, miał potargane, sięgające pleców włosy i kulejącego psa, który biegł za nim spóźniony o kilka kroków.

Przelotne spotkanie wystarczyło, by Arlena zapomniała o Weronice. Najbardziej kompetentna z przewodniczek naraz przestała być konieczna w miejscu, które samo udzielało odpowiedzi. W porównaniu z istotami przerastającymi ją pod względem inności Weronika stała się zwyczajna - jak pojedynczy liść na tle jesiennego lasu albo jeden z wielu ściągów zawitej tkaniny. Wiedziała o tym i nie była o nikogo zazdrosna; na wzór cierpliwego Ciccerone, który po wypełnieniu zadania chętnie usuwa się w cień, zrobiła miejsce grupce barwnych jak reklama zjednoczonych ras świata dzieci, niespodziewanie wyrostłych na umownym progu jaskini. Łysy, gruby chłopczyk, który z dorosłą powagą postanowił się przywi-

ta, wyciągnął do niej spoconą dłoń, jednak ona bez słów skierowała go do Arleny.

Fizyczna konkretność pierwszego powitania przyniosła Arlenie ostętną jasność. Choć jej mózg nie nadążał jeszcze ani z łączeniem faktów, ani z nazywaniem sygnałów i zjawisk, eksplodował falą narkotycznych wizji. Oblana nimi jak strugami spienionego szampana pojęła, że spełnia się przyrzeczenie Oloffa. Tak jak obiecał, dotarła do domu.

- Nareszcie.

Obrazy rozjaskrawiły się w jej oczach. Realniej niż kiedykolwiek czuła swoje umysł i ciało, jakby samoistnie przyjmowały nową strukturę. Oszołomiona wyobraziła sobie, że odpada z niej kokon odwiecznego strachu, a wraz z nim zużyte matryce myśli i przywarte do dna umysłu przyzwyczajenia. Przeszłość okazała się pokrętną uludą. Oszustwem. Przeszłość wydarzyła się tylko po to, by wprowadzić ją w potęgę tej chwili.

- Tamto naprawdę minęło.

Nowa Arlena euforycznie chłonęła rozległość przestrzeni:

- Czy... Czy to miejsce jest wystarczająco duże? - zapytała Weronikę. - J a k daleko sięga?

- Miasto jest mniejsze od tego na górze. Nie pokrywają się w granicach.

- Czy można zejść jeszcze niżej?

- W kilku miejscach tak. Jednak nie ma ich zbyt wiele.

- Zaprowadzisz mnie wszędzie? - Nową wizją Arleny byto wyobrażenie zdryfowanego koralowca, który powraca do macierzystej rafy. - Do każdego, najmniejszego zakątka?

- Do niektórych zaprowadzę cię ja, do innych Oloff... Będziesz też przychodzić tu sama.

Arlena nieuważnie otarła mokry policzek.

- Naprawdę? Będzie mi wolno?

- Jesteś jedną z nas - odparła Weronika.

- Ale... - Arlena zawahała się. - Skąd o tym wiecie? Nie znać mnie.

- Oloff przywiózł cię tutaj - usłyszała. - Nie tylko dlatego, że się w tobie zakochał i chciał uczynić z ciebie swoją kobietę. Gdyby

tak było, mógłby trzymać cię na górze, a jednak on zabrał cię tu, tak jak uczynił z innymi tułającymi się po świecie. Jednak powinnaś wiedzieć, że także bez niego każdy z nas rozpoznałby w tobie swoją. Gdybyś zabłądziła w Calehm, ktoś inny wskazałby ci drogę.

Arlena odetchnęła głęboko; z wolna odzyskiwała regularny oddech, a dygotanie jej ciała powoli ustępowało.

- Są ludzie, którzy żyją, na dole oraz ci, którzy żyją na górze?

- Tak. Oprócz tego jest wielu takich, którzy pracują...

- Na górze?

- Tak, pracują na górze, nie wiedząc o niczym. Inni przyjeżdżają tu jako turyści, goście. Jak w zwyczajnym mieście.

Gdzieś niedaleko rozległy się uderzenia bębna. Arlena nasłuchiwała ich przez chwilę, próbując ustalić ich źródło. Zadała ostatnie pytanie:

- Jak udaje się wam zachować tajemnicę?

Od metalicznie błękitnych oczu Weroniki odbiło się światło za tkniętej w mur pochodni.

- To nasze życie - powiedziała. - Nauczyliśmy się go strzec.

Podziemna przestrzeń nie była równo oświetlona, gdyż światło, płynące z góry szklanymi, z dolnej perspektywy nierealnie wysokimi kominami, nie ogarniało całej, rozgałęzionej w setki zakamarków powierzchni. Zapobiegając ciemności, podziemie uzbroiło się w dodatkowe, wewnętrzne oświetlenie, nie gardząc żadnym ze źródeł. W rezultacie rozjaśniała je urozmaicona iluminacja, w której elektryczne żarówki sąsiadowały z gazowymi latarniami, natomiast świetlówki wspierały pochodnie i ciężkie od świec kandelabry.

Weronika zatrzymała się przy jednym z bocznych, bardziej od innych mrocznym korytarzu. Zwązał się na kształt wejścia do jaskini i trudno było przewidzieć, jak daleko się ciągnie. Stało w nim kilka szerokich, grubo ciosanych stołów z ledwie odstającymi od ziemi blatami, wokół których rozrzucone były liczne, niepasujące do siebie poduszki. Z półmroku wyłonił się gospodarz, krępy mężczyzna w średnim wieku, i zbliżył pośpiesznie, by powitać Weronikę. Uściskał ją delikatnie i, przelotnie pozdrowiwszy Arlenę, przyniósł dodatkowe, przypominające prymitywny leżak siedzisko.

- Nie jesteś zbyt zmęczona? - zapytał z troską, pomagając Weronice przyjąć wygodną pozycję.

Zaprzeciła ruchem głowy; mężczyzna pogładził ją kanciastą dłonią po ramieniu i dopiero wtedy uznał za stosowne zainteresować się jej towarzyszką.

- To jest...

- Arlena - jeszcze raz odpowiedziała Weronika. - Idziemy po jej suknię. Oczywiście nie mogłyśmy ominąć cię po drodze.

Mężczyzna roześmiał się głośnym, tubalnie głębokim dzwonieniem, które zagłuszyło dźwięki dalekiego bębna.

- Usiądź, Arleno - przyjaźnie wskazał miejsce na poduszkach.

- Co chciałybyś zjeść?

- Wybierz coś za nas - odpowiedziała w imieniu obydwu Weronika.

- W porządku.

Gospodarz odwrócił się w stronę mrocznego korytarza i dudniącym basem zawołał:

- Mały, chodź grać tutaj! Weronika przyszła. Przyprowadziła też Arlenę.

Chłopiec nazywany Małym usadowił się tuż przy Arlenie. Nie potrafiłaby określić jego wieku; wyglądał zwyczajnie, miał przeciętną twarz i nieodznaczające się niczym ubranie. Chciała go zagadnąć, jednak on nie zwracał na nią uwagi, jakby była duchem. Pozdrowiwszy nieuważnie Weronikę, natychmiast zajął się czym innym: najpierw ułożył się wygodnie, potem z niedzięczącą uwagą rozłożył przed sobą bębenek oraz kilka piszczałek. Siedząc ze skrzyżowanymi nogami, ukłonił się głęboko, głową dotknął podłogi. Arlena rozejrzała się w poszukiwaniu adresata ukłonu, jednak prócz niej i Weroniki w pobliżu nie było nikogo. Wzorem chłopca podwinęła pod siebie nogi.

- Czy wszyscy cię tu znają? - cicho zapytała Weronikę.

Mały grał na bębnie nieskomplikowany motyw, który towarzyszył im od chwili wejścia do podziemia.

- Prawie... - odpowiedziała tamta. - Pozostali rozpoznają moją suknię.

- Co masz na myśli?
- Jest biała.
- Biała?
- Tak... Zapewne nie zauważyłaś wielu białych sukien, odkąd tu przyszłyśmy.
- Nie zwróciłam uwagi - zawahała się Arlena - tu tyle się dzieje... Weronika rozłożyła swe drobne jak u kilkuletniego dziecka dłonie.
- Biała suknia oznacza kogoś, kto wkrótce odejdzie - wyjaśniła. Usadowiona na poduszce Arlena znieruchomiła.
- Czy to... - Zmusiła się do naturalnego tonu. - To jeden z symboli Calehm?
- Tak. To jest jeden z symboli...  
Lęk przepływał wzdłuż pleców Arleny.
- Czy i ja dostanę taką suknię? Po to tu przyszłyśmy?
- Dostaniesz taką suknię - Weronika dostrzegła i zrozumiała jej strach. - Ale nie obawiaj się niczego. Każda z nas ją dostaje, jednak nie w prezencie. Musi za nią zapłacić, czasami dużo. Dawniej zdarzało się, że cena odpowiadała wszystkiemu, co było w posiadaniu kupującej ją kobiety. Jednak to się zmieniło, ponieważ większość z nas jest teraz bogata. Odkąd Calehm rozrosło się na górze, na dole łatwiej jest żyć.

Weronika ważyła słowa, jakby od zrozumienia każdego z nich wiele zależało. Mimo to nie zdołała odgonić lęku Arleny, która, ukrywając dygotanie nóg, ciasno oplotła kolana ramionami.

- Suknia, którą kupimy dla ciebie, będzie w kolorze ciemnego beżu, prawie brązowa, jak kora albo gałęzie zdrowego drzewa. Nie zdziw się, jeśli odkryjesz na niej smugi zieleni, czerni albo czerwieni. Jest z pięknej koronki, utkanej tu, w prawdziwym Calehm po to, byś wkładała ją zawsze, gdy przyjdzie ci na to ochota. Nie istnieją żadne reguły używania takiej sukni i nigdzie nie jest powiedziane, kiedy i jak należy ją nosić. Jedno jest natomiast pewne: ta suknia kiedyś wybieleje: od noszenia, prania, nawet od słońca. Wtedy będzie wiadomo, że nadszedł czas.

Arlena zagryzła boleśnie wargi.

- I nikt nie wie, kiedy to nastąpi? - zapytała.

- Nie - zaprzeczyła Weronika, pełna miękkiego spokoju. - Tego nie wie nikt.

Chłopiec przerwał grę na bębenu, a Arlena drgnęła, zdziwiona nagłą ciszą. Przez długą chwilę nie słyszała niczego, jakby, odpływając w milczenie, muzyka zabrała ze sobą pozostałe dźwięki. Jeszcze raz rozejrzała się dookoła, gwałtownie poszukując potwierdzenia realności miejsca, w którym się znalazła.

- Naprawdę tu jestem.

Ciepła fala wdzięczności zalała nagły strach: podziemie nadal istniało i jakby specjalnie dla niej tętniło rozmachem barw i kształtów.

- Weroniko... - wyszeptała Arlena. - Powiedziałaś: suknia. Powiedziałaś: każda z nas. A co z mężczyznami? Czym odliczany jest ich czas?

Odłożywszy bęben, Mały sięgnął po fujarkę. Zagrał cicho, z dorosłą wirtuozerią okiełznując wibrujące tony.

- Oni nie mają czegoś tak materialnego jak suknia. Ich ojciec nie zatroszczył się o to.

- A kto... kto jest tym ojcem? - odważyła się zapytać Arlena.

Po Weronice trudno było domyślić się niedawnego zmęczenia. Była pogodna i bezgłośnie wybijała dłońią rytm melodii chłopca.

- Nikt dokładnie tego nie wie - powiedziała. - Z całą pewnością nie jest też naszym wspólnym ojcem... Nie jesteśmy rodzeństwem i nie wszyscy z nas się tu urodzili.

- Masz na myśli: tu na dole?

- Na dole, albo u góry... Po prostu chcemy wierzyć w to, że był tu jakiś pierwszy mężczyzna i jakaś pierwsza kobieta. Chcielibyśmy wiedzieć, kto był tu na początku.

- Po co?

- Bez przyczyny. Po prostu pytamy o to.

- I co wiecie?

- Miasto na górze nie jest stare i wiadomo, kiedy powstało. Jednak tutaj jest inaczej, bo nie wiek budynków czy korytarzy się liczy - głos Weroniki zahaczył o motyw grany na fujarce. - Symboliczny ojciec zgubił się gdzieś w czasie.



- A symboliczna matka?  
- Niedługo ją poznasz - odrzekła Weronika. - Jednak muszę cię uprzedzić: ona jest tylko symbolem. To nam zależy na tym, by uznawać ją za kogoś szczególnego. Potrzebujemy jej bardziej niż ona nas.

Uśpiony płytko łęk Arleny znienacka do niej powrócił.

- Ona rozdaje suknie! - powiedziała ledwo dosłyszalnie.

Chłopiec zwany Małym przerwał grę na fujarce.

- Ona je sprzedaje - poprawił ją ze spokojem.

Arlena podniosła się z kanapy, a ja przyglądałam się jej podejrzliwie. Jej, a także jej beżowej sukni, która nie była z koronki. Jednak czy na pewno? Wszystko wydawało mi się tak szalone, że mogłam nawet pomylić koronkę z samodziałem. Tym łatwiej, że jeśli wierzyć słowom Arleny, musiała być jakąś dziwną koronką utknaną z tajemniczych nici w kolorach, które bledną ze strachu przed śmiercią.

- Wiem, że potrzebujesz czasu, by w spokoju przemyśleć to wszystko - powiedziała.

Nie czekając na mnie, szła już w stronę drzwi. Kiedy mijala mnie siedzącą w fotelu, uszczyptałam rąbek jej ubrania. Nie, nie mogło być z koronki... Arlena, choć przystanęła przy mnie na sekundę, nie zaszczyliła mnie pożegnalnym spojrzeniem.

- Chwileczkę! - krzyknęłam, biegnąc za nią do przedpokoju. - Nie zamierzasz chyba zwyczajnie sobie pójść!

Zatrzymała się i wykonała półobrót w moją stronę.

- Oczywiście, że idę. Powiedziałam już, że potrzebujesz trochę czasu.

- A na co? - wyjąkałam zdenerwowana, ratując się wątpliwą ironią. - Na wyobrazenie sobie symbolicznej Matki, która podobno mieszka jakieś trzy piętra poniżej wejścia do mojego domu i jest protoplastką tego dziwnego miasta? Dajesz mi czas na snucie fałszywych hipotez?

- Spodziewałam się, że nazwiesz wszystko jednym wielkim szaleństwem - powiedziała Arlena, wzruszając ramionami.

Wydało mi się, że słyszę ulgę w jej głosie, jednak byłam zbyt rozdarta, by zwracać uwagę na uczucia inne niż swoje własne.

- Bo to JEST jedno wielkie szaleństwo! A ja muszę być szalona, skoro słucham cię godzinami!

Patrzyłam na nią bezsilnie, gdy wkładała swój długi przeciwdeszczowy płaszcz. Zdążyłam zapomnieć i o porze dnia, i o pogodzie, a przecież przez cały ten czas, który Arlena poświęciła na swoje fantastyczne historie, lało za oknem jak z cebra. Wyszła ode mnie prosto w objęcia tego deszczu, a ja zostałam sama z moją rozpaloną głową.

Jak na zamówienie - moje czy Arleny? - również tego wieczoru Joachim wrócił bardzo późno. Miałam więc sporo czasu na zleczone mi rozmyślenia, jednak one niewiele mi przyniosły. Rozgorączkowana - ja, Dagmar, pielęgnująca swój codzienny racjonalizm! - zajęłam się przygotowaniem kolacji dla męża, który, powróciwszy w końcu, był zbyt zmęczony, by chcieć zabawiać mnie rozmową lub choćby zauważyć to, jak mało mi na niej zależy.

Kiedy zegar umieszczony na Bibliotece zaczął wybijać dwunastą, Joachim spał, a ja bezradnie przewracałam się z boku na bok. Przez nieosłonięte okno w sypialni sączyło się światło, w którym pomieszały się promienie księżyca i zimna poświata ulicznych latarni. Bim-bom, bim-bom, wybiła kolejna godzina, a ja uświadomiłam sobie, że Joachim być może nigdy nie zauważył tych uderzeń, wyraźnych w gabinecie, lecz przytłumionych w sypialni. Ja słyszałam je za każdym razem i zawsze inaczej odkrywałam ich znaczenie. Przyjrzałam się mojemu śpiącemu mężowi: był mi obcy.

Wstałam i po krótkim postoju w kuchni, gdzie z rozpoczętej butelki nalałam sobie wina, poszłam do gabinetu. Zastłony były osłonięte, a gładka elewacja Biblioteki znów przyglądała mi się wyniośle niezliczonymi oknami. Skuliłam się na sofie w miejscu, w którym zawsze siadywała Arlena, i wolno wysączyłam wino. Musiałam usnąć, pijąc ostatnie krople, ponieważ nie zapamiętałam już własnego gestu odstawiania kieliszka.

Śnili mi się ludzie z podziemia. Jak Arlena chciałam dotrzeć do Matki, która sprzedaje suknie, jednak prowadziła do niej długa droga i tysiące postaci zagradzało mi ją pojedynczo lub grupami. Szłam podziemnymi korytarzami Calehm; przypominały mi moją łazienkę, jakby były jej przedłużeniem, a ja odnalazłam kierunek właśnie po wyjściu z wanny, naga i jeszcze mokra, brnąca przed siebie jak ślepiec szlakiem miedzianych rur. Najpierw był kamień - dużo kamienia, płatanina jego żył i ledwie dostrzegalne zmiany kolorów - potem coraz więcej ziemi i drewna. Drewna i drzew. Skąd wzięty się drzewa pod ziemią? Skąd wzięli się tam ludzie?

Kobieta przypominająca średniowieczną przekupkę narzuciła na mnie ubranie, a ja podejrzliwie przyjrzałam się materiałowi, który nie był koronką, lecz grubym, bardzo grubym i drapiącym skórę samodziałem.

- Czy to szata pokutna? - zapytałam ją, podrygującą wokół mnie w wielu warstwach spódnic i czepku, który znałam z ilustracji bajek dla dzieci.

- Nie, dziecko - odrzekła z szerokim, bezzębnym uśmiechem.  
- Przecież od dawna nie jesteś już w szpitalu. To ubranie, po prostu ubranie. Zmarzniesz chodząc tu nago. Poza tym dziś jest dopiero poniedziałek.

Nie zapytawszy o znaczenie pierwszego dnia tygodnia oglądałam jej towary. Oferowała prawie wyłącznie ubrania, wszystkie podobne do mojej workowatej sukni. Spodobało mi się, że nie były kamiennebeżowe, ale kolorowe jak jarmarczny afisz. Ich faktura była szorstka, jednak ktoś pofarbował je na zdolne przekonać każde dziecko jaskrawe barwy.

- Chciałabym kupić chustę dla Weroniki - powiedziałam stanowczo do kobiety, na co ona zaniósła się zaraźliwym śmiechem.

Śmiałam się razem z nią, nie wiedząc dlaczego. Otaczające nas piwniczne ściany przyłączyły się do salw śmiechu - cha-cha, chi-chi - w regularości uderzeń zegara z kukułką.

- Dziecko, cóż za nachalna symbolika! - zaśmiewała się przekupka. - Chusta Weroniki! Weronika zabrała chustę ze sobą, a i tak, tam gdzie jest teraz, wcale jej nie potrzebuje.

Uje-uje, dopowiedziały roześmiane ściany.

- He to już lat Weronika nie żyje? - zapytała nagle kobieta, zwracając się właśnie do nich.

- Dzieścia-dzieścia - zabrzmiała odpowiedź, rozmyta szczerym śmiechem.

- Właśnie, dzieścia - upewniła samą siebie ukontentowana przekupka.

Opuściwszy stragan, szłam dalej, mijając ludzi o różnych kolorach skóry. Było trochę tak, jak na dworcu, jednak nikt się nie spieszył i rzadko kto niósł ze sobą bagaż. Poza tym całe to niewyobrażalnie wielkie pomieszczenie było umeblowane, jakby pod jednym dachem skupiły się nie tylko sklepy, bary, sale gimnastyczne oraz publiczne kino, ale także czyjeś sypialnie, salony i kuchnie.

Stanęłam przed staromodnym ekranem, białym płótnem rozwijanym z rolki. Pamiętałam jeszcze coś podobnego z dzieciństwa i wspomnienie to, poparte szumiącym dźwiękiem projektora, wywołało we mnie niepohamowane wzruszenie. Już, już a rozszlochałabym się jak cztery starszki, wdzięcznie udrapowane na pluszowej kanapie w różę, przed ekranem, z którego demoniczne spojrzenia słał wyblakły amant niemego filmu.

- Czy zechce się pani do nas przyłączyć? - zaproponowała jedna z nich, zauważając moją obecność.

Poruszona widokiem łez oklejających jej sztuczne rzęsy wyjaśniłam, że się spieszę.

- To może wypije pani z nami szklaneczkę ponczu? - zapytała, uśmiechając się wdzięcznie.

Wskazała na okrągły stół, niemal w całości zajęty przez kryształową wazę z filizaneczkami, które powieszono były na niej za filigranowe uszka. Podziękowałam raz jeszcze i pożegnałam starą damę, urzekając zwiewną w swych koronkach, loczkach, biżuterii i papuciach z różowymi pomponami. Odeszłam, usiłując przypomnieć sobie, skąd mogę znać jej twarz. Jakieś mgliste wspomnienie, coś bardzo ciepłego kołatało mi po głowie, jednak dopiero gdy oddaliłam się na całkiem sporą odległość, udało mi się skojarzyć ją z kilkoma tytułami filmów z najodleglejszego dzieciństwa.

Aktorka! Pożałowałam niewypitego ponczu i postanowiłam wrócić kiedyś po autograf.

Monotonny łomot dyskotekowej muzyki wyrwał mnie z nostalgicznego zamyślenia, kiedy, pokonawszy dobre kilkaset metrów, znalazłam się przed szklaną szybą gimnastycznego studia. Spora grupa osób, z mojej pozycji widocznych jedynie od tyłu, ćwiczyła w nim aerobik albo może jakiś inny rodzaj gimnastyki. Trudno mi było to ocenić; grupa nie zachowywała się spójnie, a uplasowana z przodu, pozornie tylko kierująca nią młoda kobieta z pewnością nie usiłowała tego korygować. Dostrzegłszy mnie, pokiwała zapraszająco dłonią i natychmiast zaakceptowała moje odmowne podziękowanie. Postąpiłam jeszcze chwilę, wpatrzona w przedziwnie poukładaną gromadkę, tak różnowiekową i niewyrównaną, z rozhasanymi dziećmi i kalekim mężczyzną, który ze swego inwalidzkiego wózka żywo machał rękoma. Odeszłam niechętnie, obiecując sobie dołączyć się kiedyś do ich cudownego tańca w rytmie hałaśliwej muzyki, płynącej ze starego magnetofonu, w którym kasety zmieniała odziana w sportowy dres mała kapucynka.

Potem natknęłam się na bliższą mi scenkę, dzięki swemu dworcowo-parkowemu charakterowi bardziej zrozumiałą mej prostej, ludzkiej naturze. Zatrzymałam się: kilka rozłożonych pod ścianą osób w duszącym obłoku marihuany ewakuowało się w jeszcze inny, następny w kolei świat. Nie potrafiłam odgadnąć stopnia ich obecności w świecie Calehm, nie wiedziałam nawet, czy upewniają się co do niego, czy tylko przed nim uciekają. Przypominali wyglądem zwykłych ćpunów; byli niechlujni, długowłosi, o twarzach wypłukanych z myśli i uczuć. Zwyczajni ludzie, powtórzyłam z ulgą, czując się pewniej, jakbym powróciła na rodzimy grunt.

Stare ławki, jakie pamiętałam jeszcze z mojej pierwszej szkoły, bezpieczne i stabilne dzięki konstrukcji łączącej twarde siedzenie z szerokim blatem, były poplamione atramentem i ustawione bez porządku w pomieszczeniu przypominającym salę wykładową. Zrozumiawszy nieprzystawalność elementów mojego spostrzeżenia - nie zgadzają się albo szkolne ławki, albo akademicka sala - poszukałam wzrokiem dodatkowego wyjaśnienia i prędko je znalazłam

w postaci człowieka, którego głos docierał do mnie z daleka. Stał w pobliżu staromodnej czarnej tablicy i monotonnym głosem, którego prawie nie modulował, perorował bez ustanku, nie patrząc na nikogo, jakby był sam.

Miał wielu słuchaczy i sala była niemal pełna, o czym przekonałam się, szukając wolnego miejsca. Nie wiedziałam dokładnie, czego bardziej pragnę: zajęcia miejsca w przyjemnie znajomej z dzieciństwa ławce czy też posłuchania człowieka dość interesującego, by nie musiał troszczyć się o niczyją uwagę. Przycupnęłam obok wysokiego Araba o niewypowiedzianie pięknych oczach, których pulsującą głębię zauważyłam natychmiast, gdy spojrzał na mnie zirytowany wyszeptaną prośbą o pozwolenie. Zanim zrobił mi miejsce, odsunął kraj białej szaty, nie ujawniającej niestety kształtu jego sylwetki.

- Sami chcieliście mówić ze mną o Kierkegaardzie - stwierdził człowiek stojący przy tablicy, ściskając w dłoni kawałek kredy tak mocno, że posypał się biały pył. - Powtarzam wam jeszcze raz, że bardzo zdziwiła mnie propozycja takiego wykładu. Robię to tylko dlatego, że nie zgłosił się inny chętny do zaprezentowania myślowej spuścizny tego filozofa. Nawet ojciec Aaron nie chciał skorzystać z wyjątkowej okazji wytoczenia argumentów, którymi Kierkegaard uzasadnił słuszność religijnego wyboru.

Choć mówił beznamiętnie jak ktoś, kogo zmuszono do czytania rozkładu jazdy pociągów, sala zadrzała od śmiechu. Ciemna, pokaźna postać z rogu sali zamachała wesoło obiema rękami:

- Ojciec Aaron obecny!

- Wiem - skwitował wykładowca, demonstracyjnie wzruszając ramionami. - Chociaż nie jestem pewien, czy jesteś tu, bo dobrze jest posłuchać o kimś wierzącym i jednocześnie mądrym, czy dlatego, że z powodu niedostatku tych pierwszych nie masz nic do roboty.

Salwa śmiechu przebiła poprzednią, do czego istotnie przyczynił się ojciec Aaron, porykujący najgłośniej i z rozbawienia klepiący się po brzuchu.

- Zapytam po raz ostatni - burknął niewzruszony wykładowca. - Czy ktoś chce mnie wyręczyć?

Był wysuszony, chudy i niewiarygodnie wysoki. W okrągłych okularkach na ptasim nosie i z powiewającą z kieszeni, z roztrągnięcia niedokładnie upchniętą chusteczką, przypominał przerysowaną kukłę nauczyciela. Był zbyt dosłowny w tym, co robił, by być prawdziwym wykładowcą, i zaczęłam podejrzewać, że jest jedynie aktorem grającym groteskową postać.

- Ty? - zniecierpliwiona wytknęłam mu swym długim, spiczasty palcem.

- Nie! - zaprzeczyłam szybko, przerażona myślą, że wszyscy inni zaraz odwrócą się w moją stronę - Nie, broń Boże...

- Broń Boże - bez emocji powtórzył po mnie dziwny bakałarz. - Nawet ona. Nikt nie zabierze głosu na egzystencjalny temat. Zapewne wszyscy, którzy mieliby coś do powiedzenia, są zajęci ważniejszymi sprawami.

Westchnął demonstracyjnie, a jego małe oczy za zatkniętymi na końcu nosa binoklami błysnęły wyrazem śmiertelnego znudzenia. Jednak zaczął mówić, jednostajnie i beznamiętnie, jakby recytował jeden długi tekst bez akapitów, podtytułów i znaków przystankowych. Jeśli w trakcie swej kwiecistej perory cytował kogokolwiek, nie było to możliwe do rozpoznania - przynajmniej dla mnie, która oszołomiona prędkością strumienia jego myśli, raz po raz gubiłam wątek. Rozpaczliwym wysiłkiem wyłapywałam jedynie wybiórcze informacje, niczym tępy, lecz zdeterminowany uczeń, który usiłuje zapamiętać najważniejsze twierdzenia. Teatralnie wymowny dysonans połączenia znudzonego tonu z doбором wyszukanych słów sprawiało, że mimowolnie powtarzałam fragmenty zdań wykładowcy. *Kierkegaard przejawiał głęboką, krzyżującą i namiętną nienawiść do filozofów ze stajni Hegla*, recytowałam szeptem jak tłumacz kabiny, aż mój piękny arabski sąsiad syknął na mnie z rozdrażnieniem. Speszona ucichłam i, porzucając nadzieję rozszerzenia filozoficznej wiedzy, ograniczyłam się do obserwowania scenarii.

A było na co patrzeć. Otaczała mnie wymyślna ludzka galeria, z której każdy mógł być bohaterem pojedynczej komiksowej historii. Tutaj, jakby specjalnie dla mnie, zjednoczyli się skrzyknęci w jedną opowieść Batman, Lara Croft oraz Królik Bugs po to, by po-

chylić się nad filozoficznym sensem żywota. Przewodził im ojciec Aaron, sąsiad starszej od siebie zakonnicy w białym stroju oraz, rozsadzającego sąsiednią ławkę grubego, całkowicie tysego mężczyzny, z wyglądu bardziej niż filozofa przypominającego zawodnika sumo. Sporą część sali zajmowała młodzież, z której wyróżniała się ładna dziewczyna w golfie, z włosami ściągniętymi w koński ogon na czubku głowy. Skupiona na wykładzie jak największy szkolny kujon stukwała w klawisze hipernowoczesnego laptopa, ani na sekundę nie spuszczał wzroku z referenta. Kontrastowała smacznie z kolegą z ławki, rozczochranym dwudziestoparolatkiem, który, podłożywszy pod głowę swe wielkie dłonie siatkarza, zasnął pogodnie i cicho pochrapywał przez nos. Jego sen zdawał się nie przeszkadzać wykładowcy, który, krążąc po sali, potykał się o innego, jeszcze hałaśliwiej śpiącego słuchacza, odbywającego swoją drzemkę na podłodze bezpośrednio pod tablicą.

- Filozofia to zarazem najmniej potrzebna i najbardziej użyteczna z nauk - usłyszałam tuż nad uchem, a na blat mojej ławki posypały się drobiny kredowego pyłu. - Je ś l i w ogóle można nazwać ją nauką. Preferuję określanie jej jako kreatywnej zabawy w wymyślanie nazw i związków między nimi. Zgadzam się na nazwę „trening umysłu”, uznając jej rolę w słowotwórstwie oraz ogromne zasługi w zabawach towarzyskich. Jednak z filozofii jako takiej rzadko płynie coś konkretnego. Związek filozofii z produkcją jest niejasny, nikt dzięki niej nie staje się ani szczęśliwszy, ani bogatszy, nikt nie zdrowieje i nikt nie przedłuża sobie życia. Co najwyżej wcześniej umiera, choć i tu nie należy przeceniać niczyjej roli. W świecie jest tak, że sprawy po prostu się wydarzają, natomiast filozofia jedynie je nazywa - *post factum*, a często też *post mortem*. Przypisywana sobie przez filozofów zdolność przewidywania faktów, czy wręcz wpływania na nie, jest iluzją. Iluzją, którą nikt rozsądny nie powinien zaprzętać sobie umysłu.

Choć przykurzony wykładowca nie był oddalony ode mnie dalej niż o pół metra, nie potrafiłam odgadnąć do kogo przemawia. Stał przy mojej ławce, niemal osypywał mnie kredą, a mnie nie udawało się uchwycić jego spojrzenia, które biegało po sali, jakby nie za-



pełniali jej żywi ludzie. Zdezorientowana zaczęłam przypuszczać, że przemawiający człowiek nikogo z nas nie widzi.

- Dla Kierkegaarda najważniejsza była jednostkowość danego żywota - rzucił ktoś z sali.

- Co jest typowe dla jednostek odrzuconych przez swoje środowisko. Ich pozornie dobrowolna alienacja jest wtórna - zripostował monotonna nauczyciel.

- Jednak chodzi o jego filozofię, nie o psychologiczne uwarunkowania.

- Filozofia jest stekiem ludzkich słów. Tworzą ją ludzie nie tylko w następstwie swych przemyśleń, ale też swoich przeżyć.

- Jednostkowych czy uniwersalnych?

- I takich, i takich.

- Które są ważniejsze?

- Dla przekazu te pierwsze, jako pojedynczo werbalizowane. W takiej formie zostają przekazane dalej.

Odnalazłam wzrokiem kobietę, która wywołała tę krótką polemikę. Była zwyczajna, tak nieznaczna, że na tle innych barwnych postaci pewnie bym jej nie zauważyła.

- To nie była polemika, lecz nieznaczący dialog - zabrzmiało tuż nad moją głową, a ja z przerażeniem pojęłam, że wykładowca nadal stoi tuż obok. - Rodzaj ćwiczeń dla roku zerowego. Natomiast co do kierkegaardowskiej teorii albo-albo...

Swój długi palec wycelował w czoło dziewczyny z laptopem, a ona posłusznie odpowiedziała:

- Można albo kompletnie wierzyć, albo kompletnie nie wierzyć.

- A chodzi o...

- U Kierkegaarda - o doktrynę chrześcijaństwa.

- A poza religią?

Dziewczyna zawahała się i pochyliła głowę, jakby chciała poszukać rozwiązania w swojej, leżącej na podłodze torbie, na której zauważyłam emblemat znanego europejskiego uniwersytetu.

- Można żyć i tu, i gdzie indziej? - ponaglił ją wykładowca.

- Można... - odpowiedziała niepewnie.

- Można wierzyć w sens Calehm i spełniać się na górze? - zabrzmiało następne beznamienne pytanie wykładowcy i na sali zapanał wielki harmider, jakby wszyscy obecni nagle mieli coś do powiedzenia, a ja zapragnęłam już zniknąć stamtąd, pójść dalej korytarzem, jednak tylko tam, w podziemiu, nie na górze...

Obudziłam się. Otworzyłam oczy i natychmiast je zamknęłam, oślepią słońcem strzelającym z okien Biblioteki. Była teraz jednym wielkim lustrem i w bolącym blasku promieni niemożliwe było odróżnienie jej imponujących konturów. Wstałam, pojękując i nie próbując nawet zaciągać żaluzji, poczłapałam do kuchni. Wszystko mnie bolało, jakbym spędziła noc na twardej szkolnej ławie.

Spacerowałyśmy po parku. To ja poprosiłam o ten spacer, może nawet zażądałam go od Arleny, kiedy po kilku dniach jak dawniej stanęła w moich drzwiach nieproszona i niezapowiedziana. Jej widok zirytował mnie na nowo, a - patrząc w jej przygaszone oczy - nie poczułam współczucia, lecz bunt na myśl o tym, że oto jeszcze raz zajmie miejsce na mojej kanapie w pokoju, który nieświadomie zaczęłam nazywać „bibliotecznym”, i będzie mi opowiadać swoje życie - w dawkach aptekarsko policzonych i przebranych według jej widzimisię.

- Uważasz, że to jest fair? - zapytałam zamiast ją powitać.

Choć po otwarciu drzwi wejściowych nie ruszyłam się z miejsca i stałam z ręką na klamce, weszła do przedpokoju, obywając się bez mojego zaproszenia. Tak pozostałyśmy, w pobliżu otwartych drzwi.

- Aż tak cię to niepokoi? - odpowiedziała pytaniem, a ja poczułam ulgę, że zwalnia mnie z formułowania zarzutów.

- Bardzo - przyznałam szczerze. - Nie udaje mi się myśleć o tym tak po prostu. Pewnie byłoby inaczej, gdyby owo Calehm znajdowało się na końcu świata...

Uśmiechając się, wpadła mi w słowo:

- Świat jest okrągły, więc w pewnym sensie...

Jednak nie pozwoliłam sobie przerwać:

- Każde jego miejsce tam się znajduje. Tak, wiem. Jednak Calehm, o którym mówisz, znajduje się podobno tuż pode mną. Mogłabym się tam dostać, gdybym tylko rozpoznała odpowiednie drzwi w piwnicy!

Przyglądała mi się, milcząc.

- Miałyśmy konfrontować swoje życie. Wiem. Miałam cię wysłuchać. Miałyśmy czekać, co z tego wyjdzie. To też wiem. Jednak...

Tłumaczyłam się przed nią coraz bardziej bezradna, a moja dotychczasowa złość ulatniała się w stronę ponizającego pragnienia wzbudzenia w niej litości.

- Nie było mowy o tym, byśmy robiły co innego - powiedziała Arlena, a jej słowa zabrzmiały stanowczo.

- Ale nie było też mowy o żadnych zakazach.

- Nie rozumiem cię.

- Oczywiście, że rozumiesz! Opowiadasz mi o unikatowych obrazach, które można kupić w galerii dwie ulice dalej!

Swoim zwyczajem zamknęła oczy, tym razem na dłużej.

- Uważasz, że powinnam cię tam zabrać, abysj sama zobaczyła.

- Tak mi się wydaje.

- Dagmar... Ty nie wiesz wszystkiego.

- Więc powiedz mi!

- Powiem ci o wszystkim, naturalnie, że powiem. Chcę to zrobić, ale potrzebuję czasu.

- Możemy go zaoszczędzić w ten sposób, że po prostu pokażesz mi prawdziwe Calehm - oświadczyłam stanowczo, zaskoczona własną radykalnością. - Nie ma tu żadnej sprzeczności z tym, co robimy dotychczas.

- Nie wiem, absolutnie nie wiem, czy tak powinno być - powiedziała i tym razem to jej głos zabrzmiał bezradnie.

Poczułam napływ sił:

- Po co inaczej miałabyś mnie tu ściągać?

Zadrzała na dźwięk ostatnich słów. Spojrzała na mnie rozszereżonymi oczyma - nigdy dotąd nie widziałam jej takiej - i krzyknęła głośno, nie w moim kierunku, lecz w stronę korytarza:

- Nie wiem!

Zaskoczona opadam się o ścianę. Po malej, bolesnej ciszy udało mi się wyciągnąć rękę, by zamknąć drzwi prowadzące na korytarz.

- Wejdzmy do środka - odezwała się w końcu Arlena, jakbym to ja była jej gościem - i usiądźmy w gabinecie.

Pokręciłam przecząco głową:

- Nie. Chodźmy przynajmniej na spacer.

- Dobrze - zgodziła się chętnie. - Ale przedtem daj mi szklanekę wody.

Siedziałyśmy przy kuchennym stole. Nalałam wodę do szklanek i wyciągnęłam miseczkę z prażonymi orzeszkami i pestkami dyni, których prawie nie zauważyła. Piła powoli, błędząc wzrokiem po pustych ścianach, ustrojona w kolory kamieni należących do tego wnętrza. Zdjęła buty i bosymi stopami dotykała zimnej podłogi.

- Przecież... - zaczęłam jeszcze raz.

Nie spojrzała na mnie. Była zamyślona, jakby coś rozważała, a mnie, nie wiedzieć czemu, zrobiło się jej żal. Wydała mi się bezsilna i starsza niż zwykle.

- Posłuchaj - powiedziałam. - Przecież same przyłączyłyśmy się do tej gry, której reguły nie były nam znane. Jeśli mówisz prawdę, jeśli rzeczywiście nie wiesz, czy powinnaś zabrać mnie ze sobą na dół, i niczego z góry nie zaplanowałaś, powinnaś tak jak ja czuć, że coś dzieje się bez naszej wiedzy.

- O czym ty mówisz?

- Coś wywiera na mnie wpływ - odpowiedziałam. - Ogarnia moje myśli, sprawia, że zachowuję się inaczej niż zwykle, czuję inaczej. Coś mnie obserwuje.

Arlena zmęczonym ruchem dłoni przetała zamknięte powieki. Nie trwało to długo, gdyż już chwilę później powoli pochyliła się, zawiązała swoje dziwne, płócienne buty i niczym stara kobieta z wysiłkiem podniosła się z krzesła.

- Chodźmy na ten spacer - powiedziała.

Nie znałam parku, do którego mnie zaprowadziła. Przypominał każdy miejski zieleniec z przewagą drzew liściastych, w cie-

niu których zwyczajni ludzie spacerują, obsiadają parkowe ławki, czytają gazety albo pilnują dzieci ujeżdżających kolorowe rowerki. Uczulona na calehmskie szczegóły przyglądałam się ukradkiem ich ubraniom i obuwiu. Byli wśród nich tacy, którzy odziewali się zgodnie z filozofią Arleny, jednak spotykałyśmy i innych, podobnych do mnie zwolenników skórzanych pantofli. Mimo wzmożonej uwagi, nie zauważyłam niczego szczególnego.

- Mam sny - powiedziałam do Arleny, idąc u jej boku główną aleją.

- O Calehm? - zapytała bez wyrazu.

- Chyba raczej z Calehm.

- Ach tak?

Znów była prawie arogancko obojętna, jakby chciała powstrzymać mnie przed tym, co zamierzałam powiedzieć.

- Śniło mi się podziemie. Było wielkie, kamienne. Najpierw pomyślałam, że jest jak moja łaźienka.

Milczała.

- Cały czas zaskakują mnie miedziane rury w mojej łaźni. Mają jakiś cel?

Spojrzała na mnie beznamiętnie.

- Nie podobają ci się?

- Bardzo - odpowiedziałam.

Jej kroki jakoś głośniej zaszeleściły na żwirze wyścielającym aleję.

- Śniła mi się kobieta sprzedająca suknie - powiedziałam prowokująco.

Arlena zatrzymała się i niechętnie obróciła w moją stronę. Obojętność z coraz większym trudem trzymała się jej twarzy.

- To był stragan pełen kolorowych samodziatów, bez koronek - wyjaśniłam.

Ledwie dostrzegalnie zacisnęła wargi i ruszyła dalej, jakby chciała się mnie pozbyć. Mimo to nie mogłam mieć wątpliwości, że uważnie mnie słucha.

- Ta kobieta znała Weronikę - rzuciłam w jej plecy. - Powiedziała, że Weronika zabrała ze sobą swoją chustę.

- Cóż za nachalna symbolika - odparła, nie odwracając się do mnie.

Na moją głowę spadła paląca, czarna chmura.

-Ależ...

Znieruchomiałam gwałtowniej, niż przed chwilą uczyniła to Arlena; spływająca z czubka mojej głowy do stóp fala gorąca sprawiła, że moje względne zrównoważenie natychmiast ze mnie wyparowało. Straciłam wszelką ochotę na prowokacje.

- Założyła na mnie suknię - wymamrotałam ze strachem, dogoniwszy Arlenę w alei.

- Można chodzić nago po Calehm, ale niewielu to robi.

Głosem, który wbrew mej woli przeszedł w suchy szept, spytałam:

- Skąd wiesz, że byłam nago?

W odpowiedzi wzruszyła tylko ramionami.

- Poza tym spotkałam we śnie aktorkę - powiedziałam niemal z rozpaczą. - Jednak nie pamiętam jej nazwiska. Była taka... rokoko-wa. Cała w tiulach i koronkach. Siedziała na pięknej kanapie w różę i oglądała z koleżankami film na ekranie. Była bardzo stara...

- Ma dziewięćdziesiąt siedem lat.

Arlena wymieniła filmy, w których zagrała artystka częstująca mnie we śnie ponczem, a ja, słuchając jej, zamieniałam się powoli w kawałek drewna. Albo w drewnianą kukłę z prymitywnym mechanizmem w głowie, znającym zaledwie kilka prostych czynności i jedną jedyną myśl. Obojętna na własną śmieszność ja, Dagmar kukiełka, zasypywałam Arlenę pytaniami dotyczącymi własnego snu.

- Chciała mnie poczęstować ponczem.

Nie zostałam nagrodzona odpowiedzią.

- I byli tam narkomani - powiedziałam w końcu podstępnie, czepiając się najprostszej możliwości.

- Są wszędzie - odpowiedziała Arlena.

Odetchnęłam skwapliwie.

- ■ fitness studio.

Patrzyła na mnie z litością.

- Z małpką kapucynką - dodałam, kręcąc głową na idiotyzmy opowiadane przez kukłę rozpanoszoną w moim wnętrzu. - Wyobraź sobie, umiała zmieniać kasety w magnetofonie!

Śmiech szybko spętał mi z warg, ponieważ Arlena porzuciła pogardliwe milczenie:

- Ma na imię Kiki. Jej właściciel wykradł ją z ogrodu zoologicznego. Jest bardzo mądra. Cierpiała w klatce, kradła torebki od cukierków, by osłaniać się nimi przed ludzkim wzrokiem. Siadała tyłem w rogu klatki i nakładała sobie torebkę na głowę, wierząc, że to peleryna, która uczyni ją niewidzialną. Jednak, oczywiście, nie stawała się przez to niewidzialna, a strażnik ZOO odbierał jej torebki, by ludzie w spokoju mogli napaść oczy widokiem małej, śmiesznej kapucynki.

Ostatecznie ogłupiała dotarłam do momentu, w którym w nadmiarze bolesnego napięcia byłam już gotowa przyjąć ostateczny cios:

- Śnił mi się wykład z filozofii, w dziwnej sali z przedpotopowymi ławkami. Na temat Kieerkegarda.

Arlena spojrzała mi w oczy, a mnie wydało się, że nigdy dotąd nie widziałam jej tak smutnej.

- Na wykłady Jana van der Beerga przychodzą również studenci z góry. To największy historyk filozofii naszych czasów. Nie ma dziecka, którego by nie znalazł - powiedziała cicho.

- Wydał mi się taki nieprawdziwy... - wyrzekła drewniana kukła we mnie.

- We śnie wszystko jest nieprawdziwe - odpowiedziała jej Arlena.

- A ojciec Aaron? - wydukałam jeszcze, chwiejąc się na ostatnim stopniu prowadzącym do ostatecznego zwątpienia.

Arlena westchnęła:

- Wszyscy znają ojca Aarona - rzuciła, patrząc w dal. - Jest proboszczem w Katedrze Świętego Franciszka. Powinnaś kiedyś pójść tam na mszę. To cudowny człowiek i rzetelny duszpasterz.

# ARLENA: III

## ...DZIEŃ ŚWIĘCIĆ

Zachłanna fala słońca wpłynęła do sypialni i oblała ją całą w tej samej sekundzie, w której Oloff gwałtownie odstąpił kotarę. Jaskrawe promienie przemasowały na jasność poranny półmrok pokoju oraz Arlenę, nagą i ledwie przykrytą poplątanym prześcieradłem. Dziecinnie zacisnęła powieki i zasłoniła twarz poczochną chmurą jasnych włosów, jednak zapach świeżej kawy przywołał uśmiech na jej obrzmiałe usta. Po kilku nieudanych próbach usiadła, z trudem otwierając zaspane oczy.

- O której zasnęliśmy? - zapytała, sadowiąc się przy wezglowiu, by zrobić miejsce na tacę ze śniadaniem przyniesionym przez Oloffa.

- Dość późno, jak sądzę. Robiło się coraz jaśniej.

- Dziękuję ci za tę kotarę... - pocałowała go w muskularne ramię. - Dziękuję. Gdybyś nie zrobił wyjątku i nie zasłonił dzisiaj okna, znów obudziłabym się o świcie - czyli parę minut po zaśnięciu.

Oloff podał jej filiżankę kawy, a sam wstał, by otworzyć okno. Fale orzeźwiającego powietrza z ogrodu pomieszały się z biciem wielu dzwonów.

- To oznacza, że nie byłaś dostatecznie zmęczona. Gdybyśmy wykorzystali tę kotarę tak, jak proponowałem, spałabyś jak kamień aż do teraz. Nawet dzwony nie zdołałyby cię obudzić.

Udając przerażenie, zamachała wolną dłonią w powietrzu:

- Nie mogłam już być bardziej zmęczona... Traciłam przytomność ze zmęczenia.

- Ach tak? - rzucił, wracając do łóżka i siadając na jego brzegu.

Dotknął jej, jednak tylko przelotnie, ponieważ natychmiast zajęł się swoją filiżanką kawy.



- Natomiast teraz - powiedziała rozczarowana nieco Arlena - kiedy kotara nie jest już potrzebna na oknie...

Oloff zaśmiał się cicho:

- Słyszysz ten koncert?
- Trudno nie słyszeć...

- Dziś biją wszystkie dzwony w Calehm. Ten najważniejszy, na Katedrze Franciszka oraz pozostałe, które starają się wtórować mu najpiękniej jak potrafią.

- A co to ma do kotary?

- Te dzwony nas wzywają. Dzwon Franciszka... - powiedział z powagą Oloff i przerwał na czas kilku uderzeń monumentalnego instrumentu, który Arlena od dawna podziwiała z daleka. - Dzwon Franciszka mówi: „Chodźcie, wzywam wszystkich”.

Miarowe, głębokie bicie docierało do nich doniosłe, rezonując wśród ścian sypialni.

- Natomiast te mniejsze przekazują inne wiadomości.
- Słyszę, ale nie rozumiem... Ty rozumiesz?
- Tak...

Oloff przymrużył oczy.

- Na przykład ten - powiedział cicho, wsuwając bosą stopę pod odsłonięte udo Arleny - ogłasza...

- Co? - wyszeptwała gotowa zrezygnować z kawy.
- Koniec zabaw miłosnych na dzisiejszą noc.

Zachichotała:

- Żartujesz! Dzwony w Calehm są aż tak wyspecjalizowane?

- Owszem. Posłuchaj: „Opuscicie swoje kobiety, ich ciepłe uda i brzuchy, ich twarde piersi i pachnące miodem włosy”... Dlatego nic z kotary, kochanie, i nic z tym podobnych.

- Kto je tego nauczył?

- One same...

- A co mówi ten?

- „Opuscicie ciepłe łóżka, pora założyć uroczysty strój i wyjść z domu”.

Arlena z dezaprobatą zmarszczyła nos:

- Bez kąpieli?

- O kąpeli mówi inny dzwon, ten wysoko brzmiący... Słyszysz?

- Ten bim-bim-bim-bom?

- Ten właśnie. Nazywamy go „łazienkowym”.

- Znowu ze mnie kpisz!

- Tylko trochę... Ponieważ ten dzwon rzeczywiście przypomina o rytualnym myciu.

- O! - Arlena z uznaniem pokiwała głową. - W Calehm praktykuje się rytualne mycie? Zapewne w sobotę.

- W piątek po południu.

Z rosnącym niedowierzaniem Arlena przyglądała się swemu kończącemu śniadanie mężczyźnie.

- Rzeczywiście słyszałam go w piątek... Dlaczego więc bije dziś, w niedzielę?

- Dzisiaj jest dzień szczególny. Wyjątkowy, zdarzający się raz na wiele lat.

- Co to takiego?

- Dziś w Katedrze świeżo wyświęcony ksiądz odprawia swoją pierwszą mszę. Idziemy tam wszyscy.

Dzwony nie milkły. Arlena pomyślała, że ich głośnie nawoływanie zadomowiło się już w każdym zakątku domu - jej domu, którego ciągle nie w pełni знаła. Spróbowała wyobrazić sobie monumentalny koncert w piwnicy, w basenie i na kamiennych schodach. Ujrzała jego barwę w pieczarze o krągłych kształtach koncertowej muszli, złaknionej zamknąć i zatrzymać w sobie dźwięki.

- Nie mamy już czasu, by zejść na dół? - zapytała z żalem.

Nie zrozumiał jej.

- Na dół?

Arlena czuła głęboki szacunek dla osoby, na cześć której setki dzwonów rozspiewały się zgodnie.

- Nie, nie... - potrząsnęła głową, wyobrażając sobie nowego księdza. - Miałam tylko na myśli pójście nad basen, aby posłuchać tego bicia.

- Posłuchasz go na zewnątrz. A na dół pójdziemy później, po mszy.

Zaskoczona podniosła ku niemu twarz:

- Chcesz powiedzieć, że ty pójdziesz tam ze mną?

- Pójdziemy tam wszyscy po mszy w Katedrze - powtórzył Oloff.

Szli pieszo, choć od placu w centrum miasta dzielił ich spory dystans. Dzwony nie przestawały koncertować, jednak Arlenie wydało się, że ich ton wyciszył się w labiryncie budynków i młodej zieleni drzew. Brzmiały teraz łagodnie, jakby po wywabieniu ludzi z domów wolno im było zatopić się w kontemplacji własnych głosów, spływających na Calehm niczym duże krople ciepłego deszczu. Rozproszone po mieście dzwony akompaniowały bez zawiści swemu największemu bratu z Katedry, ku której śpieszyły rzesze odświętnych ludzi. Marsz tych istot i ich wystukiwana stopami odpowiedź na zew brylującego jak solista dzwonu Franciszka ostatecznie rozczulił Arlenie.

- Kim jest ten człowiek? - spytała ściszym głosem. - Ten ksiądz, dla którego dzieje się to wszystko?

- Jest jednym z nas - odrzekł Oloff. - Urodził się na dole.

- Sądziłam, że Katedra Świętego Franciszka jest zwyczajnym katolickim kościołem...

Mówiła cicho, ukrywając niewiedzę przed rodziną, którą mijali na chodniku. Oloff uklonił się młodym rodzicom; zabierali ze sobą do Katedry dwoje małych dzieci, z których młodsze spało pogodnie w odkrytym wózekku.

- Może niezupełnie zwyczajnym - powiedział rozbawiony jej zdziwieniem. - Jednak, jak słusznie zauważyłaś, zupełnie katolickim.

- Czy... ktoś, kto żyje na dole, żyje życiem tego drugiego Calehm, może być katolickim księdzem? Nie chodzi mi o formę, o spełnienie warunków i tym podobne sprawy. Myślę o tym, czego będzie nauczał. Jaką drogę wskazywał...

Oloff niósł w rękę cztery białe lilie, o których Arlena pomyślała, że odpowiadają czterem łapom Katedry Franciszka.

- Sądzisz, że ktoś urodzony na dole ma problemy z wyborem właściwej drogi? - zapytał spokojnie.

- Nie z jej wyborem dla siebie, ale ze wskazaniem jej innym. Nie poznałam jeszcze naprawdę Calehm, to znaczy, nie tak, jakbym chciała. Jednak pozostanie na dole to mimo wszystko alienacja...

Przerwała, bojąc się, że go urazi, jednak on zachęcił ją do mówienia:

- Słucham cię.

- To dopiero mój zamiysł zdefiniowania Calehm, którego jeszcze nie znam - zastrzegła się nieskładnie. - Na razie wiem tylko tyle, że je kocham. Czyli tyle, co o tobie.

Jej bezradność wzruszyła go; zatrzymał się i ucałował jej włosy.

- Będziesz wiedziała o mnie wszystko. Przyrzekam.

- Wiem... Przecież zgadzam się na tempo, w którym wszystko się wydarza.

Muzyka dzwonów powolniała, obwieszczając, że do placu Katedry pozostały tylko dwie ulice. Spotykali coraz to nowych ludzi, jak oni niosących kwiaty na święto nowego księdza.

- A jeśli chodzi o ojca Aarona... - zaczął Oloff, lecz nagły atak śmiechu przeszkodził mu mówić dalej.

- To żydowskie imię - zauważyła Arlena.

- Nie ma znaczenia - odrzekł. - Przepraszam, ale jeszcze nie przestało mnie bawić mówienie „Ojciec” o małym chłopcu, którego urodzenie pamiętam. Ojciec Aaron...!

- ...który nigdy nie będzie ojcem - spróbowała uzupełnić za niego, lecz on przecząco pokręcił głową.

- Może już nim jest? Kto wie... Poszedł do seminarium jako prawie trzydziestolatek.

Stanęli przed główną bramą Katedry. Jakby na uczczenie ich przybycia umilkły wszystkie dzwony, poza wybijającym ważny czas wyniosłym dzwonem Franciszka. Znaleźli się w centrum wydarzenia, w jądrze, w którym czas łączył się z dźwiękiem.

- Jesteśmy.

Wszyscy inni byli już za murami, w brzuchu rozpostartej na czterech łapach potężnej świątyni, za rozwartą bramą, przed którą lśniły białe jak opłatki figurki ministrantów.

- Istnieje niewielu księży, którzy nadają się do wskazywania drogi tak dobrze jak ojciec Aaron - powiedział Oloff, zatrzymując się na najniższym sfopniu schodów prowadzących do wnętrza. - Do tego niezbędna jest odwaga radykalnego wyboru względem samego siebie. On, wśród nas urodzony, potrafił nas zostawić.

Katedra była wypełniona do ostatniego miejsca i olśniewająco jasna w dzień, z myślą o którym jej twórcy wymyślili mleczone przeszklenie otworów okiennych - gotycko smukłych okien i ogromnych jak słoneczne kule rozet po obydwu stronach ołtarza. Zgromadzeni ludzie przypominali mrówki, ciasno wypełniając posadzkę, niezgrani w harmonii z wysokością pomieszczenia, jakby znaleźli się w miejscu nie dla nich przeznaczonym, zbyt monumentalnym, przerastającym ich wymiarem i powagą. Zajmowali podłogę oraz jak z litości porozstawiane ławki, wśród których gubili się maleńcy i nieważni. Nawet obrazy zdobiące Katedrę wisiały zbyt wysoko i ludzie odginali boleśnie szyje, aby móc je podziwiać. Na płótnach uwiecznieni byli święci, jednak tak przewrotnie, że nie oni, lecz towarzyszące im zwierzęta zdawały się być najważniejszymi motywami.

Wyżej od przybyłych wiernych, na wznoszącej się ku górze podstawie ołtarza, stali ministranci. Było ich kilkunastu: dziesięciu, może dwunastu młodych chłopców o nieśmiałych twarzach oraz pięć dziewczynek, ślicznych niczym bezskrzydłe anioły. Z młodzieńczą powagą zbudowali z siebie niewinny krąg pierwszego wzniesienia, które było dość szerokie, by swobodnie ugościć ich wszystkich. Następny stopień, zmiękczony falą haftowanych poduszek, dzielił dzieci od kleryków i diakonów, którzy ramię w ramię ustawili się powyżej. Ich przestrzeń była szersza od pozostałych i mieściła wysokie ławy, sięgające kolejnego wzniesienia. To z kolei było zajęte nie przez ludzi, lecz bukiety kwiatów, których rozkwitłe pęki dotykały ascetycznej płyty i ścieliły się pod stopy wyniosłego w swej surowości ołtarza.

Przed nim, w obramowaniu dwóch starszych duszpasterzy, modlił się ojciec Aaron. Był wyniesiony ponad innych w Katedrze Świętego Franciszka; jego miejscem był centralny punkt budowli pod najwyższym sklepieniem, oznaczonym splecieniem wielu napiętych ku niebu strzał. Sylwetka młodego księdza górowała nad jednolitym tłumem wiernych oraz gromadą religijnych braci, jak on upoważnionych do bliskości ołtarza, jednak skromniejszych w hierarchii prowadzących doń schodów. Na kapłańskich szatach Aarona, tańcząc po połyskliwych zieleniach i czerwonościach, złąły się w ognisko promienie dnia. Na tle kamiennych murów wyczarowały mu twarz natchnionego dziecka, którego kobaltowe oczy zwilgotniały od łez.

- To niemożliwe, że on ma trzydzieści trzy lata - szepnęła Arlena wpatrzona w jego bezlitośnie skrócone jasne loki, łagodzące kontur młodzieńczej głowy. - Wygląda na siedemnaście, pomimo stroju i całej tej oprawy.

Jednak Oloff nie zwracał na nią uwagi. Wbił wzrok w podłogę Katedry i wraz z innymi wyczekiwał słów z ołtarza. Podniósł oczy, gdy zamiast zakłęcia usłyszał pokorne powitanie:

- Dziękuję wam wszystkim - powiedział najwyższy kapłan.

Uklonił się głęboko, dotykając czołem płyty ołtarza.

- Dziękuję wam za to, że przyjmujecie mnie tutaj.

Jego ukłon ofiarowany był wszystkim - ministrantom w sukniach odsłaniających sportowe buty oraz ministrantkom, które obciążały wokół kolan białe tuniki; diakonom, klerykom, seminaryjnym przyjaciołom. Dotyczył także niezliczonej rzeszy Calehmczyków, którzy wypełnili Katedrę jak wielopokoleniowy las, wymieszany w różnorodności gatunków, kształtów i kolorów, jednak tworzący spójną całość.

- Stoję tu przed wami - odezwał się ojciec Aaron. - Po raz pierwszy w miejscu, do którego zawsze dążyłem.

Jak po lesie, po Katedrze rozsnęła się przyjazna cisza.

- Moje pragnienie dotarcia tu rodziło się stopniowo. Przyszło wolnymi krokami: chciałem służyć Bogu - zostać duszpasterzem - stanąć za ołtarzem w Katedrze Świętego Franciszka w Calehm. Bóg

raczył spełnić moje trzy życzenia, a ja dziękuję Mu za to. W swojej nieograniczonej mądrości wiedział, dlaczego warto udzielić mi swojej łaski, jednak wy, którzy uczyniliście mi honor przyjęcia mnie tutaj, nie oczekujecie odpowiedzi od Niego, lecz ode mnie. Chcecie wiedzieć, dlaczego się tu znalazłem. To mądre i uzasadnione pytanie. Tak jak kobieta pyta męża: „Dlaczego się ze mną ożeniłeś?”, a mężczyzna kobietę: „Dlaczego mnie wybrałaś?”, tak jak dziecko zapyta rodziców: „Dlaczego to ja się wam urodziłem?”, tak wy, moi kochani, macie prawo zapytać mnie o moje racje. Nie powinniście zdziwić się pierwszą częścią mojej odpowiedzi, która jest identyczna z tym, co odpowie mąż, żona, matka albo ojciec: Jestem tu, ponieważ was kocham.

Przytulona do skupienia tłumu i akompaniująca słowom Aarona cisza była jednym z wielu odcieni światła w Katedrze.

- Jednak istnieje jeszcze drugie uzasadnienie mojego wyboru - wyświęcony ksiądz uniósł wysoko ramiona. - Brzmi ono równie prosto: Przyszedłem tu, ponieważ chcę pójść do nieba!

Zaczął mówić szybciej, jakby zląkł się samorzutnej dramaturgii w esencjonalnie prostym miejscu:

- Oto dwa powody, z których pierwszy brzmi szlachetnie, jak wszystko, co jest związane z miłością bliźniego, podstawą naszej religii. Słowa „Kocham was” są wyznaniem chrześcijanina, inaczej niż stwierdzenie „Chcę pójść do nieba”. To drugie niebezpiecznie wskazuje na kogoś, kto kalkuluje cele i korzyści.

Jego słowa niosły się po Katedrze jak oklaski olbrzymich dłoni.

-A jednak taka jest moja prawda: chcę pójść do nieba, ponieważ wiem, że miłość na tej ziemi nie wystarczy mi na wieczność. Ja, Aaron, nie chcę, by moja chrześcijańska, ziemską miłość skończyła się wraz z moim życiem i z tego powodu pragnę osiągnąć niebo. Ono jest moim celem, to niebo, którego nie pojmuję ani jako miejsca wielkiej spłaty, ani jako czasu zadośćuczynienia. Widzę je jako siedzibę spełnionej, absolutnej miłości, za którą nie istnieje nic następnego i nic doskonalszego. Widzę je jako miłość, poza którą wszystko inne jest zbędne!

Arlena szukała bliskości Oloffa, jednak on, skupiony, wpatrywał się w posadzkę Katedry. Nie chcąc mu przeszkadzać, zatopiła się na powrót w kaskadę słów płynących od ołtarza.

- Na Ziemi, w jej najwyższym i najniższym punkcie, możemy zaledwie przygotować się na niebo. Jest tylko jedno życie i jedna wieczność, na którą pragniemy zasłużyć - tłumaczył z wysokości ojciec Aaron. - Chcę zmierzać ku niej razem z wami, ponieważ was kocham. Zostałem duszpasterzem, by pociągnąć za sobą choćby niektórych z was oraz aby samemu pociągnąć za tymi, którzy podążają do wieczności krokiem pewniejszym od mojego. Jako kapłan wróciłem do Calehm, aby dać dowód ostatecznego wyboru. Już nigdy się nie zawaham. Nigdy nie zwątpię. Nigdy nie przestanę kochać.

Nagły krzyk południowego światła przebił się przez mlecznobiałe witraże i zatrzymał w oczach słuchaczy.

- Dopóki Pan mnie stąd nie zabierze, tu, a nie gdzie indziej, będę na Niego czekał.

Do pomieszczenia, w którym się znaleźli, wpadało z wysoka światło, czego Arlena nie potrafiła pojąć. Nie odważała się zapytać o wyjaśnienie Oloffa, który wydawał się jej bardziej niż zwykle nieodgadniony. Obserwowała go pilnie, tego dnia wystawiona na próbę zbyt mnogich i skumulowanych w czasie wrażeń. Do pytań, których nie zdążyła postawić, wciąż przybywały nowe, a ona, zbyt pobieżnie wprowadzona w świat podziemia, nie potrafiła nawet jasno ująć ich w słowa.

Przed niespełną godziną, po pokonaniu stromych schodów odchodzących z bocznej nawy Katedry, Arlena sądziła jeszcze, że Oloff przyprowadził ją do typowej dla sakralnych budowli krypty. Zmylona pochodniami w zachyłkach korytarza, przygotowała się na intymne modlitwy w atmosferze nabożeństwa pierwszych chrześcijan. Swoją pomyłkę zrozumiała już za pierwszym zakrętem: uczepiona ręki Oloffa dotarła do miejsca, w którym korytarz gwałtownie się rozsze-



rzyt i przeobraził w szeroką salę. Była jednolicie pusta i zbyt rozległa, by można było dojrzeć podtrzymujące ją ściany, nieporównywalna z miejscami, do których wcześniej zaprowadziła ją Weronika.

Arlena zastygła, przerażona świadomością ciężaru Katedry, znajdującej się teraz nad jej głową. Spróbowała znaleźć kolumny wspierające sklepienie, jednak natrafiła na następne niezliczone metry przestrzeni, która swoją pustką przypominała gigantyczną bańkę powietrza w otchłani oceanu. Szarpnęła się w panice, chcąc zawrócić, jednak okazało się to niemożliwe wobec nieprzerwanego napływu nowych ludzi. Odgadując jej strach, Oloff objął ją opiekuńczo, ale wyrwała mu się, czując, że brakuje jej powietrza. Ktoś potracił ją niechcący, lecz natychmiast wyminął ją i Oloffa, który ujął jej twarz w obie dłonie i zmusił do zatrzymania wzroku na swoich spokojnych, nieruchomych oczach.

- J u ż dobrze - powiedział.

Jego głos docierał do niej jak zza szeleszczącej zasłony.

- Nie musisz się niczego bać. Wiesz o tym. Jesteś w Calehm, gdzie nic ci nie grozi.

Próbowała pokręcić głową, ale trzymał ją mocno. Jego dłonie były zimne.

- Co to jest? - wydusiła z siebie w końcu. - Gdzie my jesteśmy?

Upewnił się, że ma nad nią kontrolę; trzymał jej twarz w dłoniach tak długo, dopóki jej strach przed pogrzebaniem żywcem ustąpił przed jego hipnotyczną siłą. Dopiero gdy rozluźniła się pod jego dotykiem, puścił ją i bez słowa wskazał na drzewo, wbrew logice wyrastające z posadzki. Było martwe, ociosane i pozbawione korony. Na grubym pniu wryto napis: *Świątynia Jedynego Boga*.

W monstualnie szerokim pomieszczeniu, do którego Arlena weszła posłusznie za Oloffem, zebrano wielu ludzi. Tocząc ściszone rozmowy, na coś czekali, jednak ona nie zauważyła oznak niecierpliwości. Kilkoro małych dzieci, w których rozpoznała najmłodsze pokolenie podziemnego świata, zabawiąto zgodnie parkę niedzielnie ubranych maluchów, przybyłych jak ona z góry. Jakiś wychudzony mężczyzna hałaśliwie chrupał jabłka.

Oloff również zajął się rozmową z nieznanymi; upewniwszy się, że nawrót strachu jej nie zagraża, oddalił się i zniknął jej z oczu. Arlena nie miała do niego żalu. Nadal czuła wstyd za dopuszczenie do siebie zdradliwego lęku.

Na powrót bezpieczna, dostroiła się nastrojem do otoczenia. Chłoneła jego zaskakujące szczegóły, nazbyt liczne, by mogła dłużej koncentrować się tylko na jednym z nich. Odbierała nastrój inaczej niż podczas dwóch poprzednich wizyt w podziemiu, bliskich wycieczkom do świata rozrywki i magii. Dopiero tej niedzieli - zapewne za sprawą Oloffa - objawiła się jej osobliwa powaga tego miejsca.

Gdy u wylotu znajomego korytarza ukazał się ojciec Aaron, Arlena nie zdziwiła się jego widokiem. Obserwowała go, gdy witał się z oczekującymi ludźmi, licząc uściski dłoni i objęcia. Mogłaby przyrzec, że ich ciepło podniosło temperaturę kamiennego otoczenia. Pozbyła się ostatnich wątpliwości co do calehmskiego pochodzenia ojca Aarona, widząc, jak dalece należy do niezemskiego, kpiącego z praw fizyki podziemnego świata. Rodowód ten odcisnął się na jego twarzy jak pieczęć, która nie zbladła wobec siły księżowskiej sutanny.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Nadal był ustrojony w księżowskie szaty, po ceremonii w Katedrze pozbył się jedynie błyszczącego ornatu. Na tle różnaitości strojów podziemia niewiele różnił się od ludzi, wśród których zajął centralne miejsce. Jego ramiona były uniesione ku niebu, które dzieliła od Calehm niezliczona ilość przestón.

- Na wieki wieków. Amen - odpowiedzieli Aaronowi ludzie ze Świątyni Jedynego Boga.

Kazanie ojca Aarona rozbijało statyczny spokój sali. Choć nie brakowało miejsc na kamiennych ławach, wielu zebranych wolało siedzieć na posadzce blisko kapłana. Niektórzy słuchali go uważnie, inni sprawiali wrażenie zamyślonych.

- Mylicie się, sądząc, że znaleźliście tu swoje Paradisum, wasz ogród Edenu - głosił nowy ksiądz. - Mylicie się, wierząc, że wasze schronienie jest tak doskonałe, że uchroni was od zła, niedosko-

nałości, niesprawiedliwości i bólu panującego na świecie. Odrzuciliście jego reguły i jesteście szczęśliwi w przekonaniu, że ustanowione przez was są lepsze. Czujecie się bezpieczni, zasypiacie w spokoju, nie lękając się o następny dzień. Wielu z was mówi to, co i ja dawniej powtarzałem: Bóg kocha Calehm, Bóg mieszka w Calehm, Calehm jest miejscem wybranym przez Boga...

Jedna z matek kołysała dziecko w ciasno splecionych ramionach, a oparty o jej kolana mężczyzna błędził wzrokiem wysoko, jakby wypatrywał gwiazd. Tych troje, pięknych w swoich prostych ubraniach, przypominało Arlenie świętą rodzinę z obrazków, które pamiętała z dzieciństwa.

- Nie pozbędziecie się mnie stąd i nie przybyłem tu dzisiaj z kurtuazyjną wizytą - ojciec Aaron nie starał się o to, by jego słowa brzmiały jak radosna nowina. - Będę tu powracał, a ci z was, którzy przyjdą na moją mszę, będą zmuszeni słuchać mnie sławiącego i zarazem łamiącego prawa Calehm.

Arlena nie widziała twarzyczki małego Jezusa, który schowany był w kraciatą chustę matki i strzeżony przez ojca, a może tylko opiekuna. Zauważyła natomiast odłożony na bok surowy kij Józefa.

- Będę słał kardynalne prawo Calehm, które zezwala każdemu głosić własną prawdę. Posiadam je jako człowiek tu urodzony i nie zawaham się nim posłużyć.

Spotkało się dwóch pasterzy, pomyślała.

- Nasz Pan podarował nam świat niedokończony. Stworzył nas na swój wzór, pozostawił nam część stworzenia. Ofiarował miejsce-Ziemie, czas-długość naszej ziemskiej egzystencji, oraz talenty, byśmy używali ich na dobry pożytek. Nie jesteśmy bezwolnymi drobinami, którymi hula wiatr. Nie jesteśmy nieważni, nie jesteśmy bezsilni. To od nas zależy kolej rzeczy. Za zło na świecie nie odpowiadają tylko ci, którzy czynią je bezpośrednio, ale także ci, którzy zamykają na nie oczy. Dobro nie jest pełne, kiedy jest czynione samotnie albo pozostawiane w zarodku, nie rozsiewane, nie mnożone. Nie wolno nam chować się przed życiem, bo chowanie się jest jak zapadanie w sen.

Wysłuchana w jednego pasterza Arlena zapragnęła zobaczyć to, co widzi drugi. Uniosła głowę i jej zdziwione oczy napotkały jasność, jakby sklepienie podziemi było przejrzyste lub jakby wcale go nie było, a nad głowami ludzi kłębiły się chmury.

- Powiedziałem, że będę tamał prawa Calehm - oświadczył surowo ojciec Aaron. - Będę występował przeciw Calehm, posługując się jego siłą i ufając jego głębokiej mądrości.

Wzrok Arleny przedarł się przez gęstą przeszkodę - nielogicznie pojęła ją jako warstwę chmur - i objawiło się przed nią wnętrze Katedry. Widziała je tak wyraźnie, jakby budowla ustawiona była na przezroczystej podłodze - wraz z ławkami, szeroką podstawą ołtarza i strzelającymi w górę kolumnami.

- Złamię je, nawołując was do nawrócenia serc. Wiem, że jak ja wierzycie w Boga i w jego imieniu nie chcecie, by ktokolwiek mieszczą się do waszej wiary. Jednak ja będę kołatał w wasze serca tak długo i głośno, aż zasieję w nich wątpliwości.

Wpatrzona w wyniosłość sklepienia Katedry Arlena szukała rozwiązania. Była oszołomiona; wolałaby myśleć, że widok jest jedynie malowidłem na suficie podziemia, w ekstrawagancję którego wpisane były niespodzianki. Jednak nie mogła się mylić: ze swego miejsca pod ziemią została widzem niepowtarzalnego, oszczędnego w środkach spektaklu. Ponad jej głową odgrywało się misterium o Katedrze Świętego Franciszka.

- Będę nawoływał was do wyjścia na świat i wzięcia udziału w jego naturalnym trybie. Nazywam się Aaron i jestem księdzem z Katedry, która nad waszymi głowami stoi na poświęconej ziemi. Jestem także jednym z was. Zawsze dzieliliśmy się wszystkim i byliśmy równi. Nie ukrywaliśmy przed sobą powodzenia i przyznawaliśmy się do klęsk. Nigdy nie zdradzaliśmy się nawzajem. Nie byłbym was godny, gdybym, odnalazszy najgłębszy sens, odszedł stąd samotnie.

Po Katedrze Franciszka krążyli ludzie. Długie sutanny księży wolno sunęły wokół ołtarza, suknie zakonnice zataczały koła. Ktoś zbierał kwiaty, podnosił prostokąty poduszek i modlitewników. Nie brakowało także kilku zwyczajnych postaci i dopiero dzięki

ich krótkim strojom Arlena zorientowała się, że patrzy pod kątem. Był on dowodem dyskrecji mistrza ceremonii, który w magiczny sposób zjednoczył dwie świątynie: to nie bieliznę wiernych Katedry mieli oglądać zwolennicy Świątyni Jedynego Boga, ale ich jak na świętych obrazach wydłużone sylwetki oraz rozjaśnione modlitwą twarze.

- Będę wzywał was do wyjścia na powierzchnię ziemi! - powtórzył ojciec Aaron.

Ponad głowami zasłuchanych ludzi ostatni gaszący gromnicę ksiądz przyklęknął przed ołtarzem.

- Któregoś dnia przyszedł do nas na kolację - wyjaśniła Arlena.

Zapytałam ją o ojca Aarona, nie wiedząc, o którym mi opowie - tym z mojego snu, czy o proboszczu z Katedry. Mimo starań nadal nie potrafiłam połączyć wszystkiego w całość, w czym Arlena nie była mi pomocna.

- Ze zwykłej sympatii czy dlatego, że w waszym domu bywały wszystkie ważne calehmskie osobistości?

I tym razem zlekceważyła moją ironię.

- Witając się ze mną, powiedział: „Witaj w Calehm, Arleno. Oloff troszczy się o swoje miasto tak bardzo, że jeśli kogoś mu w nim ubędzie, natychmiast znajduje na jego miejsce kogoś jeszcze lepszego”. Nawet, jeśli była to zwykła kurtuazja...

- Ze strony księdza...

- ...on był przy tym bardzo poważny.

Pokręciłam głową:

- Poważny i tajemniczy. Jak wszyscy w Calehm.

- Nie tylko to... Zabolało mnie to, co powiedział o poszukiwaniu. Jakbym była kimś, kogo Oloff znalazł nie dla siebie, lecz dla Calehm.

Znowu była smutna.

- I jak sądzisz? To znaczy... jak uważasz teraz?

- Teraz myślę, że ojciec Aaron miał rację. Oloff nie potrzebował niczego dla samego siebie.

- Więc jednak dla Calehm...

- On sam jest częścią Calehm - odpowiedziała głucho. - Nie mógłby zrobić niczego innego.

Nagle zwątpiłam w to, czy rzeczywiście mam ochotę słuchać jej dalej. Przyszło mi do głowy, że właściwie należy mi się już coś w rodzaju urlopu od jej historii i wszystkich nieprawdopodobieństw jej życia, w które i ja wikałam się coraz mocniej. Albo raczej, byłam w nie wikłana.

- Wiesz, czasami uważam, że tkwię w tym aż nazbyt głęboko, a innym razem wszystko wydaje mi się jakimś wielkim żartem - powiedziałam dość bezradnie. - W takich momentach wolałabym uważać cię za kompletną wariatkę.

Istniało we mnie wiele uczuć dla Arleny, wśród nich także prosta bliskość. Pozałowałam, że nie możemy być po prostu przyjaciółkami i umawiać się w banalny sposób, jak tego popołudnia na obiad we wschodniej restauracji. Wszystko było cudownie zwyczajne - od przyjazdu taksówką do centrum miasta, przez nasze niewyszukane w porze obiadowej stroje, do zamówionych prostych dań na bazie ryżu.

- Jesteś wyrażona z równowagi, ponieważ Calehm, o którym ci opowiadam, znajduje się niedaleko.

Pastelowa Arlena niknęła na tle ściany ozdobionej motywem z Ramajany.

- Mniej więcej.

- I myślisz, że wystarczy, jeśli cię do niego zaprowadzę - powiedziała, nie zgadując moich myśli.

- Też - odpowiedziałam. - Jednak przede wszystkim chcę wiedzieć, dlaczego tego nie robisz.

- Chcę, byś była pewna, że chcesz tam się znaleźć.

- Ty byłaś?

- Mnie tam zaprowadzono. Oloff mnie zaprowadził... - zastanowiła się przez chwilę. - Chociaż taka, jaką byłam przed laty, poszłabym i bez niego, na samą wzmiankę o istnieniu podobnego świa-

ta. Jednak teraz, z perspektywy czasu wiem, że dłuższa introdukcja mogła uchronić mnie przed popełnieniem wielu błędów.

- I to właśnie robisz w odniesieniu do mnie? Dłuższą introdukcję?

- Nie - odpowiedziała stanowczo. - Nie. Nawet nie wiem, czy nie powinnam cię stąd odesłać.

- Odesłać? - zapytałam trochę zaciekawiona, jednak bardziej zła na nią za to, że traktuje mnie instrumentalnie.

- Ten zakład z Aniołem...

Tym razem przerwała na dłużej, gdyż pojawiła się kelnerka. Była małą, ciemnooką kobieciną z czerwonym punktem na środku czoła. Jej drobne, spracowane ręce sprawnie rozstawiły podgrzewaną tacę. Coś do nas mówiła, jednak nie zrozumiałam ani słowa.

- Co z tym zakładem? - upomniałam się.

Jednak Arlena odczekała, aż hinduska kelnerka skończy rozstawiać talerze. Kiedy stół był nakryty, uprzejmie skłoniła głowę i podziękowała obco brzmiącymi słowami.

- Och! - zdziwiłam się grzecznie. - Znasz jej język?

- Tylko kilka słów, ale to bez znaczenia.

- Oczywiście.

Bawiłam się bambusowymi pałeczkami, którymi nigdy nie nauczyłam się posługiwać należycie. Niewprawnie układając je między palcami, pomyślałam, że kiedyś powinnam policzyć wszystkie te rzeczy, których nie wiem o Arlenie.

- Teraz obawiam się, że popełniłam błąd, wciągając cię w to wszystko - odezwała się z wahaniem. - Nie sądzę, by Aniołowi zależało na tym, byś i ty dołączyła do Calehm.

- Czy twój Anioł jest przeciwko Calehm?

- Nie wiem... Jemu chodziło tylko o mnie.

- Nie rozmawiał z tobą na inne tematy? Na przykład o tym JAK spędzasz swoje życie? - spytałam.

- Nie - zaprzeczyła. - Mówiłam ci, długo nie rozumiałam jego głosu. Aż do chwili, gdy wszystko już się wydarzyło.

- Rzeczywiście - powtórzyłam z przekąsem. - Dopiero wtedy, gdy Edyta zwróciła ci na niego uwagę.

Arlena uniosła głowę, a ja pomyślałam, że ona i demony z obrazka nad jej głową mają ze sobą coś wspólnego. Oraz, nieoczekiwanie, że chciałabym wiedzieć, co ona może myśleć o mnie.

- Tak właśnie było - potwierdziła. - Ciągłe czujesz wiele złości, prawda?

- Tak - przyznałam niechętnie. - Niezależnie od tego, co robię, wciąż czuję wiele złości.

Jadłyśmy obiad w milczeniu. Moja nadzieja na nastrój nieskrępowanego dnia uleciała bezpowrotnie. Nie mogłam się łudzić; nic się nie zmieniło, wciąż tkwiłam w skomplikowanej grze, nieświadoma tego, czym jest dziełem: samej Arleny czy też kogoś - albo nawet czegoś - innego manipulującego nami obiema.

- W porządku - oświadczyłam, a mój głos zabrzmiał ponuro. - Zrobimy pauzę w sporządzaniu twoich relacji dla Anioła. Porozmawiamy o mnie, zgoda? O moim zwyczajnym, naziemnym życiu.

- Oczywiście - zgodziła się niemal natychmiast. - J a k sobie życysz. Może tylko...

Była niezdecydowana.

- Co? - ponagliłam ją.

- Może tylko chciałabyś wiedzieć, dlaczego ojciec Aaron odszedł z Calehm?

- Odszedł z podziemnego Calehm - zauważyłam - bo przecież został proboszczem w Katedrze.

Pokręciła głową:

- To było później.

- J a k teraz wygląda? - zapytałam, przypominając sobie sen.

Wzruszyła ramionami jak ktoś, kto się poddaje.

- Rzeczywiście jest dość tęgi, poza tym posiwiął. Mówią, że jada mięso. Jednak jest bardzo pogodnym człowiekiem.

- Widujesz go?

- Bardzo rzadko - odpowiedziała. - Nie chodzę na msze, ani na górze, ani na dole. Wiem natomiast, czym ojciec Aaron zajmuje się najchętniej.

- Zapewne gra w remika - poddałam zjadliwie. - Znam to z fil-



mów. Wszyscy księża piją w wolnych chwilach nalewkę i grają w remika albo skata.

Uśmiechnęła się przekornie jednym ze swych najpiękniejszych uśmiechów.

- On ma przyjaciela na dole, buddystę... Modlą się razem w Świątyni Jedynego Boga, albo raczej ojciec Aaron się modli, a jego przyjaciel medytuje.

- W kościele?

- Świątynia Jedynego Boga nie należy do żadnego z wyznań... Po prostu jest miejscem modlitwy.

- Dla wszystkich? - upewniłam się. - Wszystkich bez wyjątku?

Arlena roześmiała się.

- Nawet dla buddystów, którzy twierdzą, że Boga nie ma. Medytują w Świątyni, której nazwa zawiera słowo *Bóg*.

- Nie mam po co pytać, kto ją założył? - burknęłam.

- Czy to ważne? Zawsze tam była - odrzekła Arlena. - Wystarczy, że istnieje.

- Dla katolików i dla muzułmanów, i dla buddystów... - powtórzyłam, nie do końca jej dowierzając.

- Wszystkich, którzy zechcą przyjść.

Kiedy ponownie pojawiła się przed nami kelnerka, przyjrzałam się jej z ostentacyjną podejrzliwością, jakby była medytującą siostrą wspomnianego buddysty. Nie zdołałam jednak rozbawić tym Arleny.

- Z tym przyjacielem ojciec Aaron prowadzi długie dysputy - widziałam, że chce szybko zamknąć temat. - Szuka dowodów na poparcie swoich tez.

- Te z ?

- On twierdzi, że chrześcijańskie niebo i buddyjska nirwana są w gruncie rzeczy tym samym.

Wzruszyłam ramionami.

- Zdaje się, że wielu ludzi uważa coś takiego. Temat na akademicką dyskusję - powiedziałam. - Zawsze miło rozprawia się o rzeczach, których nie da się udowodnić.

Spojrzała na mnie, jakbym zrobiła jej przykrość. Jej, albo jej przyjacielowi.

- Tak czytałam - dorzuciłam, trochę speszona.

- Jednak dla katolików buddyjskie rozpięcie się w niebycie jest jednoznacznie przeciwieństwem wiecznego życia w niebie.

- Może.

- Zastanawiałaś się kiedyś nad tym? - zapytała Arlena siedząca pod wizerunkiem Ramy walczącego o zaginioną Sitę.

- Kiedyś.

Kiedyś... W klinice zdarzały mi się dni, podczas których nie rozmyślałam o niczym innym. Jednak teraz nie chciało mi się o tym mówić, zwłaszcza z Arleną. W kontekście jej Anioła oraz jej Calehm dawne tematy wydawały mi się nieaktualne.

- Czy o tym chciałaś mi powiedzieć? - zapytałam zmieniając temat. - O tym, że ojciec Aaron nie odszedł od was dlatego, bo chce jednoczyć wieczność z nirwaną?

- Nie. Tamtego wieczoru, wtedy, gdy po swej pierwszej mszy przyszedł do nas do domu, zapytałam go po prostu, dlaczego to zrobił. Czemu opuścił Calehm, które mnie wydawało się rajem.

- I?

- Powołał się właśnie na Kierkegaarda.

- Ach tak.

Przygotowana na powrót mego niepokoju Arlena wyjaśniła:

- Tak, wykład z twojego snu... Nie potrafię sobie tego wytłumaczyć, ale rzeczywiście zbyt wiele rzeczy dociera do ciebie bezpośrednio, Dagmar. Ty dowiadujesz się o nich bez mojego udziału... A ja nie wiem, dlaczego tak się dzieje.

Uczyniłam nieśmiałą próbę uspokojenia nas obydwu:

- To był tylko sen...

- Może. Jednak nie wiem również, czy to wszystko jest dla ciebie dobre.

Moja frustracja i zmęczenie osiągnęły krytyczny punkt. Zapragnęłam już wrócić do domu - sama, bez mojej prawdziwej czy fałszywej przyjaciółki. Jednak natychmiast po pojawieniu się tej myśli uświadomiłam sobie, że wcale nie wiem, o powrót do jakiego domu mi

chodzi. Potrzebowałam schronienia, nie wiedząc, gdzie mogłabym je odnaleźć. Zniechęcona, uśmiechnęłam się krzywo do Arleny:

- Ciągłe kręcimy się wokół wyborów, prawda?

Potaknęła.

- Tak właśnie powiedział wtedy ojciec Aaron: „Pamiętasz ze szkoły Kierkegaarda, Arleno? Określił pierwszy etap estetyczny: żyjemy tak, aby nam było przyjemnie i odrzucamy wszystko, co w życiu niemile. Czymś takim jest pierwotne calehmskie życie, które wydaje się niemal doskonałe. Później - choć już tylko dla niektórych z nas - następuje stadium etyczne: próba skoncentrowania się na moralnej stronie życia. I tu, ponieważ chodzi o Calehm, pojawiają się poważne kłopoty. Ja dokonałem trzeciego kierkegaardowskiego wyboru, Arleno, ponieważ dwa poprzednie przestały mnie satysfakcjonować. Zdecydowałem się na trzecie stadium - religijne - i religia rzeczywiście jest dla mnie jedynym właściwym wyborem”.

Zdziwiło mnie, jak starannie powtórzyła te słowa. Wyrecytowała je jak wyuczony w szkole wiersz. Dokończywszy, ozdobiła pointę leciutkim, zrezygnowanym uśmiechem:

- Po czym dodał, że nawet ten wybór wcale nie pozbawił go strachu.

- Jednak mówisz, że ojciec Aaron ciągle przychodzi do Calehm - zauważyłam.

- Nie traci nadziei.

- I jakie ma wyniki?

Rozłożyła ręce, jakby chciała się usprawiedliwić.

- Jak widzisz, nawet mnie nie przeciągnął na swoją stronę.

# DAGMAR: VII

## ...NIE KRADNIJ

- Gdzie jesteśmy u ciebie, Dagmar?
- Przy siódmym, jak sądzę.
- „Nie kradnij”... Czy prócz domu i męża pozostało ci jeszcze coś, co warte było kradzieży?

Czymś, co skradziono mi wprost i bez ostonek, był indyjski bożek. Stwierdziłam jego brak, gdy po nieokreślenie długim czasie Joachim zabrał mnie ze szpitala do domu. Nie chciałam wracać, a on nie powinien był mnie do tego zmuszać, ponieważ nie należałam już ani do niego, ani do świata, który dawniej był naszym wspólnym. Pozostało tajemnicą, jakie zabiegi zastosował i ile kłamstw wymyślił, aby wyrwać mnie z bezpiecznego miejsca białych i szarych ścian, obłych materacy i umyślnie stępionych noży. Nie chciałam wracać ani do Joachima, ani do mieszkania pełnego naszych dawnych mebli, ani do miasta, ani...

Wymienianie spraw, od których pragnęłam się uwolnić, składało się w długą listę i było bolesne, żmudne, poza tym fałszywe. Jednak dziwni lekarze, opłacani przez Joachima w spisku przeciwko mojemu ukryciu w szpitalu, używali tej listy inaczej niż ja: nadali jej leczniczą wagę i przedstawili jako menu, twierdząc, że rzeczy, które uznałam za truciznę, są w rzeczywistości smaczne, pożywne oraz zdrowe. Zachwalali oczekujący dom, rodzinę, pracę, miłość i przyjaźnię - wszystko to, co dla mnie było dobrą racją pozostania w szpitalu na wieczność. Może nie robili tego z premedytacją, jednak czy na pewno? Nie ogarniałam wówczas wszystkiego; zrozumienie było moim najsłabszym punktem i sądzę, że specjał-

nie się nim posłużyli, by wyrwać mnie z pieczary.

Tylko jeden raz wykrztusiłam z siebie okruszynę prawdy, jej nie do końca prawdziwą esencję. *Umarłam razem z moim dzieckiem*. Usłyszałam własne słowa, które zabrzmiały, jakby wypowiadał je ktoś obcy. A oni to wykorzystali, wykradli bolesny kawałek, który zasyczał, gdy wyciągali mi go przez gardło. Potem cieszyli się obłudnie, uznając, że się przed nimi otworzyłam. Pojawiła się nadzieja pozbycia się mnie ze swego terenu, więc przyczepili mi etykietkę „w trakcie uzdrawiania”. Tymczasem we mnie nie mogło być niczego uzdrowionego, ponieważ nie wskrzesza się tego, co przestało istnieć. Byłam już kimś innym: dość nieokreśloną następczynią osoby zmarłej, której zgonu odmawiali potwierdzić. Pozostaliśmy tak niepokodzeni - oni nie uznawali mnie taką, jaką się stałam, a ja nie potrafiłam udawać tej, której mogli uwierzyć. Wstydziłam się za nich i wstydziłam się za siebie. Okazali się silniejsi, a ja z czasem samodzielnie pochowałam siebie prawdziwą.

- Gdzie jest indyjski bożek? - zapytałam któregoś popołudnia, kiedy Joachim wrócił z pracy, a ja odkładałam właśnie fartuch używany do cotygodniowego sprzątnia.

Zastygł w bezruchu, jak pies, który nadział się na elektrycznego pastucha.

- Tak - odpowiedziałam na jego niepostawione pytanie. - Ta ciężka indyjska figurka, która stała nad łóżkiem.

Nie rozumiał mnie i mojego pytania.

- Chcę ją mieć z powrotem.

Był tak przerażony, że ogarnął mnie śmiech. Wyobraziłam sobie gonitwę myśli w jego głowie i pytanie o to, czy potrzebuję mojego bożka, aby ponownie użyć go jako broni.

Dla mnie bożek nie był narzędziem zbrodni. Nawet jeśli tak mówiono o nim w szpitalu - a oddziałowy terapeuta nakazał mi go opisywać i malować, nawet jeśli pytał o niego ktoś z policji - nie ja i mój bożek byliśmy sprawcami rozbicia głowy Joachima. Posiadałam dwa rodzaje informacji: straciłam dziecko i zabrano mnie do szpitala oraz mój mąż miał wypadek. Ktoś twierdził, że byłam przyczyną jego obrażeń. Było mi to obojętne, zarówno teraz, jak

i wcześniej, gdy mówiono: „Jeśli nie ty, to kto?” Szczegóły tamtej nocy nie były dla mnie ważne. Wystarczała mi świadomość, że wydarzyło się coś o wiele gorszego niż rany Joachima.

- Bożek... - powtórzył tępo mój mąż, a ja cierpliwie czekałam na ciąg dalszy.

Nie uzyskawszy odpowiedzi, po chwili upomniałam się ponownie:

- Chcę mieć go z powrotem.
- Nie ma go...
- Co to znaczy: nie ma? Schowałeś go? Wyrzuciłeś?
- Nie... Zniknął.

Znowu zachciało mi się śmiać.

- To była figurka, Joachimie, żaden prawdziwy bożek. Ciężkie figurki nie zmieniają samodzielnie miejsca pobytu.

Nie odpowiedział, mrugając oczami pełnymi zakłopotania i niejasnego lęku, który pojawił się w nim całkiem niedawno - mniej więcej od czasu mego powrotu z kliniki. Przepędził tym ze mnie nastrój rozbawienia, skutecznie, jakby machnął miotłą.

- Joachim, jeśli schowałeś moją figurkę, ponieważ boisz się, że jeszcze raz spadnie ci na głowę, nie musisz się obawiać. Ustawię ją na jakimś pewnym miejscu. To nie jest naładowany pistolet.

- Wiem... I wcale się nie boję - zaprzeczył niepewnie.  
- Więc co? Oddaj mi mojego bożka. Przecież nie zabrała go policja!

- Nie, nie. Policja niczego nie zabrała. Jednak on zniknął. Łzy napłynęły mi do oczu, bezsensownie, nie wiadomo skąd.  
- Nie wiem, co się stało, przysięgam ci - powiedział Joachim, zbliżając się do mnie, jakby chciał mnie objąć.

Odsunęłam się szybko.

- Kiedy wróciłem do domu, wiesz, ze szpitala i tak dalej... Kiedy wróciłem do domu, już go nie było. Mieszkanie było posprzątane, a twój bożek zniknął. Tylko on, oprócz niego wszystko było na miejscu. Nie mam pojęcia, kto mógł zrobić to wszystko. Przysięgam...

- Ktoś z policji? - pociągając nosem, spytałam jeszcze raz o to samo.

- Nie... Woląłem o nic nie pytać, bo chciałem, żeby jak najszybciej zamknęli tę całą sprawę.

Czułam przytłaczający smutek. Nazbyt długo łudziłam się, że bożek zniknął za sprawą Joachima, który ukrył go jako dowód czyjejs wina, narzędzie zbrodni czy choćby tylko souvenir złego wydarzenia. Ja, jego żona, nie zmieniłam stosunku do indyjskiego bożka. Dostatecznie oddalona myślami od tamtych chwil uznałam jego urlop za zbyt długi. Pragnęłam już jego powrotu.

Na moje życzenie zaczęliśmy go szukać - na policji, u sąsiadów, nawet u Skorpionów. Jednak nikt o nim nie słyszał. Uplotłam więc wytłumaczenie, jedyne, którego nie można było sprawdzić: zaczęłam myśleć, że ukradła go Edyta. Powiadomiony o moim wniosku Joachim nigdy nie znalazł dość odwagi, aby temu zaprzeczyć.

Patrząc na Arlenę, uświadomiłam sobie, jak bardzo stała mi się bliska. Znałam już wszystkie rysy jej twarzy, każdą zmarszczkę, ledwie dostrzegalną asymetrię prawego oka, jej leciutko odstające uszy, których - wbrew mojemu wrażeniu z pierwszego spotkania - wcale nie próbowała maskować. To raczej fryzjer zadawał sobie trud poprawiania Arleny, która i bez niczyjej pomocy była piękna, niezależnie od kształtu uszu, nosa albo łydek. Wciąż była bardzo szczupła. I blada. Wiedziałam już o niej, że wyraz pozornego znużenia na twarzy, szczególnie wyraźny w grymasie niemal arogancko wygiętych ku dołowi ust, nie pochodzi ani z przesycenia, ani z abnegacji. Wyrażał ból, a ja, im dłużej znałam Arlenę, tym mniej pojmowałam jego przyczynę.

- Wiem, co chcesz powiedzieć - uprzedziłam ją łagodnie. - Proszę, doczekaj końca historyjki.

- Jesteś pewna, że nie opowiadasz mi rozdziału *Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną*? - upewniła się, obojętnie patrząc mi w oczy.

Pomyślałam, że niewierze, by ktoś obcy-obcy jak ja, jej matka i ojciec, a nawet ów Oloff, o którym ciągle wiedziałam zbyt mało -

potrafi! prawdziwie pojąć wymiar jej obojętności. Ja, Dagmar, specjalistka od zubożeń, podejmowałam tę próbę tysiąc razy i moim jedynym skojarzeniem była tytanowa trumna, służąca do przechowywania czynnych radioaktywnych odpadów. Wiedziałam, że nawet takie urządzenia z czasem stają się nieszczelne.

- Prześwietlenie przykazania o cudzych bogach nie jest mi potrzebne - wyjaśniłam jej cierpliwie - bo akurat tu nie mam wątpliwości. Sądzę nawet, że twój Anioł odesłał cię do mnie właśnie z tego powodu.

- Bo jesteś tak bardzo wierząca.

- Chyba tak.. Ilekroć się zastanawiałam, zawsze wychodziło na to, że Bóg jest jedyną sprawą, co do której nie mam wątpliwości.

- Szczęśliwa jesteś.

Roześmiałam się, może trochę nieszczercze.

- Niezupełnie... Jednak jakoś sobie radzę.

- Więc dlaczego bożek? - zapytała Arlena.

- Równie dobrze mógłby to być kwiat, gałąź, jakaś abstrakcyjna forma czy figurka dziecka... Nie, nie dziecka.

W tej roli świetnie sprawdziłaby się każda statuetka anonimowej kobiety lub mężczyzny, sfinks, obelisk albo piramida. Dla mnie ważne było tylko to, że figurkę podarowała mi matka i przyrzekła, że będzie mnie strzegł.

Zdarzyło się to w dniu moich trzynastych urodzin. Od samego rana zachowywałam się idiotycznie - pewnie typowo dla tego dwudziestego wieku - i rozplakałam się na widok pechowej cyfry na torcie. Powtarzałam głupio, że trzynasty rok życia nie może być szczęśliwy. Rozdrażniło to ojca i zaniepokoiło mamę, która, choć nie zaplanowała tego wcześniej, przyniosła z sypialni dobrze mi znaną figurkę bożka i wręczyła jako dodatkowy urodzinowy prezent. *On przyniesie ci szczęście*, oświadczyła stanowczo, zerkając na ojca, a ja, nie wiedząc czemu, natychmiast się uspokoiłam.

- Twoja religijna matka wierzyła w moc amuletów?

Poczułam falę niepokoju zagrażającą mojej głowie, odporną nawet na uniesienie obu rąk, którymi spróbowałam ją odgonić. Pusty wzrok śledzącej moje gesty Arleny przypomniał mi, że nigdy dotąd nie mówiłyśmy o matce.



- Rozmawialiście z Edytą o mojej mamie - oskarżyłam ją. Byłam zbyt pewna swego, by tracić czas na wypytywanie.  
 - Tak - przyznała. - W waszym... W twoim domu była czymś w rodzaju legendy.

Wzięłam kilka głębokich oddechów.

- Czy Edyta nienawidziła jej za to?

- Zapewne tak... - odrzekła Arlena, uśmiechając się łagodnie, jakby przeproszała mnie za niepopelnione przewinienie.

- I to za to, że od swojej matki nigdy nie dostała indyjskiego bożka na szczęście! Ani niczego innego, prócz zeszytów do szkoły i brzydkich ubrań z przeceny.

- Nie rozmawiałam z nią zbyt długo - powiedziała usprawiedliwiająco Arlena. - Nie mogła mi opowiedzieć całego życia... Naprawdę niewiele o niej wiem.

Nigdy nie pozwoliłam Edycie dotknąć mojego bożka. Na początku kierowała mną zwyczajna, nieukierunkowana złość, potem, kiedy dostrzegłam własną skuteczność, rozwijałam tę grę do granic rozsądku, aż sama zapomniałam, o co w niej chodzi.

*Możesz tu sprzątać, powtarzałam sadyistycznie Edycie, a nawet musisz. Odkurzaj i podlewaj kwiaty, ale nie waż się ruszyć mojego bożka. Dzięki niemu mogę rozmawiać z matką. On sprawia, że jest tu obecna, czuwa nade mną i przynosi mi szczęście. To jej dom i zawsze tak pozostanie. Twoja matka może się tu szarogęścić, ale to niczego nie zmieni. Wy dwie zawsze będziecie tu obce, a bożek tego przypilnuje. On przynosi szczęście tylko tym, do których należy.*

- Może i był czymś w rodzaju amuletu - powiedziałam bez przekonania.

- Nie domowego bóstwa? Zamiennie z krucyfiksem nad drzwiami?

-Nie!

Czy aby mama nie mówiła mi czegoś takiego? Nie pamiętałam dokładnie jej słów, a może nie chciałam pamiętać... *Będzie czuwał nad nami*, brzmiało mi gdzieś w zakopanej pamięci, w której pomieszały się obrazy mamy, jeszcze zdrowej i szczęśliwej, z migaw-

kami trzaskanymi później, gdy straszylam bożkiem Edytę. Teraz, w Calehm, wszystko było dalekie, obce i pozbawione znaczeń. Historijki z poprzedniego życia nie budziły we mnie emocji.

- I rzeczywiście przynosił wam szczęście? - zapytała, jakby dla porządku, Arlena.

- Chyba tak - odpowiedziałam. - Dopóki żyła mama, wszystko się układało. Byliśmy dobrą rodziną.

Ktoś musiał otworzyć okno w Bibliotece, bo nagły refleks światła z przeciwnej strony ulicy oślepił mnie na kilka dobrych sekund. Jednakże dzień wcale nie był słoneczny, poza tym okna Biblioteki nie otwierały i zamykały się jak w każdym zwyczajnym budynku. Szukając przyczyny, wlepiłam wzrok w gładką powierzchnię przeciwległej ściany, łapczywie, jakbym widziała ją po raz pierwszy. Przestałam szpiegować źródło światła w szybach, kiedy ich symetryczna harmonia odwróciła moją uwagę. W zamian za to podeśłała mi zupełnie nową myśl i sprawiła, że moja pamięć wyrzuciła coś z omijanego zakamarka.

- J a k o trzynastolatka nie byłam zachwycona tym, że o naszym rodzinnym szczęściu decyduje obcy bożek - powiedziałam wpatrzona w gładkość okien, które, nie wiedzieć czemu, skojarzyły mi się z kościelnymi. - Chodziłam przecież na religię i wołałam wierzyć w ten, jak sama mówisz, krucyfiks nad drzwiami. Jednak prezent od matki do bardzo mi się podobał - z racji urody, historii i jego prawie wyczuwalnej siły... Więc wymyśliłam sobie, że go poświęcę i sprawię, że stanie się całkiem legalny, jak figurka któregoś z oficjalnych świętych.

Na twarzy Arleny pojawił się ślad rozbawienia.

- Oczywiście indyjski bożek nie mógł wyglądać jak katolicki święty - wyjaśniłam pokrętnie. - Miał kilkoro rąk i gruby brzuch, a jednak... Kiedy go poświęciłam...

- J a k t o: poświęciłaś?

- Zwyczajnie - przyniosłam z kościoła święconą wodę i polałam nią bożka.

- Ukradłaś tę wodę? Czy o to chodzi?

- Nie! To Edyta ukradła mi go później - odpowiedziałam z ulgą, która zabrzmiała zbyt słabo.

- I przyniósł jej szczęście?

- Nie sądzę...

Spróbowałam spleść palce obydwu dłoni, jednak one nie chciały spotkać się w tym samym punkcie. Jeszcze raz spojrzałam w oczy Biblioteki w nadziei, że mi zaprzeczy i poda nowe, lepsze rozwiązanie. Jednak nie musiała tego robić, bo sama przeczytałam w niej jak w otwartej książce: ochrzczony bożek już nikomu nie przyniósł szczęścia. Krótco po moich trzynastych urodzinach mama zachorowała, kilkanaście miesięcy później zmarła, potem nastał czas Skorpionów. Nawet moje małżeństwo, ukoronowanie szczęśliwych studenckich lat, rozpadło się w wymarzonej pierwszym mieszkaniu po zainstalowaniu w nim bożka. Stamtąd ukradła go Edyta, i tylko o tej, a nie innej kradzieży chciałam opowiedzieć, zanim wścibskie oczy calehmskiej Biblioteki wygrzebały ze mnie zrozumienie innych aspektów zabierania czyjejś własności.

- Może rzeczywiście ukradłam wodę z kościoła? - zająknęłam się pogubiona. - Nie pytałam przecież nikogo, zabierając ją stamtąd. Albo całkiem odwrotnie: ukradłam moc bożkowi, oblewając go wodą? Ukradłam mu imię, chcąc przechrzcić go na jednego ze świętych? Ukradłam sobie prawo święcenia, do którego nie miałam prawa?

Arlena wstała gwałtownie i zasłoniła Bibliotekę swoim szczupłym ciałem.

- Skoncentrujmy się na tym, że Edyta ukradła ci bożka - powiedziała stanowczo. - Tak jak przedtem pożądała i ukradła twego męża.

Dagmar wstała rano z ciężką głową, którą wypełniały mroczne obrazy nieznanego pochodzenia. Usiłowała przypomnieć sobie, czy zrodziły się w jej snach, w nocy, podczas której wielokrotnie obudziła się bez przyczyny. Po odejściu Arleny zasnęła na sofie w gabinecie, gdzie znalazł ją oachim po późniejszym niż zwykle powrocie do domu. Przyglądał się jej przez chwilę, obcej w poświacie księ-

życa odbijającego się w szybach domów z przeciwnej strony ulicy, i choć spała niespokojnie nie zdecydował się jej obudzić. Przykrył ją kocem i poszedł do sypialni, gdzie położył się sam, z powodu późnej pory rezygnując z prysznicu.

Nie spotkali się także rano, kiedy wstała Dagmar. Mieszkanie znowu było puste, jedynie w kuchni czekało na nią przygotowane nakrycie i karteczka z lakonicznymi życzeniami miłego dnia. Usiadła na krześle, przed pustą filiżanką i czekała chwilę, jakby ktoś miał przyjść i ją obsłużyć. Było cicho, ściany mieszkania nie przepuszczały żadnego dźwięku, więc włączyła ekspres, bardziej niż kawy spragniona domowego hałasu. Przez krótki czas słuchała syku maszyny, a kiedy zamilkł, podniosła się raz jeszcze, by wykonać rytualną rundę po mieszkaniu. Obeszła wszystkie pokoje, z opuszczonym wzrokiem drepcząc boso po podłodze - w każdym miejscu identycznej, nie przykrytej i nie rozdzielonej liniami progów. Weszła do gabinetu, w którym zasłonięte żaluzje sączyły mrok i złudną nadzieję w to, że sylweta Biblioteki jest jedynie umownym budynkiem i nie posiada ani mocy zaglądania w okna, ani władzy przesyłania wieloznacznych symboli za dnia oraz męczących snów w nocy. Pokój jeszcze pachniał jej niespokojnym snem oraz korzennymi perfumami Arleny.

W łazience Dagmar napełniła wannę wodą. Odkręciła kurki i stała nago, czekając aż gładka niecka napełni się po brzegi. Dopiero gdy woda zaczęła przelewać się na podłogę, zatrzymała strumień tryskający ze ściany. Powróciła cisza. Dagmar zapaliła świece, których nadspodziewanie jasny blask odmienił tonację światła przycupniętych na kamieniach. Powoli weszła do wanny, nie zważając na pęczniącą obok kałużę. Woda w niej była równie przejrzysta jak w napełnionej wannie i jak ona śliska. Przebijały przez nią wzory granitowych kamieni, w odbłasku świecy wyraziste plastyczną głębią płaskorzeźby.

Wtedy zobaczyła twarze. Nie od razu, ponieważ na początku jej niewprawne oko wychwyciło jedynie poplątane linie, których porządku nie potrafiła odgadnąć. Zaciekawiona, zaczęła wychlapywać nowe plamy wody na podłodze, czekając, aż połączą się w strumień

i z łazienki wypłyną do przedpokoju. Jednak tak się nie stało; pomieszczenie powoli wypełniało się jak basen, a gładka tafla wody zastygała posłusznie, nie przekraczając umownej granicy drzwi. Połową nagiego ciała Dagmar wychyliła się poza brzeg wanny, by poszukać ukrytego odpływu odpowiedzialnego za tę równowagę, jednak natychmiast szarpnęła się z powrotem. Z zalanej podłogi patrzył na nią nieznajomy mężczyzna.

Właściwie nie wyglądał groźnie i nie było powodu, by tak bardzo się go przestraszyła. Jednak patrzył jej prosto w oczy: miał wyrazistą, granitową twarz i ożywione źrenice, szare pod długimi rzęsami i krzaczastymi brwiami, które łączyły się ze sobą na środku czoła. Uciekając w panice od jego wzroku, Dagmar zanurzyła się z zatrzymanym oddechem po szyję w wodzie, jednak w swoim ukryciu nie wytrzymała zbyt długo. Czuła, że niecodzienny spektakl dopiero się rozpoczyna. Wychyliła się na nowo, aby przekonać się, że odkryty wizerunek nie jest jedynym wzierającym z kamienia, a za jego przykładem już ukazują się następne. Stało się. Na oczach Dagmar podłoga zmieniała się w tło dla twarzy, które niespiesznie formowały się z płataniny kamiennych linii i plam rozlanej wody.

- Byłam w łazience - powiedziałam nieskładnie do słuchawki, kiedy po wielu sygnałach Arlena odebrała w końcu telefon.

Odpowiedzią było podbarwione wahaniem milczenie.

- Arlena! - krzyknęłam na nią, ze słuchawką w ręku wróciwszy do łazienki, naga i ociekająca wodą. - Tu są twarze na kamieniach! Na ścianach, i na podłodze, i w wannie...

- Widzisz je... - powiedziała wreszcie Arlena i wydało mi się, że słyszę cień ulgi w jej głosie - To... dobrze.

- Ale co to wszystko znaczy?

- Nie każdy widzi linie kamieni. Po prostu. Granit, marmur, wszystkie inne kamienie od dawna są tylko zwykłymi materiałami budowlanymi. Jeśli ktoś dzisiaj przygląda się kamieniom, robi to tylko po to, by ocenić ich praktyczne zastosowanie.

- Ale twarze... - przerwałam jej niecierpliwie, rozglądając się za ręcznikiem, aby ochronić się przed dojmującym chłodem.

- Załóż coś na siebie, jeszcze się przeziębisz - poradziła mi Arlena przez telefon, jakby widziała mnie przez okno. - Wskoczyłaś z wanny, prawda?

- Przecież wiesz - powiedziałam niechętnie i zarazem niecierpliwie. - Co z tymi kamieniami?

- Mam ci opowiadać o nich przez telefon? **1** tak miałyśmy się spotkać. Jak pamiętam, z powodu siódmego przykazania.

- Spotkajmy się - rzuciłam szybko - ale, proszę cię, powiedz mi teraz, dlaczego powiedziałaś „To dobrze”.

- Słucham?

- Chcę wiedzieć, dlaczego ucieszyłaś się z tego, że zobaczyłam na kamieniach twarze.

Pomilczała chwilę, jednak w końcu zdobyła się na wyjaśnienie:

- Powiedziałam, że to dobrze, ponieważ jeszcze raz potwierdziło się moje przypuszczenie. O tym, że mogę ci zaufać i o wszystkim opowiedzieć...

- Pokazać? - przerwałam jej niegrzecznie.

Zlekceważyła moją niecierpliwłość:

- Dagmar... Boję się o ciebie - powiedziała cicho.

Jej głos nawet w słuchawce telefonu brzmiał smutno i niezdecydowanie. Mimo nalegań nie wyjaśniła mi natury swoich obaw. Uparcie trzymała się harmonogramu dawkowania wiadomości o sobie i miejscu, w które mnie ściągnęła. Byłam bezradna; nie odwołała jej od tego ani moja irytacja, ani próby logicznego przekonania jej do minimalnego choćby ustępstwa. Jednak nie uchyliła się od opowieści o kamieniach. Wysłuchałam jej opatulona w szlafrok, który założyłam, dowiedziawszy się, że Arlena nie odwiedzi mnie tego dnia. Było mi zimno; mokre włosy sprawiały, że nie mogłam się rozgrzać i wydawało mi się, że ze wszystkim kątów mieszkania wieje chłodem. Ze słuchawką w ręku nalałam sobie szklankę wina, aby nie tracić czasu na parzenie kawy czy herbaty.

- Ten, który był początkiem Calehm, to znaczy mężczyzna, który je założył, wybierał sobie ludzi, którym zezwalał na pozostanie

na dole - wyjaśniła Arlena, a ja dodatkowo otuliłam się kocem. - Pokazywał im nieoszlifowane kamienne bryły i pytał, co w nich widzą. Przyjmował tylko tych, którzy rozpoznawali twarze.

- Rozumiem - odrzekłam z wahaniem, nie pojmując niczego.
- Tego mężczyznę nazwali Ojcem.

Wszyscy, którzy znali tamtego mężczyznę, dawno umarli. Był zaczątkiem podziemnego miasta, jednak nie pozostała po nim żadna fotografia, ani najskromniejsze nawet pisemne świadectwo. Nie wiadomo nawet, jakie nosił imię. Przetrwowało natomiast wiele opowieści, idei i cytatów, zapamiętanych i przekazywanych jak pozdrowienie następnym pokoleniom. Pozostała też jedna, nadszpodziewanie zgodna opinia: Ojciec miasta Calehm był szalony.

- Był żołnierzem - opowiadała Arlena. - Walczył w wielkiej wojnie, mówi się, że brał udział w krwawej bitwie... Zaraz po niej zwariował - w pierwotnym znaczeniu szaleństwa. Zwariował ze strachu, z bezsensu, z beznadziei. Oraz z powodu śmierci ponoszonej bez winy i powodu, w kompletnym braku szacunku dla cudu stworzenia. Mówi się, że zwariował wśród tysięcy trupów ludzi, którzy nie mieli czasu przygotować się do odejścia. Opuścili swoje ciała przerażeni i w harmiderze przerwanych egzystencji ich dusze nie umiały znaleźć drogi. Błąkały się po polach bitwy tak, że taidno było odróżnić żywych od umarłych.

- A kamienie...?

- On uwierzył, że dusze tych ludzi schroniły się w w głąb kamieni. Naprawdę nigdy nie umarli, ponieważ nie umiera się bez zgody na własną śmierć... Zatrzymani w kamieniach, by nie tarzał nimi wiatr.

Być może powinnam była poczuć lęk, w zimnym miejscu, otoczona twarzami żołnierzy i markietanek, ofiar katastrof, pożarów, trzęsień ziemi, nawet wypadków komunikacyjnych - wszystkich tych ludzi, którzy naprawdę nie odeszli. Jednak, co mnie samej wydało się dziwne, czułam się wśród nich bezpiecznie.

- To tylko legenda - powiedziałam do Arleny.
- Naturalnie, że tak - zgodziła się. - Legenda.

*Nawet w Calehm nie wszyscy dzisiaj ją znają*, wyjaśniła jeszcze, w podziemiu, które zmieniło się od czasu tamtej wojny. Rozsze-

rzyło się do nowych wymiarów, zorganizowało jako miasto. Śladem dawnych legend są reguły i rytuały; te same, które przeobraziły się w prawa i obowiązki.

- Obowiązki? - zapytałam, bo zaniepokoiło mnie to słowo.

- Tak. Także i one.

- Czy... - spytałam niepewnie, chcąc wyczerpać temat kamieni, i tych z mojego mieszkania, i tych, z których powstało miasto.  
- Chciałabym wiedzieć, czy dostrzeżenie twarzy w kamieniach jest w Calehm obowiązkiem, regułą czy rytuałem?

- To tylko pozostałość po legendzie, zwyczaj, rodzaj pozdrowienia - odrzekła natychmiast Arlena. - Opowiedziałam ci o Ojcu, ponieważ od niego wszystko się zaczęło. Od jego sposobu selekjonowania ludzi. Na początku był sam w największej pieczarze...

- Tej pod Katedrą?

- Możliwe, ale nie ma na to dowodów. Wiadomo, że odnalazł ogromną pieczarę i schronił się w niej. Katedra jeszcze nie istniała, a miasto u góry było zaledwie małą mieściną z kościołem pośrodku rynku. Nic godnego zainteresowania. On znosił w dół kamienie, a gdy napotkał kogoś, kogo uznał za podobnego sobie, pozwalał mu się przyłączyć.

Pokiwałam głową, choć nie mogła mnie widzieć. Nie zobaczyła także mojego uśmiechu, choć był szczery i przeznaczony tylko dla niej.

- Rozpoznajecie się w ten sposób, prawda? - stwierdziłam. - Oloff spotkał cię w kamieniołomie i zabrał ze sobą. Ale ja? Spotkałaś mnie na przyjęciu. O ile pamiętam, nawet nie rozmawialiśmy o kamieniach.

- Nie... Wszystko, co o tobie wiedziałam, pochodziło od Edyty. Wyprostowałam się gwałtownie, aż koc opadł mi z ramion.

- Która ukradła mi kamiennego bożka! Która...

Arlena przerwała mi w pół słowa:

- Nie powinnaś teraz zaprzętać sobie tym głowy. Sądzę, że go odzyskasz.

- Teraz? - zaprotestowałam. - Kiedy już nie jest mi potrzebny? Kiedy przestałam w niego wierzyć? Nawet gdyby nigdy nie zaginął



i tak zostawiłabym go w dawnym mieszkaniu razem z innymi grami. Wcale nie zabrałabym go ze sobą do Calehm!

- Mylisz się, Dagmar - oświadczyła zimno Arlena. - Twój bożek powinien wrócić do Calehm.

Żachnęłam się.

- Niby dlaczego?

- Ponieważ on stąd pochodzi. Został wyciosany z calehmskiego kamienia.

Nagłe oburzenie omal nie odebrało mi mowy.

- Skąd ty możesz o tym wiedzieć... Nigdy go nie widziałas, nie wiesz nawet, jak wygląda, jak... Dopiero co ci o nim... opowiadałam. To jest indyjski bożek!

- Ale powstał tu, na dole, Dagmar. Ktoś w Calehm wykuł go z bryły granitu, robiąc coś, czego nie było wolno, bo rzeźbiąc kamień, pozbawił go obrony. Ujawnił jego twarz i ciało. Potem przyrzekał, że nie zmienił żadnej z żył... Twierdził, że uwolnił bożka ze skoruupy, wypuścił go na wolność. Rzeczywiście twój bożek był piękny.

- Nigdy go nie widziałas - upomniałam ją bez przekonania.

- Oloff widział go, będąc dzieckiem, krótko przed tym, jak bożek opuścił Calehm.

Przyciskałam słuchawkę do ucha tak mocno, że zaczęło mnie boleć. W ciągu tej jednej rozmowy prócz ucha zdążyły rozboleć mnie jeszcze dłoń i głowa - całe moje ciało bolało mnie na znak protestu.

- Bożek opuścił Calehm? - zaprotestowałam bez przekonania.

- Co ty pleciesz, Arleno... Czy tego aby nie za dużo?

- Oloff widział twojego bożka i dokładnie go zapamiętał. To dzięki niemu uwierzył, że kamień ma wewnętrzną formę, którą wolno wydobyć na światło dzienne. Przed tamtym rzeźbiarzem nikt nie obrabiał kamieni, bo uważano to za bluźnierstwo i bezczeszczenie. W Calehm zgromadzono tysiące, miliony kamieni, jakby podziemne miasto rozrastało się nie po to, by zrobić miejsce ludziom, ale kamieniom, którym było coraz ciaśniej. Wszyscy znosili je na dół, aż narosły całe stosy.

Przypominałam sobie opowiadanie Arleny o spotkaniu w kamieniołomie.

- Dopiero Oloff wywalczył prawo do wykucia twarzy z wnętrza kamienia - powtórzyła.

Pamiętałam ją wspominającą swego siwowłosego Oloffa, który chciał przemienić kamień w gołębia. Poprosił ją o pozwolenie, kiedy, nieświadoma legendy o przycupniętych w ostonie kamienia zmarłych, broniła ich nienaruszalności. Pomyślałam, że wszyscy są szaleni - nie tylko ów Ojciec, nie tylko Oloff i Arlena. Stało się dla mnie jasne, że skoro dopuścili mnie do siebie, ja również muszę być szalona.

- Czy Oloff wyrzeźbi! gołębia z twojego kamienia w Toskanii?  
- zapytałam już zmęczona, tylko dla porządku, dla końcowego wyjaśnienia, które właściwie nie było mi potrzebne.

- Tak - odpowiedziała bezdźwięcznie. - Zrobił to. Pozwoliłam mu, bo byłam głupia i wierzyłam mu we wszystko.

- A ten gołąb? - spytałam jeszcze.

- Nie wzniósł się do lotu... Stoi gdzieś w naszym domu i nie chcę nawet go oglądać. Zbyt późno przekonałam się, że miałam rację. Wcale nie jest ptakiem. Oloff zmienił go w coś nieprawdziwego.

# ARLENA: IV

## ...OJCA TWEGO I MATKĘ TWOJĄ

Matka Wszystkich była siwą kobietą w nieokreślonym wieku; mogła mieć pięćdziesiąt albo sto dwadzieścia lat, nie dało się tego wyczytać z bladej twarzy, postawy i niestarannie spiętych długich włosów, związanych z tyłu tylko po to, by nie spadały jej na nos i wysokie, gładkie czoło. Jej oczy wyblakły tak, że kolorem zbliżyły się do barwy jej włosów, więc nie sposób było zgadnąć, czy błyszcząły kiedyś kobaltowym odcieniem, który Arlena zaczęła uważać za znak rozpoznawczy Calehm.

Przyglądając się kobiecie, która uosabiała najważniejszą figurę miasta i była niejako pierwotną komórką rozrostu podziemnej cywilizacji, Arlena walczyła z rozczarowaniem. Z zastygłym na ustach uśmiechem odpychała od siebie rozpaczliwie porażkę zawodu, który sprawił, że radość spływała z niej wąskimi strużkami potu. Brakowało jej tchu; czuła się jak widz przed spektaklem w teatrze, kiedy po wielu kieliszkach szampana w foyer pełnym wyszukanych kandelabrow i lusterek, wznosi się na scenie kurtyna i nie odslania niczego prócz kuglarza albo dziecka, które bawi się piłką.

- Cieszę się, że przyszedłeś.

Matka Wszystkich odezwała się pierwsza, przyjaźnie przyglądając się Arlenie, niezdolnej do wykrztuszenia słów powitania.

- Widzę, że jesteś mną bardzo zawiedziona - otarła ręce o kraj zakurzonej sukni.

W jej skąpym uśmiechu unosił się ku górze tylko jeden, lewy kącik ust.

- Ależ nie!... - zaprzeczyła pośpiesznie Arlena, jednak natychmiast się poddała. Pod uważnym, nieco ubawionym spojrzeniem

gospodyni próby uników wydały się jej bezsensowne. - Inaczej sobie ciebie wyobrażałam.

- Kogoś charyzmatycznego jak młody Aaron, kiedy rozmawia z Aniołami? - poddała domyślnie Matka Wszystkich.

Arlena niechętnie skinęła głową.

- Albo kogoś tak pięknego jak Weronika...

- Hmm...

Siwowłosa kobieta zamachała rękami, a jej gest uczynił ją jeszcze bardziej zwyczajną.

- Nie jestem nawet szalona jak tak zwany Ojciec - oświadczyła tonem, którym opowiada się nieprzyzwoite dowcipy.

- Tak zwany?

- Podobnie jak ja jestem tak zwaną Matką - dokończyła kobieta i, pochylając się w stronę Arleny, dodała teatralnym szeptem: - Matką Wszystkich.

-A nie jesteś?

Matka Wszystkich ujęła Arlenę za rękę i pociągnęła za sobą w głąb pomieszczenia. Było spore, ale wiele przepierzeń dzieliło je na mniejsze pokoiki, z których każdy pachniał po trochu naftaliną i lawendą, czosnkiem i kiszonymi ogórkami.

- Prawdę mówiąc, nie wiem dokładnie na czym to polega - oświadczyła. - To rodzaj funkcji, zapewne... Wiesz, im jestem starsza, tym bardziej wydaje mi się, że w Calehm każdy ma swoją funkcję, choć gdybyś powiedziała to komuś prosto w oczy, nie mogłabyś go bardziej obrazić. Tak, dobrze słyszysz - w naszym wolnym Calehm, schronieniu ludzi, którzy uciekli od uregulowanego życia.

Jej słowa brzmiały niemal ironicznie. Oszołomiona Arlena, która dotychczas nie natknęła się na nikogo, kto ośmieliłby się drwić z Calehm, milczała. Przeczucie podpowiadało jej jednak, że Matka Wszystkich daleka jest od kpiny z czegokolwiek, natomiast ironia, podobnie jak inne odcienie pokrętności, zupełnie do niej nie pasują.

- Jestem już stara, nie pamiętam nawet, kiedy znalazłam się na tym stanowisku - oświadczyła, jakby czytała w myślach Arleny. - To musiało nastąpić wtedy, gdy tu zamieszkałam...

Zrobiła nieokreślony ruch obejmujący wewnątrz, przez co jej wzrok padł na ścianę ozdobioną obrazami, z których jeden wisiał krzywo. Dostrzegłszy dysharmonię, przerwała przemowę i zbliżyła się do malowidła, by nadać mu właściwą pozycję. Starannie poprawiła obraz, po czym zrobiła krok do tyłu i przechyliła głowę, aby ocenić efekt. Zadowolona powróciła do Arleny:

- Czy sądzisz, że i ja jestem nieodwołalnie szalona, skoro nie pamiętam nawet tego, jak długo tu mieszkam? - zapytała nagle, prawie napastliwie.

- Ależ nie... - zaprzeczyła ponownie Arlena, z jeszcze mniejszym przekonaniem.

- To dobrze - stwierdziła z zadowoleniem Matka Wszystkich.  
- Bo widzisz, moje dziecko...

Znowu przerwała, jakby nagle całkowicie opuściła ją ochota na rozmowę, ponownie otarła nieubrudzone ręce i, jak kucharka zajęta gotowaniem kilku potraw jednocześnie, podreptała do solidnego kredensu, niemal w całości zajmującego ścianę sąsiedniego pomieszczenia. Stał przed nim duży, przykryty serwetą stół oraz dwie ławy z wytartego do białości drewna. Arlena pomyślała o nich, że są wysiedziane jak posadzki klasztoru Shaolin, wyżłobione przez pokolenia mnichów, którym tylko się zdaje, że niekończące się ćwiczenia bardziej niż ciało hartują ducha.

- Usiądź sobie.

Kuchnia Matki Wszystkich nie była miejscem egzekwowania dyscypliny. Była świątynią przygarniętych serc i wymyślono ją po to, by każdy czuł się w niej bezpiecznie.

- Siadaj już, siadaj - zachęciła Arlenę gospodyni, jakby zwracała się do zbłąkanego dziecka, zbyt nieśmiałego, by upomnieć się o szklankę mleka.

Posadziła Arlenę przed pachnącą domową drożdżówką i napełniła kubek herbatą z samowara.

- Smacznego.

Postawiała na stół kilka dodatkowych nakryć.

- Nigdy nie wiadomo, kto jeszcze przyjdzie - wyjaśniła.

Ciasto drożdżowe było suche, z nielicznymi rodzynkami, które wyglądały jak skulone w kłębek muchy. Miało jednak przyjemny, korzenny smak, o czym przekonała się Arlena, posłusznie włożywszy je do ust. Herbata była przyprawiona nieznaczną nutą goryczki.

- Wszyscy przyjmujecie mnie tak serdecznie... Tak ciepło - powiedziała do Matki Wszystkich, popijającej herbatę z wyszczerbionej filiżanki. - Nie znałam tego wcześniej, nawet ze strony ludzi, którzy byli moimi przyjaciółmi... Także rodziców.

Z twarzą zamaskowaną obłokiem pary unoszącej się nad kubkiem zapytała:

- Chciałabym wiedzieć, czy przyjmujecie tak każdego, który tu przychodzi? To znaczy... Czy jest to rytuał powitalny dla wszystkich nowo przybyłych, czy tylko dla mnie, bo jestem kobietą Oloffa?

- Kobietą Oloffa?

Matka Wszystkich uniosła przysypane siwizną brwi.

- Miałam dość okazji, by zrozumieć, że Oloff jest tu... kimś szczególnym - powiedziała Arlena nieskładnie. Była zakłopotana i rozkojarzona. - Projektuje to miasto, nadaje mu kształt. Wszyscy go znają, jest przyjacielem wszystkich.

- Masz rację, dziecko. Oloff jest ważną osobą w Calehm - potwierdziła Matka Wszystkich. - Jednak witamy cię serdecznie nie ze względu na niego, lecz na ciebie samą.

Jej wyraz twarzy był zagadką dla pogubionej Arleny.

- Jednak jego wszyscy przyjaciele, Weronika, Aaron...

- Wiem, wiem. Wprowadzają cię pomału i tak urocząście, jakby wyprawiali audiencję na dworze, prawda?

Arlena uśmiechnęła się, maskując skrępowanie. Wahała się między lojalnością wobec Oloffa a ochotą zrozumienia spraw, których on nie mógł jej wytłumaczyć. Był jej opiekunem i kochankiem, jednak wiedziała, że prawdę usłyszy jedynie z ust kobiety - i to nie od Juli czy Weroniki. Lista męczących ją pytań nie dotyczyła bynajmniej faktów bądź informacji, przeciwnie, szczegóły historii Calehm, wiek budynków lub dokładne wymiary podziemia chwilowo wydawały się jej bez znaczenia.

- Czuję się tak, jakbym brała udział w przedstawieniu - wyznała cicho Matce Wszystkich. - Jakby dano mi rolę i nie powiedziano, na czym polega.

Tamta pokręciła głową ruchem gospodyni kupującej warzywa na straganie, na którym ceny są zbyt wysokie i trzeba się targować.

- Nie pozwól na to, dziecko! Nie musisz tego robić - ani grać jakiejś roli, ani kogokolwiek słuchać. Wybierz sobie tylko to, co ci się podoba.

- Ale wszyscy są dla mnie tacy dobrzy!

- Czy mają jakiś powód, by takimi nie być?

- Jestem tu nowa...

- J u ż nie.

Krzeseł, które przysunęła sobie Matka Wszystkich, aby znaleźć się bliżej swego gościa, głośno skrzypiało. Jej to jednak nie przeszkadzało, kiedy gładząc szorską dłonią policzek zakłopotanej Arleny, oddała się wyjaśnieniom:

- Calehm potrzebuje ciebie tak samo, jak ty jego. Powstało dla takich jak ty i nie miałyby powodu istnieć, gdyby ich zabrakło. Byłoby bezużyteczne i nieprawdziwe, zwyczajne jak każde miasto: zabiegani ludzie, sklepy, komunikacja; nic, tylko urządzić w nim dworce, banki i firmy! Bardzo szybko zrównałoby się z tym drugim miastem na górze, aż wszyscy zapomnieliby, że istniała między nimi granica. I tu, i tu płaciłoby się komorne, którego wysokość zależy od... jak oni na to mówią? Kon...

- Koniunktury?

- Właśnie - kiwnęła głową kobieta. - Albo od jakiejś głupiej mody. Często słucham opowieści o życiu na górze i o tym, jak wszystko się zmienia. Podobno istnieją na świecie miasta, w których drogie osiedla powstają na bazie przebudowanych hal targowych, portów, nawet koszar. Mieszkają w nich bogaci ludzie, dumni, że zdobyli się na ekstrawagancję.

- J e s t wiele takich miejsc...

- Ale nie Calehm! - ucięła ostro Matka Wszystkich, wojowniczo zadzierając do góry pomarszczony podbródek. - Nic takiego nie powinno spotkać Calehm.

Nieuważnym ruchem dorzuciła Arlenie kawałek ciasta na talerz, jak poprzednio nie pytając jej o zdanie.

- Chcę ci tylko jedno powiedzieć, dziecko: to twoje święte prawo tu być. Nikt nie zrobił ci łaski, przyprowadzając cię tutaj. Nie męcz się innymi myślami. Możesz o wszystko pytać, możesz zamieszkać tam, gdzie chcesz, możesz nawet stąd odejść. Pamiętaj! Wolno ci także stąd odejść.

Arlena gwałtownie pokręciła głową, zaskoczona myślą o dobrowolnym opuszczeniu raję.

- Ale jeśli tu pozostaniesz, żyj dokładnie tak, jak chcesz. To już wystarczy i tak będzie dobrze.

Matka Wszystkich plebejsko kiwała głową; przestała już głaszać Arlenę, która w zakłopotaniu zaciskała palce na ciągle gorącym kubku herbaty. Przypominała chłopkę, która ma na głowie dom, gospodarstwo, inwentarz i mnóstwo dzieci.

- Jesteś jeszcze głodna? - zapytała.

- Nie, to ciasto... - Arlena uległa już sile jej serdeczności. - Dziękuję ci. Bardzo.

- Lepsze niż u Juli? - prychnęła Matka Wszystkich.

Nie oczekując jednak odpowiedzi, poprawiła się na krześle.

- Chcę ci jeszcze coś powiedzieć, dziecko.

- Słucham?

- Oczywiście, że sporo w tym wszystkim przedstawienia. Coś jakby szopka, jakby wielki teatr. Ktoś jest ważny, ktoś mniej, ktoś organizuje, ktoś coś zmienia. Także tu każdy jest tylko człowiekiem, próbuje zrobić coś ważnego, wydaje mu się, że ma rację. Te tajemnice, rytualne godziny, znaczenia dzwonów, ksiąg i zapisów... Phi! To wszystko Ojciec, on był trochę szalony... Mężczyzny nie zadowala zwyczajne życie. Tak jest i nic tego się nie zmieni. Natomiast my jesteśmy tu po to, by przypominać, że nie wszystkiego trzeba słuchać. My - to znaczy kobiety.



Arlena pozostała w domu Matki Wszystkich przez trzy dni. Najpierw zasiedziała się podczas herbaty, a później podczas kolacji, towarzysząc innym, którzy przyszli na posiłek przy drewnianym stole. Nie przypominali wykwintnych gości Olofffa, byli mało dostojni w manierach i nie zawsze błyskotliwi. Jednak nie przypadkiem gromadzili się wokół Matki Wszystkich, przy której ważkie słowa wydawały się nie na miejscu, a niejasności upraszczała wygodna bliskość. W jej domu porozumienie wydarzało się samoistnie, jako dodatek do klusek i sałaty, sól i pieprz nieważnych rozmów, osłoda zmywania naczyń. Nieodzwonne przy winie, grze w karty i muzyce niegłodnego gościa o palcach sklejonych ze strunami gitary.

Poddając się nieskomplikowanemu spokojowi miejsca, Arlena nie zapomniwała jednak o przyniesionej z góry liście pytań, która zamiast się kurczyć, komplikowała się i rosła. Próbowała zagadnąć Matkę Wszystkich, jednak nie nadarzył się sprzyjający moment, aż zaczęła przypuszczać, że gospodyni jej unika. Nie chciała być narętna; jak na niezaplanowanym urlopie dała się więc nieść wydarzeniom i poddawała niezwykłości godzin. Nawet dla niej, której od przyjazdu do Calehm nie dotyczyły żadne obowiązki, czas ten był jak podarowany i wymyślony po to, by mogła snuć się bez makijażu, w pożyczonych kapciach i przybrudzonym ubraniu, oddając się zajęciom nie trudniejszym od smarowania chleba i obierania ziemniaków.

- Arleno?

Matka Wszystkich wzdychała głośno jak ktoś, kto coś przyrzekł i mimo braku ochoty zmusza się do wypełnienia obietnicy. Mijał trzeci dzień pobytu Arleny w jej domu.

- Chodź - nakazała, przerywając jej układanie wieży Babel z kromek chleba na drewnianym stole.

Zaprowadziła Arlenę do bocznego pomieszczenia, gdzie przed przepastną szafą stało już solidne krzesło. Poleciała wejść na nie i wyjąć kartonowe pudła, które choć duże, okazały się całkiem lekkie. Pod jej czujnym okiem Arlena przeniosła kartony w kącie pokoju.

- Tu będziesz miała spokój - oświadczyła Matka Wszystkich.  
- Obejrzyj to sobie. W tych pudłach znajdziesz to, co chcesz wiedzieć - o początku, o Matkach i Ojcach... Sama zobaczysz. To nie jest posegregowane jak, hmm, jak do Biblioteki. Taki nieporządek. Ale najważniejsze jest to, że nic tu nie jest powybierane, pocenzurowane... Zresztą, co ja ci będę mówić. Sama zobaczysz.

Odwróciła się z ulgą i chciała już odejść, jednak rozmyśliła się na widok Arleny rzucającej na podłogę wieko pierwszego otwartego pudła.

- Gdybyś jednak czegoś nie zrozumiała - powiedziała niepewnie - przysyłę ci kogoś do pomocy.

Przestępowała z nogi na nogę, jakby ogarnęły ją wyrzuty sumienia z powodu niedopełnionego obowiązku:

- Sama bym z tobą posiedziała, ale mam tyle do zrobienia...

- Dziękuję ci! - Arlena podniosła się, by ucałować jej szorstki policzek. - Na pewno dam sobie radę.

- Na pewno - powtórzyła po niej gospodyni - tak nawet lepiej... Poza tym, wiesz, muszę to robić wciąż na nowo, ciągle powtarzam te same stare historie. A one wcale nie są aż takie ciekawe, zwłaszcza gdy opowiada się je po sto razy. Bo co opowiadać? Jesteśmy tu i już.

Arlena niedługo pozostała sama wśród papierów Matki Wszystkich. Dość szybko ktoś przyłapał ją, zaciekawioną jak dziecko nad skrzynią z zabawkami, i nieproszony dosiadł się do niej w kącie pokoju. Potem, tak jak przyłącza się do gry, zawołał jeszcze kogoś następnego i już po niedługim czasie cała gromada ludzi przekazywała sobie z rąk do rąk znaleźiska. Prócz Arleny niemal wszyscy je znali, jednak ogólne zainteresowanie dorównywało jej własnemu. Często potrzebowała czasu, żeby odebrać coś osobie, która zbyt długo odświeżała sobie pamięć. Jednak towarzystwo okazało się pomocne: dzięki urywkom rozmów i wykrzykiwanym historyjkom Arlena zbudowała sobie kontekst ważnych spraw i wydarzeń, których dokumentację włożono jej do rąk. Chłonęła je łapczywie, wyłapując hasła i powiedzonka, wdzięczna za zaczarowaną kroni-

kę Calehm, wrzuconą bez porządku w kartonowe pudła, byle jaką - prawdziwszą i najrzetelniejszą z wszystkich.

Zawierała świadectwa dzieci i dorosłych: rysunki i zapiski, zdjęcia i emblematy, flagi i proporczyki, nawet plakaty i reklamy. Sporadycznie opatrzone datą dokumenty trudno było umiejscowić w czasie. Pomieszane jak postaci wpisane na listę obecności pod przybranym nazwiskiem, opowiadały o calehmskich wydarzeniach. W niemożliwym do rozpoznania porządku paradoksalnie tworzyły spójną historię, w której elementy potwierdzają się i przeczą sobie jednocześnie. Zaplątana w ten galimatias Arlena, którą tylko na początku kusiło poszukiwanie chronologii, pojęła zasadę archiwizacji: każdy z dokumentów - kartka lub karteluszek, materiał, splot wełny albo kwiat - oznaczał jednego żyjącego w Calehm człowieka. Każdy mieszkaniec pozostawił po sobie tylko jeden, niepowtarzalny zapisek jako świadectwo swojego życia. Była jego wkładem do kroniki, w której lapidarna notatka odpowiadała powadze eseju, a prosty szkic najszczerówszemu z portretów.

Wspierana przez coraz liczniejszych towarzyszy Arlena dotarła do najważniejszego dokumentu. Dla Calehm był początkiem historii - jak *Epos o Gilgainszu*, *Pieśń o Rolandzie*, *Bogurodzica* albo jak *Romans o Róży*.

- Czy to...

Wyglądał niepozornie.

- Tak. Obejrzyj to dokładnie.

To, co jej podano, było zaledwie wyblakłym przez lata i wytartym na brzegach rysunkiem. Przedstawiał kobietę, śmiesznie małą wobec ważnego generała, która zasłaniała przed nim swym drobnym ciałem bosego, o głowę przewyższającego ją syna.

- Matka?

Ledwie czytelny podpis na dole poszarpanej kartki uwiecznił jej gniewne słowa: „Czyś to ty go urodził?”

- Ojciec.

Nadwerżony przez czas rysunek niechętnie dzielił się prawdą o uczuciach skłóconych postaci. Zniszczony i mało wyrazisty odkrywał swą wieloznaczność, zaszyfrowaną w pozornej prostocie.

- Znalazłam - powiedziała Arlena do Matki Wszystkich, która wyrzwała na chwilę z kuchni.

Najważniejszym elementem rysunku była butna twarz generała. Właśnie podjął decyzję: posyłał na wojnę chłopaka, który mógłby być jego synem, a może nawet nim być. Generał zadysponował nim z dumą i ze strachem, świadomy ciężaru swej nadludzkiej władzy. Jego nienaturalnie wyniosłą postać znaczyły ślady wewnętrznego rozdarcia; jego determinacja ścierała się z rezygnacją i wahaniem, których przyczyną była kobieta. To walcząca z nim matka, w zagrożeniu mnożąca swe wątpliwe siły samica, oraz kochanka. Silny, zmagający się z samym sobą generał bał się jej i wstydził jednocześnie, pogardzał nią i czuł się za nią odpowiedzialny. Pragnął jej, choć wołałby przepędzić. Czując jej miłość, żałował, że w przeszłości jego rodzicielka nie obroniła go od munduru, nie wybawiła od lęku i powagi wyboru. Jednak było już za późno: obecność kobiety, jej prośba i żądania były niebezpieczne, a skutek ich spełnienia mógł okazać się zarówno zbawieniem, jak i karą. Przegrywający z kobietą generał traci siły, przegrywający z jej powodu wojnę skazuje siebie oraz ją na potępienie.

- To dobrze, dziecko - odpowiedziała Matka Wszystkich.

Kontur wiotkiej kobiety stojącej naprzeciw generała niemal się zatarł. I ona była zagadką - matka walcząca o swe szczenię, obojętna na niebezpieczeństwo, nieczuła na obelgi, gotowa na każdy los. Wyrzucała przywódcy obojętność, okrucieństwo i nędzny udział w powstaniu życia, którym tak beztrząsco rozporządza. Odważyła się wytoczyć mu prywatną wojnę - namiastkę tej, której nienawidzi - i wyzwąć na pojedynek. Jednak nie potrafiła ukryć, że oprócz wroga widziała w nim mężczyznę. Według jej kobiecej wiedzy, mógł ofiarować jej dzieci - to, które zastłoniła sobą, oraz wszystkie inne, oczekujące przyjścia na świat. Kobieta pojmowała wzajemne uzależnienie i gdyby nie ciepła obecność syna na plecami, zrozumiałaby, dlaczego generał śle żywych na wojnę. Wiedziałyby, że robi to po to, aby ona mogła wybierać ojców dla swych dzieci, po to, by nikt nie wtargnął w nią siłą. Kiedy on miał się między instynktem ojca a powinnością przywódcy, jej nie-

dorzeczny matczynej pacyfizm walczył z kobiecą fascynacją męską brawurą i mocą.

- Oloff już się o mnie martwi - uśmiechnęła się Arlena do innych, którzy nasyciwszy się kroniką, zaczęli porządkować kartony.

- Na pewno nie... - powiedział jakiś mężczyzna. - Przecież wie, gdzie jesteś.

Trzeci bohater historyjki, przedmiot sporu w osobie uwielbianego syna matki i uprzykrzonego konkurenta generała, przyszedł zdradca domu, który porzucił go dla obcej kobiety, obserwował bezgłośnie pojedynki. Był sensem życia matki, następcą przywódcy, nadzieją i utrapieniem obojga. Wdzięczny za ochronę, wstydził się słabości; ciekawy wojny, lecz nie krwi, pragnący bohaterstwa, ale bez broni. Chciałby wydostać się z objęć matki, jednak nie w tapy ojca generała. Zazdrosny o matkę, śledził walkę nierównej pary, przerażony zmysłową energią, którą chłonał! i tłumił jednocześnie.

- Czas pierwszej Matki Wszystkich rozpoczął się więc równoległe z czasem Ojca - powiedziała Arlena do kogoś, kto został, by jej wysłuchać. - Równowaga *yin yang*: gdzie istnieje mężczyzna, musi pojawić się kobieta, by zaokrąglić jego obecność.

- Jednak nie chodzi o jedną konkretną obecność - odpowiedział ten ktoś ostrożnie. - Ojciec nie życzył sobie ścisłych związków.

- Związków?

Arlena odwróciła się do obcego mężczyzny. Nie był nikim szczególnym. Zapytana o niego później, być może nazwałaby go listonoszem.

- Wiesz, o co mi chodzi.

Stało się: Arlena dopuściła do siebie istnienie erotyki podziemia. Dziwiąc się swą dotychczasową niewiedzą i nieczułością na krążące impulsy, pojęła jego inny wymiar; całe otoczenie, nawet kuchenna nisza Matki Wszystkich, ujawniło się przed nią jako pole działania podzielonej męskiej i kobiecej energii. Gorączkowo zatoczyła wzrokiem po pieczarze, zatrzymując się na gospodyni, która z przymkniętymi oczyma odpoczywała na kanapie. Pomimo obecności dziecka, które zasnęło z głową na jej kolanach, Matka Wszystkich wydała się Arlenie kim innym niż tylko symboliczną, ma-

triarchalną figurą. Naraz objawiła się jako zmysłowa kobieta, której atrybutami są nie tylko macierzyństwo i płodność, ale przede wszystkim nieulekły erotyzm - niezależny od liczby urodzonych dzieci oraz od liczby Ojców.

- A to jeszcze pamiętasz? - usłyszała czyjś ciepły głos.

Nieznajoma dziewczyna obejmowała Arlenę ramieniem i przyciskała się do niej połową ciała. Podała jej ostatni rysunek z archiwum Matki Wszystkich.

On również był tylko ołówkowym szkicem. Czarno-biały, precyzyjnie przedstawiał dwie postaci: pewną kreską wycieniowanego mężczyznę, muskularnego, bez uśmiechu, z gęstym runem na piersi i podbrzuszem o ponadprzeciętnie dużym przyrodzeniu, oraz kobietę, równie schematyczną, oszczędnie sprowadzoną do bioder, piersi i długich włosów. Rysunek był kopią wystanego niegdyś w kosmos wizerunku ziemskich istot obojga płci, obrazu ciał, na których nikt nie zaznaczył miejsc decydujących o rozumie i rozsądku, jedynie dwa centra skupiające instynkty.

Arlena zamknęła nim kronikę Matki Wszystkich. Zatrzasnęła ostatnie pudło z rysunkami, amuletami i magicznymi przedmiotami świadczącymi o duchu Calehm. Dotychczas miasto jawiło się jej jako dzieło istot naśladowujących boskie tworzenie. Teraz pojęła, że powinna na nowo poukładać myśli. Podziemne królestwo metafizyki i estetyki okazało się miejscem samczo-samiczym. Było enklawą, która wyzwoliła się z praw społecznych po to, by hołdować prawom gatunku.

Kiedy wróciła do domu, był czwartek. Mimo wczesnego przedpołudnia Oloff był w domu, jakby na nią czekał. Nie pytał jej o nic, nie prosząc o pomoc Juli, sam zrobił herbatę i jajecznicę, którą w milczeniu zjedli prosto z patelni postawionej byle jak na kuchennym stole. Prócz przelotnego powitania w drzwiach nie zamienili ze sobą ani słowa, jakby rozmowa nie była im potrzebna. Wiedzieli oboje, że dla Arleny wyjaśniły się najważniejsze sprawy,

przepędzając mgłę osnuwającą problematyczne przestrzenie, po których błędziła dotychczas niepewna, czy rzeczywiście istnieją. Teraz, choć nie wprowadzona jeszcze w tajniki ich natury, przekonała się, że nie są wytworami wyobraźni. Mogła ich dotknąć, polizać i posmakować, sprawdzić ich miękkość, a nawet odrobinę poprzesuwać z jednego miejsca na drugie. Jednak już nie musiała się z tym spieszyć.

Oloff wstał z krzesła, kiedy skończyła jeść ostatni, grubo ukrojony kawałek ciemnego chleba. Odsunąwszy niedbale patelnię i kubki na brzeg stołu, sięgnął po pakunek przyniesiony przez Arlenę. Wolno rozwiązał sznurek i rozwinął starą gazetę zastępującą papier do pakowania. Brązowa koronkowa suknia wysypała się na podłogę, więc podniósł ją za dwa szerokie rękawy i rozpostartszy wysoko w powietrzu, trzymał ją zadowolony, podziwiając przewrotną formę upstrzonego falbanami i frędzlami krzyża. Po wielu minutach, podczas których ciszę panującą w domu mąciły kroki kogoś chodzącego po schodach oraz ledwie słyszalny szum odkurzacza Juli w dalszych pomieszczeniach, Oloff rzucił suknię na stół, nie troszcząc się o to, że nikt nie stał go po posiłku.

Nieruchoma Arlena nie zaprotestowała ani wtedy, kiedy rękaw jej nowego, cennego stroju przetarł tłustą plamę po jajecznicy, ani później, gdy Oloff, zbliżywszy się do niej na odległość oddechu - ze zdziwieniem uświadomiła sobie, że wbrew swoim zwyczajom wypił już przynajmniej dwa piwa - zaczął rozbierać ją z nieświeżego, pożyczonego ubrania.

- Nie kąpałam się od trzech dni - powiedziała obojętnie, nie stawiając oporu jakby była tylko dużą, ruchomą lalką.

Jednak on, nie zadając sobie trudu, by odpowiedzieć, bez pośpiechu zdjął z niej ubranie, co odczuwała z dziwnym zainteresowaniem, odgadując jego nastrój. Nie był podniecony i nie przypominał namiętneho kochanka, który stęsknił się podczas jej nieobecności. Nie martwiło jej to; przyglądała się jemu i sobie niczym stojący z boku świadek nieszczególnie pasjonującego widowiska. Usłyszała kroki za sobą, lecz nawet wtedy nie zechciała odwrócić głowy, jakby nic nie działa się naprawdę, a upływające minuty wcale jej nie doty-

czyły. Czuła jedynie dziwaczne pomieszanie fizycznego zmęczenia z zamroczeniem umysłu. Obce kroki oddaliły się równie spokojnie jak się pojawiły i żadne z nich się tym nie przejęło: Oloff który się rozbiarał, oraz Arlena, przyglądająca się ruchomym obrazom, jakby błyskały przed nią na ekranie.

Brązowa suknia z tajemniczo blaknącego materiału, ornamenty koronek i sploty filigranowych wykończeń gniotły się i rozciągały jak niepotrzebna szmata pod Arleną, kiedy Oloff, zaledwie w połowie nagi, wziął ją na kuchennym stole. Nigdy przedtem nie kochali się w taki sposób: bez słów, szeptów i pocałunków, w zaciętym zapamiętaniu, jakby wykonywali jakąś pracę. Dla Arleny trwało to długo, przez stukanie drewnianych nóg stołu o podłogę, spadające kubki po niedopitej herbacie, przelotne głosy obcych ludzi, którzy przechodzili przez przedpokój i zaglądali do kuchni, aż do wyczerpania i bólu. Bez uniesień, fizycznie, zimno.

W rzeczywistości owa niemal boleśnie pusta miłość nie zabrała wiele czasu, który jednak zdawał się nie kończyć dla dobijającej do granic zmęczenia Arleny. Uczestniczyła w niej intensywnie, jakby z udziałem obcej siły ścigała się w wyczerpującym biegu. Jednak jej wysiłek nie został nagrodzony: pozbawiając ją ostatnich sekund, spełniony Oloff gwałtownie odsunął się od kuchennego stołu. Wyrzucił się i wyciągnął rękę, aby pomóc jej wstać. I on był wyczerpany; odgarnął jej z twarzy poplątane, brudne włosy, zastygł z dłonią na jej policzku, jakby czegoś zapomniał lub pożałował, potem, pierwszy raz tego dnia, pocałował ją zachłannie. Podczas tego pocałunku znowu poczuła się bezpiecznie, jak zawsze z Oloffem, którego znała. Jednak złudzenie było przelotne: podał jej suknię ze stołu, nakazując, by ją założyła, brudna, spragniona kąpieli, mokra od potu i jego nasienia. Poskromiona metalicznym spojrzeniem wycofała się w stan niedawnego otępienia i pozwoliła, by równie obojętnie jak przedtem rozebrał ją do naga, ubrał ją jak manekina. Kiedy skończył, z nieoczekiwaną siłą postawił ją na stole, jakby nic nie ważyła, a on nie odbył z nią zdyszanego maratonu, od którego wciąż drżały jej kolana. Suknia spłynęła po nagim ciele i przylepiła się do wilgoci, jednak żadna z nici nie zerwała się na szwie, nic



nie uszkodziło koronki, a posłuszna linia frędzli trzymała się niewzruszenie, kpiąc sobie z potarganych włosów Arleny.

Odstąpiwszy kilka kroków, Oloff przyglądał się jej jak ukończonemu dziełu. Uśmiechał się, zadowolony i zarazem smutny. Zawsze kochała metamorfozy jego ciągle młodego oblicza - wygładzenie warg, nieznaczące uniesienie brwi i pulsowanie kobaltu w zwężających się jak u rozpieszczonego kota oczach. Pokonana, odwzajemniła się bezbronnym uśmiechem, ufna i znowu należąca tylko do niego. Jednak ich niemy dialog nie trwał długo, ponieważ zakłóciły go obce kroki.

Tym razem brzmiały wyraźnie i zdecydowanie: w otwartych drzwiach najpierw pojawił się Tom, a zaraz po nim Jula. Oloff nie odwrócił się, milcząco zapatrzonej w Arlenę, zamartwą na stole jak modelka pozująca artyście. W kuchni pojawili się następni ludzie; Arlena ujrzała nieznanego mężczyznę, a wkrótce po nim Adama, jedyne go syna Oloffa. Ogarnęła ją fala świeżego wstydu, opóźniona o czas niemożliwy do nadrobienia i właściwie nieracjonalna. Nawet wiedząc, że jeszcze przed kwadransem każdy z nich mógł ją widzieć - albo widział - nagą i bezwstydną, dopiero teraz poczuła się przed nimi prawdziwie obnażona. Jak z ciemnej studni wróciło do niej wspomnienie kroków bezlitośnie krążących dookoła w czasie jej hałaśliwej miłości na kuchennym stole. Przypominała je sobie z dziwną, rosnącą ulgą: wydało się jej, że skoro zdolna jest do wstydu, potrafi się jeszcze uratować.

Wyprostowała się i zaciskając kolana, by wyptywające z niej nasienie nie utworzyło plamy u stóp, podniosła odważnie głowę. Zmierzyła się wzrokiem z ludźmi zebranymi w kuchni. Byli dla niej intruzami i przez chwilę sądziła, że zdoła sobie z nim poradzić. Jednak myliła się, ponieważ Oloff stał już między nimi.

- Dzisiaj jest piątek, Arleno - powiedział jego syn, ciasno obejmujący stojącego przed nim obcego mężczyznę.

- Piątek? - powtórzyła, nie rozumiejąc.

- Idziemy wszyscy do łaźni.

Tworzyli zwartą grupę, którą łączyło porozumienie i jedna siła. Zeskakując ze stołu, nie miałyby nikogo, kto zechciałby ją podtrzymać.

- Rytualne mycie? - spytała cicho, czując, jak znika w niej nadzieja na ucieczkę.

Poszukała oczu Oloffa, który patrzył na nią nieprzerwanie, i nie zdołała odgadnąć jego uczuć. Dostrzegła jego dumę i pewien rodzaj zadowolenia, sporą dozę smutku i, na koniec, coś, co nazwałaby ulgą po pozbyciu się resztek wątpliwości. Śledziła jego dłoń, którą odgarnął spocone włosy z czoła oraz wyniosły gest uniesienia głowy. Jej mężczyzna na powrót był silny i władny podejmować decyzje za siebie, za nią oraz cały świat.

Wiedziała, że wypowie słowa, które słyszała już sto razy. Jego głos zabrzmiał nieodwracalnie:

- Witaj w Calehm, Arleno.

Powitania tego miała już nigdy więcej nie usłyszeć.

Nagły promień światła padł na twarz Arleny i dostrzegłam na niej tysiące zmarszczek. Mimo to była piękna, a ja, imitując ją z jej opowiadania, zobaczyłam obok niej samą siebie, jednak oczami innej osoby, jakby było nas trzy albo jeszcze więcej: obecna smutna Arlena, dawna, zakochana Arlena o gładkiej twarzy, dawna Dagmar z beznadziejnie odległej historii oraz ja, Dagmar terazniejsza. Szukając dalej, znalazłabym pomiędzy nimi inne, dodatkowe Arleny i Dagmar, pośrednie i zawikłane we własne transformacje, wymienne na przestrzeni wydarzeń. Jednak z nich wszystkich to ja - Dagmar Teraz - byłam najgorsza i najbrzydsza.

- I odtąd rzeczywiście nikt cię w ten sposób nie powitał? - zapytałam, pełna czytelnej zazdrości.

- J u ż nigdy za pomocą tych słów.

- Czyli, tak jak powiedziała Matka Wszystkich, byłaś już prawdziwą Calehmką.

Nie udało mi się jej rozchmurzyć, choć zamierzałam odwrócić jej uwagę od smutku - jej i mojego. Byłam pewna, że dotarliśmy do ostatniej części jej historii, przyczyny zmarszczek, których zapewne nie lubiła, a które u mnie wzbudzały najszczerzy zachwyty.

Nadeszła pora odkrycia tajemnicy. Czekałam w napięciu i nie było siły zdolnej odwieść mnie od poznania zakończenia, które wciąż chciałam zmienić, uratować i - pragnienie to było jeszcze niejasne - chyba uszczknąć coś dla siebie.

- Nie - zaprzeczyła Arlena tonem zabarwionym gniewem - jak powiedziała by Matka Wszystkich, mianowano mnie na kogoś z Calehm. Zrobiono to ostatecznie i kategorycznie, więc od tamtej chwili nie było już potrzeby oficjalnie mnie witać.

- Od tamtej chwili? - powtórzyłam.

Jednak ona milczała, patrząc na mnie wyczekująco, jakby chciała mnie sprowokować, bym to ja niezręcznie uzupełniła:

- Od założenia sukni? Czy od tego kochania się na kuchennym stole?

Skinęła głową:

- Od wszystkiego razem. Od sukni, publicznej miłości w publicznej kuchni... w publicznym domu.

- Mówisz, jakby chodziło o burdel... - zaoponowałam blado.

- Och nie - odpowiedziała bez ironii. - Raczej o wielkiej, prawdziwej otwartości. O naszym złudnym wszystko dla wszystkich.

Nie było odwrotu. Wiedziała o tym, podobnie jak ja. Po tygodniach kluczenia dotarliśmy do punktu historii, w którym miałam przekonać się, czy dalszy ciąg może mi się podobać. Arlena zaczęła mówić; w przeciwieństwie do mnie nie zdradzała napięcia, choć wszystko jej dotyczyło, nie mnie, niezdarne go arbitra, błędzącego wśród mrocznej niewiedzy. Inaczej było ze mną: twarz paliła mnie od jej opowieści, beznamiętnie relacjonowanych, śmiercionośnie bezwstydnymi i karygodnymi. Były bolesne i w perwersji swojej tak niemożliwe, że dzięki nim ostatecznie uwierzyłam w podziemne Calehm.

- Wszyscy poszliśmy do łaźni. Ta staromodna nazwa oznacza kompleks saun i basenów, niewiele różniących się od podobnych przybytków innych miast. Jest przestronnie i nowocześnie, czysto, pachnąco... Pozornie nic się tam nie dzieje, gdybyś poszła tam w najbliższy piątek, być może niczego byś nie zauważyła. Są miejsca dla kobiet, inne tylko dla mężczyzn, jednak większość była wspólna. Jak to w saunie. Różnice? Więcej pachnących olejków, więcej bliskości.

Dużo szampana. Idąc tam bez uprzedzenia, bez całego tego... wprowadzającego rytuału, czułabym się tam naturalnie, dobrze wśród tych ludzi, patrzących serdecznie, jakby znali cię od wieków, lubili, nie wiedząc, kim jesteś... Czułabym się dobrze w powszechnej nagości, takiej otwartej, szczerzej...

Arlena zamilkła, jednak tylko na chwilę, by zaczerpnąć tchu albo poszukać słów i obrazów. W nastącej ciszy pojęłam, że wyprzedzam ją myślą, w wyobrażeniach lądując dalej od niej w grupie nagich ludzi, kobiet i wielu mężczyzn.

- Wiedziałam, że nikt mnie nie skrzywdzi, czułam uwagę poświęcaną mnie i moim uczuciom. Byłam przyjęta, rozumiana, miałam wolność wyboru. Wszyscy obnażaliśmy się z własnej woli.

Słuchałam jej zachłannie, nie wiedząc nawet, kiedy przymknęłam oczy. Jej głos docierał do mnie z daleka, jakbym jeszcze raz pogrążyła się w zbyt rzeczywistym śnie, który jest krótką, uciążliwą ucieczką.

- I zamiast cieszyć się tym wszystkim - ciągnęła Arlena - zamiast radować z tej kulminacji bliskości, rozumiałam, że tracę ostatnią obronną warstwę. Jakbym miała zmyć ją z siebie, tak jak inni myli swoje ciała. Jakbym miała doszorować się do duszy, wygrzebać ją na zewnątrz i wystawić na publiczne używanie. Pozwolić, by inni dokazywali na niej do woli.

- Przecież chciałaś tego - powiedziałam cicho, rozpalona na twarzy i wewnątrz ciała, jakby nie jej, lecz moja dusza czekała na rzucenie innym na pożarcie. - Ufałaś im, dzięki nim przestałaś być samotna.

Czułam, jak drzę bez kontroli, w pomyleniu owej duszy z ciałem, zbyt głęboko pogrążona w obrazach płynących do mnie od Arleny. Mieszały mi się z moimi własnymi, tak jak jej słowa z tymi, które chciałam wypowiedzieć. Wiedziałam, co powie. Wiedziałam, co wydarzy się w jej opowieści. Szybciej od intuicji przepowiedziały to moje podbrzusze, uda, piersi i spocone dłonie.

- Następnego dnia Oloff zabrał mnie do zupełnie innego miejsca niż świątynia, o której ci opowiadałam. Tam wszyscy kochali się ze sobą. Najpierw my kochaliśmy się obok innych, potem patrzyłam na innych, potem kochał mnie ktoś obcy, potem syn Oloffa. Potem robiłam to z nimi obydwoma - z Oloffem i z jego synem.

# DAGMAR: VIII

## ...NIE CUDZOŁÓŻ

Arlena kolejny raz zniknęła na kilka dni, potwierdzając moje przekonanie o metodzie polegającej na pozostawianiu mnie samej po kolejnych porcjach rewelacji, z którymi powinnam się oswoić. Jednak tym razem wynikły nowe okoliczności - niedługo później dowiedziałam się o chorobie Oloffa i stało się jasne, że zajęta jest swoim mężczyzną - „mężem”, według Joachima, który nie znał ich wzajemnych relacji.

Nie tylko ta niewiedza świadczyła o tym, że znajomość Joachima z charyzmatycznym twórcą Calehm była zaledwie przelotna. Przypuszczałam, że pomimo jego względnie pewnej pozycji w szerokim kręgu calehmskich architektów, nigdy nie został dopuszczony choćby w pobliże Mistrza. Wiedziałabym o tym, gdyż Oloff, niedościgły wzór dla mojego męża, należał również do jego ulubionych tematów. Uszczęśliwiony pracjoachim chętnie zachwycał się szefem, używając w tym celu niemal wyłącznie superlatyw napęczniałych od nieznośnego uniżenia. Odpowiadało mu nawet to, że jako jeden z wielu architektów i urbanistów jest tylko pozornie niezależny, ponieważ niepowtarzalny w świecie team z Calehm stanowił zwyczajną piramidę zależności. Na jej oszałamiająco twórczym szczycie jednoznacznie królował Oloff. Kiedy spytałam Arlenę o to, czy podlegają mu także inne dziedziny calehmskiego życia, zaprzeczyła. *To nie jest królestwo jednego władcy, odpowiedziała, ani tu, ani tym bardziej na dole. Architekt nie może rządzić filozofem, a filozof rzadko naucza muzyki, moja Dagmar.*

Myśli o niej nie dawały mi spokoju. Kusilo mnie, by jej poszukać, ośmielić się odwiedzić ją w domu, który zapewne wskazałby

mi każdy mieszkaniec miasta. Jednak nie zrobiłam tego; nie odważyłam się zakłócać spokoju Arlenie i choremu Oloffowi, o którym wiedziałam wystarczająco dużo, by jednocześnie fascynować się nim i czuć przed nim obawę. Po kilkunastu dniach bez znaku życia od Arleny, karmiona nowościami jedynie przez Joachima, który losem swego ledwie znanego pracodawcy niepokoił się tak, jakby chodziło o najbliższą rodzinę, i ja zaczęłam czuć się niedobrze. Ktoś mówił, że panuje epidemia rzadkiej grypy, co uznałam za niewarte uwagi w jesienną porę, kiedy i tak wszyscy chorują. Odrobiłam bardziej dokuczliwe problemy z oddychaniem łatwo poskromiłam podwyższoną dawką tabletek na serce.

Oczekiwałam Arleny dzień po dniu, z nadzieją, że w końcu stanie w moich drzwiach, jak wiele razy niezapowiedziana; nasłuchiwałam telefonu i sprawdzałam pocztę elektroniczną, mimo że moja przyjaciółka nie uznawała komputerów.

Moja przyjaciółka... Odkąd o niej tak myślałam?

- T w o j a przyjaciółka od dawna cię nie odwiedza - zauważył Joachim, który od pewnego czasu wracał wcześniej do domu, jakby z powodu choroby wszechmocnego Oloffa zamarta także działalność jego poddanych.

Jego słowa odbiły się od ścian łazienki, w której suszyłam włosy i od czasu do czasu przeglądałam się w lustrze, zamykającym moją twarz w klamrę dwóch świec. Widziałam ten obraz nieskończoną ilość razy - martwą naturę ze świecami, które, nigdy nie zapalone, chowały się w marmurowy wykusz ściany tak skutecznie, że nawet Joachimowi umykało ich istnienie. *Świece odpędzają złe duchy*, jak mawiała moja matka.

- Pytałem o twoją przyjaciółkę - przypomniał Joachim, wciąż obecny w łazience, jak ja wpatrzony w lustro.

Obejrzałam się na miejsce za jego plecami - ściana była tam gładka i nie kryła żadnej tajemnicy. Wróciłam wzrokiem do Joachima, zajętego liczeniem siwych włosów w swej ciągle bujnej czuprynie. Ostatnimi czasy nosił dłuższą fryzurę, zdecydowawszy się na coś, co dawniej bardzo by mi się podobało. Nie patrzył na mnie, usiłując ukryć zainteresowanie Arleną. Jego nieudana nonszalan-

cja, którą maskował zadowolenie z powodu zainteresowania żony szefa moją osobą, wzbudziła we mnie odrazę.

- Ona nie jest moją przyjaciółką - powiedziałam bezlitośnie i, choć sama zawstydziałam się pokręconego kłamstwa, wcale go nie żałowałam.

Mój siwiejący mąż zaprzestał taksowania swej lwiej grzywy.

- To szkoda... Sądziłem, że tak jest.

Bezgłośnie zaśmiałam się na myśl o przywilejach, na które zapewne liczył Joachim, tym bardziej żaloszny w moich oczach, że nieświadomy i ślepy.

- J u ż miałem nadzieję, że znalazłaś sobie kogoś bliższego - powiedział mój projektant magazynów w mieście płodzącym katedry zapuszczone głębiej w ziemię niż w wysokość nieba. - Ostatnio miałaś naprawdę dobry nastrój...

Podszedł do mnie i objął mnie od tyłu. Poczułam wstyd pod jego spojrzeniem wydobywającym się z lustra, w którym między dwiema świecami nagle starczyło miejsca na nasze twarze wyrażające odmienne emocje - moją, jeszcze ironiczną od złego posądzenia, oraz jego, zatroskaną.

- Wystarczy mi ty - powiedziałam, pragnąc wierzyć, że moje kolejne, tym razem zupełnie niezdarne kłamstwo, przynajmniej opiera się na szlachetnych pobudkach.

I nagle, całkiem nieoczekiwanie wkradło się między nas ciepło. Było miękkie, jakby rozbłyśły zniemacka dwie świece nieobecnej Arleny. Pojawiło się nieproszone, z mojego zawstydzienia, z naszej przymusowej samotności we dwoje oraz z nas samych, pozbawionych chorego, lecz wszechmogącego Oloffa oraz Arleny, która odebrała mi swoją obecność. Tęskniłam do niej i wyobrażałam ją sobie pielęgnującą chorego - jako Marię z Magdali przy osłabionym Jezusie lub przeciwnie, jako Dalilę czyhającą na Samsona.

- Może wybralibyśmy się gdzieś? - zapytał Joachim, nie przestając tulić mnie w ramionach.

Jego głos był łagodny i trochę nieśmiały, jak wyraz jego oczu, które patrzyły na mnie za pośrednictwem lustra. Nasze zbliżone twarze nie przypominały w niczym wizerunków ludzi na podłodze

i na ścianach tego pomieszczenia, w którym ciągle natykałam się na czyjeś oczy, usta lub czoło. W tej galerii portretów my dwoje wydawaliśmy się krańcowo banalni w naszych zmianach nastroju i tragicomiczni w niespełnialnych nadziejach. Jednak - pojęłam to w pomieszaniu zaniepokojenia i ulgi - nasze niezależne od woli ciepło oddalało nas od świata martwych postaci z kamieni.

- Dokąd? - zapytałam w skwapliwym niemal przyzwoleniu.

Sądziłam... nie, byłam przekonana o tym, że Joachim świetnie zna Bibliotekę. Każdy w jego branży znał ten architektoniczny cud i pewnie większość zjadaczy chleba słyszała o niej choć raz w życiu jako o budowlu niemal na miarę wieży Eiffla albo egipskich piramid. Nawet mnie, zaledwie pośrednio związanej z budowaniem świata, udzieliło się przekonanie o tym, że jeśli po ludzkiej rasie pozostaną jakiegokolwiek materialne twory, genialna Biblioteka z Calehm będzie jednym ze znaków rozpoznawczych. Uwieczniono ją w książkach, na ilustracjach i rycinach, sfotografowano jej każdy detal, uhonorowano dziesiątkami telewizyjnych programów i, o ile mi wiadomo, ktoś nawet napisał o niej wiersz. Joachim był posiadaczem pierwszego wydania monografii o Bibliotece, albumu, który stał się dla niego czymś w rodzaju biblii twórczych inspiracji. Wiedziłam, że kupił ją już na początku studiów, niedługo potem, jak wrota przybytku z hukiem otworzyły się dla szerokiej publiczności.

- Naprawdę nigdy jeszcze tam nie byłeś? - nie dowierając własnym uszom, spytałam Joachima, zapewne po raz czwarty od chwili, gdy zapronował mi wspólne zwiedzanie.

- Ja k o s ię nie złożyło... - odpowiedział z wahaniem, w którym tkwiło wiele nieśmiałości.

Zrozumiałam, że odkładał tę wyprawę jako coś szczególnego, święto, którego nie wolno przeżywać byle jak, między jednym a drugim nieważnym wydarzeniem. Wymyślił sobie ceremonię, jakby miał poznawać nie wnętrze budynku, lecz serce i wnętrześci magicznego boga olbrzyma. Nie wiedziałam, czy czekał z tym na mnie,



jednak zapewne powinnam czuć się wyróżniona wyborem na towarzysza pielgrzymki do dziwacznej mekki - nawet jeśli dzieliła ją od nas zaledwie szerokość ulicy. Zostałam zaproszona do oddania pokłonu przed cudem, w którego świetle i cieniu żyliśmy od dawna.

Tak jak Oloff zaprowadził niegdyś Arlenę do Katedry Świętego Franciszka, tak Joachim wprowadził mnie do Biblioteki. I na tym skończyły się wszelkie podobieństwa, ponieważ proporcje skupienia, oczekiwania i napięcia poprzesuwały się w nieskomplikowanych relacjach naszych par. Mój przewodnik nazbyt szybko zapomniał o swej funkcji; on, który znał na pamięć rozkład pomieszczeń, schodów, wind i korytarzy, dziesiątki razy przemierzał je w snach, dotykał, wąchał... Teraz był zagubiony jak nieśmiały nowicjusz, który stawia pierwsze kroki w zakazanym labiryncie. Obserwowałam jego fascynację z ciekawością, której zdawał się nie dostrzegać, choć ściskając moją dłoń w swojej, świadomy był mojej obecności. Poruszaliśmy się po Bibliotece w tempie zahipnotyzowanych słoni, o których czytałam kiedyś, że posiadają własne cmentarzyska i niezależnie od tego, jak daleko odejdą w świat w poszukiwaniu wody lub pożywienia, powracają i odnajdują to jedno jedyne miejsce, uświęcone kośćmi przodków i swych niedokładnie pogrzebanych dzieci.

- Wiesz, że słonie przeżywają żałobę? - zapytałam Joachima, którego szczupła sylwetka mieszała się z płaskrzeźbami pokrywającymi gigantycznie wysoką ścianę holu.

Choć wyrzeźbione, przypominały raczej malowidła, nakreślone ascetyczną kreską, doskonale naśladowujące postaci ludzi i zwierząt z dawnych jaskiń, także tych jeszcze nie odkrytych, niespiesznych pozować ciekawskim fotografom.

- Widziałem to kiedyś na amatorskim filmie kolegi - odrzekł Joachim.

Zaskoczyła mnie spokojna natychmiastowość jego odpowiedzi. Nie oczekiwałam uwagi od zaczarowanego otoczeniem męża, który zdawał się nieobecny tak dalece, że bardziej niż do niego odezwałam się do siebie. Jednak on był przytomny i niemal czujny na tle zdobionej ściany, jak jeden z wyrzeźbionych mężczyzn z dzidą

w ręku. Wypysznione otoczenie, wystrzelone w górę z przesadą nieuzasadnioną rozmiarem zwyczajnego człowieka, z przytłaczającym zapasem ponad głowę i zbyt szerokim mankietem odległości w pomieszczeniach, musiało go przygnębiać. W swojej skarłatej perspektywie mój mężczyzna wydawał się dziecinnie bezbronny; w myślach nazywałam go wciąż- jeszcze-mężem: był dla mnie współnikiem łóżka i stołu, współzarządcą konta w banku, ale już nie mojego serca. Jednak tego tego dnia w Bibliotece przydarzyło mi się coś dziwnego - w miejscu, stworzonym jakby tylko po to, by każdemu z nas powiedzieć *Jesteś zaledwie drobnym przechodniem*, obecność Joachima obudziła we mnie ślad czegoś, co - bardzo niechętnie - nazwałabym czułością.

- Chciałabym zobaczyć archiwum Calehm - zaproponowałam neutralnie, niezadowolona z nieproszonego uczucia, przepędzaniu którego poświęciłam kiedyś długie miesiące.

- Nie wiem, czy pozwolą nam tam wejść - odpowiedział Joachim, jednak powiódł mnie ku schodom wiodącym do Archiwum, tej części Biblioteki, którą z wszystkich jej elementów najczęściej opisywano i fotografowano.

Mówiono o nim, że swą konstrukcją zaprzecza prawom statyki. Rozmiarem prawie dorównujące gabarytom głównego budynku Biblioteki, było jej drugą częścią, syjamską siostrą, doczepioną na tak małej powierzchni, że trudno było pojąć, dlaczego nie odpada. Było gigantyczną bryłą o kształtach wielościanu, dzięki złudzeniu wywołanemu przejrzystością szyb pozornie tylko prostą. W rzeczywistości jego konstrukcja polegała na zawitym złożeniu linii na tle nieba, które, w całym swoim majestacie, wydawało się zdziwione tą szaloną geometrią.

-Chyba jestem zadowolona z tego, że nasze mieszkanie nie wychodzi na tę stronę Biblioteki - przyznałam się Joachimowi.

Wiedziałam, że byłby szczęśliwy, gdyby tak właśnie było. Zawsze żałował, że zamiast na Archiwum, nasze okna wychodzą na gładką jak spokojny ocean elewację Biblioteki. Zawieszona niemal w próżni Archiwum górowało nad parkiem w sporej odległości od najbliższych domów, jakby ktoś obawiał się, że mimo wszystko

spadnie i runie na dachy. Nikt jednak nie zabezpieczył go na taką ewentualność - nie było pod nim materaca z trawnika albo krzewów, lecz japoński ogród, w którym więcej było kamieni niż roślin. Spojrzawszy w dół z przeszklonego korytarza, wystraszyłam się sterczących ostro głązów pod nami, nasuwających na myśl celtyckie menhyrowe pola.

- Rozumiem cię - odpowiedział Joachim. - Biblioteka może być nieco... deprymująca.

- Jednak ciebie inspiruje.

- Inspiruje, zachwyca, prawie przeraża - zamyślił się. - Dzięki niej wpadam na tysiące pomysłów, które już za chwilę wydają mi się zbyt małe. Niegodne.

- Słyszałam, że ktoś pomagał Oloffowi w rozwiązaniu tej konstrukcji. Ktoś całkowicie anonimowy - powtórzyłam znaną plotkę.

- Do projektu każdego budynku potrzebny jest dobry statyk, a co dopiero przy czymś takim... cały sztab miałby dość zajęcia.

- Ale nikt nie wie, kto to jest. Oloff figuruje w dokumentach jako jedyny twórca, tymczasem wydaje się, że rozwiązanie zawieszenia tego podniebnego pałacu było sto razy trudniejsze niż wymyślenie go na papierze. To, że wszystko jeszcze nie runęło, musi być dziełem geniusza.

- Skoro nie runęło...

Joachim zacytował tylko znane w branży powiedzonko.

- Nikt nie wie, kto to jest - powtórzyłam uparcie.

Słyszałam o mitycznym mentorze Oloff'a, mieszkańcu podziemi, który, jak mówiono, zmierzył się z gigantycznym labiryntem cyfr. Obiecałam sobie powtórnie zapytać o niego Arlenę. Nikt z góry, utożyszwy wzór na zawieszenie podobnej bryły w powietrzu, nie upierałby się przy anonimowości i nie rezygnował z należytą sławy.

- Musiał być geniuszem - potwierdził przygnębiony Joachim.

Prowadzące do Archiwum szerokie drzwi bezszelestnie rozsunęły się przed nami, elegancko zapraszając do wnętrza. Był to jednak gest na pokaz, ponieważ gościnność calehmskiego archiwum nie rozciągała się już na następne pomieszczenie, które okaza-

ło się broniącą dostępu nieupoważnionym służą. Przypominający mechanicznego cerbera portier był jedyną osobą władną otworzyć następne, przesadnie grube drzwi ze szkła, wiodące do serca Archiwum. Przez nie widoczne już były stoły, biurka, fotele, krzesła, ławy, rzędy komputerowych monitorów oraz pudła dyskietek i krążków CD-ROM. Wszystko doskonale oficjalne, wszystko niedostępne - jak cała Biblioteka.

Przedstawiliśmy się portierowi, którego zimny wzrok upewnił mnie w podejrzeniu, że ma mechaniczną naturę. Gdy uprzedzająco grzecznie sprawdzał legitymację Joachima, nie mogłam pozbyć się wrażenia, że zna nas oboje, a jego gest jest formalnością w postępowaniu według zaleconego schematu. Kiedy nacisnął jeden z przycisków na szklanej ladzie, drzwi do Archiwum rozsunęły się z cichym szelestem. Dźwięk ten bardziej niż działanie automatycznego zamka przypominał rozwijanie sztuki jedwabiu. Dziwnie wzruszeni ruszyliśmy do przodu, nie czekając, aż usłużny portier wskaże nam i tak wiadomy kierunek.

Jednak dość wcześnie odwołano nas stąd, przerywając kontemplację labiryntu ścian, mozaiki szklanych podłóg i zaskakującej aranżacji wnętrza. Akurat gdy zdążyliśmy nabrać ochoty do dalszej wędrówki, odszukał nas portier i cicho poprosił Joachima do jednej z dźwiękoszczelnych kabin telefonicznych, wcale nie archaicznych w miejscu, w którym nie wolno używać telefonów komórkowych. Po chwili Joachim powrócił z widoczną na twarzy, niemożliwą do ukrycia radością zamiast rozczarowania, na którym - nie wiedzieć dlaczego - chciałam go przyłapać.

- Dagmar, nie domyślisz się, co się stało! - wyrzucił z siebie podniecony.

Istniała tylko jedna rzecz zdolna aż tak go uradować.

- Oloff wzywa cię w sprawie zawodowej.

- Tak! Właśnie dziś - zawołał, ignorując moją domyślność. - Czuje się lepiej, zwołuje zebranie zespołu, no i jestem potrzebny... Sam nie wiem, jak mnie tutaj odnaleźli.

- To niesłychane - powiedziałam ironicznie, czego jednak Joachim nie zauważył.

Złapał mnie za obydwie dłonie, a oczy błyszczały mu tak bardzo, że musiałam się uśmiechnąć.

- Dagmar, spotkam go po raz drugi, odkąd dostałem tu pracę. Szykuje się coś dużego, a mój magazyn jest prawie skończony, myślę, że... Dagmar, słuchaj, Oloff nie wzywałby mnie, gdyby nie planował czegoś, w czym i ja miałbym brać udział!

- Cieszę się razem z tobą - powiedziałam, usiłując zmusić się do radości, która wcale nie chciała się pojawić. - Leć już, żebyś za bardzo się nie spóźnił. To robi złe wrażenie.

- Dasz sobie radę? - zapytał zaniepokojony, jakbym wciąż była chora, jednak już był przygotowany do biegu, zwrócony w stronę wyjścia, gdzie portier trzymał w gotowości otwarte drzwi.

- Trafię do domu - uspokoiłam go. - Oboje wiemy, że to nie-daleko.

Ucałował mnie z roztargnieniem, pełen oczekiwania jak młody chłopak, którego kiedyś znałam. Odwrócił się ode mnie w pośpiechu i odszedł szybko, jakby siłą powstrzymywał się od biegu. Patrzyłam za nim, aż zniknął w windzie, której drzwi zatrzasnęły się za nim zarazem cicho i drapieźnie. Dopiero wtedy i ja ruszyłam się z miejsca. Nie spieszyłam się, chcąc jeszcze obejrzeć kilka obrazów w holu, precyzyjnie umieszczonych na szklanych ścianach tak, że ich kontur niewidoczny był od zewnątrz. Kiedy mijaliśmy je z Joachimem, nie sprawdziłam, kto jest ich twórcą.

- Przepraszam panią - portier, który mnie zatrzymał, wydał się nierealny nie tylko z powodu automatyczności ruchów, ale przede wszystkim przez wypranie z ludzkich uczuć.

- Słucham?

- Polecono mi oddać to pani.

Wręczył mi dziwaczny przedmiot, którego końcówka przypominała krótkie złącze do komputera.

- Co to jest? - zapytałam zdziwiona, nie wiedząc, czy powinienam wziąć to do ręki.

- To uniwersalny klucz do pomieszczeń, szaf i magazynów w archiwum. Czeka tu na panią już od tygodnia.

- Jest pan pewien, że chodzi o mnie? - spytałam z niedowierzaniem.

- Jestem pewien, proszę pani. Pani mąż się wylegitymował. Ten klucz zapewnia dostęp do wszystkiego w Archiwum.

Archiwum w Calehm otwarte było do północy. Spróbowałam wyobrazić sobie publiczność, dla której wymyślono podobne godziny- ludzi gotowych wysiadywać nocami na twardych lub miękkich krzesłach i zgłębiać... właśnie, co? Tamtego popołudnia, kiedy Joachim zostawił mnie samą w Bibliotece, a portier nagroził tajemniczym kluczem, zyskałam odpowiedź na najważniejsze pytania. Podarowano mi dostęp do prawdy: jej zarys pojawił się, zanim dzień odwrócił się od szklanych ścian Biblioteki, wypełnił, gdy zasnuły się siwiejącym zmrokiem, i ukonkretnił w chwili, gdy ogarnęła je noc. Nieoczekiwanie wszystko okazało się proste - wystarczyło, że skorzystałam z zaproszenia do Archiwum i poznałam jego zawartość. W szafach, regalach, szufladach i kartonach odkryłam skarby Calehm - pisane, nagrywane i namalowane.

Choć nie wszystkie miejsca w Archiwum były powszechnie dostępne, mój klucz otwierał każde drzwi. Dzięki niemu znalazłam się w pomieszczeniu, które, tylko pozornie wyludnione, obsługiwało wcale niemałą grupę milczących ludzi. Im późniejsza stawała się godzina, tym liczniej pojawiali się goście, którzy nie wchodzili jak my z Joachimem głównym wejściem, lecz wyłaniali się z bocznych korytarzy i pomieszczeń. Była to dla mnie zagadka, ponieważ mając przed oczami obraz przylepionego do Biblioteki Archiwum, nie potrafiłam wyobrazić sobie żadnego dodatkowego wejścia. Mimo to mogłabym przysiąc, że duża część odwiedzających - część niewątpliwie podziemna - korzystała z jakiejś innej drogi.

Jeśli Arlena nie kłamała-a moje wątpliwości dotyczące jej opinii wyblakły już niby wytarte blankiety nieuzasadnionych reklamacji - w podziemiu Calehm spoczywała jego emocjonalna skarbica. Należała do Matki Wszystkich i gromadziła testamenty uczuć

oraz wyznania wiary. Biblioteczne Archiwum w nadziemnej części miasta musiało stanowić jej dopełnienie - bardziej racjonalną odmianę, element współistnienia obu światów. Wszystko układało się w całość: Matka zbierała świadectwa serca, dowody potęgi gromadził Ojciec; ona trzymała skarby w bliskości brzucha, on wystrzelił nimi w niebo. W gruncie rzeczy chodziło o jedną i tę samą rodzinną kronikę, którą kobieta chowa w pudle do szafy, natomiast mężczyzna wystawia w przeszklonej gablocie na pokaz całemu światu.

W Archiwum, podobnie jak w zbiorach Matki Wszystkich, pojedynczy mieszkaniec miał prawo do jednego dokumentu. Jednak na to, co na dole pomieściło się w kilku kartonach, tu stworzono niepowtarzalny budynek z precyzyjnym systemem archiwalnym. Tylko z pozoru był ogólnie dostępny, gdyż istniały różne rodzaje kluczy, niewiele w tym uniwersalnych. Uznałam, że mój jest najwyższym stopniem wtajemniczenia: za pomocą strzałek sam wskazywał mi drogę i prowadził do niedostępnych miejsc. Postępując za nim niczym za nicią Ariadny, krążyłam zaczarowana po Archiwum, nie zastanawiając się ani nad scenariuszem zwiedzania, ani nad tym, kto go dla mnie napisał. Było mi obojętne, czy ktoś mną steruje. Gra pochłonęła mnie bez reszty i wykonywałam polecenia klucza niczym najposłuszniejszy użytkownik satelitarnej nawigacji.

Upływały godziny, a ja nie czułam głodu ani pragnienia. W Archiwum panowała skupiona cisza, jedynie chwilami wydawało mi się, że słyszę szum klimatyzacji lub dyskretnie pracujące komputery. Jednak, nie wprowadzona w tajniki krzykliwie nowoczesnego wyposażenia, i tego nie mogłam być pewna w budynku, w którym poziom hałasu - czy raczej stopień ciszy - nie podlegał wahaniom w żadnym z pomieszczeń. Nie natknęłam się na niepokojące dźwięki ani w sali pełnej monitorów, ani w pokoju staroświeckich manuskryptów, które okupowały tradycyjne, drewniane regały.

Pozostałam tam tak długo, aż na moim kluczu Alicji z Krainy Czarów zgasty wszystkie strzałki. Zastąpiła je informacja: *Jest północ i zamykamy Archiwum. Jeśli chcesz, przyjdź jutro. Z żalem wstałam od stołu, pozostawiając po sobie ostatni przeglądany segretator. Zebrane w nim dokumenty dotyczyły tego samego tematu.*

Dopiero gdy minęłam główne drzwi i oddałam klucz portierowi - odebrał go ode mnie wyćwiczonym ruchem ręki - ze zmęczenia zakręciło mi się w głowie.

Spędziłam w Archiwum wiele godzin. Minął dzień i wieczór, otulona mgłami noc rozpostarła się nad miastem pozornie tylko uśpionym, jednak w rzeczywistości czujnym jak nienawykły do wypoczynku strażnik. Było zwarte w potężnej skorupie śliskich i niedostępnych budynków, za których mlecznymi szybami nie chciałam już ani wypatrywać ludzi, ani wyobrazać ich sobie, kiedy śpią albo marzą. Wszystko przypominało labirynt, wzniesiony tyleż precyzyjnie, co mozolnie, w myśl wyczelowanych planów, morderczą pracą zamienionych w rzeczywistość. Szaleństwo umysłu przeniesione na papier, z papieru na kamień i szkło, z podziemia na wysokość góry, z kamienia w szybę... Z umysłu w kamień czy z kamienia...

Myśli poplątały mi się w głowie. Wiedziałam zbyt dużo - wiedziałam prawie wszystko, czego pragnęłam się dowiedzieć. Posiadałam rozwiązanie zagadki, dotychczas dręczącej mnie tak bardzo, że zaczęłam myśleć o ucieczce.

Teraz zyskałam pewność, że mogę tu pozostać. Calehm zechciało mi się przedstawić i opowiedzieć o sobie. Pokazało mi album ze zdjęciami z dzieciństwa oraz portret swej ciężarnej matki. Pochwaliło się przedszkolnymi rysunkami i pierwszym, schowanym na pamiętkę, mlecznym zębem. Pozwoliło mi przekartkować pierwsze szkolne zeszyty - te, w których uczyło się kaligrafować litery i malowało szlaczki, oraz te, które wytrzymały płonące wypracowania nastolatka oraz późniejsze sceptyczne dysertacje. Calehm zaglądało mi przez ramię, kiedy sprawdzałam jego stare zadania matematyczne, chemiczne reguły i schematy rozmnażania gatunków, teorie ewolucji oraz opisy wielkiego wybuchu. Udostępniło deklinacje, koniugacje i wkuwaną obcych słów, próby poezji i wielką literaturę. Zarejestrowaną muzykę i zasłyszane obrazy. Zapisy praw i kodeksy, katechizmy i bulle niepapieskie, deklaracje i konstytucje, a także przykazania.

Poznałam jego historię. Dowiedziałam się, że powstało dla tych, którzy nie mieli schronienia. Ludzi, dla których świat zbyt szybko



biegnie do przodu, nie zważając na słabych lub mało wierzących. Tych, którzy utracili wiarę lub nigdy jej nie mieli.

Calehm stworzyli ci, którzy odmówili zgody na wojnę. Albo na wysłanie do szkół. I ci, którzy nie chcą chodzić ulicami patrolowanymi przez innych ludzi. A także tacy, którzy boją się światła albo deszczu, najazdu lub samotności. Calehm jest dla tych, którzy nie chcą posiadać dokumentów, figurować w spisach i głosować. Nie chcą być dotykani albo za dużo tego potrzebują. Nie chcą rozmawiać lub pragną mówić bez przerwy, chcą tańczyć, grać całe noce i śpiewać. Nie jedzą zwierząt albo nie piją mleka. Nie jedzą wcale. Nie myją się wcale. Piszą wiersze, pamiętniki, grają w serso. Uciekają. Zostają, by wierzyć w dowolnych bogów.

W Calehm niczego się nie zabiera. Wolno odchodzić, wolno umierać, nie trzeba słuchać ani chwalić. Nic nie trzeba, nawet karmić, pić, nawiedzać ani przyjmować w dom.

Calehm ma tylko trzy przykazania i dotyczą one zabijania, nakazywania i zmuszania. Nie są kategorycznie sformułowane i ogłoszone drukiem. Są jednak uświęcone prawem i, choć różnie nazywane w różnych źródłach, mają kardynalne znaczenie, tak jak zakaz kaniibalizmu w reszcie świata, który również obywają się bez jasno brzmiącego przepisu *Nie zjadaj drugiego człowieka*. Studiowanie tych reguł - kamienia węgielnego i szkieletu Calehm - zajęło mnie w czasie spędzonym w Archiwum. Poszukiwałam ich jaśniejszej definicji, jednak nikt jej nigdy nie sformułował. Po prostu istniały od początku, ustanowione przez pierwszego Ojca albo może pierwszą Matkę Wszystkich. Ktoś chciał, by pozostały niewypowiedziane, jako nieuchronny dogmat w miejscu, które powstało w celu odrzucenia dogmatów.

Nie byłam jedyną, która pragnęła zrozumieć paradoks tych trzech sprzecznych ze sobą pojęć. Przede mną zafascynował on wielu autorów prac zgromadzonych w Archiwum; przeczytałam dwa długie traktaty na ten temat - tylko dwa z powodu braku czasu - i nie do końca rozjaśniło mi się w głowie. Mimo wielu poświęconych godzin nie rozwiązałam problemu kompilacji nakazów zakazu nakazywania, musu niezmuszania oraz braku pozwolenia na zabijanie przy zezwoleniu na prawo do śmierci.

Na koniec, zbyt zmęczona, by snuć dalsze rozważania o granicach i zależnościach calehmskich prerogatyw, z ulgą opuściłam Archiwum. Zajęcie stanowiska na temat teoretycznej praworządności miasta-państwa odłożyłam sobie na później, gdyż galimatias trzech praw wydał mi się zbyt skomplikowany. Poza tym próba oceny Calehm - odrzucenie lub akceptacja jego zasad - wydała mi się jakimś dziwnym naśladowaniem ratyfikacji obcego układu albo uznania państwa... Nie chciałam arogancko szermować opiniami, do których nikt mnie ani nie upoważnił, ani o nie poprosił. Calehm istniało wystarczająco długo, by potrafiło obywać się bez opinii tak nieudolnych jak moja. Nawet jeśli - o czym dowiedziałam się z jego dokumentów - było dość wspaniałomyślne, by wysłuchiwać każdego, wydawałoby się, głosu.

Poza tym istniał jeszcze jeden powód, skrajnie osobisty. Była to prawda, która zaćmiła wszystkie inne i sprawiła, że przestałam być obiektywna. Nie wydarzyło się to w przeciągu ostatnich paru godzin, jednak dzięki nim sfinalizowało się, zaokrągliło i wyjaśniło. Potrzebowałam ich do tego, by pozbyć się ostatnich, asekuranckich wątpliwości. Kiedy ze mnie opadły, prostu się poddałam. Stałam się kimś innym: przepadłam, zapewne utraciłam rozsądek. Jednak nie czułam się z tym nieszczęśliwa. Przeciwnie, postugując się słowami mojej matki odnośnie do rzeczy, którymi się nie zachwycała, było mi tak, jakby mnie kto na sto koni wsadził.

Znowu zaczęłam czegoś pragnąć. Za czymś tęsknić. Chciałam jednego - zejść do Calehm. Wszelkie inne ważne sprawy przestały dla mnie istnieć, wszystkie prócz owego prawdziwego, bajkowego miasta, które schowało się pod stopami domów, katedr, parków, szkół i bibliotek. Zapraǳnęłam przekroczyć mur obronny oddzielający je od świata, który także dla mnie był obcy. Chciałam tam być.

Zdejmowałam płaszcz w przedpokoju mieszkania, kiedy otworzyły się drzwi i wszedł zmęczony Joachim. Nie zwrócił uwagi na to, że i ja dopiero co wróciłam do domu.

- Właśnie przyszedłam - powiedziałam pierwsza.
- Ach tak - odpowiedział automatycznie, krążąc gdzie indziej myślami. - Dobry wieczór, przepraszam cię za spóźnienie.
- Byłam w Bibliotece.
- Rzeczywiście... Jest otwarta wyjątkowo długo. Widziałaś coś interesującego?

Wjego wzroku nie było niczego, co wskazywałoby na wtajemniczenie, co świadczyłoby o tym, że i on został wprowadzony w zagadkę Calehm. Na początku poczułam coś w rodzaju rozczarowania, które już sekundę później uznałam za nielogiczne, gdyż z całą pewnością nie chciałam dzielić się czymkolwiek z Joachimem. I jakby z zemsty za naszą poranną bliskość, tę pułapkę, w którą niemal dałam się zła-pać, ogarnęło mnie niskie uczucie podstępnej satysfakcji.

- Wiele ciekawych rzeczy - odpowiedziałam.

Cieszyłam się, że jestem od niego ważniejsza, obdarowana symbolicznym kluczem do miejsca, w którym jemu zaledwie powierzono rolę przyzwoitki.

- Co się wydarzyło? - zapytałam z zimnym uśmiechem.
- Oloff zastąpił w trakcie zebrania.

W głosie mojego męża pobrzmiwało prawdziwe - choć źle przede mną maskowane - przerażenie.

- Och.

Nie byłam zaskoczona.

- Może wasze zebranie zbyt długo trwało? - poddałam, nie odmawiając sobie prawa od odrobiny złośliwości.

- Nie... To stało się już wczesnym wieczorem. On zabrał głos, przedstawiał plany i całkiem nagle... Zawieźli go do domu.

- Nie do szpitala?
- Nie, on podobno ma w domu pielęgniarkę i wszystko, co potrzeba. Przynajmniej tak mówią. Jego lekarz został powiadomiony.

- Na co on właściwie choruje?

Wiedziałam, że rozsądniej byłoby zapytać Arleny.

- Nie wiem dokładnie - odrzekł Joachim i mogłabym przysiąc, że zawstydził się swojej niewiedzy.

W kuchni wyjęłam z lodówki pasztet i sałatę, a Joachim otworzył butelkę czerwonego wina i wystawił kieliszki.

- Siedzieliśmy jeszcze długo, nikt nie opuścił zebrania prócz jego syna i dwóch najbliższych współpracowników, którzy odwieźli go do domu. Właściwie nie rozmawialiśmy już na tematy zawodowe, to znaczy, o niczym konkretnym.

- Czyli nie spełniło się nic z tego, na co miałeś nadzieję - stwierdziłam.

- Nie, nic konkretnego - powtórzył. - Wszyscy się boją, nie wiedzą, co się stanie. Nikt nie wyobraża sobie Calehm bez Oloffa.

- O tak, nikt nie wyobraża sobie Calehm bez Oloffa...

Joachim podniósł na mnie oczy pełne żalu. Irytował mnie, był słaby i niemęski.

- Zapytasz o niego Arlenę, prawda? - powiedział z nadzieją, nie przypuszczając zapewne, jak bardzo mnie od siebie oddala. - Przecież się przyjaźnicie.

- Zapytam - obiecałam wspaniałomyślnie.

Przyglądałam mu się, jakby było w nim jeszcze cokolwiek nowego do odkrycia. Patrzyłam, jak wychyla kolejne kieliszki wina i odstawia talerz, z którego skubnął zaledwie kilka listków sałaty.

- Nic nie jadłeś - przypomniałam mu z obowiązku.

Wziął w palce kawałek pasztetu i wsadził go sobie do ust w sposób, który zawsze uważałam za odrażający.

- Jestem zmęczony - z trudem wyrzucał słowa z za nieprzeżutej pasztetowej masy. - Chodźmy spać... Już chyba druga.

- Za dwadzieścia trzy - uściśliłam. - Idę pod prysznic.

Nie dołączył do mnie w łazience, nie przyszedł nawet na chwilę po to, by umyć zęby, więc dokończywszy toalety, sądziłam już, że zasnął. Kiedy jednak cicho wsunęłam się pod kołdrę i zgasłam światło, Joachim bez pytania pociągnął mnie pod siebie. Był zajęty sobą, spragniony, jednak nie mnie, Dagmar, ale obojętnie kogo albo czego, co nadawałoby się do przekazania niepokoju. Przyjęłam go biernie, mimo że mogłam zaprotestować, od dawna dość silna, by obronić margines własnej woli. Jednak z niejasnej przyczyny przeczekałam niedługi czas jego cielesnego wyżałania i bez

emocji dotrwałam do chwili, w której zasnął jak dziecko z głową na mojej piersi. Z kącika jego ust nitka śliny spłynęła na moją nocną koszulę, której nie chciało mu się ze mnie ściągnąć.

Oczekiwałam, że Arlena zabierze mnie ze sobą do Calehm. W miejsce kolejnych rozczarowań, przekonań o braku klarowności życia i rozmydleniu niełaskawego czasu, pojawiło się we mnie to jedno jedyne życzenie. Czekałam na jego spełnienie jak na urzeczywistnienie wyśnionej bajki, w którą uwierzyłam, mimo jej karkołomnego nieprawdopodobieństwa oraz grubej zasłony, zza której kuszono mnie, abym nabrała apetytu.

I mój apetyt osiągnął punkt kulminacyjny. Nie mogłam już pragnąć Calehm mocniej i miałam dość wabienia mnie jego zagadkami. Nie było potrzeby, by nadal przygotowywać mnie teoretycznie, sądować, czy się nadam... Jak nikt inny nadawałam się do Calehm i zrobiłabym wszystko, by zostać jego najwierniejszą obywatelką. Byłam gotowa przenieść się do niego z walizkami lub bez niczego, natychmiast, o ileż chętniej niż wtedy, gdy - również zostawiając wszystko za sobą - przybyłam do jego naziemnej części.

Ja nie tylko wyraziłam już zgodę. Chciałam znacznie więcej - przyspieszenia egzekucji tego, co uznałam za przesądzone. Żądałam egzaminu końcowego z kursu, w którym, choć zapisana bez pytania, uczestniczyłam pilnie, pomyślnie zdając kontrolne testy.

-Nie!

Głos przygnębionej Arleny, do której dodzwoniłam się po niekończenie długim czasie, brzmiał kategorycznie.

- J a k to nie? - zaprotestowałam ostro. - Dlaczego miałabym czekać? Po co to było? Ściągnęłaś mnie tu, sama opowiedziałaś mi o wszystkim. Nie mogłaś zadawać sobie trudu tylko po to, by na koniec stwierdzić: „A teraz, droga Dagmar, wracaj sobie do domu!”

- Droga Dagmar - powiedziała zimno, tonem, który był mi doskonale znany. - Nie mam teraz czasu...

Przerwałam jej, doskonale wiedząc, że zachowuję się niegrzecznie. Czułam się jak ktoś inny, niecierpliwy i pełen złości. Moja dawna bierność przemieniła się w ofensywną determinację.

- Ja miałam dla ciebie czas o każdej porze. Słuchałam cię i towarzyszyłam ci wszędzie. Po co to robiłaś? Żeby się wygadać? Pokazywałaś mi z daleka cukierka, zachwalałaś jego smak i cudowne zalety, nie licząc się z tym, że w końcu go zażądam?

- Posłuchaj...

- Nie, Arleno! Ja rzeczywiście tego żądam! Nie chcę dłużej czekać.

Westchnęła głęboko. Czułam, że jest wyczerpana.

- Nigdy nie obiecywałam ci, że zabiorę cię do Calehm. Już zapomniałaś? Chodziło o coś zupełnie innego.

- O zakład - rzuciłam z udawaną ironią.

- Właśnie tak - odpowiedziała sucho. - I o nic więcej.

- Proszę cię.

Podobne słowa nie odpowiadały mojemu nastrojowi.

- Dagmar, ja nie mam czasu. Nie rozumiem, jak możesz być tak pozbawiona skrupułów. Wiesz, że Oloff jest chory.

- Nie tak, byś musiała siedzieć przy nim bez przerwy. Wystarczy, że mnie tam zaprowadzisz. Tylko wskażesz mi drogę!

- Mylisz się, to nie wystarczy.

- Więc polecisz mnie! Tak, jak poleciłaś mnie w Archiwum.

Niespodziewana chwila ciszy świadczyła o tym, że cierpliwość Arleny osiągnęła punkt krytyczny.

- O czym ty mówisz? - usłyszałam w końcu.

- J a k t o o czym? - jeszcze starałam się być dzielna. - O kluczu, który poleciłaś mi dać. Tym, który udostępnia Archiwum.

Wiedziałam już, że zrobi wszystko, aby się mnie pozbyć.

- Nie zrobiłam niczego takiego, Dagmar.

Słyszałam w słuchawce jej oddech, który stał się cięższy i wyraźniej przyspieszył. Byłam nietaktowna, męczyłam ją, traciłam ostatnią szansę na to, by ją przekonać. Mimo to nie zamierzałam rezygnować.

- Nic nie wiem o twoim pobycie w Archiwum - powiedziała.

- Więc kto...

- Nieważne - ucięła. - Wystarczy, że... Teraz sądzisz, że wiesz wszystko, prawda?

- To, co wiem, wystarczy mi do decyzji - odpowiedziałam, kontynuując rozpaczliwą walkę. - Wiem, że chcę tam pójść. I pójdę. Musisz mi to umożliwić.

Wzięła głęboki oddech, by odpowiedzieć mi ostro i arogancko. Jej słowa zabrzmiały tak, jakby specjalnie dla mnie wybrała najbardziej obraźliwy ton:

- Nie. Nigdzie cię nie zaprowadzę. Nie zrobię tego tak długo, dopóki nie dowiesz się wszystkiego - ode mnie. Od nikogo innego, lecz ode mnie.

-Kiedy?-odparowałam niemal równie niegrzecznie, jakbyśmy stały naprzeciw siebie na ringu.

- Teraz to wykluczone. Dopóki stan Oloff'a się nie polepszy, nie mam czasu na spotkania z tobą. Musisz zaczekać.

- Nie zamierzam...

- Musisz zaczekać - powtórzyła i odłożyła słuchawkę.

Potrzebowałam tylko chwili, by otrząsnąć się z nastroju tej rozmowy. Pomimo porażki nadal byłam naładowana energią, dzięki której zachowywałam się inaczej niż zwykle, zupełnie tak, jakbym utraciła wszelki dystans. Dotychczas był mi on pomocny w oglądaniu zjawisk bez zbędnego zaangażowania, pomagał wyważać ewentualne korzyści i straty oraz trwać na neutralnej, pożądanym grzecznej pozycji. Teraz pozwalałam sobie na brak taktu, bezwzględność i niecierpliwość - zachowania dla mnie nowe i niekoniecznie chwalebne, jednak, póki co, praktyczne.

Odnalazłam sklep pasujący do opowiadania Arleny, z zapleczem posiadającym schody. Nie było w nim jednak sympatycznej sprzedawczyni, a tym bardziej jej rytualnego pozdrowienia: „Witaj w Ca-lehm, Dagmar”. Młody sprzedawca damskich ubrań nie zareago-wał na żadną z moich prowokacji.

Obeszłam każdy metr kwadratowy Katedry Świętego Franciszka i poznałam wszystkie zamknięte drzwi, z których wiele wyglądało na wejścia do podziemia. Niestety, nikt ich przede mną nie

otworzył. Katedra pyszniła się, wysoka i wyniosła, jakby kpiła z moich nieudolnych prób podboju i, śmiejąc się, pytała, kiedy wreszcie doprowadzę odpowiednie maszyny obłącznicze.

Po kilkunastu dniach tropienia śladów - Arlena nie zadawała już sobie trudu podnoszenia słuchawki, a Joachim mimo nieustępującej choroby Oloffa znów przesiadywał w pracy - postanowiłam posunąć się do oszustwa. W moim myśleniu, coraz bardziej obsesyjnym, nie miałam wyboru: zostałam porzucona przez Arlenę i zdana na samą siebie oraz na wieczorne rozmowy z Joachimem, który, jak na ironię, również nie mówił o niczym innym jak tylko o Calehm. I on, nic prawdziwego nie wiedząc o tym mieście, fundował mi kazania na jego temat, jakby bawił się muszlą bez świadomości perty kryjącej się we wnętrzu. Podczas gdy ostatnie bezpieczniki mojego umysłu usiłowały uchronić mnie od błędu, pojawiały się w nim nowe, dopuszczające kompletną samowolę, racje. Ich mnogość sprawiła, że poczułam się usprawiedliwiona i podjęłam ostateczną decyzję.

*Calehm jest dla tych, którzy są nieszczęśliwi*, powtarzałam sobie, kąpiąc się długo w kamiennej wannie, w wodzie ostro pachnącej ziołami. *Jest dla tych, którzy są samotni*, mówiłam do symetrycznego światła dwóch świec, prezentu od mojej niewiernej przyjaciółki Arleny. *Calehm daje schronienie zagubionym*, wmawiałam sobie, wodząc wzrokiem po plątaninie miedzianych rur. *Jest dla tych, którzy potrafią rozpoznać twarze na kamieniach*, przekonywałam kobiety i mężczyzn wpatrujących się we mnie z podłogi wzrokiem, który od pewnego czasu wydawał mi się wrogi.

Joachima nie było w domu, ponieważ pierwszy raz, odkąd zaczął pracować w Calehm, wysłano go w służbową podróż. Nie dopytywałam się, czemu wyjeżdża akurat na piątek i sobotę, dni wydawać się mogło przeznaczone na odpoczynek; sama odwiozłam go na czwartkowy wieczorny pociąg i obojętnie pożegnałam. Odłączyłam telefon, choć i tak wiedziałam, że nikt nie będzie mnie szukał. W mieszka-



niu panowała cisza, w której hałas spadających ze mnie kropli wody wydawał się głośniejszy od przeciekania czerpaków wodnego młyna. Jednak nie bałam się ciszy, która zdawała się kolorować dźwięki. Świadomie nie włączyłam muzyki, nie zaczęłam śpiewać. Byłam zadowolona z tego, że mieszkanie jest nieme jak pieczara.

Włożyłam długą suknię podobną do tej, w której pierwszy raz zobaczyłam Arlenę. Nie miałam na sobie bielizny i materiał sukni przyklejał się do skóry natartej korzennym olejkim. Nie umalowałam twarzy, jeszcze wilgotne włosy związałam z tyłu i wyszłam z mieszkania, nie zabierając ze sobą niczego poza kluczem, z którym i tak nie wiedziałam, co zrobić. Zatrzasknąwszy drzwi wejściowe, wsunęłam go pod wycieraczkę i natychmiast poczułam ulgę z powodu uwolnionych rąk. Nie oglądając się za siebie, wyszłam z domu, aby stanąć twarzą twarzą z Biblioteką, z mojej - maleńkiego człowieka - perspektywy niebotycznie wysoką i niedostępną. Tego popołudnia wydała mi się inną budowlą niż ta, która codziennie zaglądała mi w okna. Już się jej nie obawiałam. Ani jej, ani niczego innego.

- Chcę pójść na dół - siląc się na naturalny ton głosu, oświadczyłam w Archiwum.

Portier, który podał mi mój magiczny klucz, był ludzako podobny do kolegi z dnia mojej pierwszej wizyty i jak on mechaniczny w ruchach. Po moich słowach zastygł jak automatycznie blokowane drzwi w windzie.

- Chcę tylko wiedzieć, czy ten klucz mi wystarczy - wyjaśniłam obojętnie, chociaż drżały mi kolana. - Arlena miała przyjść tu dzisiaj ze mną.

- Dzisiaj jest sobota - powiedział portier beznamiętnym głosem automatycznej sekretarki.

- Wiem. Chcę jeszcze sprawdzić kilka rzeczy w Archiwum. Po tem pójdę do wszystkich.

Ścisnęłam klucz w dłoni, choć nic nie wskazywało na to, że portier zechce mi go odebrać. Patrzyliśmy sobie w oczy i walczyłam ze sobą, by nie spuścić wzroku pod jego wypranym z emocji, pustym spojrzeniem. Zauważyłam, że, pomimo jaskrawego oświetle-

nia w pomieszczeniu służącym za punkt kontroli, jego źrenice są silnie rozszerzone.

- Arlena? - powtórzył portier, jakby ogarnęły go wątpliwości.

Uniósł głowę w kierunku kamery umieszczonej pod sufitem. Było to urządzenie, które zauważyłam już podczas pierwszej wizyty w Bibliotece. Stanowczo skinęłam głową.

- Arlena.

- Ten klucz ci wystarczy - odpowiedział, martwo patrzący ponad moją głowę, portier, a ja uświadomiłam sobie, że przeszedł ze mną na ty.

Miałam ochotę jak on zajrzeć w oko kamery, jednak zabrakło mi odwagi. Ruszyłam do przodu, pilnując, by moje kroki nie zdradzały dygotania, które z kolan przeniosło się na całe ciało i stało się całkiem przyjemne. Byłam podniecona, jakby działało na mnie dodatkowe źródło energii. Miałam ochotę zatańczyć lub przynajmniej podskoczyć jak dziewczynka, której udało się wyjątkowo korzystne kłamstewko.

Po przejściu przez główne drzwi znalazłam się w przestronnej, pełnej wysokich po sufit regałów sali. Ultranowoczesne ściany pomysłane były jako tło dla antycznej zawartości, dzięki czemu całość sprawiała wrażenie Biblioteki Aleksandryjskiej przeniesionej do gigantycznego akwarium. Otoczały mnie kształtne piramidy zwiniętych w rulony pergaminów, obciążone przyciskami stosiki starych papierów, teksty, ryciny, plany... Wszystkie one oddychały atmosferą zatrzymanego czasu, który sprawił, że i mnie nagle przestało się spieszyć. Moje ciało uspokoiło się, oddech spowolniał, przez chwilę miałam nawet ochotę pozostać dłużej w tej niezwykłej sali, w której byłam jedynym gościem. Nie czułam się opuszczona; mimo oślepiających, ewidentnie nieantycznych światel, miejsce to wydało mi się prawdziwie przytulne.

Jednak nie po to tu przyszłam. W chwili, w której przypominało o sobie moje przykrojone na potrzeby sobotniego wieczoru pragnienie towarzystwa, na kluczu usłużnie zapaliła się nowa strzałka. Była sinoniebieskiego koloru, intensywna, jaśniejsza od lamp patrolujących otoczenie. Natychmiast podążyłam w nakazanym kie-

runku, mijając kolejne sale Archiwum, o tej porze niemal pustego. Podczas drogi spotkałam zaledwie trzy, może cztery osoby. Wszystkie były stare i - nie mogłam się pomylić - przyglądały mi się z ukrywaną zawiścią.

Szłam korytarzami wzdłuż szklanych ścian, przemierzając posadzkę w gładkie kwadraty i prostokąty. Minęłam dziesiątki geometrycznych figur. Wszystko było jednolite i tworzyło równo poukładany świat kątów prostych. Gdyby nie strzałka na moim kluczu, nigdy nie znalazłabym szklanych drzwi, które były identyczne z wszystkimi innymi. Ich niewinnie mleczna powierzchnia odsunęła się na bok; drzwi samorzutnie otworzyły się przede mną, choć nie robiłam niczego z kluczem, który ścisnęłam w dłoni jak relikwię, laskę ślepcy lub pochodnię w ciemnym korytarzu. Albo jak wszystkie te rzeczy sklezione w jeden magiczny rekwizyt. Byłam wdzięczna kluczowi, jakby był żywym stworzeniem.

Pomieszczenie, do którego weszłam przez ostatnie drzwi, okazało się ponadwymiarową windą; jej bezszelestny ruch w dół uświadomił mi, że spełnia się moje największe życzenie. Zawładnęły mną pomieszane uczucia - ulga, radość, lęk, a także tysiąc innych, których nie potrafiłam jeszcze nazwać. Wniosłam je ze sobą w długi korytarz, widziany po raz pierwszy, a jednak niepokojąco znajomy. Zatrzymałam się w nim gwałtownie, jakby ktoś podciął mi ścięgna pod kolanami albo sprawił, że cała krew spłynęła mi do stóp, czyniąc je zbyt ciężkimi do zrobienia następnego kroku. Widok, który się przede mną rozpościerał, był lustrzanym odbiciem obrazów z mojej pamięci.

Byłam już w tym korytarzu i znałam go dokładnie. Chodziłam po nim, biegałam, dotykałam jego ścian. Przemierzałam go w snach, nie dziesiątki, lecz setki razy, jako dziecko, młoda dziewczyna i szczęśliwa żona. Zdarzało się to niemal co noc, aż do tamtej odległej chwili, gdy w moim wnętrzu pojawiło się dziecko. Jego poczęcie odmieniło moje sny, sprawiło, że o wszystkim zapomniałam. Jak to możliwe, że zapomniałam?

Oparta o zimną ścianę rejestrowałam obrazy pojawiające się w mojej głowie. Przypominały odnaleziony film z przeszłości, nie-

my i wytarty. Te sny bez powrotu, czy były dla mnie dobre? Lubiłam je czy bałam się ich, zlewających się w jeden, wciąż ten sam sen o błędzeniu? Zdradliwe krople łez spłynęły mi po policzkach, najpierw pojedynczo, potem silnymi strumieniami. Przywróciły mi pamięć ciemnych nocy i ułożyły myśli w jedną całość. Za zamkniętymi powiekami pojawiła się wizja sennego labiryntu, który przemierzałam niegdyś z determinacją laboratoryjnego szczura. Szukałam niesprecyzowanej zguby, której nigdy nie udało mi się odzyskać.

Otworzyłam oczy i jak zza mgły spojrzałam przed siebie. Przede mną ciągnął się wciąż długi korytarz, replika moich snów. Kręciły się po nim różne postaci, które również nie były mi obce. Przede mną otwierała się droga, a ja wiedziałam, dokąd mnie zaprowadzi.

Było inaczej niż w opowiadaniach Arleny, na podstawie których wyobraziłam sobie powszechną miłość w Calehm. Stworzyłam prze-fantazjowany obraz, uzupełniając go kolorami, światłem i zapachem. Arlena nie opisywała mi ludzi i tego, co się między nimi odbywa, nie relacjonowała bachanaliów, seksualnej rewolucji, rozpusty. Mówiła jedynie o sobie, natomiast ja, zignorowawszy jej udział i przeskoczywszy przez to, czym chciała się ze mną podzielić, doimprowizowałam sobie resztę. Teraz, oparta o kamienny filar podpierający sufit pieczary, byłam świadkiem święta. Doczekałam się - na moich oczach odbywało się to, w czego realność jeszcze powątpiewałam; uczestniczyłam w widowisku, od którego centrum dzieliło mnie zaledwie kilka kroków. Zatrzymałam się na chwilę, nie ze strachu, lecz by się oswoić. Niedaleko mnie kochała się jakaś para; kobieta obejmowała ramionami kamienną kolumnę, oddalona ode mnie o jedno wyciągnięcie ramienia. Nie widziałam twarzy wtulonego w jej nagie plecy mężczyzny, jednak wyraźnie słyszałam głośne oddechy obojga.

Było inaczej niż w moim wyobrażeniu o rzymskich ucztach w kolrze złota i purpury, w zaduchu kadzideł i pochodni, przy muzyce bębnów i warkotu kastanietów. Brakowało usprawiedliwiającej rozpasanie archaiczności scenerii, nie istniały fantasmagorie. Ca-

lehm, tak nieprawdopodobne w swej regule istnienia, tak inne od zwyczajnego świata, było tu realne jak rynek warzywny, jak deptak w centrum miasta albo jak dworzec w przedświąteczne dni. Wyglądało jak nieprzesadnie ekscentryczne miasto, które świętuje swą własną rozbuchaną i rozpustną, jednak w gruncie rzeczy nieodwołalnie europejską, Love Paradę.

Mężczyzna, który, przechodząc tuż obok mnie, skrzyżował ze mną spojrzenie, zatrzymał się i położył mi dłoń na ramieniu:

- Nie stój w przedpokoju.

Kiedy ze śmiechem obrócił się na pięcie, natychmiast poszłam za nim. Nie zauważyłam żadnych drzwi między pomieszczeniami składającymi się na jedną przestrzeń, nierówno podzieloną filarami i kawałkami naturalnych ścian. Mijałam ludzi zajętych fizyczną miłośnością, oraz innych, przyglądających się widowisku. Mój przewodnik zniknął mi z oczu w pobliżu ukrytej nieco z boku pieczary; była oświetlona czerwonym światłem, w którym jak na moje zamówienie błysnęło coś złotego jak bransoleta lub cygańska suknia. To, że nieznamy odgadł moje debiutanckie wyobrażenia o orgiach w antycznym stylu, z nieprzyzwoitościami topionymi w winie i spowitymi ciężkim powietrzem, przez chwilę wydało mi się zabawne. Jednak wkrótce zawstydziałam się prostactwa skojarzeń.

Odwaga zaczęła mnie opuszczać. Coraz mniej wierzyłam w swą anonimowość, coraz szybciej traciłam determinację. Spróbowałam usunąć się pod pustą ścianę, zdobyć miejsce, o które mogłabym oprzeć plecy. Nie byłam jedyną ubraną kobietą w jaskrawo oświetlonej sali, w której światło zimnej, stalowej lampy wyostrzało rysy twarzy i zwiężało źrenice gości. Przedemną pojawiła się kelnerka; poznałam ją nie po zachowaniu czy też stroju, na który składała się powyciągana, krótka koszula - pomyślałam, że tak jak ja nie założyła bielizny - lecz po tacy pełnej szklanek wina, wódki i wody.

- Chciałabym szampana z imbirem - powiedziałam niepewnie.

Moje zamówienie bynajmniej nie zaskoczyło dziewczyny, która, wybrawszy jeden z identycznie wyglądających kieliszków, podała mi go bez słowa. Odeszła szybko, a do mojego nosa z kaskady bąbelków dostał się ostry zapach imbiru. Łapczywie wypiąłam cały

kieliszek i, czując konieczność dalszego alkoholowego wsparcia, od razu rozejrzałam się za następnym. Nadal stałam pod ścianą jak na stacji metra, a obok mnie tłoczyli się obcy mężczyźni i kobiety. Jakaś para kochała się na podłodze, inna na drewnianym krześle obok. Jednak nikt nie zbliżał się do mnie, jakbym nie wysyłała odpowiednich sygnałów, albo odwrotnie, emanowała niepożądanym brakiem przekonania. Wiedziałam, że w każdej chwili mogę bez konsekwencji opuścić to miejsce, a nikt mnie nie zatrzyma i nie zwymyśla. Jednak wcale tego nie chciałam. Poszukałam wzrokiem kelnerki roznoszącej alkohol, jednak nie dostrzegłam ani jej, ani jakiegokolwiek innej osoby z obsługi.

Odnalazłam bar w rogu sali, przypominający zwyczajny nocny klub. Na półkach stały butelki, a znudzony barman napełniał identyczne kieliszki bez zwracania uwagi na to, czy są odpowiednie do trunków, których paleta rozciągała się od najlepszych szampanów do prostej rosyjskiej wódki. Obserwowałam go przez chwilę, choć on nie zwracał na mnie uwagi. Mechaniczny w ruchach jak automat przypominał mi portierów z biblioteki. Na barze stało już kilka napełnionych kieliszków; dopiero w trzecim odkryłam imbirowy szampan. Wszystkie inne wypełniał nieznan mi ciemnozielony płyn.

- To absynt - powiedział starszy mężczyzna, stojący niedaleko mnie przy barze.

On także nie był nagi, gdyż jego biodra spowijał obstrzępiony kawał materiału. Nie poczułam skrępowania, jednak nie przyszło mi do głowy nic, co mogłabym odpowiedzieć siwemu mężczyźnie, którego pomarszczony brzuch spływał na prowizoryczną osłonę bioder. W sinym świetle lamp znad baru jego włosy wydały mi się platynowe, więc wyobraziłam sobie Oloffa z opowiadań Arleny, o którym wiedziałam, że złożony chorobą leży w domu. Szybko wychyliłam następny kieliszek szampana, jednak wciąż nie czułam pożądanego szumu w głowie. Nadal byłam trzeźwa i napięta jak zwierzę gotowe do ucieczki.

W pobliżu baru pobrzmiwała muzyka. Jej dźwięki były dziwaczne, jak Bach grany na dziecięcych fujarkach albo gregoriańska

pieśń w ustach chóru narkomanek. Wszystko wydawało się mało sensowne, choć z pewnością nie działa się bez przyczyny. Miejsce, w którym się znalazłam, pozornie zwyczajne, przybrało znajomą perspektywę snu.

- Spróbuj tego - usłyszałam tuż obok siebie.

Obejrzałam się - był to ten sam siwy mężczyzna, który z odległości kilkudziesięciu centymetrów wyglądał jeszcze gorzej, jakby cała jego skóra była pokraczną zbroją zespawaną ze zmarszczek. Jednak oddech nieznanego nie był nieprzyjemny; czułam od niego zapach anyżu i mięty, kiedy przelewał absynt przez kostkę cukru leżącą na dziwnej łyżeczce i podpalał ją płomieniem świeczki. W powietrzu rozszedł się narkotyczny zapach, a świeczka, wznosząco bezbronna wobec jaskrawych świateł baru, wydała mi się oazą intymności. Wyciągnęłam ręce, by ogrzeć przy niej palce.

- Spróbuj - monotonnym głosem powtórzył mój siwy towarzysz.

Upiłam trochę. Absynt był gorzki i niesmaczny, palił w gardło, aż wstrząsnęłam się z obrzydzenia, które jednak nie trwało dłużej niż pół minuty. Zakręciło mi się w głowie, a twarz mężczyzny oddaliła się ode mnie. Jednak on ciągle tkwił obok mnie przy barze, niemal nachalnie pilnując, bym nie odstawiła kieliszka. Kiedy go opróżniłam, obrazy wydłużyły mi się przed oczami, a ludzie wokół stali się głośniejsi i bardziej namacalni. Poczułam, że temperatura wokół mnie rośnie, natomiast muzykę zagłuszają szepoty i ciężkie oddechy. Dopiero teraz dotarło do mnie, co rzeczywiście robią wszyscy obecni w sali ludzie - pojęłam ich połączenie, ruchy, uściski, jęki, czasem krzyk. Przestałam być nieobecnym obserwatorem, zniknął dzielący nas ekran. Przepłynęły na mnie ich fale. Moja senna nierealność przeobraziła się w osobny sen, w jego wariant sprawdzalny dotykiem i smakiem.

Odwrociłam się do mojego sąsiada, jednak on szukał dla mnie kogoś innego. Podążyłam za jego wzrokiem i spośród kłębiących się postaci wezwaliśmy razem młodego mężczyznę, który podszedł do nas nagi pod rozpiętym płaszczem. Gdy był blisko, sama rozchyliłam uda, które zdążyły się rozgrzać i zawilgocić drewno barowego stołka.

# ARLENA: V

## ...NIE ZABIJAJ

Świat zbliżał się do zimy, dni stały się krótsze, a wieczory coraz bardziej chłodne w moim pustym mieszkaniu, w którym jednak nie spędzałam wiele czasu. Joachim pracował pełną parą, gdyż okazało się, że zawodowa branża Calehm potrafi kręcić się także bez Oloffa, którego reprezentowała grupa licznych, choć dość nieokreślonych pod względem funkcji zastępców. Mówiono, że jedynie on nadal trzyma wszystkie sznurki i zarządza wprost z domu, jak z wielkiego centrum dowodzenia, jednak prawdy tej nie potwierdził ani zbyt nieznaczny w calehmskiej hierarchii Joachim, ani ja, całkowicie odseparowana od Arleny. Nie widziałam jej od prawie dwóch miesięcy. Nie odzywała się, a ja nie ponawiałam prób kontaktu, trochę zła na nią za lekceważenie, a trochę arogancka w mojej nowo nabytej niezależności.

Przynajmniej połowę życia spędzałam teraz w Calehm, to znaczy - w prawdziwym, podziemnym Calehm. Znałam już trzy wejścia, w tym korytarz prowadzący przez Katedrę Świętego Franciszka, odkryty w niedzielę po mszy ojca Aarona. Natrafiłam na niego, podążając za kilkoma innymi ludźmi; zrobiłam to, ponieważ czułam się upoważniona i nie zdziwiłam nikogo swą obecnością. Trafiłam do Świątyni Jedynego Boga, w której modliła się anonimowa grupka ludzi.

W podziemiu pozostawałam przynajmniej kilka godzin dziennie, chodząc tam tak, jak idzie się na spacer, do kina albo na zakupy. Spędzałam czas, siadając w dowolnym miejscu, z którego przyglądałam się ludziom i ich otoczeniu, słuchałam muzyki, czasami



coś jadłam. Zawsze płaciłam zwyczajnymi pieniędzmi. Początkowo nie rozmawiałam z nikim, jak niemy, niezauważany przez nikogo duch, któremu wolno włóczyć się między żyjącymi tak długo, dopóki nie przeszkadza innym swoją obecnością. Jednak któregoś dnia przyłączyłam się do grupki ludzi grających w karty, później odważyłam się pójść na telewizję do aktorek. Nikt się mną nie zainteresował, a leciwa gwiazda ekranu nawet nie spytała mnie o imię. Właściwie nikt nigdy o nic mnie nie zapytał. Wolałam się nad tym nie zastanawiać. Anonimowość układała się w poczucie przyjemnej bezkarności.

Chodziłam do sali przez pięć kolejnych sobót. Którejś z nich wyszłam dopiero w nocy, nie mogąc opuścić domu po południu, gdyż coś popsuło się w zegarkowym systemie pracy Joachima i nikt nie zatrzymał go nad żadnym z ważnych projektów. Musiałam odczekać aż mój mąż zaśnie i dopiero wtedy zeszłam na dół najbliższym wejściem, przez Bibliotekę. Jej główne drzwi otworzył przede mną nocny stróż. Wróciłam, zanim zaczęło świtać.

Widok Arleny, stojącej w moich drzwiach z dużą, owiniętą w szary papier paczką, wywołał we mnie ambiwalente uczucia. Była wśród nich radość, bo stęskniłam się za nią, ulga, że ją widzę, oraz uraza spowodowana tym, że znowu zjawia się u mnie bez uprzedzenia i to wtedy, gdy ona, nie ja, ma na to ochotę. Pojawiło się również coś nowego: pozbawiona tajemnicy Arlena wydała mi się poniekąd zbędna i niejako przeterminowana.

- Dzień dobry, Dagmar - powitała mnie, nie patrząc na mnie, i natychmiast skierowała się w stronę salonu, dokąd zaprosiłam ją ruchem dłoni.

W świetle dnia widziałam, jak bardzo jest zmęczona. Postarzała się w ostatnim czasie i przygarbiła, a coraz głębsze zmarszczki na jej twarzy sprawiły, że poczułam nad nią litość. Nie tylko z powodu wieku była odwrotnością mnie, Dagmar, ostatnio czującej się świetnie.

- Nie, dziękuję za herbatę - uprzedziła moje pytanie, odstawiając na kanapie paczkę, która, sądząc po tym jak głęboko zatopiła się w tapicerkę, była niewątpliwie ciężka.

- Co z Oloffem? - zapytałam uprzejmie.

- Lepiej - odpowiedziała. - Dużo lepiej, przynajmniej na jakiś czas. Kuruje się, dostał zastrzyki i wszystkie te inne rzeczy... Powinno wystarczyć na następne trzy miesiące.

Powiedziała to tak naturalnie, że poczułam się upoważniona zapytać:

- Co to za choroba? Chyba nie rak...

- To jest rak, rzeczywiście, jednak nie tylko. Oloff jest już stary, ma ponad osiemdziesiąt lat... Nie wszystko można u niego zastosować.

- Rozumiem.

- Poza tym on nie na wszystko się zgadza.

Złożyła ręce jakby również ona była bardzo stara - i taka właśnie wydawała mi się w tym momencie.

- Ciągle chce wszystkim rządzić. Nie chce oddać kontroli, woli ból niż utratę jasności umysłu.

- Czy... - przerwałam i natychmiast uniosłam obydwie dłonie, aby w moim imieniu zaznaczyły, że nie chcę być wścibska - Czy bardzo go boli? Ból również odbiera jasność umysłu.

Uśmiechnęła się jedną stroną ust.

- Nie Oloffowi. To znaczy, jeszcze nie.

Umilkła na dłuższą chwilę, podczas której błędziła wzrokiem po oknach biblioteki i szarym niebie ponad dachem budynku, aż w ciszy mieszkania ja z kolei wydałam się sobie niepotrzebna. Jednak szybko przywołałam się do porządku - to nie ja byłam tą, która składa nieproszoną wizytę. Nie chcąc przerwać milczenia Arleiny, poprzestałam na biernym oczekiwaniu.

W końcu się odezwała.

- Nie mówmy o mnie. Pomówmy raczej o tobie.

- Dlaczego? - zaprotestowałam natychmiast, prawie zaczepnie. - To twoje sprawy miałyśmy omawiać. Umówiliśmy się na regularne spotkania poświęcone twojemu życiu i...

- Mojemu życiu w zestawieniu z twoim. Teraz wszystko się zmieniło i cała ta... opcja straciła sens.

Zdziwiona zauważyłam, że w jej głosie nie było żalu ani pretensji.

- Nie rozumiem - stwierdziłam zgodnie z prawdą.

- Po co miałabym przeciwstawiać swoje życie komuś, kto zaczął je wieść tak samo jak ja? Nie możemy się już licytować. Pozostałoby nam może tylko porównywanie jednej z drugą, ale na to nie mam ochoty.

Poczułam nagły strach.

- Co masz na myśli? Że twój zakład z Aniołem jest już przegrany?

- Raczej wygrany - poprawiła mnie spokojnie. - Ponieważ nie udowodniłaś mi swoim życiem, że ono ma sens.

Była nieprawdopodobnie obca, daleka jak toskańskie kamienie.

- Zgodziłam się z tobą, że nie ma? - spróbowałam uczeplić się czegokolwiek. - Spójrz na mnie! Czuję się świetnie!

- Tym bardziej udowadniasz mi, że przykazania nie mają sensu.

- Przykazania...

- Tak, przykazania. Czy i to zaczęło brzmieć dla ciebie bezsensownie?

- Nie, ale...

Nagle poczułam wielkie pragnienie wytłumaczenia się, jednak nie z ostatnich bezkarnych tygodni, ale ze wszystkich spędzonych na milczeniu miesięcy z Joachimem oraz lat milczenia z ojcem. Przede wszystkim jednak z milczenia o matce, która nigdy nie zaakceptowałaby tego, co teraz robię.

- Ja nie krzywdzę nikogo - powiedziałam, a moje słowa zabrzmiały idiotycznie.

- Twojego męża także nie? - zapytała beznamiętnie.

- Od kiedy obchodzi cię mój mąż? Wiem, że go nie szanujesz. Wiem też, że rozumiesz układ między nami. Od dawna nie ma w nim uczucia.

- A co z przyzwoitością? Nie przydałaby się wam obojgu?

Zdziwił mnie nowy odcień w jej głosie, dzięki któremu zrozumiałam, że coś przede mną ukrywa.

- Powiedz - poprosiłam.

- Porozmawiamy o tym kiedy indziej.

- Nie. Teraz - zażądałam, zapewne zbyt głośno.

Spojrzała mi prosto w oczy. Jej wzrok był twardy i pozbawiony emocji, jakby to, czym mogła poruszyć mnie, zupełnie jej nie obchodziło.

- On sypia z sekretarką biura projektowego.

- Och.

Poczułam się, jakbym otrzymała cios prosto w splot słoneczny. Cóż, podobne wiadomości nie przepływają obok nikogo tak po prostu, w powietrzu, mijając serce, mijając żołądek.

- Przykro mi - powiedziała chłodno.

A jednak... Tyle razy wyobrażałam sobie podobną sytuację - twarz Joachima w chwili wyznania, anonimowy list albo zatroskane oczy życzliwej przyjaciółki... Której nie było. Arlena była jedyną przyjaciółką, a jej spojrzenie nie zawierało życzliwości.

- Zbyt długo był poza domem, zbyt mało czekało go w domu - stwierdziła swym dobrze mi znajomym, cynicznym tonem. - Sytuacja, można powiedzieć, dość klasyczna.

- Czyli podobna do mojej - odpowiedziałam, siląc się na głupi żart.

Z pewnością przydałby mi się czas na zastanowienie. Jednak nie byłam pewna, czy mam ochotę tracić go w ten sposób. Było mi nijako - albo recydywa Joachima jeszcze w pełni do mnie nie dotarła, albo nie dysponowała dostateczną siłą, by móc mną wstrząsnąć. Istniała jednak także trzecia możliwość: naprawdę stałam się kimś innym.

- Otóż nie, Dagmar - powiedziała Arlena tak ostro, że nerwowo podniosłam głowę.

Patrzyła na mnie wzrokiem, który znowu skojarzył mi się z surową matką - więcej, z moją matką w chwilach, w których zachowywałam się niewłaściwie.

- Twój mąż został uwiedziony, Dagmar, być może dla czyjegoś kaprysu, być może z powodu czyjejś machinacji. Dał się uwieść w chwili smutku i samotności, której przyczyną jesteś ty.

- J a ?

- Nie pytaj tak naiwnie, obie doskonale wiemy, że nigdy nie dałaś mu szansy.

- Nie mogłam mu dać czegoś, czego sama nie miałam!

Pokręciła głową, jakby usłyszała coś karygodnie nudnego.

- W tej chwili to naprawdę nie ma znaczenia... Ważne jest natomiast to, że on jeszcze cię kocha, Dagmar, i w każdej chwili opuściłby dla ciebie Calehm, pojechałby z tobą w każdy kąt świata, gdzie pojawiłaby się dla was jakaś szansa.

- Miała być właśnie tu.

- I co z nią zrobiłaś?

Zapewne powinnam była martwić się moim mężem, jego zdradą i naszym oddaleniem. Kobieta, która dowiaduje się o czymś takim, winna przeżyć szok i nikt nie wiedział tego lepiej ode mnie. A ja? Przypomniał mi się refren starej ballady: *The first cut is the deepest...* Tak musiało być - najgłębsze jest pierwsze cięcie, a wszystko, co po nim następuje, nie boli mocniej niż zadrapanie kawałkiem szkła.

- Chwileczkę - powiedziałam do Arleny, ponieważ to, co ja miałam jej do zarzucenia, dopiero układało mi się w głowie. - To wszystko jakoś do siebie nie pasuje... Powtarzałam ci wiele razy, choć nigdy niczego nie potwierdziłaś, że czuję się w Calehm manipulowana, że od samego początku okoliczności układają się w jakieś zgrabne ciągi, zupełnie jakby ktoś wszystko dla mnie aranżował. Ty sama przyznałaś się do ściągnięcia mnie tutaj. A zrobiłaś to podobno dlatego, że ty i twój Anioł wybraliście mnie do waszego zakładu.

- Tak było - potwierdziła sucho.

- J e d n a k to nie wszystko. Także później czułam się śledzona i obserwowana na każdym kroku. Chociażby to, że w moim odczuciu ktoś specjalnie odciągał ode mnie Joachima, zawsze pod pozorem pracy. Prawda, że nigdy go nie było, gdy ty przychodziłaś na swoje pogaduszki?

- Przychodziłam, wiedząc, że go nie ma. Nie układałam mu godzin pracy.

- A kto zostawił dla mnie klucz do Biblioteki?

- Klucz czekał na ciebie od samego początku - powiedziała Arlena, wstając z kanapy, a ciężka paczka, która dotychczas leżała obok niej, zakotłosała się przy jej gwałtownym ruchu.

- J a k ą funkcję pełni Biblioteka? Kto mnie z niej obserwuje?

W mieszkaniu było ciszej niż zwykle, jednak tę ciszę uświadomiłam sobie dopiero, gdy Arlena, stanąwszy tuż przede mną, ledwie dostłyszalnie powiedziała:

- Nie pozwoliłam ci schodzić na dół.

- Ty... - zrobiłam wysiłek, by nie okazać zaskoczenia. - Nie masz żadnego prawa, by pozwalać mi na coś lub czegoś zabraniać.

Moja odpowiedź miała zabrzmieć stanowczo. Tak zaplanowałam ją sobie wcześniej na chwilę, w której Arlena zechce rozliczyć mnie z samowoli, jednak niewiele z tego wyszło. Głos mi drżał, a język ciała zamiast jawnogrzesznicy demaskował we mnie spłoszonego kota.

- Chciałam cię uchronić przed własnymi błędami - powiedziała Arlena, swym spokojem dopełniając moją frustrację. - Było dla mnie jasne, że prędzej czy później będę musiała zaprowadzić cię na dół, jednak chciałam cię przygotować...

- J a k Weronika ciebie?

- Lepiej. Mniej jednostronnie. Zbyt późno zrozumiałam, że Weronika nie była obiektywna. Nie mogła, ponieważ była z Calehm szczęśliwa.

- W Calehm - poprawiłam automatycznie.

- Nie. Z Calehm. Weronika była z nim szczęśliwa.

- A ty - powiedziała, bo wydało mi się, że rozumiem jej rozróżnienie - uważasz to za błąd?

- Ja jestem dowodem na to, że był to błąd.

- To ty. Jednak skoro Weronika była szczęśliwa, skoro tylu ludzi jest szczęśliwych z, czy w Calehm, musi być w tym jakaś prawidłowość. I ja czuję, że mogę...

- Nie - urwała Arlena - bo nie wiesz wszystkiego. Zaczęłaś od tyłu, całkiem od tyłu, Dagmar.

Usiadła z powrotem na kanapie, automatycznie poprawiła położenie paczki, jakby cokolwiek jej groziło, a kiedy później zastygła w jednej pozycji, wciąż trzymała na niej rękę.

- Nie zdążyłam przestrzec cię, nie zdążyłam wyjaśnić ci wszystkiego. Powinnam czuć się winna, jednak nie jestem. Jedyne uczucie, które potrafię zidentyfikować to zmęczenie. Jestem zmęczona.

- Czym?

To było pytanie Ewy, mojej macochy, które czasami pożyczał sobie również mój ojciec, kiedy chciał dorównać jej w złośliwości. Zadawali je sobie wzajemnie, albo drwili ze mnie lub z Edyty, gdy którejś z nas zdarzyło się niebacznie poskarżyć się na chorobę lub zmęczenie.

- Czym? - powtórzyła po mnie zdziwiona Arlena.

- Tak. Chciałabym dowiedzieć się, czy chodzi ci o mnie, czy to ja zmęczyłam cię rozmowami o życiu, tym, że musiałaś się mną zajmować, aby... Właśnie - aby co?

- Jesteś z siebie zadowolona?

- Słucham?

- Zapytałam, czy jesteś z siebie zadowolona. Nie przyszłam tu, by wyzalać się nad sobą. Zmęczenie to tylko uzasadnienie decyzji, a chodzi o to, że nasza umowa stała się nieaktualna. Nie będę już marnować czasu na rozmowy z tobą. Rezygnuję z dalszej części, a ty jesteś wolna.

- Zawsze byłam wolna... - zaprotestowałam zaskoczona.

- Ode mnie - dokończyła. - Chciałam tylko wiedzieć, czy dobrze się czujesz. Pytam, ponieważ ostatnim, czego teraz potrzebuję, są wyrzuty sumienia. Nie chcę się czuć winna temu, że coś złego się z tobą dzieje.

- Czuję się dobrze. Chciałam tam pójść - powiedziałam dzielnie. - Czuję się znakomicie.

- Wobec tego wszystko jest w porządku.

Kiedy wstawiała z kanapy, jej ruchy rzeczywiście zdradzały znużenie, podobnie jak jej oczy, które wydawały się puste. Rozejrzała się wokół jakby z przymusu i na chwilę jej twarz znieruchomiła. Ten czas wystarczył mi na zebranie myśli i skoncentrowanie się na odpędzeniu podstępnej fali strachu.

- Zaczekaj - kierowała się w stronę wyjścia, jednak zastawiłam sobą przejście.

- Do widzenia, Dagmar.

- Ja też nie chcę czuć się winna tego, że z tobą może zdarzyć się coś złego - powiedziałam.

- Nie martw się.

- Że chcesz się zabić!

Nie mogłam ująć tego bardziej wprost i bardziej idiotycznie, jednak pod jej przezroczytym wzrokiem nie udało mi się wymyślić niczego oględniejszego.

- To twój problem - odpowiedziała bez litości.

Oburzenie ścisnęło mi gardło

- Wiesz co to jest? - wykrztusiłam z trudem, mając ochotę ją uderzyć. - To zwykły, najbanalniejszy i najbardziej prymitywny szantaż emocjonalny! Jak możesz?!

- Och nie - powiedziała lekko, jakby odmawiała kupna kasztanów u obnośnego sprzedawcy. - Nie przyszedł tu ani po to, by cię szantażować, ani by rozmawiać o moich... planach.

- Więc po co? Odgrywać scenkę z opery mydlanej? „Zdradziłeś mnie, więc się utopię”!

Miała pełne prawo odplącić mi pięknym za nadobne, przypomnieć moją przeszłość, przynajmniej zrobić aluzję do nieudanych samobójców, morderców czy chociaż wariatów. Jednak ona nie zniżyła się do niczego podobnego.

- Nie wiem, co stanie się w najbliższej przyszłości. - Bez złości odsunęła mnie ze swojej drogi i dopiero w otwartych drzwiach wyjaśniła. - Oloff jest chory i nikt nie potrafi powiedzieć, jak długo to potrwa. Może pół roku, może rok. Tobie, Dagmar, chciałam tylko powiedzieć, że nie będę już do ciebie przychodzić. Szkoda, że dotarliśmy tylko do piątego przykazania, ale wydarzenia potoczyły się tak, że nie musimy już omawiać następnych.

- Jednak umówiłaś się z twoim Aniołem - przypomniałam jej bezsilnie.

- Że przekonam kogoś z mojego świata, tak. Nikogo z Calehm, zapomniałaś? Teraz ty również jesteś z Calehm.



- Co w tym złego?
- Wszystko, Dagmar.

Począpiałam za nią na korytarz. Już nie potrafiłam powstrzymać łez.

- Arlena... Zaczekaj, proszę cię.

Zatrzymała się i odwróciła się do mnie z uprzejmym wyrazem twarzy.

- T a k ?

- Co na to twój Anioł? Przecież w waszym układzie nic się nie zmieniło... Nie możesz tak po prostu rezygnować, w tym wszystkim musiał istnieć jakiś sens.

- Dagmar, posłuchaj - w jej wzroku mieszały się litość i pogarda. - Mój Anioł milczał, odkąd zaczęłam spełniać jego warunki. W mojej głowie było cicho, tak cicho, aż zaczęłam myśleć, że wszystko sobie wymyśliłam. I tak byłoby najpiękniej, najmniej problematycznie.

Spokojnym ruchem poprawiła rękaw sukni.

- T e r a z wrócę do siebie i będę postępować jak poprzednio, czyli tak, jak uznam za słuszne - była taka, jaką ją poznałam: silna, nieodgadniona... charyzmatyczna. - J e ś l i on nadal będzie milczał, postaram się o wszystkim zapomnieć. Będę myśleć, że nic się nie wydarzyło. Nic, poza przejściową niedyspozycją.

- A wasz zakład?
- Wymyśliłam go sobie.
- A nasze rozmowy?
- Babskie gadanie.
- Ty nie jesteś kimś, kto gada.
- Więc może ty?

Stała już na korytarzu.

- I co zrobisz? - krzyknęłam za nią. - Zabijesz się?
- Bezlitośnie wzduszyła ramionami.

# DAGMAR: V

## ...NIE ZABIJAJ

W niedzielny poranek, kiedy miasto zasnutę było siną mgłą tak gęstą, że nawet ściana Biblioteki zlała się z nią w jedną pulchną masę, Dagmar poczuła się źle. Siedziała na kanapie otulona kocem, który przyniósł jej z sypialni Joachim, tuż obok niej studiujący fachowe pismo. Od czasu do czasu przyglądała mu się ukradkiem, czując pogardę dla jego wąskich zainteresowań i przesadnej pilności, nakazującej mu poświęcać wolny dzień na sprawy zawodowe. Usiłowała przypomnieć sobie, kiedy po raz ostatni widziała go czytającego książkę, a gdy wysiłek spełził na niczym, skrzywiła się z niesmakiem. Ciągle na nowo zerkała na Joachima i wciąż udawało się jej pozostać w tym śledzeniu niezauważoną, aż pojęła, że on wcale nie czyta, a otwarte czasopismo służy mu jedynie za pretekst, który zwalnia go z rozmowy.

- Wcale nie odwracasz kartek - wytknęła mu bezlitośnie.

- Jeszcze nie skończyłem - odrzekł zaskoczony.

- Od piętnastu minut.

- Rzeczywiście?

- T a k .

Z zakłopotaniem pogładził się po włosach.

- Musiałem się zamyślić - powiedział i natychmiast wstał. -  
Zrobię herbaty. Napijesz się ze mną?

- Nie. Joachim?

- T a k ?

Dagmar spojrzała w jego ciepłe, pełne winy oczy i umilkła. Pojęła, że wcale nie chce z nim rozmawiać, i chwilowa ochota na wy-

jaśnienia opuściła ją równie szybko jak się pojawiła. Mgła zza okna zdawała się wlewać do pokoju i robiło się coraz wolniej, coraz bardziej młecznie i sennie.

- Nic. Poproszę o tę herbatę.

Słuchając odgłosów z kuchni, zaczęła wyrzucać sobie tchórzstwo. Wiedziała, że jest bezduszna i dwulicowa, a nade wszystko groteskowa w akceptowaniu zdrady Joachima na potrzebę własnej barwniejszej poligamii. Nie czuła potrzeby poruszania tematu jego kochanki w obawie przed zmianami w sytuacji obojga i wołała chować się za milczenie, z czym było jej bezpiecznie. W zimnej kalkulacji nie było miejsca na uczucia.

- J u ż dawno chciałem zapytać cię o tę paczkę - powiedział Joachim, stawiając dwie parujące filiżanki na marmurowym niskim stole. - Co w niej jest?

Karton, który przed trzema tygodniami przyniosła Arlena i odtąd nie dała znaku życia, pozostał nierozpakowany. Dagmar ograniczyła się do przeniesienia ciężkiej paczki w kąt pokoju, gdzie ustawiła ją jak modernistyczne dzieło kontrowersyjnego artysty, o którym zjadacze chleba powiadają, że sami potrafią lepiej tworzyć.

- Nie wiem - odparta zgodnie z prawdą.

- I nie chcesz jej rozpakować? - spytał, nie rozumiejąc Joachim.

- Nie wiem.

Roześmiał się niepewnie. Brak zdecydowania u Dagmar był dla niego czymś nowym i, kiedy przyjrzał się jej dokładniej, wydała mu się dziwnie blada. Jednak nie zapytał jej o to ani też o nic innego, prowizorycznie zrzucając winę na mleczną zasłonę za oknami.

- Skąd ją masz? - zapytał.

- Arlena przyniosła - odrzekła Dagmar. - Nie wiem nawet, czy to miał być prezent, czy może tylko zapomniała zabrać ją z powrotem.

Choć próbował, nie potrafił jej zrozumieć. Ze zdziwieniem zauważył, że dialog między nimi toczy się wolno, jakby mgła prócz domów za oknami spowijała także myśli i słowa.

- Dlaczego nie zadzwoniłaś i nie zapytałaś jej?

- Nie wiem - powtórzyła po raz trzeci, a bezradność wykradająca się z jej głosu nie uszła jego uwadze.
- Chcesz, abym ja to zrobił?
- Co? Zadzwoił do Arleny?
- Nie, pytam, czy mam rozpakować tę paczkę.

Dagmar podciągnęła kolana pod brodę, nie zauważwszy, że koc wolno zsuwa się na podłogę. Nie było jej ani ciepło, ani zimno, a stanowi jej ciała odpowiadała temperatura uczuć. Chciała zaprzeczyć, ale nagle zdało się jej, że wymaga to zbyt dużego wysiłku, implikuje dyskusję, wymianę słów, wyjaśnienia... Przechowywanie nierozpakowanej paczki i ona uznawała za bezsensowne, jednak nie chciała przyznać się do lęku przed poznaniem zawartości. Unikała tej paczki. Patrzyła na nią z daleka, jakby chodziło o bombę z mechanizmem aktywowanym przez dotyk. Zwlekała bezsensownie jak stara kobieta, która odkłada na półkę zapieczętowany urzędowy list.

- Jeśli chcesz.

Joachim, któremu zaczął udzielać się nastrój niezdecydowania, postanowił zdusić go w zarodku. Starannie wysączywszy z dna filiżanki ostatnie krople herbaty, poszedł do kuchni po nożyczki, schowane w jednej z niezliczonych szuflad, których zawartości nadal nie znalazł. Powróciwszy do pokoju, przykłęknął przed kartonem i, opędzając się od irracjonalnej ochoty pozostawienia go w spokoju, rozciął sznurek i papier. Otworzywszy opakowanie, zastygł w bezruchu.

- Co się stało? - zapytała po chwili Dagmar, kiedy, nie odzywając się słowem, tkwił zbyt długo w tej samej pozycji. - Co tam znalazłeś?

- Nic, tylko...

- Co? - powtórzyła zniecierpliwiona i przestraszona drzeniem jego głosu.

- Zobacz sama - powiedział i odwrócił się w jej stronę.

Wjego dłoniach tkwi! uznany za zaginiony, zepchnięty w przy-musowe więzienie zapomnienia, kamienny indyjski bożek.

Oboje nie mogli zasnąć tamtej nocy. Choć udawali przed sobą, solidarnie ukrywając jedno przed drugim niespokojną bezsenność, wzajemnie zdradzali się oddechem. Mimo to panowała między nimi cisza, ponieważ żadne z nich nie miało ochoty na rozmowę. Równie szczerze nie pragnęli siebie. Joachim czuł jeszcze zapach młodej kobiety, z którą spędził kilka godzin po zakończonej nocnej pracy, Dagmar nie otrząsnęła się z sobotnich godzin w podziemiu. Oboje czuli się źle, samotni, nieuczciwi, niekochani i niewierni. Mgła za oknem nie ustępowała i mimo późnej pory nadal oblepiała powietrze. Zimne światło latarni przedzierało się przez nią z trudem, płotąc pulchny melanz zmatowiałego blasku o konsystencji nabłyszczanej cukrowej waty.

Jeden z zegarów Katedry Świętego Franciszka wybił trzecią w nocy. Był to jeden z tych tajemniczych mechanizmów, który, przytłumiony hałasem miasta w ciągu dnia, staje się prawdziwie słyszalny dopiero w porze nocnego spokoju. Wybijał czas spokojnie i lapidarnie, jak z poczucia obowiązku. Dagmar pierwsza zrezygnowała z mistyfikacji i wstała z łóżka. Poszła do kuchni, nie oglądając się na Joachima, o którym wiedziała, że jak ona nie śpi i jak ona oszukuje, broniąc się przed rozmową.

Po powrocie usiadła na łóżku, twarzą do okna, odwrócona plecami do pogrążonego w kłamiwym czuwaniu mężczyzny. Dopiero wtedy on pozwolił sobie na otwarcie oczu, obolały niespaniem, spragniony i zmęczony. Przyglądał się jej sylwetce, rozmytej w mlecznej poświacie, szczupłej i bezbronnej. Uniósł się na łokciu, a kiedy wciąż się nie odwracała, odezwał się, nie udając już niczego:

- Mówiłaś zawsze, że ten bożek czuwa nad tobą i przynosi ci szczęście. Wróć! do ciebie. Nie wiem, w jaki sposób to się stało, nie potrzebuję tego wiedzieć, wystarczy mi, że cały ten czas bez niego był zty, bo byliśmy daleko od siebie i byliśmy sobie obcy. Nie chcę tak dalej. To, że przyjechaliśmy tutaj, nie pomogło nam, lecz zaszkodziło. Nie udał się nam ten nowy start w nowym miejscu. Powinniśmy byli zostać w domu, wśród naszych rzeczy, powinniśmy

byli znaleźć dla siebie czas. Tutaj... wszystko, moja praca, ci dziwni ludzie... Nikt nam tu nie pomoże. Nie wiem, co się z tobą dzieje, nie wiem nawet, co dzieje się ze mną. Mam wrażenie, że ściany mnie obserwują, że ludzie mnie obserwują i wiedzą, że jestem tu obcy, jakbym pełnił jakąś poboczną funkcję, a ta cała przyrzeczona mi kariera jest tylko mrzonką, która nigdy się nie spełni. Jakbym nie miał wyjechać stąd żywy, jak na filmach grozy... Dagmar, czuję, że dzieje się coś bardzo niedobrego, proszę cię, zostawmy to wszystko. Wróćmy do domu.

Milczała, nie odwróciła się do niego, wpatrzona w jaśniejszy punkt przebijający się przez mgłę od strony Biblioteki. Migotał jak zagubiona na Ziemi, wyrzucona z nieba gwiazda.

- Dagmar, proszę cię, spróbujmy się uratować.

Udało jej się określić położenie światła przenikającego grube warstwy mgielnej waty. Nie pochodziło z nieba, było tylko żarówką albo grubą świecą. Światłem kogoś, kto spędza tę noc w Bibliotece.

- J e s t jeszcze jedno, Dagmar... Ten bożek ma więcej znaczeń niż zwykle domowe bóstwo. Nie śmieję się ze mnie...

Nie miała zamiaru się śmiać; śmiech był ostatnią rzeczą, która tej nocy mogłaby przyjść jej do skołatanej głowy. Wciąż milczała, lecz targały nią zdziwienie i złość.

- Nie jestem przesądny, naprawdę nie. Chodzi mi tylko o to, że widziałem szkic tego bożka, tu, w Calehm, znalazłem go wśród wielu innych rycin, projektów i szkiców, kiedy któregoś razu pracowaliśmy w Bibliotece. On był podpisany, Dagmar, jeśli nawet nie chodziło o naszego, twojego bożka, to o jego oryginał albo kopię, o wzór tego bożka w każdym razie i on nazywał się...

Dagmar odwróciła się w jego stronę, jej wzrok był zimny i pełen nienawiści, jednak Joachim nie mógł tego zauważyć w sypialni oświetlonej jedynie od zewnątrz niewyraźnym światłem, które utworzyło wokół jej głowy aureolę. Pomylił się więc jeszcze bardziej, kolejny raz źle ocenił czas i okoliczności, tak jak jej kontur kruchego anioła.

- To bożek płodności, Dagmar. Wiem o tym na pewno. Już raz nam pomógł, spróbujmy raz jeszcze, wróćmy do domu, jeszcze raz

rozpocznijmy tę kurację, tym razem na pewno się uda i będziemy mieli dziecko, Dagmar, stworzymy prawdziwą rodzinę...

- Nie! - krzyknęła ostro, a niewiadomo w jaki sposób odbite światło zrobiło gwałtowną woltę po uspionym pokoju.

Dopiero teraz zobaczył jej twarz - wykrzywioną złością, drażniącą i obcą w lodowatej niebieskawej poświacie. Wzdrygnął się i machinalnie odsunął, jakby zmieniała się w demona.

- Nigdy już stąd nie wyjadę - powiedziała obcym głosem. - Jeśli ty tego chcesz, nie będę cię zatrzymywać. Dałam ci szansę, przyjechałam tu z tobą, bo to miało być naszym nowym początkiem. Innego nie będzie.

W lepszej ciszy, która nastąpiła po jej słowach, Joachim usłyszał własny zduszony oddech. Dagmar na powrót śledziła światło w Bibliotece i znowu widział jej plecy i tył głowy, znów była wiotka i łagodna. Prawie zwątpił, że to rzeczywiście ona odezwała się przed chwilą. Jednak kiedy wyciągnął do niej rękę, jeszcze raz rozległ się jej przenikliwy niczym syk węża głos:

- I nie mogę mieć dzieci, oboje doskonale o tym wiemy.

Trzy tygodnie później ginekolog potwierdził ciążę Dagmar. Poprosił ją o dokumentację poprzedniego poronienia oraz zlecił wykonanie innych badań, w tym serca. Jego zdaniem wiele wskazywało na to, że donoszenie ciąży może zagrażać jej życiu. Odpowiedziała, że z pewnością i tak wcześniej poroni.

# ARLENA: VI

## ...NIE CUDZOŁÓŻ

Nie zdejmując butów i płaszcza, poszła wprost do sypialni Oloffa. Pielęgniarka chowała właśnie do torby swoje ważne pielęgniarskie przyrządy, a gdy skończyła, wyrzuciła do zamykanego pojemnika puste strzykawki i zużyte igły. Uśmiechnąwszy się do Arleny oraz swego pacjenta, wyszła, zabierając wszystko ze sobą. Zostali sami w ogromnym, wysokim pomieszczeniu, którego centralny punkt nadal stanowiło gigantyczne łóżo z baldachimem. Nic nie zmieniło się w pokoju nawet teraz, kiedy ułożenie Oloffa w łóżku przystosowanym do pielęgnacji chorego ułatwiłoby pracę licznejmu personelowi. Łatwiej byłoby go myć, łatwiej przebierać, łatwiej robić zastrzyki i masować mu obolałe ciało, jednak on, prawie pokonany przez chorobę Oloff, nadal pozostawał Oloffem.

- J a k się dzisiaj czujesz? - spytała Arlena, stając w nogach łóżka.

- Dziękuję - odpowiedział spokojnie, nie otwierając oczu. - Późno wracasz.

- Rzeczywiście. Spacerowałam.

- Widziałaś się z twoją przyjaciółką?

- Tak...

Przyglądała mu się, zadowolona z tego, że jej nie widzi. Nieliczne włosy, które mu pozostały, wciąż zachowały srebrzysty połysk szlachetnego metalu, jednak wszystko inne niewiele przypominało jej dawnego mężczyznę. Był słaby, wychudzony, jego skóra miała szary odcień, za wyjątkiem dłoni i przegubów, które usiane były granatowymi sińcami po zastrzykach.



- Usiądź przy mnie - poprosił.

Zawahała się, jednak zdjęła płaszcz i, położywszy go na podłogę przy łóżku, przysunęła taboret tak, by znaleźć się w zasięgu ręki Oloffa. Usiadła, kolanami dotykając brzegu materaca.

- To nie potrwa długo, wiesz o tym, prawda? - powiedział.

- Wiem.

- Co zrobisz?

- Po co pytasz?

- Wciąż łudzę się, że zmienisz zdanie.

- To do ciebie niepodobne.

- Łudzenie się?

- Właśnie.

Uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie; umknąłby jej ten uśmiech, gdyby nie wpatrywała się w twarz Oloffa tak intensywnie, próbując go zrozumieć i odczytać jego myśli, a przy okazji uporządkować także własne - oddzielić nienawiść od miłości, opiekuńczość od poddaństwa, na właściwych szalach poukładać żal, wdzięczność, zawód i czułość. Oraz całą kopalnię innych uczuć, z wypalonymi ogniskami po tych, które pomieraly.

- Kiedy umrę... - powiedział Oloff.

Wjego głosie nie było strachu. Za to miała do niego największy żal; nawet teraz nie obawia! się niczego, nie był zdolny do poddania się, nawet do dokonania rozrachunków.

- Chciałbyś wiedzieć, że wszystko będzie toczyło się dalej tak, jak zaplanowałeś, prawda?

- T a k . Chcę wiedzieć, że nic nie pójdzie na marne.

- Muszę cię zmartwić. Nie będę miała z tym kontaktu. I ty, i ja stracimy nad tym kontrolę.

- Ależ nie! - zaprotestował, z trudem udając rozbawienie. - Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, jak najbardziej zachowam kontrolę.

- Nad Calehm? - zapytała, nie dziwiąc się niczemu. - Jako duch?

- Być może jako duch... Jeśli to będzie możliwe. Jeśli nie, pozostanę tu w formie wszystkiego tego, co zbudowałem.

Poczuła znajomą złość i swą świetnie oswojoną bezsilność. Po raz setny miała ochotę go uderzyć, zadać cios staremu i słabemu człowiekowi, któremu brakowało fizycznej siły na to, by prosto usiąść na łóżku.

- Życzę ci tego - powiedziała bez wyrazu. - Ja jednak, jak mówiłam, nie będę miała szczęścia w tym uczestniczyć.

- Powinnaś tu zostać - powtórzył.

- Po co? Nie chcę. Nie zostanę kolejną Matką Wszystkich, tak jak sobie wymyśliłeś...

- Dlaczego nie?

Roześmiała się głośno, aż jej śmiech poniósł do góry i zafalował pod baldachimem.

- Nie chcę mieszkać na dole - wyjaśniła, jakby tłumaczyła coś zbyt prostego. - Czy wystarczy ci to wytłumaczenie? Nie chcę siedzieć w piwnicy, czekać z zupą na niespodziewanych gości, nie chcę odkurzać starych zdjęć, a nade wszystko...

- Nade wszystko?

- Nie chcę nikogo okłamywać. Opowiadać bajek o ostatecznej kryjówce, o bezpieczeństwie. Oraz o miłości.

- Czy i mnie okłamujesz, mówiąc mi o tym? - zapytał Oloff.

- Nie... Ja ciebie kocham. Ale nie mam wyboru. Nie udało mi się pozbyć tej miłości.

- Mimo że próbowałaś.

- Ja próbowałam, ty systematycznie zabijałeś ją we mnie-i nic. Miłość do ciebie nadal jest najsilniejszą częścią mnie.

- Dlaczego więc tak bardzo jej nie lubisz?

- Zajęła miejsce wszystkiego innego. Jestem... - zaśmiała się raz jeszcze, zła na siebie, na swój smutek. - Tylko naczyniem na to, co płynie do mnie od ciebie.

Zastanowił się przez chwilę.

- To ładnie brzmi - powiedział.

Dom był pusty, panowała w nim drgająca cisza, nietypowa dla miejsca zwykle wypełnionego ludźmi jak dworzec albo jak wojenny punkt dowodzenia. Teraz wydawało się, że wszyscy czekają już gdzieś spakowani na ostatni sygnał głoszący, że czas opuścić twier-

dzę. Tylko moment, a przeniosą się w inne miejsce, gdzie znowu będzie można hałasować i gdzie ponownie znajdzie się ktoś, kto zapewni sprawny przebieg wydarzeń, rozkład zajęć, logistykę, wyżywienie i rozrywkę. Arlena wielokrotnie zadawała sobie pytanie, czy Oloff zdaje sobie z tego sprawę, czy wie, że jego śmierć będzie tylko formalnością dla Calehm, które wprawdzie zwolniło tempo życia, jednak już pogodziło się ze stratą.

- Dokąd pojedziesz? - zapytał Oloff. - Gdzie znajdziesz teraz swoje miejsce?

- Teraz, kiedy jestem już stara?

- Kiedy poznałaś, jak można żyć.

Pokręciła głową z rozpaczą, której on nie widział. Na niskim taborecie zgięła się w pół i oparła twarzą o pościel w pobliżu jego wysuszonych dłoni.

- Kiedy już uciekłam od zabijania, marketingu, mediów i religii, od reklamy, telewizji, przemocy, kłamstwa, nienawiści i zawiści... - wyszeptwała w bawełniany materiał kołdry. - Czy to masz na myśli?

Mówiła do siebie, jego uwaga była zaledwie uzupełnieniem.

- Kiedy uratowałam się od fałszywych słów i prawdziwych zdań, dobrych interesów, akcji pomocy, świątecznych uroczystości, meczy towarzyskich? O to ci chodzi? O korespondencję oficjalną i intymną, zapobieganie ciąży i małżeński kalendarzyk, wiązanie krawatów, kremy przeciwzmarszczkowe, prawa jazdy... Wiesz, że nigdy nie próbowałam zrobić prawa jazdy? O futurystycznych ochroniarzy, konta w banku, przyjaciółki, kolegów z pracy, seansy filmowe o dwudziestej piątce, o autorytety...

Słuchał jej, jak to on, dokładnie.

- Nie zapominaj o ludziach - powiedział.

- Owszem - potaknęła smutno. - Długo by wymieniać: *Nie chcę się wtrącać, ale... gdybym ja była tobą to..., nie pochlebiamy sobie, znam się na tym..., uważaj, bo ludzie powiedzą..., jeśli oddasz przysługę to ja..., słucham cię słucham, ale wiesz, ja..., uśmiechnij się... powiedz, że..., przestań się tak naiwnie uśmiechać..., czy ty naprawdę niczego nie rozumiesz?*

- Tak?

- Rzeczywiście bez tych wszystkich rzeczy nauczyłam się żyć. Przyjęłam to jak wybawienie.

- Wciąż nie przestaje mnie wzruszać - Oloff uśmiechnął się lekko, znużonym uśmiechem, którego nie mogła zauważyć - że wymieniasz to, co za najważniejsze uważają kobiety. Mężczyźni koncentrują się na szerszych pojęciach.

- Tak... - Arlena gniotła twarzą białą pościel. - Calehm to miejsce bez wojen. Bez rasizmu, przemocy, agresywnej polityki i obłudnego Kościoła. Specjalistycznych szkół, policji, służb porządkowych, partii, koncernów medialnych. Bez indoktrynacji. Jednak sam wiesz...

Przerwał jej:

- Proszę cię, zostaw to teraz. Tyle razy o tym mówiliśmy.

Nie protestowała. Ktoś przeszedł korytarzem, zapukał cicho do drzwi sypialni, lecz odszedł, kiedy żadne z nich nie zaprosiło go do środka. Oloff z trudem wyciągnął rękę i położył ją na głowie Arleny; zbyt słaby, by pogładzić ją po włosach, zadowolił się namiastką kontaktu. Odwróciła twarz i poszukała wnętrza jego dłoni.

- Mów o tym, co uważałaś tu za dobre - poprosił. - O tym, co cię tu zatrzymywało.

- To byłeś ty - powiedziała cicho, ustami dotykając pergaminowej skóry jego ręki.

- W Calehm.

- Tu... Jest inaczej. Poznałam to, dorosłam. Nie mogę już się łudzić, że istnieje część wyłącznie dobra, pozytywny aspekt rzeczy. Wiem, że niczego takiego nie ma - tam, gdzie jest scena, są i kulisy. Pod kostiumem tkwi nagi człowiek.

- Gdzie kończy się światło zaczyna się cień - dokończył za nią. - Jednak wiesz, że u nas jest nieporównywalnie więcej światła niż gdzie indziej. A nawet... My prawie pozbyliśmy się cienia.

Westchnęła.

- Ale co dzieje się dalej? W Calehm nikt nie morduje zwierząt - ale jedno, dwa piętra wyżej? Tam nic się nie zmienia, a Calehm w ciągu całego swojego istnienia nic przeciwko temu uczyniło. Nie

ratowaliśmy fok, tygrysów, ptaków, nie kiwnęliśmy palcem w sprawie małp. A przecież uważamy je za starszych braci... Moglibyśmy rozmawiać z nimi językiem migowym, tak jak z naszymi głuchoniemymi. Czy zatrzymaliśmy chociaż jeden transport katowanych koni? A przecież kochamy konie - malujemy je, śpiewamy o nich i piszemy wiersze. Jednak nasze luksusowe podziemie - nasze sanatorium - zwalnia nas nie tylko od patrzenia na ich niewyobrażalną mękę, ale również z obowiązku pomocy.

Jej głos zmatowiał.

- Wiesz, kiedy przestałam oglądać telewizję? To było po programie o transporcie koni. Dawno temu... Człowiek... hmm, człowiek nie miał za co złapać konia, gdy ten nie chciał wejść na platformę. Wsadził mu więc palce w oczodoły i w taki sposób tam zaciągnął. Oczy konia wypłynęły, a człowiek ani przez chwilę nie przestał okładać go kijem.

Głośno przetknęła ślinę.

- Zostałam w Calehm, bo nie chciałam spotykać takich ludzi nawet na ulicy... Każdy przechodzień wydawał mi się katem. Sama sobie wydawałam się katem. Jednak moja ucieczka również niczego nie zmieniła. U góry ciągle katowane są bezbronne stworzenia.

Umilkła, bo jej tzy zalały dłoń Oloffa i, wypływając z niej, utworzyły plamę na pościeli. Potrzebowała czasu, by uspokoić oddech.

- A dzieci? Na górze wyrzucano mi, że dla mnie zwierzęta są ważniejsze od dzieci. To z moralnego punktu widzenia wielka wina... Tymczasem ja sądziłam, że pokrzywdzone dzieci będą jeszcze miały okazję do zemsty i jako dorośli, podli ludzie, wezmą odwet za doznane krzywdy. Ewentualnie zdążą się ześwinić i w tym kontekście ich nieszczęśliwe dzieciństwo utraci cały splendor dramatu. Zwierzęta nie mają takiej szansy. Ich rozum, ich tak zwana inteligencja niestety działa inaczej. Nie stworzyły broni, nie wytrzymały z człowiekiem w wyścigu zbrojeń. Zostają ofiarami bezwzględnych albo tylko bezmyślnych sadystów.

Oloff nadal uważnie jej słuchał.

- Natomiast dzieci... W Calehm nikt ich nie bije, nie sprzedaje i nie głodzi, nawet nie zmusza do nauki. Tylko czy to rzeczywiście

jest cała prawda? Sam wiesz, jak niewiele dzieci urodziło się w Calehm. Rosną bez słońca, bo zabrane na górę nauczyłyby się jeść mięso, kłócić się i kłamać. Otrzymałyby naukę życia - z obowiązkami, przynależnościami, religiami, z mówieniem tak, mówieniem nie... Ze wszystkim aspektami życia zwykłego człowieka. Tu, w Calehm, pielęgnujemy wolność i piękno duszy naszych dzieci, jednak wychowujemy sztuczne twory, bo człowiek jest agresywnym stworzeniem. Już jako raczkujący bobas. My tłumimy jego naturę, wiążąc jego uwagę. Teoretycznie wszystko mu wolno. Tak... Do sali przychodzą całkiem młode dziewczęta, trzynasto-, może czternastoletnie. Wiesz o tym lepiej ode mnie, Oloffie. I nie powtarzaj mi, że nikt nie każe im tego robić. Chodzi raczej o to, że ktoś powinien im zabronić.

Nie otwierał przymkniętych oczu. Patrzyła na niego przez łyż: emanował zadowoleniem, jakby jej tyrada sprawiła mu przyjemność.

- Cała Biblioteka poświęcona jest analizom tego, co jest dobre i niedobre w Calehm - powiedział łagodnie. - Oraz ideom, dzięki którym może stać się jeszcze lepsze.

- A na dole u Matki istnieją tysiące karteluszków na ten sam temat, autorstwa tych, którzy uważają się za nie dość godnych, nie dość zdolnych i zbyt mało skomplikowanych, aby wolno im było wysłać swe dzieło do Biblioteki.

- Arleno - Oloff skrzywił się i otworzył oczy po raz pierwszy od chwili, od której dotrzymywała mu towarzystwa. - Co ty pleciesz? Zaczynam myśleć, że to ty jesteś chora, nie ja.

- T a k , wiem. Każdy ma swoją fiszkę w Bibliotece. A za tego, który nie wykona jej własnoręcznie, robi to kto inny. Czy to ja będę kończyć twoje dzieło? Oczywiście mam na myśli wyłącznie twój ostatni zapis.

- Nie - zaprzeczył. - Wszystko jest gotowe. Skończone, zamknięte. Mógłbym umrzeć nawet w tej chwili.

Wzdrygnęła się i zacisnęła zęby, ratując się przed następną falą łez.

- Nie rób tego, jeszcze nie - poprosiła ulegle. - Wbrew temu, w co staram się wierzyć, wcale nie jestem gotowa. Proszę, zostań ze mną jeszcze przez jakiś czas.

Uśmiechnął się do niej, jednak był już bardzo zmęczony. Jego dłoń dawno zsunęła się z jej policzka, oddychał wolniej i powieki opadły mu ze znużenia. Arlena wyprostowała się na taborecie, by objąć wzrokiem jego gasnącą twarz.

- Na to chyba nawet ja nie mam wpływu - wyznał szeptem, zasypiając.

Siedziała przy nim długo, aż zapadł zmierzch, a on obudził się z niespokojnego snu. Wróciły bóle i prawie majaczył, balansując między jawą a snem. Odeszła na bok, kiedy pielęgniarka bezszelestnie pojawiła się w pokoju, dała Oloffowi nowy zastrzyk i położyła mu zimny kompres na czole. Tym razem ona trzymała w dłoniach jego bezwładną rękę i Arlena poczuła się zbędna wobec porozumienia chorego z pielęgniarką, istotą władną wybawić go od bólu. Odwróciła się i wyszła, kiedy tamta przysunęła sobie ciągle ten sam, jedyny w pokoju taboret i, ucałowawszy delikatnie Oloff'a w spierzchnięte, obolałe wargi, usiadła blisko łóżka.

Idąc do swej sypialni, ulubionego pomieszczenia, w którym przez wszystkie spędzone w Calehm lata bywa! prócz niej tylko Oloff, Arlena myślała o tym, jak zmienił się dom opanowany przez chorobę. Jak ucichł i opustoszał, odkąd ludzie, przedtem odwiedzający gospodarza w każdej dowolnej chwili, zaczęli pojawiać się w nim w charakterze bolesciwych żałobników *in spe*.

Jeszcze niedawno, kiedy Oloff pomimo bólów i kuracji względnie swobodnie się poruszał, jego dom nadal tętnił życiem. Z wyjątkiem jej sypialni nigdzie nie byli sami; przez wszystkie inne miejsca przewijali się ludzie wnoszący tu własne życie, o którym chcieli porozmawiać lub spędzić jego część pod dachem Oloff'a. Jedli tu i pili, a nade wszystko kochali się na calehmską nutę. Arlena przyzwyczaiła się do nich, tak jak przywykła do architektów Oloff'a, opętanych ideą rozbudowywania Calehm. Projektowali coraz szaleńsze konstrukcje, rozszerzając miasto wszereż i wzdłuż, pnąc je do góry oraz coraz głębiej w ziemię. Odkąd Calehm zaczęło cier-

pieć na brak przestrzeni, większość oszałamiających idei zatrzymywała się w fazie projektu, pozostając wizją pozbawioną szansy na realizację.

Arlena przyglądała się temu z daleka. Ignorowała pasję, z jaką przyjaciele Oloffa oddawali się bezproduktywnemu płodzeniu. Jego efekty - dzieci i domy - zbyt rzadko oglądały światło dzienne.

W przestronnej jak salon łazience, której wierną kopią była łazienka Dagmar, Arlena zapaliła świece i otworzyła szeroko okna. Ciężka mgła skwapliwie wtoczyła się przez nie, wlała do środka jak przerastające formę i piekarnik monstrialne drożdżowe ciasto i ruszyła w stronę Arleny, która na jej przyjęcie zrzuciła ciemnobieżową suknię. Kojący chłód i wilgoć były pierwszą pieszczotą, której doznała po długiej przerwie.

Odkręciła miedziane kurki i płynąca z nich woda z głośnym sykem uderzyła o dno wanny. Para, która się z niej uniosła, wdała się w bezkrawą walkę z mgłą, gęsto wypełniającą pomieszczenie. Arlena zanurzyła się w wannie; zasięg jej widzenia ograniczył się do kilkunastu centymetrów, a opary pomieszane z mgłą zza okna spowiły ściany, lustra i przedmioty. Gdy wyciągnęła ramiona, z trudem rozpoznawała własne dłonie. W kamiennym pomieszczeniu jedynie światło świec zapamiętało odpierało ataki mgły.

Schowana po szyję w gorącej wodzie Arlena przyglądała się przepychance chmurzastych potworów. Obserwowała ich taniec i przekomarzanie się ze światłem tak długo, aż w łazience zrobiło się zimno. Uniosła się, by zamknąć okno wpuszczające wciąż nowe porcje mgielnego ciasta, jednak cofnęła się i na powrót położyła w wannie, otulając ciało wodą. Zrobiła to, ponieważ z mgły zmaterializował się syn Oloffa, Adam.

- Nie wolno ci tu wchodzić - powiedziała do niego Arlena.

Przykłęknął na wilgotnej podłodze i podciągnął rękaw czarnego swetra.

- Nie znam słów „nie wolno”. Nie są przyjęte w Calehm.

- Dobrze wiem, co jest przyjęte w Calehm. Wystarczająco długo tu mieszkam - nie zareagowała na jego dłoń, która pod powierzchnią wody przesunęła się jak ryba w kierunku jej uda. - Wy-



starczająco długo, byś i ty wiedział, że nie wchodzi się do mojej sypialni i mojej łazienki.

- Ale to niesprawiedliwe - poskarżył się. - Ty mogłaś do mnie wchodzić, kiedy tylko ci się podobało.

Wciąż znakomicie wyglądał i lepiej od niej znosił kolejne lata; choć starszy od niej, zdawał się nie cierpieć z powodu starzenia. Zdaniem Arleny, a także wielu innych kobiet, był nawet atrakcyjniejszy i w swej dojrzałej męskości ciekawszy niż w wieku trzydziestu lat, kiedy poznała go po przyjeździe do Calehm.

- To było dawno temu.

Teraz widziała jedynie niejasny zarys jego smukłej sylwetki, jakby był duchem mężczyzny zagubionego we mgle.

- Skoro nie mogę tu zostać - powiedział, bo zlekceważyła jego dotyk - może ty przysłabysz do mnie, kiedy dokończysz kąpieli. Albo spotkajmy się gdzie indziej, przy basenie albo w saunie.

- Albo w salonie, w kuchni lub w garderobie - dokończyła za niego.

- Obojętnie gdzie. Dom jest taki pusty, nie mogę tego znieść. Jestem przygnębiony tą ciszą, kompletnie nieprzyzwyczajony do tego, że tu nikogo nie ma!

- Tylko patrzeć, a z powodu agonii Oloffa odwołają nawet sobotnie świętowanie w Sali.

Po znieruchomieniu jego ramienia poznała, że się zawahał.

- Po co ta ironia? - spytał bez złości. - Ostatnie, czego życzysz sobie Oloff, to zmiany w Calehm. Kto wie, może sam każe się tam zanieść? W końcu niezbyt wiele sobót już mu pozostało.

Arlena podniosła się i ostatecznie zamknęła okno. Było jej zimno i drżała na całym ciele, o co obwiniła stygnącą wodę. Odkręciła miedziany kurek i dołąła gorącej wody do wanny, w której ponownie schroniła się przed chłodem. Adam, którego rękę strąciła, wstając, znowu zanurzył ją w wodzie, jednak i tym razem nie doczekał się reakcji, jakby jego głaskanie miało moc deszczu padającego po drugiej stronie ulicy.

- Przysłabysz w taką ostatnią, pożegnalną sobotę Oloffa? - zapytał.

Wzruszyła ramionami.

- Gdyby sobie tego życzył.
- On sam nic już nie może... Jedyny prezent, który mogłabyś mu zrobić, to kochać się z kimś dla niego.
- Gdyby sobie tego życzył, zrobiłabym to nawet z tobą - rzuciła arogancko. - Podobnie jak sobót, Oloffowi pozostało niewiele życzeń, które mogłabym spełnić.

Jego palce były równie natrętne co bezskuteczne, więc poczuł złość na nią, obojętną jak zmoczony kawałek drewna.

- Zdziwiłabyś wszystkich, pojawiając się tam w sobotę - zauważył. - Nie widzieli cię od lat.

Milczała, obserwując przecierające się kłęby pary i mgły. Miedziane rury w łazience coraz wyraźniej odcinały się od kamiennych ścian. Świece zwyciężały w walce z mgłą, jednak stawały się coraz krótsze - wypaliły się już do połowy i Arlena wiedziała, że jeszcze tego samego wieczoru wyrzuci ich bezużyteczne ogarki.

- Wróćmy do życzeń Oloffa - powiedział Adam.

Stał wyprostowany przy wannie; mokrą rękę zdążył już wytrzeć w ręcznik i usiłował osuszyć nim także przemoczony rękaw swetra. Był zirytowany, co również nie poruszało Arleny.

- T a k ?

- Dlaczego chcesz stąd odejść? - zapytał wprost. - Wiesz, że Oloff pragnie, byś tu została i dopilnowała dzieła, które zbudował.

- Co masz na myśli? Mam pilnować domów, które postawił? Biblioteki i Archiwum? Dostaw jedzenia i picia? Czy może tego, by nikt z Calehm nie uciekał?

- Arleno, Arleno... Wciąż jesteś tak okropnie uparta. Czepiasz się drobnych formalności, nieważnego marginesu. Ciągłe wracasz do swego. Po co? Od tego są inni, zawsze byli, długo przedtem, nim ty się pojawiłaś. Ty natomiast powinnaś zostać w Calehm jako symbol. Chociażby...

- J a k Matka Wszystkich.

- Skoro upierasz się przy tej nazwie... która niestety mocno zdezaktualizowała się w ostatnim czasie. Ta ostatnia kobieta... cóż,

jak mógłbym to określić, ona przypomina raczej natchnioną nauczycielkę, ale doprawdy nie jest charyzmatyczna. Ty znakomicie nadawałabyś się na jej miejsce, ty, o której wszyscy wiedzą, że jesteś kobietą Oloffą.

Arlena roześmiała się cynicznie.

- Matka, którą ja niegdyś poznałam, była, jak ty byś to określił, charyzmatyczna. I to ona powiedziała mi, że nie powinnam myśleć o sobie jako o czyjejkolwiek kobiecie. Nauczyła mnie, że przede wszystkim jestem sobą. Arleną. I ja, Arlena, tego jednego życzenia Oloffy nie spełnię. Przyjdzie mi to tym łatwiej, że on nie będzie już tego oglądał. Odejdę stąd dopiero po nim.

Wyszła z wanny, tylko po części dlatego, że nużyła ją rozmowa, która odebrała jej przyjemność ciepłej kąpieli. Woda tymczasem ostygła, malowniczy pojedynek kłębow pary z mgłami uciszał się łagodnie i nie było już nadziei ani na jego ożywiony finał, ani na dobrowolne odejście Adama, który usłużnie podał jej szlafrok i pomógł owinąć ręcznikiem mokre włosy. Kiedy zgasiwszy świece w łazience przeszła do jasno oświetlonej sypialni, pośpieszył za nią jak mały chłopiec.

- Mogę zostać u ciebie na noc?
- Chyba zwariowałaś - odrzekła bez złości i znudzona.
- Czuję się bardzo samotny - poskarżył się.
- J u ż to mówiłeś.
- Nie znam lepszego sposobu na poprawienie nastroju - zapewnił. - A i ty nie jesteś zbyt radosna.

Westchnęła.

- Adamie, posłuchaj - chciała się go jak najszybciej pozbyć. - Nie mam ochoty na poprawianie nastroju seksem. Ani z tobą, ani z nikim innym. Nawet nie chce mi się już o tym gadać. Przepraszam cię, reaguję jak pies Pawłowa - na to wszystko mam już tylko zwykłą czerwoną lampkę z napisem „Nie”.

- To jednak bardzo nieuprzejmie z twojej strony, jeśli naprawdę nie chcesz ze mną rozmawiać. Ośmielę się przypomnieć ci, że to ja zawsze byłem tym, który miał dla ciebie czas. Byłem, przypominał, jedynym, który nigdy cię nie zbywał, i to niezależnie od czasu i ochoty.

Arlena schowała stopy pod kołdrę rozścieloną na łóżku, żałując, że nie jest w hotelu, sama, z daleka od wszystkich. Na kilka sekund uciekła myślami od rozmówcy, niezdolnym zaskoczyć ją jakąkolwiek nową myślą, wyobraziła sobie siebie w obcym hotelowym pokoju, rozgrzaną po kąpieli, splukaną z kurzu i zmęczenia, czekającą na nocnego kelnera z herbatą. Na tę myśl poczuła ciepło w środku, rozprężył się jej brzuch i pobolewające plecy, choć nie była pewna, czy zawdzięcza to wyimaginowanej filiżance czy myśli o znalezieniu się gdzieś daleko.

- Arleno? - przypomniał o sobie Adam.

- Nie baw się w chłopczyka, proszę cię. Nie robięś tego, gdy byłeś o połowę młodszy.

- Może ci to umknęło, bo sama byłaś o połowę młodsza?

- Nie sądzę. Stąd moja dobra rada: nie popełniaj błędów, który jest typowy dla twojego otoczenia, Adamie - powiedziała szczerze.

- Nie starzej się, zapomniawszy uprzednio dorosnąć.

- Gdzieś już to słyszałem...

- Może u Matki Wszystkich. Przynajmniej ja zapewne usłyszałam to od niej. Mam ochotę na herbatę... Czy myślisz, że gdybym głośno zawołała, Julia przyniosłaby mi filiżankę herbaty?

- Bardzo bym się zdziwił - pokręcił z uśmiechem głową.

Zawiedziona podciągnęła wyżej kołdrę, nie licząc już na to, że którekolwiek z jej życzeń spełni się tego wieczoru.

- Wiem, że zawsze miałaś dla mnie czas i nigdy mnie nie zbywałaś - przyznała.

- Tak jak robił to na przykład ojciec i jego kumple. Nawet Weronika - zadowolony z siebie Adam kiwnął głową. - Czy sądzisz, że gdyby od początku tłumaczyli ci wszystko, nie miałabyś teraz ochoty odchodzić?

- Ich zdaniem tłumaczenie oznacza tworzenie teorii, czyli czegoś, co jest sprzeczne z zasadami Calehm.

- Mhh - przytaknął raz jeszcze.

- To w sumie zabawne, bo Oloff nigdy nie uznał innych sprzeczności, które póbowałam mu uzmysłowić.

Przed jej oczami znowu pojawił się Oloff - jednak nie wszechmocny Oloff król, lecz słaby, złożony chorobą stary władca, podłą-

czony do kabli pompujących w niego sztuczne życiowe soki w miejsce tych, które dawno zużył. Oloff, którego siła woli przegrywała z wyczerpaniem cielesnych akumulatorów.

- Pomyśl tylko - powiedziała w zamyśleniu do Adama, jakby cofnął się czas i rozmawiali ze sobą jak kiedyś, młodzi i ufający sobie nawzajem. - On, architekt. Projektant. Twórca domów i twórca miasta występował przeciw tworzeniu teorii. Przecież każdy dom zaczyna się od teorii... Zawsze projektuje się na papierze, komponuje, oblicza możliwości materiałów. Każda forma potrzebuje niepodważalnej teorii.

- A teoria lepianki? - podsunął przekornie.

- Co z tego, że istnieją domy budowane bez przemyślenia? Jeśli ktoś boi się deszczu, klei dach nad głową z tego, co ma pod ręką. Albo przed napadem wroga gorączkowo stawia płot, potem mur, a jeśli wciąż starcza mu czasu, nawet wieżę obronną i fosę.

- Obrona przede wszystkim.

- Nie tylko. Ktoś, komu dziecko urodzi się w przydrożnej stajence, postawi dom jak najszybciej i byle jak, bez zwracania uwagi na formę i urodę. Po prostu dlatego, że potrzebuje czterech ścian i dachu zanim dziecko zachoruje z zimna i umrze. Jeśli potem będą miały urodzić mu się nowe dzieci, doklei kolejne ściany, choćby miała powstać karykaturalna hybryda. Jednak taki dom, Adamie, jest jedynie tymczasowy. Ma rację trwania tylko do momentu, w którym powstaną okoliczności sprzyjające budowie lepszego, prawdziwego domu.

- Prawdziwy, lepszy dom - powtórzył Adam z przekąsem. - To brzmi jak definicja nieba w ustach ojca Aarona.

- Może nią jest... Nie pamiętam.

- Czy mamy dziś wieczór cytatów, Arleno?

- Nie... Ty jako esteta znasz najpoważniejszą wadę budowli pozbawionych teorii.

Trafiony w czuły punkt uśmiechnął się i zmrzył oczy.

- Chcesz powiedzieć, że są brzydkie, prawda?

- Właśnie.

- Uważasz, że pośpiech pozbawia piękna?

- Raczej nie pozostawia miejsca na urodę. Pośpiesznie stawiane budowle są nie tylko nietrwałe, ale i szkaradne.

- Są natomiast pożyteczne, droga Arleno.

- Owszem... Jednak wewnętrznego ciepła, które zastępuje piękno, nie starcza im na długo.

- Bywa jednak i tak - powiedział wolno Adam - że ograniczenia wynikają z naturalnego środowiska. Budującemu nie pozostaje nic innego, jak rozbudowywać się tam, gdzie istnieją możliwości.

Arlena ciaśniej otuliła się kocem. Mokre włosy nie pomagały jej w rozgrzaniu się, jednak nie miała ochoty sięgnąć po suszarkę.

- Oloff nie należy do budowniczych tego rodzaju, Adamie. W Calehm - na górze, gdzie twój ojciec mógł swobodnie rozwijać skrzydła, każda ulica jest zaprzeczeniem wszystkiego, co naturalne. Każdy dom na tej ulicy, każdy szczegół tego domu i szczególnie tego szczegółu jest nienaturalnie piękny i nieprawdopodobnie sztuczny. To miasto powstało, by przetrwać wieki, jednak inaczej niż natura, bez przypadków, bez pomyłek. Jest tak nienaturalne, że gdy wyginą ludzie, a przybysze z kosmosu będą mieli pecha trafić akurat do Calehm, zdefiniują człowieka jako kwadratowego robota.

- Ale... - chciał wtrącić Adam, jednak ona ostrzegawczo uniosła dłoń.

- Nie, proszę... Nie powtarzaj mi teraz podstawowego hasła Oloffa o kamieniach. To, że Calehm zbudowane jest z kamieni, nie świadczy o jego naturalnej strukturze! Calehm zbudowane jest z pomordowanych kamieni, Adamie, synu Oloffa, z kamieni pozbawionych duszy. Pocięto je w kostkę i równo poukładano. Calehm jest zachwycającą, śmiertelnie piękną układanką z martwych kości Ziemi... A powinny być pozostać w jej wnętrzu. Nie trzeba było jej patroszyć po to, by się pozamieniać - wyrzucić kamienie, aby w ich miejscu schować ludzi. To największa sprzeczność tego miejsca, Adamie. Całe Calehm jest wielką, nieprawdopodobną sprzecznością i to właśnie twój ojciec rozłamał je na dwie połowy. On sądzi, że utrzymuje je w doskonałej symbiozie - zimną, precyzyjnie skalowaną górę oraz gorące, emocjonalne podziemie.

- I tak właśnie jest, kochana Arleno - potwierdził z satysfakcją Adam.

- Nie, mylisz się, ponieważ taki system nie ma racji bytu. Jest nieprawdziwy, tak łudząco, chorobliwie nierealny... Adamie, ja odejdę stąd, ponieważ chcę obudzić się pewnego ranka i powiedzieć sobie z czystym sumieniem: „To był tylko sen. Czegoś takiego nie ma. To mi się nigdy nie przydarzyło”.

Słuchający jej z powagą Adam nagle głośno zaklaskał.

- Archiwum będzie potrzebowało dużej półki na twoje teorie, Arleno - powiedział, jakby cytował swego ojca.

Odetchnęła głęboko.

- Nie, ponieważ nigdy nie zostaną spisane - stwierdziła sucho.  
- Oloff wielokrotnie usiłował namówić mnie do czegoś takiego. Chciał, bym utrwalała kolejne rozważania i rozszerzyła nimi wątpliwą mądrość Biblioteki. On, który dawniej nawet nie chciał ze mną o tym rozmawiać.

- Taak.... A już niedługo, choćby i zmienił zdanie, nie będzie zdolny do rozmowy o czymkolwiek.

W końcu udało mu się ją zaskoczyć- je g o nieudawana obojętność zabolala ją, jednak tylko dlatego, że odnosiła się do jej Oloff.

- Nie napiszę niczego na potrzeby archiwum, tak jak chce Oloff i jak jest przyjęte w Calehm. Zrobię użytek z nieustanowionego prawa w tym mieście, zabraniającego ustanawiania praw. Dzięki temu prawa stają się prawdziwie silne, czyż nie? Mój przyczynek nie pasowałby do was. Musielibyscie go sfalszować albo wyrzucić, całość wraz podpisem - *Arlena, która miała zostać Matką Wszystkich.*

Słuchał jej uważnie, on, który kochał się z nią dziesiątki razy, za każdym razem przekonany, że silniej przywiązuje ją do siebie i do wszystkich tych, z którymi czuł się związany.

- Niedawno temu kolejna młoda kobieta poszła na lep rzekomego sensu Sali. Sam o tym wiesz, zapewne lepiej ode mnie - Arlena mówiła wolno, jakby dyktowała zeznanie sądowej stenotypistce.

- Nie chcę znać szczegółów. Ona przyłączyła się do was z własnej woli i jestem przekonana, że to wyselekcjonowany wybór lektur w Bibliotece przesądził o jej decyzji.

- Nikt...

- Nie przerywaj mi, wiem, że tak było. Pomyliłam się co do niej, sądziłam, że... że jest mądrzejsza. Pobiegła na skróty, nawet nie zająrzała do Matki, nie ma pojęcia o Ojcu, nie poznała wspólnej zupy, śpiewania, czuwania, modlenia, kalek, dzieci i psów, po prostu, jak po sznurku, pobiegła do Sali. Nawet nie zatroszczyła się o suknię, ponieważ zapewne sądzi, że dostanie ją od kogoś w prezencie.

Zdziwiony Adam zauważył nowy rodzaj zgorzknienia w głosie Arleny i, choć zabroniła sobie przerywać, zapytał:

- Dlaczego aż tak zależy ci na tej Dagmar? Tak bardzo się z nią zaprzyjaźniłaś?

- Można to tak nazwać... Wystarczająco, by zabołało mnie to, jak szybko uwierzyła w słowa napisane na temat Sali, w te wszystkie wymyślone teorie. Znam je, wyobraź sobie, znam je zdanie po zdaniu, ponieważ sama kiedyś szukałam odpowiedzi - nie tylko u Oloffy, u ciebie czy u Weroniki. Jeszcze zanim powstało Archiwum, poznałam wasze teorie-nie-teorie, relacje i dokumenty, jak wy to nazywacie... Wiem wszystko o publicznym jednaniu, przebaczeniu, dzieleniu łaski i winy. O zrywaniu granic. Znam wszystkie wymysły o pierwszych ludziach w pieczarach i monogamii, która nie jest wpisana w naturę świata.

Kręcił głową.

- Nie rozumiem cię, Arleno. Urodziłem się tu, zawsze wierzyłem, że właśnie to trzyma nas razem.

- Może tak jest.

- Przecież dzięki temu nic nas nie dzieli, niczego przed sobą nie ukrywamy! Nie boimy się siebie. I ty byłaś w tym szczęśliwa. Wiem o tym.

Wzruszyła ramionami.

- Cóż.

- Dlaczego to odrzuciłaś?

- Bo myślę, że to kłamstwo.

Wyprostował się, jakby go obraziła. Spojrzał w jej oczy w nadziei, że rzuciła nieważnym słowem jak piłką, choć wiedział, że nie żartuje.



- Arleno, Arleno, sama uciekałaś od świata, w którym fizyczną miłość omawia się w szkole jako pożyteczne zajęcie czasu, rodzaj sportu i sposobu na zdrowie! Czy bez Calehm wiedziałabyś, co znaczy metafizyczny wstrząs? Dzięki nam poznałaś siły, które wystarczy tylko uwolnić... - przerwał i uśmiechnął się: - Pamiętasz? *Wtedy leci się na skrzydłach smoka.* To twoje własne słowa.

Nie udało się jej roześmiać, ani nawet skryć pod płaszczem ironii. Gorący, prawie bolesny skurcz podbrzusza sprawił, że zadrżała. Mimo to wyniosłe uniosła w górę podbródek.

- Podczas czarnych mszy uwalniają się różne siły - powiedziała, patrząc mu cynicznie w oczy. - Oczyszczające święto instynktu! My, ludzie, dysponujemy tak ograniczoną paletą środków, że możemy jedynie tworzyć z nich kombinacje, wypróbować i gotować w czarcim kotle. Ojciec Aaron wścieka się, kiedy ktoś używa słowa msza... Ma rację. Natomiast calehmskie rytuały... Oddajecie się sobie jakbyście dzielili się chlebem, nie ciałem, jakbyście nie kładli się ze sobą, ale siadali do stołu.

- Bo to także uczta.

- Owszem. Jednak o cały wymiar intensywniejsza - i o tyleż bardziej niebezpieczna.

Adam podszedł blisko i odgarnął jej włosy z czoła.

- A może ty...

Uśmiechnęła się do jego znajomych, uważnych oczu:

- Chcesz powiedzieć - zjadłam za dużo? To byłoby normalne, wielu w Calehm tego doświadcza i wówczas zwyczajnie odchodzi od stołu. Nikt nie ma im tego za złe, bo jest czas ucztowania i czas ziołowej herbaty... Nie. Odeszłam, gdy poczułam, że owa wspaniała wspólna miłość zabija moją duszę. Mnie całą.

Skłonił głowę.

- Moja piękna Arlena i jej mocne słowa.

- O tak... - odsunęła jego dłoń. - Długo czułam się tak, jakby zabrano mi jedyne dziecko i wsadzono do sierocińca pełnego innych dzieci. Nakazano kochać je wszystkie. Oczywiście chciałam pojąć uzasadnienie tego, że miłość powinna być powszechna, sta-

rałam pozbyć się mego instynktownego egoizmu i kierunkowości uczuć. Naprawdę próbowałam...

Zakryła twarz rękoma. Długo nie wydawała z siebie głosu, aż Adam pomyślał, że płacze. Zaciekawiły go łzy, których nigdy nie był świadkiem.

- Arleno?

Pomyli! się: jej oczy pozostały suche, choć nieznacznie zaczerwieniły się po nerwowym wycieraniu twarzy obydwiema dłońmi w górę i w dół, jak przy zmywaniu makijażu.

- Tylko, że moja dusza tego nie wytrzymała - dokończyła bez wyrazu.

Jej twarz była pusta, jakby zamiast niewidzialnej szminki starła z siebie pozostałości uczuć.

- Chociaż bardzo chciałam uwierzyć w sens takiej zamiany - dodała, nie patrząc mu w oczy - ufałam jej wyższej racji i nawet szukałam przyjemności w byciu taką matką wielu dzieci, nic się z tego nie sprawdziło. Zostałam starą, bezpłodną kobietą bez duszy.

# DAGMAR: IV

## ...CZCIJ OJCA

Choć lekarz zalecił Dagmar ścisłą kontrolę i regularne wizyty na początku każdego miesiąca, minął już termin trzeciej, a ona wciąż nie wybrała się do jego gabinetu. Któregoś dnia znalazła nawet wiadomość na automatycznej sekretarce, w której asystentka doktora przypominała jej o konieczności przeprowadzenia badania. Zirytowana Dagmar, zamiast przyjąć zaproszenie, oddzwoniła natychmiast, oświadczając, że postanowiła zmienić lekarza.

Codziennie czekała na poronienie. Nie chciała lekarskiej kontroli, podobnie jak tego, by nowina o niepożądaney ciąży dotarła do Joachima. Jednak oczekiwany krwotok nie nadchodził; zdziwiona i coraz silniej przygnębiona jego przesunięciem się w czasie pocieszała się myślą, że prędzej czy później nastąpi. Była przygotowana na fizyczne dolegliwości i nawet na nieprzyjemny pobyt w szpitalu. Zgadzała się na niejako konsekwencje nieprzewidywalnej, nieracjonalnej pomyłki.

Jak kolczastym drutem odgrodziła się od wszystkich uczuć w niewielkim choćby stopniu związanych z macierzyństwem, ponieważ pojęcie to zostało dawno wykreślone - lub wyrzucone - z jej emocjonalnego słownika. Ponieważ przed laty uwierzyła, że utracone dziecko zabrało ze sobą do grobu cały jej rozrodczy potencjał, nie mogła skorzystać z niego po latach. Dziecko, które utraciła, oznaczało dla Dagmar cud jednoznacznie pojedynczy, jakby nie była zwykłą, stworzoną do rodzenia kolejnego potomstwa kobietą, ale wrażliwym mechanizmem, zdolnym do jednorazowej, ryzykownej w skutkach reprodukcji. Kiedy więc po pierwszym oszołomieniu,

niedowierzaniu i złości dopuściła do siebie myśl o ciąży, potraktowała ją jako zaburzenie funkcjonowania organizmu albo nieoczekiwaną chorobę. Stan ten wyabstrahowała od rosnącego w jej brzuchu dziecka.

Jakby jednego nieszczęścia było za mało, o swoim istnieniu przypomniały Skorpiony. Również tę wiadomość Dagmar odnalazła na automatycznej sekretarce, która w mroźny zimowy wieczór powitała ją natrętnym miganiem czerwonej lampki.

- Dzwoniłem do ciebie wiele razy, Dagmar, ale wcale nie ma cię w domu. Przyjeżdżam do was, dziś po południu mam pociąg. Jeśli nie przyjdiesz po mnie na dworzec, dotrę taksówką. Nie udało mi się z tobą umówić... Joachim powiedział mi dokładnie, gdzie mieszkacie. Co tam. To cześć, Dagmar. Będę wieczorem.

Ogarnęła ją gwałtowna fala złości, która w ostatnim czasie pojawiała się zbyt często, fizycznie odczuwalna, rozgraniczalna w napięciach i kolorach. Dagmar rzuciła czymś o podłogę i zaklęła, prawie do siebie niepodobna. Z jej brzuchem wciąż wszystko było w porządku; nadal nic się z nim nie działo.

- Co tam! Co tam! - krzyknęła z pasją, jakby automat w telefonie mógł zmienić zdanie i wydusić z siebie inną wersję wiadomości.

Choć marzyła o kąpieli i czuła się brudna, otworzyła szafę, aby ubrać się do wyjścia. Nerwowo chwyciła płaszcz, lecz natychmiast zmieniła zdanie i wyciągnęła nieużywane od dnia przyjazdu futro, które narzuciła na siebie z mściwą satysfakcją. Wyszła z domu, głośno trzaskając wejściowymi drzwiami, a na ulicy złapała jedną z kolorowych taksówek, zlecając kierowcy kurs na dworzec. Nie zadała sobie trudu przyjrzenia się jego twarzy, zapomniała o zwyczaju odgadywania przynależności spotkanych ludzi do calehmskich kast. Całą drogę przebyła w milczeniu, niewidzącymi oczami muskając mijane ulice.

Odezwała się dopiero, gdy taksówka zatrzymała się przed dworcem:

- Mam jeszcze dużo czasu. Nie wie pan, gdzie tu jest jakaś restauracja?

- Stoimy dokładnie przed wejściem - odpowiedział kierowca, którego oczy świadczyły o dalekowschodnim pochodzeniu.

- To gdzie wobec tego jest wejście na perony? - spytała zaczepnie, zła za odgadywanie życzeń.

- W restauracji pani powiedzą. Następnym pociąg przyjeżdża dopiero za trzydzieści minut.

Nie dziękując, wysuwała z portmonetki równą sumę bez napivku. Odeszła bez pożegnania, pełna niechęci wobec taksówkacza, jakby to on ponosił winę za wszystko.

Witając ojca na peronie, Dagmar była już całkowicie pijana, gdyż trzydzieści minut w restauracji wystarczyło z zapasem na wysączenie trzech podwójnych wódek z wodą sodową. Z zaciętą pasją zamawiała jedną po drugiej u kelnera, który, jej zdaniem bezczelnie, zaproponował jej na początku łagodnego drinka. Z każdą kolejną porcją alkoholu, ze złością i na czczo wlewanego do żołądka, rostała w niej - i bez wódki wystarczająco groźna - wściekłość na ojca. Ze wszystkich osób na świecie był ostatnią, którą chciałaby zobaczyć; pełna reaktywowanej, przerastającej granice dawnych niesnasek niechęci, nie próbowała nawet opędnąć się od niedobrych wspomnień z przeszłości. Czuła ją jak uciążliwe toksyny mimo lat wydzielające się nadal z niebezpiecznej, choć podobno zapieczętowanej trumny.

- No - powiedział stary człowiek, który niepewnie wysiadł z zapadającego w bezruch pociągu, w oczach Dagmar podobnego do smoka. - Dzień dobry, dobrze, że po mnie przyjechałaś, bo inaczej musiałbym brać taksówkę.

- Tu jest pełno taksówek - odpowiedziała mętnie, jakby smocze wyziewy ogarnęły ją, już i tak chybotającą się na peronie.

Stała oparta o latarnię i, przechylając głowę z jednego ramienia na drugie, przyglądała się pociągowi, jakby postanowiła zapoznać się z demonem służącym za transport człowiekowi, którego, gdyby tylko mogła, natychmiast wyprawiłaby w dalszą drogę.

- Dobrze się czujesz? - zapytał szorstko ojciec.

W końcu zaszczyciła go spojrzeniem.

- Czuję się znakomicie - wyrecytowała arogancko, w pijanym umyśle rejestrując z satysfakcją jego zaskakującą chudość, wiszące na ramionach ubranie i niezwykle kąt trzymanie głowy, opuszczonej nisko, jakby przeszkadzał jej jakiś ciężar.

Po pewnym wysiłku, którego wymagało od niej dostrzeżenie zmiany w znajomej, nienawistnej postaci ojca, Dagmar pojęła, że coś stało się z jego oczami. Były ustawione inaczej, siłą przyciągania zbliżone do ziemi, wraz z głową, której zabrakło dawnej stanowczości trzymającej ją wyniośle, w sposób pomnażający wrażenie kategorycznej, bezkarnej samowoli. Teraz spod krzaczastych, siwych brwi patrzy! na nią inny człowiek, słaby, proszący o wyrozumiałość dla swej nowo nabytej ułomności.

- Ale ty, jak widzę, chyba nie cieszysz się najlepszym zdrowiem - pijana, zaczęła bezlitośnie, cicho chichotać. - Masz kłopoty z karciem? Tak dziwnie trzymasz głowę i dziwnie stoisz... Aż nie jestem pewna, czy ty to ty.

Ojciec nie odpowiedział, machinalnie próbując się wyprostować, jednak jego wysiłek poszedł na marne. Schylił się jeszcze głębiej, by podnieść z ziemi swą starą, mało używaną walizkę.

- Gdzie masz samochód? - zapytał, maskując skrępowanie starannym wymawianiem słów.

- I oddychasz jakoś inaczej - zauważyła Dagmar z mściwą, pijacką satysfakcją. - Jesteś chory?

- Porozmawiamy o tym w domu, dobrze? - poprosił, a ona zniechęciła się na ten nowy, całkowicie obcy ton jego głosu. - Gdzie zaparkowałaś samochód?

Z trudem oderwała plecy od latarni, jednak nie pokwapiła się z pomocą w niesieniu walizki. Wciąż fascynowała ją jego odmieniona sylwetka.

- Nie widzisz, że jestem pijana? Nawet gdybym miała samochód, nie mogłabym prowadzić.

- Nie macie samochodu? - zapytał, a Dagmar uznała, że powinien bardziej się zdziwić.

Walizka ciążyła mu w rękę i sprawiała, że z trudem stawiał kroki w stronę wyjścia, które rozpoznał po dużym napisie: *Calehm - centrum miasta*. Dagmar podążała za ojcem; bez słowa dotarli na ulicę, przy krawężniku której czekały taksówki przypominające rząd kolorowych mrówek, wymalowanych dla niepoznaki każda w inny wzór.

- Joachim ma samochód - powiedziała Dagmar z opóźnieniem i bezsensownie, jakby ostatnie pytanie ojca zablokowało w niej zdolność do podjęcia innego tematu. - Ale i on nie mógłby cię przywieźć, bo ciągle pracuje. Ciągle.

- Wiem o tym - ojciec z ulgą przekazał walizkę kierowcy pierwszego w rzędzie samochodu.

- Wiesz o tym? - zdziwiła się teatralnie i usadowiła na przednim siedzeniu, nie pytając o to, gdzie on miałby ochotę usiąść.

- Rozmawialiśmy przez telefon. Joachim zadzwonił do mnie.

Odwróciła się do niego. Siedział już w głębi taksówki, cień zakrył mu twarz i przemalował na czarno jego siwe, przeredzone włosy. Sztywny materiał płaszcza nieregularnie poukładał się na ramionach, kołnierz sterczał samowolnie i zakrywał jeden z wychudzonych policzków starego człowieka. Złamana perspektywa jego pomniejszonego, unieruchomionego ciała, pozbawionego swobody i zawiniętego w niewygodny, obszerny jak kaftan szaleńca płaszcza sprawiła, że Dagmar poczuła się jeszcze lepiej i jeszcze bezpieczniej. Dodatkowo wspierała ją w samochodzie szeroka bariera rozdzielających siedzeń oraz obecność śmierzącego czosnkiem kierowcy. Dawny wróg był odgradzony od niej szerokością samochodu, przygarbiony pod niskim dachem i ograniczony w niekształtnej klatce obitej materiałem jak szpitalna izolotka wariata, okrągłej i pozbawionej ostrych krawędzi. Mogła swobodnie kontemplować go jak zza szyby, bezkarnie i bezlitośnie.

- Dupek - powiedziała i z premedytacją odczekała chwilę zażenowania i niepewności na twarzy ojca, zanim wyjaśniła - dupek z tego Joachima, tato. On nigdy mnie o niczym nie zawiadamia.

Nakarmiła go zupą, ziemniakami z kapustą i sznyclami smażonymi na oliwie. Wszystko, co było potrzebne do posiłku, kupiła trzy ulice dalej, w sklepie prowadzonym przez obcokrajowców, którym wszelkie formy wegetarianizmu wydawały się być obce. Miała cichą nadzieję, że nikt nie zobaczył jej po drodze, jednak alkohol wypa-

rowywał z niej tak powoli, że i nad tym szczególnie się nie zastanawiała. Nie spieszyła się z zakupami i nie martwiła tym, że musiały trwać dłużej niż kąpiel ojca w łaźnicy, do której zaprowadziła go, nie pytając, czy rzeczywiście chce się odświeżyć, i nie ostrzegając przed śliską posadzką.

Gdy wróciła, czekał na nią, siedząc na kuchennym krześle, w nieznanym jej sposób onieśmielony otoczeniem. Nalała szklankę wody, którą postawiła przed nim bez słowa, po czym odwróciła się i zabrała za gotowanie - równie niespiesznie, równie obojętnie. Wysłuchiwała go, kiedy opisał jej cel wizyty, niespodziewany wyjazd z jego i jej rodzinnego miasta, pakowanie walizki, kolejną kłótnię z Ewą i długą podróż pociągiem, którą odbył wbrew zaleceniom lekarza, który nakazał mu wypoczynek.

Nie przerywała mu, więc może nawet pomyślał, że słucha go uważnie i cierpliwie; niewykluczone, że poczuł niewielką wdzięczność, bo wyglądała tak, jakby zastanawiała się nad jego słowami. Sądził, że całkowicie wytrzeźwiła, ponieważ pewnymi ruchami nałożyła obiad na talerze - identyczne porcje dla obojga, sznycel równie wielki sobie jak i jemu, choć żadne z nich nie było w stanie spożyć choćby połowy porcji, ona, która zapomniała o apetycie, on, dręczony bólami żołądka.

- I lekarze nie wiedzą, co ci dolega? - upewniła się pod koniec posiłku, bezmyślnie rozgniatając na talerzu wystygłego ziemniaka.

- Wiedzą na dziewięćdziesiąt pięć procent. Operacja wyjaśniłaby wszystko do końca, ale z tym, co jest, mogę już spokojnie żyć. To nic strasznego, bez porównania z tym, co podejrzewali.

- Po prostu nie chcesz dać się operować.

- Nie. Po co... Wystarczy, że nie ma wielkiego zagrożenia. Została mi zwykła starość, ale ona mnie już nie przeraża. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, nie będę potrzebował zastrzyków, rurek, chemii. Poczuję ulgę.

- Bałeś się...

- To długo trwało, dwa miesiące, które dłużyły się jak rok. Dagmar, ale mnie nie o to chodzi... Nie po to tu przyjechałem.



Siedziała prosto. Niedojedzone sznycle na talerzu zastygły nieapetycznie pod zbyt gęstym i prawie przypalonym sosem. Coś drażniło jej nozdrza, nie tylko zapach mięsa, od którego odwykła, nie tylko maskowana ostrą wodą kolońską woń naftaliny z odłożonego na parapet zimowego płaszcza ojca. Była to woń czegoś dalekiego i zapomnianego, nieprzyjemnego jak zapach chloru dla kogoś, kto w dzieciństwie topił się w basenie. Zakręciło jej się w głowie, poczucie nudności podjechało jak winda aż do podniebienia, jednak nie poddała się ani słabości, ani odruchowi litości, która być może winna była się w niej pojawić. Nie oderwała oczu od swego ojca, ślepa na jego bladość, chude ciało i naznaczoną bólem postawę człowieka, który zrezygnował z wszelkich rewindykacji. Uczyniła tylko jedno ustępstwo - podniosła się, by zrobić mu miętową herbatę.

- Nie - odpowiedziała, kiedy zakończył długą tyradę, podczas której jego urywany oddech chwilami przechodził w świst. - Nie chcę. Zrób co chcesz z domem, boja i tak do niego nie wrócę. Nie, nie przyjadę nawet na kilka dni po to, byś ty mógł przepisać na mnie mój dom. Ani po to, by podpisać upoważnienia na konta z twoimi oszczędnościami. Nie chcę pamiątek po mamie, nie będę ich zabezpieczać przed twoją żoną. To twój problem, ja nie będę ci niczego ułatwiać, załatw to sam, jeśli chcesz, rób tak, jakby nic się nie zmieniło, jakbyś nie robił tego ze strachu przed śmiercią albo z radości, że dała ci odroczenie, ale tak, jakbyś był jak dawniej zdrowy i silny. Jakbyś sam zdecydował zakończyć swe skorpionie walki ureguluj sprawy z Ewą, boja dawno już to zrobiłam. 1...

Powinna była zamilknąć. A skoro tego nie zrobiła, powinna była chociaż ubrać złe myśli w inne słowa, złagodzić je, okłamać je trochę w intencji pojednania, jednak nie zdobyła się nawet na to. Zamiast wybaczenia wyciągnęła do ojca cukierniczkę i trzymała ją w wyprostowanej ręce, kiedy trzema łyżeczkami słodził sobie herbatę.

- Jeśli kiedykolwiek miałbyś myśleć, że potrzebne ci jest pożegnanie ze mną - powiedziała kończąc temat - zrób to tutaj, boja już nigdy do ciebie nie przyjadę.

# ARLENA: VIII

## ...NIE KRADNIJ

*Niełatwo jest być przywódcą. Przywódca bierze na siebie nie tylko nadzieję wygranej, przywilej odbierania honorów, korzyści materialne i duchowe, ale także, przede wszystkim właściwie, przejmuje odpowiedzialność za tych, którzy są zbyt słabi na podejmowanie i przeprowadzenie decyzji. W tym samym miejscu czekają na niego tron i gilotyna, a jego los zależy nie tylko od celności kroków, ale też od splotów wydarzeń, które mogą okazać się nieprzewidywalne w czasie oraz w skutkach. Przywódca wprawdzie rozkazuje innym, ale jednocześnie musi się na nich opierać, co jest ryzykowne i niepewne. Ci inni dzielą się na trzy grupy - pierwsza to słudzy (wśród nich zdarzają się przyjaciele), wdzięczni za przywódzenie i pragnący je zachować; druga to uważni obserwatorzy, którzy dostrzegają i doceniają sukcesy, jednak także czyhają na każde potknięcie, nie wybacząc niczego, oraz trzecia - ludzie obojętni. Ci ostatni równie łatwo dają się pociągnąć przez pierwszych, jak i przez drugich. Bycie przywódcą oznacza nieustanną czujność i przynosi tyleż satysfakcji, co bezsennych nocy.*

Arlena odłożyła na bok zapisany drobnym maczkiem gruby szkolny zeszyt.

- Ile miałeś lat, kiedy to zapisałeś?  
- Kilkanaście... Już nic z tego nie pamiętam - odpowiedział Oloff.

Od paru dni czuł się nadspodziewanie dobrze, tego ranka z pomocą pielęgniarki przeniósł się nawet na fotel w pobliżu okna i owinięty grubym kocem wdychał rześkie zimowe powietrze. Śnieg ciągle nie nadchodził, a pogoda nie chciała się zdecydować na grudniowe chłody i wahała się między jesiennym deszczem a wiosennym słońcem, urozmaicając przeplatankę niezdiscyplinowanymi

atakami wiatru. W przeciągu jednego dnia wychładzały one dom do żywego kamienia albo przeciwnie, ciepłem powiewów oszukiwały go tak skutecznie, że zakwitały rośliny pozbawione szans na dłuższy żywot.

- Zawsze wiedziałeś, że będziesz przywódcą? - zapytała za-  
myślona Arlena.

- Nie pamiętam, żeby było inaczej. W pewnym sensie zawsze się do tego przygotowywałem.

- Ty się przygotowywałeś, czy ktoś cię przygotowywał?

- Ja sam... Przedtem było tu inaczej, mniej pewnie.

Rozmawiał z nią niedbale, jakby znajdowała się gdzieś na trzecim planie jego postrzegania. Jednak wiedziała, że nie zrezygnowałaby z tej rozmowy, nie odesłał jej ani nie poprosił o milczenie. Była mu potrzebna; słyszała to w jego głosie, widziała w rozprężonych rysach twarzy i czuła w dotyku dłoni zamkniętej w jej silniejszej ręce. Oprócz rozmawiania z nią był skoncentrowany na grze chłodnych i ciepłych wirów powietrza za otwartym oknem, na gromadce szarych ptaków, w zmrożonej ziemi szukających pożywienia, na kilku upartych liściach, które mimo swej przejrzystej utraty ciała wciąż nie opadły z drzewa. Dłużej zatrzymał na nich wzrok; przyłapała go na tym i odczytała jego myśli o liściach, którym nie starczy siły na przeciwstawienie się następnemu powiewowi wiatru. Uniosła jego dłoń, by rozgrzać ją swoim oddechem.

- Chciałabym, byś zapamiętał mnie jako swego największego sprzymierzeńca - powiedziała łagodnie.

- Masz wyrzuty sumienia... Boisz się, że trudniej mi będzie odejść, skoro akurat ciebie nie przekonałem do mego przedsięwzięcia, dzieła całego życia? - odpowiedział pytaniem.

Uśmiechnęła się do wnętrza jego dłoni.

- W pewnym sensie tak...

- To niepotrzebne. Odejdę tak czy inaczej, choć nie jestem z tego zadowolony.

- Boisz się.

- Boję się o Calehm, o to, co się z nim stanie.

- Jest Adam, są inni. Stworzyłeś wystarczający porządek, by wytrwali jeszcze przez jakiś czas...

- Wciąż mi nie wierzysz!

Podniosła głowę, poruszona ostrym tonem jego głosu.

- Doznałaś tyle dobrego, chroniliśmy cię, od lat nie pamiętasz, co to znaczy krzywda, widziałaś tylu ludzi uratowanych od świąta, wyzwolonych... Jak możesz wątpić w to wszystko? Jak możesz wciąż mi nie wierzyć!

Wstała i przykryła go kocem. Oddychał szybciej i jego policzki ożywiły się odrobiną koloru, jednak czuła, że nic mu nie grozi. Lekarstwa stały w zasięgu ręki, dzwonek alarmujący pielęgniarkę spoczywał w jej kieszeni.

- Kiedy wyjeżdżałem na studia, Calehm nie było niczym więcej jak społecznością ukrytą w podziemiach dużego dworca. Niewiele ponad tysiąc ludzi - żebracy, grupka artystów, jakiś ksiądz, kilku wariatów, przestępcy oraz wielu chroniących się przed czymś, co ścigało ich w normalnym świecie. Nie byłem ani jedynym, ani pierwszym z tych, których Calehm wysłało na studia. Istniała wspólna kasa, fundusz na czarną godzinę pozostawiony przez kilku bogatych ludzi. Jakiś udawało się, że nikt tego nie ukradł i choć czasem coś ubywało, skarb Calehm istniał właśnie po to, by przetrwało miasto.

Znała tę historię z obrazków zgromadzonych u Matki Wszystkich, jednak nigdy dotąd nie usłyszała jej z jego ust.

- W tym kościele, który stał na placu przed wybudowaniem Katedry Świętego Franciszka, ktoś zawsze gotował dla was zupę - wspomniała rysunek, który ją poruszył.

Przedstawiał postaci gotujące zupę w kotle. Musiał być dziełem dziecka albo, jakby powiedział Oloff, artysty wariata. Kotły na rysunku przypominały diabelskie naczynia, lecz kucharze czy kucharki poubierani byli w fartuchy, od których odstawały pierzaste skrzydła.

- Nikt nie cierpiał głodu w Calehm - Oloff znowu był spokojny.

Widziała też inny zniszczony rysunek, pełen brutalnej czerwieni i czerni.

- Kto spalił tamten kościół? - zapytała.

Nie oderwał wzroku od pozbawionego zieleni drzewa, gdzie wśród suchych gałęzi niechętnie tańczył wiatr, jakby rozczarował go brak szumu i malowniczej dekoracji z liści.

- Spłonął... - odpowiedział. - Może przy gotowaniu tej żebraczej zupy?

- W Bibliotece jest zapis o proboszczu tego kościoła, rannym podczas pożaru, przeniesionym później daleko stąd. On nie był waszym przyjacielem - stwierdziła Arlena.

- Dlatego zbudowałem Katedrę Świętego Franciszka. Teraz odmawia się za nas modlitwy.

Pokiwała głową, ponownie bezradna.

- Nie wracałem do Calehm przez ponad dziesięć lat. Pieniądze przychodziły w czasie całych studiów, potem przestałem ich potrzebować. Wróciłem dopiero wtedy, gdy mogłem zająć tu ważne miejsce, na górze i na dole, i choć przez wszystkie te lata bałem się, czy zdążę, czy po powrocie zastanę jeszcze Calehm na swoim miejscu, poddałem się tej próbie. Wszystko to, w czym masz szczęście uczestniczyć, jest moim dziełem. Państwo w sercu Ziemi i jego mury obronne na zewnątrz, zaplecze i ochrona. Już nikt nie musi gotować dla nas zupy. Każdy je to, co lubi.

- Z produktów pochodzących z góry.
- Kupowanych, nie rzucanych jak psom.
- Albo zabieranych.
- Nie! Mamy dość środków...

Przerwała mu:

- Środków, wpływów... To nie jest dobrowolne, Oloffie. Wiesz o tym doskonale. Nawet jeśli większość zawikłanych w to ludzi...

- Zawikłanych? To są nasze rodziny, nasi przyjaciele!
- J a k mafia.
- Powiedz jeszcze raz - jak sekta!
- J a k sekta.

Uniósł głowę, jakby zapomniał o słabości. Milcząco nakazał jej zamknąć okno i zawieźć się do łóżka. W jednej chwili przemienił się w obrażonego, rozkapryszonego starca. Zlekceważyła to; choć zrozumiała jego nieme poszukiwanie dzwonka, nie wyjęła go z kie-

szeni, a on nie poniżył się, by łamiącym się głosem zawołać pielęgniarkę. Pozostali więc we dwoje, zdani tylko na siebie.

- Kiedy ja tu przyjechałam - powiedziała łagodnie, kiedy leżał już w łóżku, a ona samodzielnie podłączyła kroplówkę do wenflonu na stałe wklutego w grzbiet jego dłoni - zapytałam Weronikę o to, jak udaje się wam zachować tajemnicę. Dlaczego nie piszą o was w gazetach, nie przysyłają ekip telewizyjnych, by sforsowały jedno z wielu wejść pod ziemię. Przecież wcale nie są takie tajemne, przecież nie tak trudno tu trafić... Calehm nie jest jedynym podziemnym miastem na świecie. Istnieją i inne tego typu społeczności, mają swoje szkoły, swoją walutę i swoje prawa, jednak świat o nich wie, od czasu do czasu ktoś sobie o nich przypomina, pisze artykuł lub wydaje książkę. Marzenie o schronieniu się przed cywilizacją nie jest niczym nowym.

Z zaciętymi wargami milczał wpatrzony w sufit.

- Wolność to w gruncie dość proste pojęcie. Można ją nakazać prawem, tak jak można prawem zakazać jej gwałcenia i stworzyć warunki do jej przestrzegania. Myślę, Oloffie, że prawa nie są niczym złym, nawet jeśli nie są doskonałe... Chyba nawet istnieje coś takiego jak prawo praw, prawo matka... Rozumiem je jako dążenie do doskonałości. A dążenie, sam wiesz, ono musi zawierać w sobie ciągłe poprawki i zmiany... Naukę.

Głaskała go po spoconym czole, a on nie protestował, choć ciągle był na nią zły.

- Natomiast wykreślenie praw to po prostu bezprawie... Czarna dziura złych i dobrych uczynków, niebezpieczeństwo wolności fałszywej, bo pozbawionej możliwości wyboru i złudnej przez pozorną dostępność. To chaos idei pozbawionych kierunku. Tak, ja uwierzyłam Weronice, że chronicie się sami. Uwierzyłam w tyle rzeczy, Oloffie, tak jak we własne szczęście znalezienia się między wami... Natomiast teraz nie wierzę już w nic prócz jednego i jestem przekonana, że myślisz tak samo jak ja. Znam cię lepiej niż sądzisz... Doskonale wiesz, że Calehm opiera się na fałszywych podstawach. Calehm, które im głębiej chowa się przed światem, tym bliższe jest swego końca.

Jego oczy były zamknięte jakby spał, jednak wiedziała, że czeka na kolejny znieczulający zastrzyk. I właśnie dlatego, że na nią nie patrzył, dodała cicho:

- Wiedzieli o tym ci wszyscy, których musieliście zabijać, kiedy zaczynali zagrażać waszej świętej tajemnicy. Podejrzewałam to na długo przedtem, nim odnalazłam stosowne zapiski.

- Co ty pleciesz? - zapytał niewyraźnie Oloff, spoglądając na nią przez ledwie uchylone powieki tak nieprzytomnie, jakby tkwił w niespokojnym śnie. - Nigdy nie raczyłaś nawet zajrzeć do Archiwum.

- Znalazłam je u ciebie. I nigdy nie zgadniesz, co mnie najbardziej zdziwiło... Otóż to, że jesteście przesądni. Nie zabijacie nikogo na miejscu, jakbyście na modłę murzyńskich plemion obawiali się zanieczyścić swój dom. Jak one wywozicie ofiary daleko i dopiero tam się ich pozbywacie. Wy, którzy nie mordujecie zwierząt.

Przestraszyła się widoku białek oczu Oloffa, który w nienaturalnym grymasie szarpnął głową. Poruszał ustami, jakby chciał odpowiedzieć, jednak nie wydobył się z nich nawet jęk. Pochyliła się nad nim, jednak on nie cierpiał, a stan, w którym się znajdował, nie przypominał jej żadnego z dotychczas poznanych. Bardziej zaskoczona niż przerażona, poszukała dłonią dzwonka.

- Ja odjadę sama - powiedziała, wolno wygrzebując go z kieszeni - i nie musicie mnie zabijać, boja was nie zdradzę... Jednak jeśli uznacie co innego, trudno.

Odgłos zbliżających się kroków złął się z dźwiękiem srebrnego dzwonka. Puk-puk, dzyń-dzyń, Arlena obejrzała się za siebie i, nie przestając podzwaniać, przyłgnęła wzrokiem do pielęgniarki, która zbliżała się rytmicznie, jak wprawiona w ruch zdalnie sterowana zabawka. W paradoksalny sposób rozbawiło to Arlenę, która uniosła rękę i zaczęła dzwonić szybciej, jakby była woźną w szkole dla małych dzieci; roześmiała się głośno, choć wraz z falą śmiechu napłynęły łzy do jej oczu. Ucichła gwałtownie, kiedy pielęgniarka, wyrwijąc jej dzwonek z ręki, przerwała zabawę w mieszanie rytmu, ruchu i dźwięków.

- Uspokój się, Arleno - powiedziała biało ubrana kobieta, a jej głos był marmurowo zimny. - Wszyscy wiemy, jak ci ciężko. Może sama powinnaś odpocząć? Albo skorzystać z pomocy lekarza?

Stały teraz twarzą w twarz, pielęgniarka przewyższała Arlenę o kilka centymetrów i, choć postawniejsza, dominowała nad nią strzełistością postawy. Była nieskazitelna, aż nienaturalna w doskonałości uczesania, ubioru i makijażu. Przypomniła Arlenie karykatury pielęgniarek z komiksów, wyposażone w duży biust, obcasy, włosy upięte w kok oraz ponadwymiarową strzykawkę z arsenikiem.

- Nie chcę narkotyków - odpowiedziała, siłąc się na spokój. - Zajmij się raczej Oloffem.

- Po to tu jestem - pielęgniarka uśmiechnęła się w odpowiedzi, jednak nie zrobiła nawet kroku w kierunku pacjenta. - Arleno...

- T a k ?

- Niepotrzebnie go niepokoisz. To, o czym mówisz, wcale go nie dotyczy.

Arlena mimowolnie cofnęła się pół kroku, jakby pielęgniarka chciała ją uderzyć. W tej samej chwili drzwi do sypialni otworzyły się raz jeszcze i stanął w nich Adam. Zbliżył się do obydwu kobiet niespiesznie jak świadomy swego wdzięku senny lew. I on, i kobieta odziana w biel jak panna młoda, wydali się Arlenie złowrodzy, kłamliwi w trosce o umierającego, odgrywający tylko role syna i pielęgniarki.

Jakby na poparcie jej myśli Adam położył dłoń na opiętych wykrochmalonym fartuchem, prostych jak strzała plecach pielęgniarki.

- To, o czym mówisz - powtórzył jej słowa, jakby byli operowym duetem, z którego drugi śpiewak dla efektu wkracza na scenę z opóźnieniem - nie było sprawą Oloff'a. On się tym nigdy nie zajmował i nie ma potrzeby, by teraz zakłócać mu spokój.

Jego słowa brzmiały jak groźba.

- Czy to ty się tym zajmowałeś? - zapytała spokojnie, czując, że jak co dzień powraca do niej rezygnacja.

- Zabijaniem? - uściślił lekko, jakby prowadzili rozmowę o pogodzie.

Pielęgniarka odeszła od nich i pochyliła się nad łóżkiem Oloff'a. Z odległości kilkunastu kroków jeszcze dobitniej przypominała komiksowego anioła śmierci z trucizną w strzykawce.



- Tak - odpowiedziała Arlena. - Wydaje mi się, że dokładnie słyszałeś, o czym mówię. Ten dom nie ukryje żadnej tajemnicy... Natomiast wy macie ich tak wiele. Chyba nigdy nie przestaniecie mnie zaskakiwać. Dopóki żyję.

Zbliżył się do niej, wziął w dłonie jej zniszczoną twarz niemłodej kobiety i tkliwie ucałował w usta.

- Nie, Arleno - powiedział cicho - i ja nie zajmowałem się niczym takim. Jestem architektem, buduję, tak jak mój ojciec, który teraz umiera.

- Ale wiecie o wszystkim, to wy...

- Ciii - przerwał jej, jednak nie pozwoliła, by pocałował ją po raz drugi.

Milcząc, stali tuż przy sobie do chwili, gdy pielęgniarka szepciem zawiadomiła, że Oloff zasnął.

- My wiemy, że nas nie zdradzisz, nawet gdybyś odeszła. I wciąż wierzymy, że zostaniesz, jednak jeśli tak się nie stanie, nic nie grozi ci z naszej strony. Możesz być o siebie spokojna, Arleno.

Zrezygnowana pokręciła głową.

- Nie sądzę, by dany był mi prawdziwy spokój. Ale dziękuję ci za zapewnienie, że nie zamierzacie mnie zabić.

- Jesteśmy twoimi przyjaciółmi - powiedział Adam. - Zwłaszcza ja.

- J a k twój Anioł Stróż - dokończyła za niego pielęgniarka, wygładzając swój biały fartuch.

# DAGMAR: III

## ...DZIEŃ ŚWIĘTY

Na tydzień przed Bożym Narodzeniem śnieg przysypał Calehm tak nieoczekiwanie, że Dagmar, obudziwszy się koło południa, potrzebowała dłuższej chwili, by uświadomić sobie nagłą zmianę oświetlenia w sypialni. Było oślepiająco jasno, aż zblakły beżowe i piaskowe barwy mieszkania, jakby podczas jej snu ktoś rozbielił je mlekiem. Dagmar uniosła się i z nawyku opanowanego w ostatnich tygodniach powoli usiadła na łóżku, rozpoczynając dzień od rytuału powitania Biblioteki. Budynek odpowiedział jej skomplikowanym kodem błysków w gigantycznych przestrzeniach szyb, a ona zrozumiała, że i on wygląda inaczej niż zwykle. Zdziwiona przetarła oczy: oto Biblioteka Calehm, wyzywający obelisk i pomnik wyniosłości twórców miasta, złągodniała w ramionach śniegu. Przypominała koronę, którą ulubione dziecko króla owinęło serpentyną, w zabawie odbierając powagę monarszym insygniom. Śnieg przyprószył jej równe linie, czyniąc ją przyjazną i niemal wesołą. Zniknęły przecięcia, ostre rogi, nawet gładkie powierzchnie szyb nie oparły się miękkości śniegu i otuliły się nim jak futrem, w którego fałdach zgubiły swą wszechwidzącą czujność.

Dagmar wstała z łóżka i, dotknąwszy bosymi stopami posadzki, wzdrygnęła się od chłodu. Rozejrzała się po sypialni, inaczej niż do tej pory patrząc na nienagannie skomponowane pomieszczenie. Pierwszy raz wydało jej się puste i zimne jak lodowy pałac, w przeciwieństwie do rozpanoszonych za oknem miękkich kształtów śniegu, który migoczącymi kaskadami osypywał się z nieba. Przez zmrożone okno wyjrzała na ulicę i przekonała się, że przy-

pominą dziecięcy obrazek, nierówny, namalowany grubym, okapującym białą farbą pędzlem. Zgubiły się równe kratki trotuarów, nie było krawężników, a strzelistą Bibliotekę śnieg scalił z miejscem, na którym ją postawiono, upodabniając ją do przerośniętej piaskowej babki. Na odmienionej ulicy pojawiło się nagle wielu ludzi.

Dagmar umyła się i ubrała pośpiesznie. Coś gonilo ją i chciała jak najwcześniej wyjść z mieszkania. Gorączkowo poszukała ciepłych ubrań, robiąc spory bałagan. Nie znalazłszy czapki ani szalik, wyszarpnęła rękawiczki z kieszeni wiszącego w najdalszym kącie futra. Jego dotknięcie odwiodło ją od włożenia zbyt cienkiego płaszcza; chwyciła bojkotowane dotąd okrycie i opatuliła się nim po brodę. Była już gotowa do wyjścia, kiedy zauważyła wetkniętą za ramę lustra kartkę od Joachima:

*Chciałbym, byśmy na święta pojechali do moich rodziców. Bardzo o to proszę. Co Ty na to? Zastanów się i odpowiedz mi wieczorem. To dla mnie ważne. Miłego dnia.*

Odruchowo wcisnęła liścik do kieszeni. Zatrzasnęła za sobą drzwi i, nie czekając na windę, zbiegła po schodach. Na parterze, zdyszana od wysiłku, do jakiego nie przywykła, uświadomiła sobie, że nie napadły jej mdłości. Wyglądało na to, że po wielu tygodniach opuściły ją tak skutecznie, jak ona zapomniała o ich istnieniu.

Po śnieżnej inwazji z nieba Calem zmieniło się nie do poznania, jakby zaanektowane przez obce siły skwapliwie wydało akt kapitulacji. Stało się miastem jak każde inne, z domami i drzewami, których wypracowana wyjątkowość zniknęła pod powłoką śniegu. W dzień pierwszej śnieżycy jego mieszkańcy, jak wszyscy na świecie ludzie zamienili się w dzieci, których ulubionym środkiem lokomocji są sanki, a największym marzeniem ulepienie bałwana.

Dagmar szła ulicami jak zaczarowana, oszołomiona światłem i świeżym powietrzem, usiłując przypomnieć sobie, od jak dawna zaniechała spacerów. Musiały już minąć miesiące, podczas których opuszczała mieszkanie tylko po to, by najkrótszą drogą zejść do podziemia. Nikt nie namawiał jej, jak dawniej Arlena, na wędrówki ulicami miasta, aż niemal zapomniała, jak wielką sprawiały jej przyjemność. Ten dzień wydawał się idealny na nadrobienie stra-

conych chwil. Dagmar rozglądała się, zafascynowana scenerią odmienioną tak skutecznie, jakby w ciągu jednej nocy przekręcono obrotową scenę olbrzymiego teatru. W to wyobrażenie wkomponowywali się przechodnie, przysypani śniegiem i liczniejsi niż zwykle na ulicach, jakby do zimowego przedstawienia zaangażowano dodatkowe rzesze statystów.

Wśród przemian, które dotknęły Calehm, najważniejsze wywołały gwiazdkowe choinki. Zbombardowana mnogością impresji Dagmar dostrzegła je ze sporym opóźnieniem; nawet jeśli nie wszystkie pojawiły się na ulicach podczas tej jednej decydującej nocy i być może ustawiono je wcześniej, prawdziwie zaistniały dopiero na śniegu. Ich imponująca wyrazistość zdradziła Dagmar nową prawdę o Calehm: nieprawdopodobne miasto, owa walcząca o szczególny status i charakter enklawa łączyła się w czas Bożego Narodzenia z resztą zwyczajnego, pogardzanego przez nią na co dzień świata.

Decydując się na okazjonalne pojednanie, Calehm założyło odpowiedni strój organizacyjny: obok choinek pojawiły się lampki i świece, bombki, mikołaje, anioły oraz pucołowate dzieciątka Jezus. Ustroiło się w ich beztroską połyskliwość, w której pojedyncze rzemieślnicze arcydzieła sąsiadowały z choinkową tandetą. Rozbłyśło zieleniami, czerwienią i złotem, popartymi przez żółć, oranż oraz wiele odcieni granatu, niezwykłego w codziennym wachlarzu barw miasta. W cukierniach kusily kolorowe pierniki i filiżanki dyumiące ciepłym grogiem. Dagmar mijała je jak Dziewczynka z Zapalkami, nie odważając się zajrzeć do środka. Natrafiła nawet na najprawdźwiwszą szopkę, zamaszystą i pokaźną, ledwie mieszczącą się w kadrze sklepowego okna. Jej twórca zadał sobie wiele trudu, budując ją z deseczek, kamyków i gałęzi jako tło dla szumnej Matki Boskiej, zbyt dorosłego Jezuska oraz - jakby po calehmsku - nie-naturalnie wysokich trzech króli. W ich towarzystwie zdawali się być nie na miejscu jedynie pokorni, mali pastuszkowie oraz Józef, skłopotany podróżnik, zaskoczony tym, co mu się przytrafiło.

Nadchodziło więc Boże Narodzenie. Dagmar zapomniała o święcie, choć wspominało o nim wielu ludzi, wśród nich Joachim. Mieli

razem kupić choinkę lub choćby udekorować umowną sosnową gałąź; uprzedziła go, że nie zamierza uciekać się do błyskotek i prząsnej gwiazdkowej oprawy, nie harmonizującej z Calehm i burzącej spokój jego wyszukanej przestrzeni. Teraz, składając w głowie zastane kontrasty, cieszyła się z pomyłki. Czar Bożego Narodzenia pokonał ją bez trudu, a ona poddała się bez zastrzeżeń.

Kulka śniegu klepnęła jak przyjaciel plecy Dagmar. Odwróciwszy się, zobaczyła małe dziecko, które zadowolone z rzutu uciekło, pozostawiając jej na pożegnanie kaskadę śmiechu oraz widok na zaśnieżony plac. Oszołomiona Dagmar zastygła przed monumentalnością obrazu. Stała twarzą w twarz ze strzelistą jak choinka, przystrojoną w biel jak panna młoda i promieniejącą światłem jak łuna gwiazdy betlejemskiej Katedrą Franciszka. Kiedy, przyjąwszy jej zaproszenie, zbliżyła się do głównej bramy, zostawiła za sobą na śniegu ślady niepewnych kroków, jak zwierzę głodem zwabione do karmnika.

Nastrój w Katedrze nie przypominał przedświątecznego zamieszania, które opanowało miasto. Przechodząc przez ciężkie, mimo chłodu wpólotwarte drzwi, Dagmar przekroczyła granicę dwóch światów. W obliczu kolejnej, nie wiadomo już której tego dnia, niespodzianki, zdziwiona rozejrzała się po wolnych od ozdób murach. Uśmiechnęła się jak do czegoś znajomego: w ascetycznym miejscu nic nie wskazywało na to, że ktoś zamierza wyprzedzać czas.

Do Bożego Narodzenia brakowało dziesięciu dni adwentu. Pamiętała o tym celebrująca ważny czas Katedra, która, nie skuszona ozdobami, pozwoliła sobie jedynie na strzegące ołtarza dwie nagie, pachnące jeszcze lasem choinki oraz cztery ustawione na nim świece. Podczas gdy mieszkańcy Calehm naśladowali świat w przedwczesnym świętowaniu, Katedra Franciszka pozostała ostoją miasta. Czuwała nad nim i pilnowała go z wysokości, nie zrzucając ani swych rodowych barw, ani słynnego calehmskiego spokoju.

Dagmar usiadła na ławce i zapatrzyła się w dwie płonące na ołtarzu świece. Ich blask przyniósł jej nieokreśloną ulgę, jak w dzieciństwie, kiedy matka chwaliła ją za przyjście do kościoła. Myślała o rozbawionych ludziach spotkanych po drodze i była nimi rozcza-

rowana. Uczyli ją lekceważyć resztę świata! Rozejrzała się po pustej budowli, wdzięczna jej za nieuleganie obcym modom. Przypomniała sobie słowa Arleny: Katedra to osobne zjawisko, które bardziej łączy światy niż prawdziwie należy do jednego z nich.

W śniegowej ciszy odezwał się jeden z mniejszych dzwonów Katedry, bijąc spokojniej od poprzedniego, który gdzieś daleko przygrywał gwiazdkowe melodie. Ktoś wszedł bocznymi drzwiami, zbliżył się, by sprawdzić porządek na ołtarzu. Dagmar ujrzała wyłaniającego się z mroku młodego, ubranego w białą komżę ministranta.

- Nabożeństwo rozpocznie się za kwadrans! - zawołał do niej, a jego wysoki głos poniósł się echem po kamiennym wnętrzu.

Dagmar poskładała w głowie elementy łamigłówki. Uśmiechnęła się do siebie: Katedra Świętego Franciszka nie rezygnowała ze światowych dekoracji po to, by podkreślić swą calehmską osobność. Ona pozostała wierna samej sobie, ponieważ była kościołem.

Poczas adwentowego nabożeństwa większość miejsc w Katedrze pozostała pusta. Ojciec Aaron zdawał się tego nie zauważać i nie okazywał ani rezygnacji, ani rozczarowania. Kiedy, wspierając dłonie o katedralny ołtarz, modlił się z uniesioną głową, Dagmar przypomniała sobie opowieści Arleny. O dawnym, młodym Aaronie z pierwszych dni jego kapłaństwa mówiono, że *rozmawia z aniołami*. Czy to on zaraził nimi Arlenę? A komu ona, Dagmar, zawdzięczała tę dziwną, duchową chorobę, którą została zainfekowana? Na szczęście wyleczyła się z niej jeszcze zanim pojawiły się poważne symptomy... Nagle zatęskniła do Arleny. Wszystko byłoby inaczej, gdyby nadal mogły się przyjaźnić. A tak... Przedwcześnie przerwane rozmowy niczego nie wyjaśniły, jak zmarnowany czas.

Za oknami Katedry zapadał zmrok, niespiesznie, lecz nieubłaganie, jakby dawał ludziom czas na przygotowanie się do ciemności. Mogli poszukać sobie innych źródeł światła, podjąć stosowne kroki. Ostrzeżenie nie dotyczyło jednak Katedry, której ciemność

nikomu nie zagrażała. Jej wnętrze jarzyło się własnym światłem niezależnie od pory dnia; paliły się świece, niewielkie punkty świetlne na ścianach i kolumnach, jednak najistotniejszą iluminację zapewniały wielkie, wstrzelone w niebo okna. Ich mleczne szyby, zamiast przepuszczać mrok i pozwolić, by wsączył się do wnętrza, przeinaczały go niezrozumiałą mocą, jakby przetapiały ciemny metal w srebro. Choć trudno było zrozumieć naturę zjawiska, nikt nie dziwił się transformacji, uwalniającej ojca Aarona od troski o światło wspierające go w modlitwie.

Na jego widok, siwego, w jasnej szacie, fała tęsknoty Dagmar objęła wiele osób: daleką, zepchniętą w zapomnienie matkę, dawnego Joachima, nawet Edytę. Oraz wspomnienie o Aniele Stróžu, którego wizerunek mylił się jej z postacią przy ołtarzu.

*Gdzie jesteś? - zapytała Dagmar. - Prawie uwierzyłam w twoją obecność, kiedy Arlena opowiadała mi o swoim. Chciałam uwierzyć, że i ty chcesz odpowiedzieć mi na pytania i zagadki, dialogi demonów i tysiące obcych głosów, że próbujesz wskazać mi drogę, tak jak Anioł Arleny, który odwrócił ją od najgorszego. To twoja wina, że wszystko zgubiło kierunek. Arlena odeszła, a ja idę drogą tak ciemną, że nie widzę jej przed sobą nawet na odległość dziesięciu kroków. Nie zdołaliśmy porównać wszystkich przykazań twojego Pana Boga...*

- Twojego Pana Boga...

Dagmar drgnęła i uniosła głowę. Głos kończącego kazanie Aarona odbił się znaczącym echem:

- *TWOJEGO* Pana Boga...

Doczekawszy końca nabożeństwa, Dagmar wraz z nielicznymi wiernymi opuściła Katedrę zaraz po zniknięciu ojca Aarona. Na placu przed główną bramą zachłysnęła się mroźnym powietrzem i podniosła kołnierz futra, kiedy chłód przeszył ją tysiącem igieł. Na nowo zafascynowała ją sceneria otoczenia Katedry, kontrastująca z jej wnętrzem jak negatyw; Dagmar odwróciła się, by sprawdzić, czy rzeczywiście niebo dopiero co rozjaśniało Katedrę od środka - to samo niebo, które ze śnieżnobiałej Ziemi wydawało się zupełnie czarne... Jednak spóźniła się i jej wzrok napotkał zamknięte drzwi.

W przeciwieństwie do innych, którzy udali się do domów, cukierki lub otwartych późno w nocy sklepów, jeszcze długo stała przed Katedrą. Aby nie zmarznąć, dreptała stopami w miejscu, aż ślady jej butów utworzyły spory okrąg na śniegu. Nasyciwszy oczy, lecz nie uciszwszy niepokoju, odnalazła ukryte w podstawie budowli wejście, które prawie zasłonił padający od wielu godzin śnieg.

Znalazłszy się w podziemiu, Dagmar zaczerpnęła powietrza. Odetchnęła z ulgą, ponieważ jego zapach nie zawierał niczego nowego - ani bożonarodzeniowego aromatu świerku, ani mieszanki cynamonu i goździków na świąteczne pierniki, ani nawet grzane-  
go wina. Uspokoila się: podziemie posiadało własny, stały zapach, któremu nie groziła żadna ze świątecznych transformacji.

Przyłączyła się do niewielkiej grupy, która wyglądała na najmniej rodzinną, jednak tam pojawił się wigilijny wątek. Ktoś mówił o tym, co wydarzy się za dwa tygodnie - kiedy dopali się ostatnia adwentowa świeca, a w Świątyni Jedynego Boga pojawi się żłóbek. Ojciec Aaron nie dopuści, by małemu Jezusowi zabrakło w Calehm stajenki... Potem odprawi podziemną pasterkę.

- J a k a ona będzie? - zapytała Dagmar.

- Stanie pod ołtarzem Franciszka - usłyszała - to jedyne, co wiadomo. Wszystko zawsze samo się rozwija - czasami ktoś ulepi figurę, namaluje świętą rodzinę, ale kiedyś zdarzyło się, że jakaś kobieta z ledwie narodzonym dzieckiem na ręku zajęła miejsce na sianie. Rzeczywiście dała chłopcu na imię Jezus... A innym razem czyjeś psy odgrywały role baranków i było sporo bałaganu. Ale podobano się wszystkim, nawet buddyści zostali na mszy...

- Pytałam o pasterkę, nie o stajenkę - powiedziała Dagmar. - Jaka ona jest? W którą stronę patrzy ojciec Aaron?

Rozmówcy wzruszyli ramionami.

- Modli się zawsze tak samo. Jutro jest niedziela, idź i sama się przekonaj.

Dagmar drgnęła zaskoczona.



- To dziś jest sobota?

Spuściła głowę. Nie wiedziała, ilu ze wspominających pasterki ojca Aarona wybierało się do Sali. Pewnie niektórzy byli poprzedniego dnia w saunie. Dopiero teraz kilka twarzy wydało się jej znajomych, jednak mogła się mylić, wiedząc, że nagość jest najskuteczniejszym przebraniem. Speszyla się jeszcze bardziej i zrezygnowała z udziału w rozmowie. Niedługo później troje lub czworo obecnych opuściło towarzystwo i nikt prócz Dagmar nie zwrócił na to uwagi.

Gdyby była pewna, że idą do Sali, być może podążyłaby ich śladem. Już od kilku tygodni nie brała udziału w calehmskich sobotach. Żałowała ich, jednak uznała, że przestały być przeznaczone dla niej. Jej brzuch rozrastał się, zajmował coraz więcej miejsca, miał wpływ na trawienie, wywoływał bezsenność, migreny i bóle stawów oraz piersi, a przede wszystkim rozregulował pracę serca. Źle oddychała i wymiotowała z byle powodu, reagując na zmianę pozycji ciała, smaki, zapachy i obrazy. Wydawało się jej, że coś każe jej wyrzucić wszystko z brzucha, wyczyścić go i wypatroszyć do stanu dawnej pustki. Wszystko to, co się w niej odbywało, nadal uważała za chorobę - infekcję lub zarażenie się czymś przez pomyłkę lub za karę. Uparcie nie łączyła dolegliwości z zawiązkiem nowego życia, bo dziecko nadal dla niej nie istniało.

Dagmar nie uwierzyła w nie nawet wtedy, gdy w nocy przed trzecią niedzielą adwentu pierwszy raz poruszyło się w jej łonie.

# ARLENA: IX

## ...FAŁSZYWE ŚWIADECTWA PRZECIW BLIŹNIEMU

Pogrzeb Olofffa odbył się na jedynym cmentarzu w Calehm, miejscu, którego ktoś przypadkowy wcale nie nazwałby cmentarzem. Jego odmienny charakter sprawiał, że goście spoza miasta - oficjalne osoby ze środowiska architektów, dziennikarze i nawet ktoś z rządu - czuli się niepewnie i chronili od zagubienia, kurczowo trzymając się kogoś miejscowego, zobowiązując go do dotrzymania towarzystwa.

Calehmski cmentarz usytuowany był w podmiejskim lesie, ograniczonym do pojedynczych drzew i kamieni. Nie było w nim krzaków, drzewa rosły w sporych odstępach od siebie, tak aby można było swobodnie dojść do każdego z nich. Nie było nagrobków ani alei, ziemię pokrywała równa jak dywan, miękka podściółka z mchu.

Model chowania ciał w trumnach nie istniał w Calehm już od dawna, a wywodzący się stąd zwyczaj poświęcania zmarłym drzew i kamieni zdążył znaleźć naśladowców w wielu innych miejscach świata, choć nigdzie nie postępowano równie konsekwentnie. W Calehm wszyscy - mieszkańcy miasta nadziemnego i podziemnego - kończyli swą życiową drogę jako garstka prochu, którą bliscy wsuwali pod gałąź czy korzeń drzewa albo utykali pod jednym z kamieni. Nie każdemu z nich zapewniano choć małą tabliczkę z imieniem i nazwiskiem i generalnie lekceważono daty urodzin oraz śmierci, czym nikt się nie oburzał w Lesie Zmarłych, jak przed wieloma latami nazwały calehmski cmentarz obce gazety.

Nie znający obyczajów obcy ludzie czuli się dziwacznie na pogrzebie Olofffa. Przybyli, by go tradycyjnie pożegnać, a jako że nikt nie przysłał im oficjalnych zawiadomień, zorganizowali się sami i, żałobnie ubrani, przywieźli ze sobą nagrobne wiązanki, zbędne w miejscu bez grobów i zniczy. Bukiety przeszkadzały żałobnikom, którzy czernią kontrastowali z przyjaciółmi zmarłego, odzianymi w kolory Calehm, naśladowujące kamień lub białą brzoźową korę. Spe-szeni sytuacją oficjele ukryli się za maskami milczenia, choć i tak nikt nie zwracał na nich uwagi, gdyż nie byli tu niczym więcej, jak dodatkowym zagrożeniem dla podściółki lasu, pod tysiącami stóp wystawionej tego dnia na próbę trudniejszą niż zazwyczaj.

Arlena dostrzegła w tłumie Joachima. Stał otoczony niewielką grupką niezaproszonych gości, wśród których nie było Dagmar. Wyglądał na kogoś, kto chciałby się uwolnić, jednak tamci trzymali się go stanowczo, jakby to za jego namową kupili i przynieśli tak wymyślny, jak niepotrzebny wieniec. Wiedząc, że Joachim sam nie ośmielił się podejść, Arlena zaczęła na niego po zakończonej ceremonii. Czując na sobie jej wzrok, przeprosił towarzystwo i podszedł do niej niepewny, pożegnany niespokojnym wzrokiem pozostawionej w tyle sekretarki z biura.

- Ja wiem, że tu nie składa się kondolencji - zaczął zakłopotany jak mały chłopiec - ale proszę pozwolić mi powiedzieć, że straciliśmy wielkiego człowieka.

- Dotknęło to pana osobiście? - spytała, niedbale kiwając głową w kierunku sekretarki.

- Rozmawiałem z nim raz, może dwa... To niewiele, oczywiście, jednak tu wszystko toczyło się według jego myśli. Pani wie o tym najlepiej.... Nie potrafię sobie wyobrazić, jak tutejsze życie potoczy się bez niego.

Arlena przeniosła wzrok na jego zatroskaną twarz.

- Może więc powinien pan stąd wyjechać? - spytała.

Joachim skamieniał, jakby znienacka trzasnęła go batem.

- Nie rozumiem...

- Pańskie magazyny będą gotowe lada dzień, nie jest pan, o ile mi wiadomo, przewidziany do żadnego z dużych projektów, a na

rzeczy marginalne szkoda pańskich zdolności.

Otworzy! usta, jednak nie zdołał niczego z siebie wydusić. Nerwowo pociera! brwi palcem prawej dłoni, a jego twarz nabrała purpurowego odcienia. Spokojnie obserwująca go Arlena powiedziała:

- Szef pańskiej pracowni przyjął propozycję budowy budynku dla wyższej uczelni poza Calehm, czy słyszał pan o tym?

Wciąż niezdolny do odpowiedzi Joachim przecząco pokręcił głową.

- To zdarza się niezwykle rzadko, aby calehmskie pracownie przyjmowały zlecenia, jak to się u nas mówi, za granicą. Jednak to w zasadzie zdecydowane i wiem, że ktoś będzie potrzebny na miejscu realizacji. Pańska przyjaciółka mogłaby pojechać tam z panem.

- Moja przyjaciółka? - wykrztusił.

Patrząca mu beznamiętnie w oczy Arlena była blada i bardzo zmęczona.

- Tak, ona też mogłaby przydać się na miejscu.

Nie ruszali się z miejsca, mijani przez ludzi, którzy z wolna opuszczali cmentarz. Większość kierowała się w stronę drogi, gdzie czekały już samochody oraz rząd kolorowych taksówek, które po załadowaniu pasażera odjeżdżały po kolei i cierpliwie, jakby rozwoziły gości po koncercie w filharmonii. Arlena odmownie pokiwała dłonią ojcu Aaronowi, jedynemu ubranemu w czerń calehmskiemu żałobnikowi. Przyszedł w pełnym rynsztunku, założył nie tylko sutannę, lecz także ornat i stułę, w których odprawił w Katedrze mszę żałobną za spokój duszy Oloffa. Arlena była na niej obecna, siedziała na jednej z ław gdzieś w środku kościoła, wdzięczna, że pozostawiono ją w spokoju. Nikt nie męczył jej pytaniami o mszę i pogrzeb - wszystko zostało uregulowane przez Oloffa i Adama, z których pierwszy pozostawił przed śmiercią konkretne dyspozycje, natomiast drugi sumiennie dopilnował ich wykonania. Syn zmarłego wraz z orszakiem jego przyjaciół odnosił się do Arleny z wyszukany szacunkiem, aż zakpiła, że brakuje jej tylko tytułu królowej wdowy.

- Pański szef już niedługo złoży panu odpowiednią propozycję - powiedziała do Joachima, choć pomysł dopiero pojawił się w jej głowie.

- Czy pani... - Joachim mienił się na twarzy. - Czy mam rozumieć, że teraz pani przejmuje stanowisko swojego męża? Chciałbym wiedzieć, o co tu właściwie chodzi, na co sobie pani...

Przerwał pod jej wzrokiem, w którym pomylił obojętność z wyniosłością.

- Tak, słucham pana - zachęciła go spokojnie.

- To... to, że znajdujemy się na pogrzebie pani męża wcale nie upoważnia pani do traktowania mnie w ten sposób...

- W jaki sposób?

- Ja nie jestem przedmiotem, mnie nie można przestawiać tu albo tam!

- Niech się pan uspokoi - odparła. - Nikt nie zamierza tego robić. Gdzie jest Dagmar?

- A więc to ona... - Joachim był roztrzęsiony. - To ona panią o to prosiła? O pomoc w pozbyciu się mnie z Calehm?

- Nie rozmawiałam z nią od trzech miesięcy,

Pierwszy szok Joachima przeistoczył się w panikę i nieopanywany lęk, które zauważyła, choć z daleka, jego przyjaciółka sekretarka. Jednak także ona nie odważyła się samowolnie podejść do Arleny i niespokojnie czekała dalej, zajęta zadeptywaniem wciąż tej samej plamy topniejącego śniegu.

- Ona jest dziwna, mówi, że choruje - powiedział niechętnie Joachim. - Jednak nie chce ze mną o tym rozmawiać...

- A rozmawiacie o czymkolwiek?

Zmarszczył brwi.

- Rzadko - przyznał.

- Co pan podejrzewa?

- Przytyła, cierpi na niestrawność.

Przyjrzała mu się, powątpiewać w jego naiwność.

- Jest w ciąży - powiedziała.

Cios był celniejszy od wszystkich poprzednich. Dopiero wyraz twarzy skamieniałego Joachima sprawił, że Arlena uwierzyła w jego

nieświadomość. Nie mogła się mylić - miała przed sobą człowieka, którego poraził grom z jasnego nieba.

- To mniej więcej szósty miesiąc, a pan o niczym nie wie?

- Co?... - wybełkotał, odwracając się do kochanki, jakby szukał w niej oparcia.

Dostrzegłszy jego stan, sekretarka poruszyła się gwałtownie, jakby chciała biec mu z pomocą, jednak ostre spojrzenie Arleny zatrzymało ją na miejscu. Jak odprawiana z salonu pokojówka zareagowała na nieme polecenie i pociągnęła za sobą z cmentarza zniecierpliwione tymczasem, przemarznięte towarzystwo Joachima.

- Przejdźmy się trochę - zaproponowała Arlena. - Dobrze to panu zrobi.

Poszła przed siebie, nie czekając na odpowiedź, a on bezwolnie ruszył za nią.

- Mówiła, że nie będzie miała dzieci... - powiedział Joachim głosem, który trząsł się jakby mówiący był w ataku gorączki.

Powracali w pobliże kamienia, wokół którego wcześniej gromadziła się imponująca rzesza ludzi. Tylko przez wzgląd na spokój Lasu Zmarłych ułatwiono poszukiwania miejsca spoczynku Oloffa przez opatrzenie kamienia tabliczką z jego imieniem i nazwiskiem. Nie różniła się od kilku innych na nietypowym cmentarzu, miała podobny rozmiar i wykonana była z materiału, którego wytrzymałość nie mogła przekroczyć kilkunastu lat. Po ich upłynięciu niekonserwowana tabliczka winna złuszczyć się z kamienia jak zeschnięty strup z zagojonej rany.

- Dlaczego? - zapytała Arlena, ponieważ nie wiedział tego nawet lekarz, który rozpoznał ciążę u Dagmar i który na jej prośbę próbował - jak dotąd bezskutecznie - ściągnąć pacjentkę do gabinetu.

- Ona nie mogła zająć w ciążę, więc spróbowaliśmy zapłodnienia in vitro. Powiedziała, że więcej tego nie powtórzy. Nigdy.

- Nie znam się na medycynie - powiedziała sucho. - Poza tym jestem niemal pewna, że to nie jest pana dziecko.

Odwrócił się gwałtownie, jakby chciał ją uderzyć, jednak nie wykonał żadnego ruchu.

- Skąd... skąd pani wie?

Wzruszyła ramionami.

- Prosty rachunek prawdopodobieństwa wskazuje raczej na Adama, chyba że i z panem sypiała prawie codziennie.

- Z Adamem? Adamem, synem... Pani pasierbem?

- On nie jest moim pasierbem - zaśmiała się bez cienia wesołości. - Jest po prostu synem Olofffa, a może jednym z synów Olofffa, ale jakie to ma znaczenie?

Po jego wzroku poznała, że przestał bronić się przed nienawiścią do niej.

- Powiniennem to rozumieć? - siląc się na niewyszukaną ironię, wycodził przez zaciśnięte zęby.

- Nie musi pan - odrzekła. - Moim zdaniem, ma pan teraz poważniejsze sprawy na głowie.

- Tak... Pani mówi mi, że moja żona nosi dziecko pani pasierba, jeśli dla uproszczenia wolno mi go tak nazwać.

- Tak uważam.

- Nawet nie wiedziałem, że moja żona ma romans.

- Może dlatego, że za bardzo był pan zajęty swoim?

Zacisnął pięści. Jej spokój dobijał go nie mniej niż sprawy, które mu przekazywała.

- To nie było nic poważnego... - powiedział. - Przelotna sprawa.

- Jednak przestała być przelotna, prawda?

- Skąd ma pani tak dokładne informacje?

Znowu pozwolił sobie na ironię. Jej zdaniem, uspokajał się zbyt wolno, choć nie przewidywała, że mógłby zaskoczyć ją czymkolwiek. Czula zmęczenie, powoli odpyływała z niej narzucona sobie odporność na trudy tego dnia, co wraz z niechęcią do Joachima sprawiło, że chciała jak najszybciej zakończyć rozmowę.

- Dagmar sypiała z Adamem prawie od samego początku. To działo się u nas w domu, gdzie widziałam ją u niego dziesiątki razy. Adam poznał ją kiedyś na przyjęciu, na którym byliśmy oboje, i postanowił ściągnąć was do Calehm. Zrobił to nie ze względu na pana, nie dlatego, że uznał pana za niezbędnego tu architekta, ale z powodu pańskiej żony. Chciał, by została jedną z jego dziwek.

Potrzebował kilkunastu sekund, zanim zduszonym głosem zapytał:

- I wciąż jest... jego dziwką?

Uśmiechnęła się leciutko.

- Ma pan na myśli to, czy on przyzna się do jej dziecka?

- Mniej więcej.

- Czyli chce pan uspokoić swe staromodne poczucie odpowiedzialności i mieć pewność, że nie zostawi w potrzebie ciężarnej... Cóż. Może się pan nie obawiać. Dagmar będzie pod dobrą opieką. Niech pan jedzie - Arlena przetarła zmęczone oczy. - Sama to panu poradziłam.

- A może ona tego nie zechce?

- A pan, czy pan zechce być z kobietą, która z pełną świadomością jest kochanką innego mężczyzny? Oczywiście mógłby pan poczekać do porodu, zrobić badania genetyczne i tak dalej, i tak dalej... Dziś łatwo przekonać się o ojcostwie, ale po co? Wiemy oboje, że pan jej nie kocha.

Posłał jej przygnębione spojrzenie.

- To ona mnie nie kocha. Nienawidzi. Nie chce mnie dotykać, nie chce ze mną rozmawiać. Nie rozumiem tego. Kiedy tu przyjeżdżaliśmy, wszystko było w porządku.

- J a k pan sądzi - dlaczego?

- Może dowiedziała się o...

- Nie. To znaczy dowiedziała się, jednak niedawno i ta wiadomość wcale jej nie dobiła. Sądzę, że raczej nigdy nie zapomniła o przeszłości. O Edycie.

- O Edycie? - wykrzyknął z niedowierzaniem. - Przecież ja nie rozpoznałbym jej już na ulicy!

- Ponieważ teraz jest pan zakochany w kim innym.

- Zakochany? - powtórzył, jakby nie chciał tego pojąć.

- Wszystko na to wskazuje, prawda? Ona też pana kocha, całą miłością swej głupiutkiej, młodej duszyczki. Trzeba powiedzieć, że takiej intensywności uczuć nie przewidział nawet Adam, kiedy podsuwał ją panu pod nos.

Roztrzęsiony Joachim podrapał się po głowie.



- Trochę za dużo tych rewelacji jak na jeden dzień pogrzebu, prawda? - powiedział bezradnie.

Arlena rozglądała się dookoła. Las Zmarłych świecił pustkami, choć wśród drzew spacerowało jeszcze kilka osób. Znała ich, wiedziała, że odprowadziwszy Oloffa, poszli odwiedzić groby innych swoich bliskich.

- Ona pana kocha - powiedziała nie z litości, lecz by wyjaśnić do końca wszystkie sprawy. - Kocha pana i chce z panem żyć. Nie powinien pan zaprzepaścić kolejnej szansy. Wyjedźcie stąd. Dostanie pan ciekawą pracę i nową żonę, która chętnie urodzi panu dzieci.

Poprawiła połę długiego płaszcza, spod którego błysnęła jej sukienka. Nadal ciemnobeżowa, potrzebowałaby dużo czasu, by ujednolicić się kolorem z bielą brzoź na cmentarzu. Była ciemniejsza nawet od kamienia, który wybrał dla siebie Oloff- złotawego granitu o barwie kawy rozbielonej mlekiem, z czerwonymi jak krew żyłami. Arlena pożegnała wzrokiem kamień, wpatrzony w nią wieloma parami oczu, z których jedna była największa i najbardziej wyraźna. W tej ostatniej wymianie spojrzeń nie było ani żalu, ani smutku.

- Chodźmy stąd - powiedziała w końcu, odwracając się do Joachima. - Odwiozę pana taksówką do domu. To rzeczywiście dużo dla pana jak na jeden raz.

- Za to pani jest bardzo spokojna jak na kogoś, kto pochował męża.

- On nie był moim mężem - sprostowała łagodnie. - Jednak ma pan rację. Rzeczywiście, można tak to określić: jestem spokojna.

# DAGMAR: II

## ...NIE BĘDZIESZ WZYWAĆ NADAREMNO

Mój mąż opuścił mnie na początku marca, miesiąc po tym, jak po długiej chorobie zmarł Oloff. Śmierć ta była wielkim ciosem dla Joachima, który, jak przypuszczam, i tak nie zdawał sobie sprawy z faktycznego formatu Oloffa, z jego roli i zasług dla Calehm. To prawda, że Joachim widział w nim swego guru, lecz dotyczyło to zaledwie spraw zawodowych. Mój mąż nie wiedział nic o drugiej stronie Calehm i, nie należąc do wybranych, nie dostał honoru zejścia na dół. Nie jest mi wiadome, dlaczego tak się stało; w miarę upływu czasu zaczęłam wierzyć, że podobna szansa dana jest niemal każdemu w mieście i nie rozumiałam, dlaczego ominęła akurat Joachima.

Własną szansę - według mego przekonania zasłużoną - zawdzięczałam Arlenie, nawet jeśli później odsunęła się ode mnie, co więcej, zwymyślała mnie za to, że poszłam tam sama. Tę jej późniejszą, niezrozumiałą dla mnie reakcję, przypisywałam tylko mojemu wyprzedzeniu jej w czasie oraz brakowi cierpliwości, który nie pozwolił mi zaczekać na osobiste wprowadzenie przez Arlenę. Jednak i tak byłam przekonana o tym, że pierwsza dama Calehm nie ściągaby mnie tu i nie marnowała dziesiątek godzin na opowiadanie mi o mieście, przed którym chciała mnie ustrzec. Wierzyłam również w to, że od niej pochodził klucz, który otrzymałam w Bibliotece, jednoznaczne zaproszenie na dół. Przyjęłam go z wdzięcznością i skwapliwie wykorzystałam.

Nie żałowałam utraty... nie, odejścia mojego męża. Nadszedł czas, aby uznać, że nasza próba ratowania związku zwyczajnie się nie udała. Mieliśmy na początku dość dobrej woli, by spróbować, jednak skoro nam nie wyszło, pozostało rozstanie. Nie deprecjonowałam tej próby, ponieważ to jej podjęcie przywiodło nas do Calehm. Gdyby tak się nie stało, pozostałby mi tylko bezsens nie-dobrego związku.

Nie miałam żadnych uczuć dla Joachima i tylko to potrafiłam powiedzieć mu podczas naszej ostatniej rozmowy. Moje reakcje zmieniły się, odkąd zaczęłam funkcjonować na dole i uwierzyłam, że nie trzeba zmuszać się do słów, których się nie czuje, według zasady pozwalającej każdemu żyć na własny sposób. Pojęłam również - tak późno! - dobrowolność dotyku, a gdy ją sobie przyswoiłam, nie mogłam już używać jej w charakterze prezentu albo aktu litości. I wiedziałam dokładnie, że nie chcę, by dotykał mnie Joachim.

- Podobno jesteś w ciąży - powiedział, wszedłszy do domu i stając naprzeciw mnie, jeszcze mokry od deszczu.

W Calehm znowu padał deszcz, prawie tak silny jak tego dnia, w którym w moim życiu pojawiła się Arlena. Pamiętałam jej słowa: w Calehm rzadko zdarza się taki deszcz. Okazały się nieprawdą, gdyż padało często, aż zaczęłam myśleć, że coś zmieniło się w mieście wraz z moim przybyciem.

Nie odpowiedziałam na zaczepkę Joachima, zdecydowana czekać na ciąg dalszy. Pomyślałam, że jego ton jest naprawdę arogancki, jakbym była jego głupią żonką, której wolno robić wyrzuty o kupno drogiej i niepotrzebnej sukienki.

- Chyba powinienem o tym wiedzieć! - powiedział jeszcze ostrzej i jeszcze bardziej wrogo.

Podniósł ramiona, jakby chciał mną potrząsnąć, jednak nie odważył się, a we mnie coś odezwało się nedorzecznie: *Nie robi tego, bo jestem w ciąży.*

- Kto ci o tym naopowiadał? - zapytałam, by nie sądził, że go ignoruję.

- To nie ma znaczenia! Odpowiedz mi - jesteś w ciąży czy nie?

Zastanowiłam się przez chwilę. Stan, w którym się znajdowałam, był bardzo absorbujący i zbyt długo czułam się naprawdę źle. Niemal do samej Gwiazdki męczyły mnie wymioty, natomiast bóle podbrzusza, żołądka, a także - mimo przyjmowanych leków - serca, przeszkadzały mi w prowadzeniu normalnego życia. Nie mogłam więc o tym nie myśleć.

- Lekarz powiedział, że jestem w ciąży - odpowiedziałam, wążąc każde wypowiedziane słowo.

- Czy to moje dziecko? - zapytał jednocześnie sucho i niegrzecznie.

Zaskoczył mnie. Dziecko... Nie rozumiałam go. Ani jego słów, ani tego, dlaczego tak głupio do mnie mówi. Powinien równie dobrze jak ja wiedzieć, że nie mogę mieć dzieci.

- Twoje dziecko? - powtórzyłam jakoś automatycznie, po to, by zyskać czas na zastanowienie. - Nie, nie sądzę.

Przyglądałam mu się, bo wydał mi się dziwny. Jego oczy wyglądały jak obce, podobnie jak jego usta i zmarszczone czoło. Nawet zapach, na który składała się jakaś nieprzyjemna mieszanka różnych rodzajów wilgoci - jego potu i calehmskiego deszczu - wraz z elementami męskich perfum z pewnością nie przeze mnie wybranych, podpowiadał mi, by trzymać się od niego z daleka. Jego obecność nie była dla mnie dobra.

- Chciałbym mieć pewność - powiedział. - Jeśli to moje dziecko, wyjedziemy skąd i na nowo odbudujemy naszą rodzinę.

*Wyjedziemy stąd... Rodzinę...* - jego słowa odbiły się od moich uszu jak piłki od pingpongowego stołu. Ich sens dotarł do mnie chyba dość pokracznie, gdyż używana przez Joachima liczba mnoga, sposób mówienia o nim i o mnie jako o czymś wspólnym, raziły mnie i uwierały.

- Jeśli natomiast to nie jest moje dziecko, wyjadę stąd bez ciebie. Było mi trudno pogodzić się z tym, co od ciebie usłyszałem - że nie mamy szansy, że mnie nie chcesz. Trudno mi było znieść twoją złość, obojętność, twoją nienawiść...

- Nienawiść?

Znów powtórzyłam coś po nim, ponieważ kolejny raz zaskoczył mnie swoją nedorzecznością.

-Ależ ja nie czuję do ciebie nienawiści - powiedziałam głośno.

Wyjechał trzy tygodnie później. Opuścił Calehm, jednak pozostał pracownikiem calehmskiego biura, gdyż, jak mi wyjaśnił, przedstawicielstwo w terenie było bardziej prestiżowe od byle jakiej pracy na miejscu. Zdziwiłam się, ponieważ nigdy dotąd nie nazywał swego projektowania magazynów „byle jakim”. Zrozumiałam natomiast myślenie sfrustrowanego Joachima, który uznał, że, reprezentując architekturę Calehm poza miastem, będzie bardziej calehmski niż mógłby kiedykolwiek stać się wśród tutejszej elity, o którą zaledwie się ocierał. Jego oczekiwanie sukcesów opartych na podwójnym nieporozumieniu wydało mi się zabawne, z czym jednak nie zdradziłam się przed nim, uznając za najważniejsze zadowolenie wszystkich zainteresowanych stron.

Także jego kochanki. Nie pytałam o tę inną kobietę, wcale nie z fałszywej, a całkiem niepotrzebnej dumy, wcale nie ze strachu. Nie chciałam niczego rozdrapywać ani prowokować; w pewnym sensie byłam wdzięczna losowi za jej obecność, która usprawiedliwiała mnie, dawała alibi i pomagała trzymać na odległość Joachima. Opowiedział mi o wszystkim, wyjaśnił punkt po punkcie, jakby posługiwał się konspektem z konferencji o rozwoju miasta. Wy tłumaczył mi więzy łączące go z tamtą kobietą, pomijając - przypuszczam, że z litości, która i tak nie była mi potrzebna - swoje uczucia dla niej. Nie przerywałam mu, nie poprawiałam go i nie wypytywałam. Porozumieliśmy się i Joachim zabrał się za przygotowania do wyjazdu.

- J a k dasz sobie radę? - zapytał, jednak trochę niepewny.

Przedtem szczegółowo wyjaśnił mi zasady, według których mogłam zatrzymać apartament. Tego dnia była to rzeczywiście najważniejsza dla mnie rzecz, gdyż choć zdawałam sobie sprawę z konieczności zmiany miejsca zamieszkania, nie mogłam zajmować się tym w obecnym stanie. Już od tygodni odkładałam ten problem na później.

- Dam sobie radę, naprawdę - powiedziałam prawie wesoło, spokojona o przyszłość najbliższych kilku miesięcy. - Wszystko jest w najlepszym porządku.

Joachim przyglądał mi się, jakby czegoś oczekiwał. Już nie był zły, raczej sprawiał wrażenie zrezygnowanego - i to teraz, kiedy otworzyły się przed nim nowe perspektywy. Obdarowałam go uśmiechem, w tej samej chwili przyrzekając sobie nigdy więcej nie śmiać się na życzenie.

- Powiedz jej, żeby o ciebie dbała - powiedziałam mu na pożegnanie.

Moje życzenie było szczere.

Pod koniec siódmego miesiąca ciąża Dagmar była już wystarczająco widoczna, by zdążyło zagadnąć o nią kilkoro mieszkańców podziemia. Na szczęście ich pytania nie przypominały niedobrej ludzkiej ciekawości, którą Dagmar znała z poprzedniego świata. Nie były natarczywe czy niedyskretne, jednak nie zdradzały też szczególnego zainteresowania, co uświadomiła sobie dlatego, że wbrew woli stała się bardziej drażliwa i nerwowa, jakby po ustąpieniu fizycznych dolegliwości funkcję sprawiacza kłopotów przejęła jej psycha. W powstałym rozgardiaszu uczuć Dagmar czuła się niepewnie i była rozdarta między wygodną anonimowością a żalem z powodu braku duchowego wsparcia. Swego stanu uparcie nie kojarzyła z dzieckiem, nadal traktując go jako nietypową chorobę albo przejściową niedyspozycję, która lada chwila się zakończy.

Któregoś dnia wdała się w przypadkową wymianę słów z kobietą, która zauważyła jej łagodnie zaokrąglony brzuch, uważniejszą od innych dlatego, że sama również oczekiwała dziecka.

- Jesteś w ciąży - powiedziała uśmiechnięta.

Były to słowa Joachima, jednak nie zabrzmiały - jak w jego wydaniu - wrogo. Dagmar upewniła się co do pokojowych zamiarów kobiety.

- Owszem - odpowiedziała niepewnie.

- Kiedy się urodzi?

- Kiedy? - ze sztuczną powagą powtórzyła Dagmar.

Jej ton zdziwił obcą kobietę. Przyjrzała się Dagmar, jednak nie zauważyła w niej niczego niepokojącego.

- Masz rację - powiedziała, uznając odpowiedź za wyraz niecierpliwości. - Ja też bym chciała, by to stało się już jutro.

Siedziały w jednej z podziemnych sal w pobliżu korytarza. Było to pogodne miejsce, jasno oświetlone za pomocą szybu, którym z góry spływało światło. W płamie słońca na posadzce bawiło się kilkuletnie dziecko ciężarnej kobiety, chłopczyk o poplątanych włosach, zajęty drobnymi częściami z plastiku i metalu, których pełen karton stał obok kolan jego matki. Dagmar obserwowała dziecko od dłuższego czasu, zdziwiona powolnością jego ruchów i niemym spokojem oczu. Była przekonana, że jest upośledzone, jednak nie potrafiła określić jego choroby. Kobieta w ciąży opatrzenie zrozumiła jej spojrzenie:

- Wierzę, że to drugie będzie zdrowe - powiedziała. - To znaczy, wierzę, że będzie umiało się śmiać.

- Czy on nigdy się nie śmieje? - zapytała Dagmar, patrząc na chłopczyka.

- Nie... Czasem odkrywam na jego twarzy grymas, który chcę uznawać za uśmiech, ale prawdziwego śmiechu nie słyszałam u niego od czasu, gdy zaczął poruszać się samodzielnie.

- Czy... czy byłeś z nim u lekarza?

Kobieta potwierdziła skinieniem głowy.

- Raz. Wiesz, tu jest lekarka, kiedy mam problemy, idę do niej, jednak ten jeden raz wyszłam z nim na zewnątrz. Ze względu na niego byłam w normalnym gabinecie.

Sposób, w jaki zaakcentowała słowo „normalny”, nie uszedł uwadze Dagmar.

- Ktoś ci to poradził, prawda? - powiedziała cicho.

- Tak. Matka Wszystkich...

Kobieta w ciąży zajęta była podłużnymi kawałkami plastiku, które wyjmowała z kartonu i z wprawą łączyła ze sobą. Dagmar rozpoznała w nich obsadki wiecznego pióra. Kobieta polerowała je czystą irchową ścierką i odkładała do płaskiego pudełka, którego Dagmar wcześniej nie zauważyła.

- Pracuję w wolnych chwilach - wyjaśniła. - Przyjęłam to, bo moja słaba dusza przejawia czasem niskie potrzeby.

Pochyliła się w stronę Dagmar, aż jej okrągły brzuch doknął podłogi.

- Ostatnio kupiłam sobie perfumy - powiedziała szeptem, jakby zdradzała państwową tajemnicę i cicho zaśmiała się z samej siebie. - Jestem próżna, wiesz? Mieszkam tu, a jestem próżna.

Dagmar odpowiedziała niespokojnym uśmiechem.

- Wielu ludzi tu pracuje? - spytała, wstydząc się niewiedzy.

- Och, tak... Właściwie to nie jest konieczne, ale bardzo pomocne. Kiedy chcesz zjeść coś innego, coś innego założyć... Mogłabyś pracować razem ze mną.

- To są pióra?

- Greensoul. Znasz tę markę?

- Nie.

- T a k sądziłam. To bardzo snobistyczna marka, droższa niż Mont-Blanc albo Pelikan. Pióra są składane, polerowane, pakowane ręcznie. Ściśle limitowane serie, z grawerunkiem na życzenie.

- Tyje grawerujesz? - spytała Dagmar.

- Nie, tylko składam. Graweruje ktoś inny.

- Także ktoś... stąd?

- Mhh.

Kobieta wyjęła dwie następne części z kartonu i zajęła się składaniem, więc Dagmar powróciła wzrokiem do dziecka. Nadal bawiło się w ten sam sposób, skupione i mechaniczne w ruchach, które przypominały zajęcie matki. Chłopczyk powtarzał jej ruchy sprawnie jak prestidigitator w cyrku, imitując w powietrzu składanie, jednak bez dotykania części o część. Każdy gest powtarzał nieskończoną ilość razy, zawsze tak samo, perfekcyjny jak maszyna.

- On jest bardzo uważny - powiedziała cicho Dagmar do jego matki.

- Wie, że nie można niczego zniszczyć. To bardzo cenne części.

- On jest dość mały... - zauważyła Dagmar - Ile ma lat? Trzy, cztery?

- Ponad siedem - wyjaśniła ciężarna kobieta, nie podnosząc głowy. - To taka choroba. On nie rośnie.



Dagmar przylgnęła wzrokiem do powstającego pióra marki Gre-soul. Zaczekała tak długo, aż kolejna wypolerowana irchą obsadka znalazła swoje miejsce w pudełku.

- Mówiłaś, że byłaś u lekarza... - przypomniała cicho.
- Raz - powtórzyła kobieta. - To było trudne... Od lat nie byłam na górze. Taaak. Ledwie to zniosłam.
- Co powiedział? Mam na myśli lekarza.
- To, czego oczekiwałam.

Matka chłopca wyprostowała się. Nie sięgnęła po kolejne części.

- Powiedział, że mały potrzebuje ruchu, powietrza, słońca. Więc trzymam go na słońcu... To znaczy prawie. Sam zawsze siada tam, gdzie światło pada na niego z góry.

Dagmar czuła, że mężczy rozmówczynię, jednak zamiast zostawić ją w spokoju, nie potrafiła powstrzymać się od dalszego drążenia:

- A jego choroba?
- Miały być robione badania genetyczne. Nie chcieliśmy.

Ciężarna kobieta nieoczekiwanie ujęła Dagmar za obydwie ręce, aż ta przestraszyła się jej nagłego ruchu.

- Nie lubię o tym mówić, okej? Rozumiem twoje lęki, więc odpowiedziałam ci na pytania, ale już wystarczy. Powinnaś zrobić to, co ja - myśleć o tym, że twoje dziecko będzie zdrowe. Może ja za pierwszym razem to zaniedbałam, a może mały naprawdę ma jakąś chorobę. Jest mi to obojętne. Tu jesteśmy szczęśliwi.

Dagmar zmusiła się do czegoś w rodzaju uśmiechu, który miał wyrażać przeprosiny. Matka chłopczyka nie tego jednak po niej oczekiwała; nie wypuszczając jej dłoni, które nagle stały się mokre od potu, zajrzała jej głęboko w oczy:

- Nie bój się niczego, Dagmar. Po prostu zgódź się na to, co się dzieje - pogładziła ją po głowie, jakby miała przed sobą jedno ze swoich dzieci. - Mały? Ucałuj Dagmar, bo jest bardzo smutna.

Chłopczyk zostawił dwie plastikowe części, cienkie jak jego paluszki, i starannie poprawił ich ułożenie na kamiennej posadzce. Z widocznym wahaniem opuścił płamę światła, w której czuł się bezpiecznie.

Kiedy zbliżał się do Dagmar, wydał się jej jeszcze mniejszy, drobniejszy, jakby prostując się i opuszczając jasne miejsce, zostawiał za sobą część swego konturu. Podszedł do niej i położył maleńkie dłonie na jej policzkach. Przez chwilę wpatrywał się w nią niebieskimi oczyma, których powaga nie pasowała do jego lilipuciego ciała, po czym objąwszy ją za szyję, przytulił się całym sobą, aż złagodniała i skurczyła się pod jego dotknięciem. Wtedy pocałował ją, ciepło i wilgotnie, jak zwyczajne małe dziecko, a ona przymknęła oczy, które stały się bardziej mokre od jej dłoni. Zapragnęła zatrzymać tę chwilę oraz niewinnego, podarowanego na szczęście całusa. Coś w jej głowie wyrecytowało definicję dziecięcego pocałunku: był czysty jak muśnięcie anielego skrzydła. I tak prawdziwy jak kopnięcie wewnątrz brzucha, tak wyraźne, że nawet chłopiec nazwany Małym stał się jego świadkiem.

Dagmar wracała do domu pieszo, gdyż przez nieuwagę wyszła z podziemia dalej niż zazwyczaj, w miejscu, które wydało się jej obce. Szła podobnymi do siebie ulicami, wśród domów konsekwentnych w linii i rysunku, nieubłaganie precyzyjnych. Były doskonale, każdy z nich zasługiwałby na osobny zachwyt i analizę, był dziełem samym w sobie. Dagmar mijając kolejne zabudowania, a stukot jej nerwowych kroków odbijał się od ich gładkich fasad ze szkła wprawionego w kamień. Budynki zlewały się w jedno, podobnie jak niekończąca się aleja drzew, z których każde mogło być arcydziełem natury, gdyby, ustawione w jedno równe zgrupowanie, nie utraciły swej indywidualnej urody na rzecz całości.

Nadziemne, dobrze znane Calehm naraz zamieniło się w labirynt, który Dagmar przemierzała coraz szybciej i coraz niespokojniej. W rosnącej panice odliczała zamknięte szklane drzwi połyskliwych budynków, prześlizgując się po nich wzrokiem i oceniając ich szczelność. Budziły w niej nieracjonalny lęk, jakby ktoś miał otworzyć któreś z nich i w złych zamiarach wciągnąć ją do środka.

Zdyszana i zmęczona dopadła w końcu własnego domu. Choć jego drzwi były podobne do wszystkich innych widzianych po dro-

dze, równie śliskie i niedostępne spojrzeniom, były jej znanym i bezpiecznym wejściem. Jak na zawołanie otworzyły się, jeszcze zanim zdążyła wygrzebać z kieszeni klucz, a wychodzący nimi niezajomy mężczyzna, ukłoniwszy się, przepuścił ją przez sobą. Dagmar obejrzała się za nim zdziwiona i choć wiedziała, że musi być jej sąsiadem, nie zdołała go sobie przypomnieć. Szukając w pamięci, pojęła, że w swoim wielkim domu nigdy nie minęła się z nim tak blisko.

Gdy wchodziła schodami na górę, jej kroki stały się wolniejsze, a zmęczenie odezwało się w postaci bólu mięśni i stawów. Powróciło uczucie niebezpieczeństwa: dom był pusty tak jak puste były ulice, które pokonała. Dotarwszy do mieszkania, zamknęła się od wewnątrz i spędziła wiele minut na obserwowaniu przez przeszkloną listwę wyludnionego korytarza, sama nie wiedząc, czy oczekuje, by ktoś się na nim pojawił, czy sprawdza, że rzeczywiście jest pusty.

Choć cisza w mieszkaniu świdrowała w jej uszach, nie zdobyła się na włączenie radia albo płyty. Zbyt szybko się śpieszyła; zrzucając po drodze ubranie, poszła prosto do łazienki, aby zmyć z siebie to, co ze sobą przyniosła, a co uwierało ją na skórze i sumieniu. Niecierpliwie odkręciła kurki i szum wody wpadającej do wanny wypędził ciszę z kamiennego pomieszczenia. Zatrzymała się przy lustrze. Zobaczyła w nim swoją twarz, opuchniętą i zaczerwienioną od biegu. Odgarnęła włosy i zbliżyła się do swego odbicia, aby sprawdzić, czy palący skórę pocałunek dziecka nie wydrążył w niej ziejącego otworu, korytarza od twarzy do okolic serca. Nie dostrzegła niczego, jednak ponieważ nagle zaczęło brakować jej światła, chwyciła dwie świece Arleny, cierpliwie oczekujące swojej chwili. Zapaliła je, wyobrażając sobie, że ich blask przyniesie drugie, dodatkowe odbicie w lustrze - twarzy przyjaciółki albo, w zastępstwie, jej obrażonego Anioła.

Gdy wanna wypełniła się po brzegi, Dagmar porzuciła lustro i weszła do wody. Dopiero teraz odważyła się unieść dłonie, by zmyć z twarzy niewidzialne ślady. Tarła skórę na policzkach i wycierała zamknięte oczy, w końcu zanurzyła się cała i tylko jej włosy,

rozpostarte jak liść wodnej lilii, pozostały na powierzchni. Wynurzyła się, gdy zabrakło jej oddechu, a wtedy mokre włosy oblepiły jej twarz. Użyła ich jako gąbki i dalej tarła nimi policzki, tracąc siły w gorącej wodzie.

Mimowolnie dotknęła ręką brzucha i coś drgnęło w nim pod wpływem dotyku, skurczyło i odsunęło, jakby jego zawartość chciała uciec od nieprzyjaznej dłoni. Poczowała ścisnięcie w gardle i chwilę po nim gwałtowną eksplozję w mózgu - myśli, uczuć i obrazów, które zaatakowały ją tak gwałtownie, że zaczęła płakać, najpierw cicho, później wyjąc jak opuszczona przez stado wilczyca. Podniosła głowę, jeszcze raz szukając kogokolwiek w kamiennej łazience z labiryntem miedzianych rur i lustrem rozjaśnionym światłem świec. Osłabiona gorącem i zapłakana stała się łatwą ofiarą figla, którego splątały jej kłęby pary z wanny, formując na lustrze mglisty rysunek kobiecej twarzy. Kiedy poderwała się, by zobaczyć ją z bliska, zakreśliło się jej w głowie i poślizgnęła się w wannie. Upadła ciężko, czołem przywierając do kamiennych płyt na posadzce. Zamknięte w niej twarze znała już od dawna, jednak nigdy przedtem nie ukazały się jej tak wyraźnie, jak podczas ostatnich kilku minut, po których odebrały jej świadomość.

Arlena pakowała się w swoim domu. Był pusty; opuścili go wszyscy, tak jak opuszcza się główną kwaterę dowodzenia po przegranej bitwie. Pod nieobecność Adama, który wyjechał gdzieś zaraz po śmierci ojca, nie przychodziła żadna z jego kobiet; zniknęły równie cicho jak zadowolona gromadka doradców i przyjaciół Olofa, przez ostatnie miesiące żyjących i pracujących w jego domu. Nie było nawet ogrodnika, ponieważ Tom po raz pierwszy wyjechał na przedwiosenny urlop i to nie z Julą, lecz z mężczyzną, wobec którego coraz wyraźniej objawiał poważne uczucia, zaniedbując mieszkającą z nim partnerkę. To od niej Arlena dowiedziała się nie bez zdziwienia, że mężczyźni postanowili przeżyć swą namiętność *w świecie*, co, biorąc pod uwagę dotychczasowe obyczaje, wydało się jej dość niezwykłe.

Wyjazd Toma nie był jedynym sygnałem niezwykłych zmian zachodzących w domu. Także w dalszym otoczeniu wydarzały się rzeczy wskazujące na to, że śmierć Olofffa wywarła nieoczekiwany wpływ na życie miasta i, choć nie oznaczało to celebrowania żałoby, ignorowanej w Calehm na równi z innymi światowymi zwyczajami, Arlena dostrzegła powszechny lęk przed przyszłością i nawet, być może przejściowe, rozbitcie jedności. Jednak nie ła-mała sobie nad tym głowy. Korzystała z ciszy panującej w domu i była zadowolona, że nikt nie zadaje jej pytań. Nie wiedząc dokładnie, dokąd pojedzie, na pierwszy etap podróży zaplanowała sobie odwiedziny u młodszej siostry jako jednoczesne pojednanie i pożegnanie. Składając swe nieliczne ubrania, które podawała jej milcząca Jula, Arlena usiłowała wyobrazić sobie twarz siostry widzianej zaledwie przed kilkoma laty. Mimo starań ukazywał się jej jedynie zatarty obraz, jakby spotkania w dorosłym życiu nie miały znaczenia i były słabsze od wspomnień z dzieciństwa. Wizerunek kilkunastoletniej siostry był jedynym, który przetrwał w jej pamięci, odkąd zabrakło w niej rodziców i brata, a także pierwszego męża, zaprzysiężonego niegdyś przyrzeczeniem miłości i wierności aż do śmierci.

- Wystarczy na dzisiaj - powiedziała Arlena do Juli otwierającej kolejną szafę. - Nie musimy się śpieszyć. Przecież nie wyjeżdżam dziś ani jutro.

Jula pochylała się nad spakowaną zaledwie do połowy walizką.

- Nie wywożę stąd więcej niż przywiozłam. Mało tego, wiem - Arlena czytała w jej myślach. - Niewiele jak na sporo lat życia. Jednak masz rację, powinnam przejrzeć wszystko. Może jeszcze coś znajdę.

Dotychczas nic takiego nie nastąpiło. Nie było pamiętek wartych zabrania z domu Olofffa; Arlena nie natknęła się na ważne listy bądź zdjęcia, nie istniały szczególne dokumenty, jakby wszystko, co wartościowe, dawno zostało odesłane do Biblioteki. Przeciągnęła się, by odpędzić znużenie.

- Przyniosłabyś mi herbaty, Julu? - zapytała. - Do łazienki, jeśli mogę cię poprosić.

Jula bez słowa skinęła głową. Odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi, jednak zaraz zatrzymała się w pół kroku.

- Tom wraca za tydzień. Będziesz tu jeszcze? - spytała.
- Nie wiem.
- Będzie smutny, jeśli cię nie zastanie.

Arlena spojrzała w twarz kobiety, z którą pod wspólnym dachem przeżyła ponad połowę swego życia. Były mniej więcej w tym samym wieku.

- Może pojedziesz ze mną? - zaproponowała nielogicznie.

Jula uśmiechnęła się z politowaniem.

- Coś ty. Nigdy nie wyjeżdżałam z Calehm. Mam zostawić Adama? Wychowywaliśmy się razem.

- A twoi rodzice?

Jula wzruszyła ramionami.

- Są na dole. To znaczy mama.

Arlena zdobyła się na uśmiech, pilnując tego, by był ciepły. Nie potrafiła przypomnieć sobie, jak wiele razy zadawała sobie pytanie o to, czy Jula także jest jednym z dzieci Oloffa.

- Przepraszam - powiedziała. - Jestem zmęczona. Wezmę dobrą, gorącą kąpiel.

W łazience odkręciła miedziane kurki z ciepłą i zimną wodą, do napełniającej się wanny dorzucając kulki z cedrowym aromatem. Wyprostowała się i zamknęła oczy w tej samej chwili, w której łazienka zapachniała lasem. Choć znała ten aromat, choć towarzyszył jej nieskończoną ilość razy, nigdy nie znudził się jej i nie zobojętniał. Przypominał Toskanię, miejsce spotkania z Oloffem, oraz las graniczący ze starym domem, do którego jej rodzina wyjeżdżała latem na wakacje. Zapach przypominał jej nieobecność i tęsknotę - oraz całą niedoskonałość Calehm, które potrafiło rozwinąć się w podziemne mocarstwo z kościołami, szkołą, pieniędzmi i własną armią, jednak nigdy nie mogło dorobić się drzew. Nawet jeśli nauczyło się kraść nieco słonecznego światła z powierzchni Ziemi, musiało pozostać jaskinią.

Przywitała się z kamieniami na posadzce, z od lat tą samą, wymowną szachownicą twarzy i sylwetek. Już na nią czekali: ziewa-

jacy starzec jak strażnik w pobliżu drzwi, obok niego wysuszony żołdak w obsuniętej furażerze i, kilka metrów dalej, trzy furie, skłębione w zamieszaniu sukni i włosów, rozkrzyczane z głębi wykrzywionych ust. Potem grajek z fujarką, poskręcany, z garbem i żebraczym workiem u stóp, suchy diabeł z rogami większymi niż ramiona, gruba kobieta, schludnie uczesana jakby szła do kościoła, para dzieci, z których jedno było martwe, połamany akrobata przy otwartej trumnie pełnej dziwnych zwierząt, trzy antylopy nad wielkim morzem pienistych fal...

Żadne z nich nie spało ani nie odpoczywało. Wszyscy wyglądali tak, jakby chcieli jej coś powiedzieć. Jakaś szczególna sprawa przebudziła ich ze snu, w którym byli pogrążeni przez ostatnie lata. Arlena, zaskoczona ich niespodziewanym ożywieniem, zapomniała o czekającej kąpeli. Pochylona nad podłogą sprawdzała jedną twarz po drugiej, usiłując zrozumieć ich odmianę. Dawno minęły czasy, gdy rozmawiali ze sobą godzinami; działo się tak od chwili przybycia do tego domu aż do momentu, w którym utraciła złudzenia. Zapamiętała ten moment - pierwszą sobotę, w którą zamiast pójść z wszystkimi do Sali, pozostała w domu i napełniła łazienkę zapachem cedru. Postacie z kamieni przestały się do niej odzywać.

Teraz, choć znów patrzyły jej w oczy i przemawiały ożywionymi ustami, nie potrafiła już ich zrozumieć. Odwołała się więc do lustra, swej ostatniej instancji. Zapaliła grube świece i poczekała, aż jej wzrok dopasuje się do obrazu. Nie zawiodła się: w lutrzanym odbiciu pojawiła się Ilia.

Ilia zajmowała największy kamień w łazience, ledwie ociosany i chropowaty, wmurowany na wprost lustra tak, że odbijając się, zajmował całą jego powierzchnię i swą intensywnością spychał w cień przeglądającą się w nim osobę. Po zapaleniu świec wyłaniała się z niego twarz kobiety - ja s n a, okolona długimi włosami, nieskończenie smutna. Dawniej Arlena przyglądała się jej tysiące razy, spędzając godziny na odgadywaniu kształtu ciała. Chciała wiedzieć, czy tworzą go sploty włosów czy coś stokroć ważniejszego - anielskie skrzydła. Któregoś dnia zawarta ze sobą kompromis, w kontu-

rze kobiety uznając skrzydła, a ją samą za anioła. Nadała jej imię lila - Tamta. W przeciwieństwie do pozostałych postaci, Ilia nigdy nie zdradziła ochoty na rozmowę z Arleną.

Teraz była pełna troski. Jej źrenice migwały niepokojem, kiedy nie znajdując zrozumienia u Arleny, rozglądała się wokół, jakby chciała wyzwolić się z kamienia. Poruszała ustami, prosząc o coś lustrzaną Arlenę, która mimo natężonej uwagi nie potrafiła pojąć jej słów. Jej napięcie rozszerzyło się na całe pomieszczenie; woda w wannie wzburzyła się parą, świece rozchygotały się w powietrzu. Stało się - kamienna Ilia uwolniła się od bezruchu. Wyciągnęła ramiona, jednoznacznie objawiając Arlenie istnienie swych najprawdziwszych, pierzastych skrzydeł. Nie oczekiwała jednak ani podziwu, ani uwagi dla siebie. Zamiast tego zmusiła się do ostatniego wysiłku i przemówiła.

Arlena owinęła ręcznikiem małą dziewczynkę, która choć nie powinna żyć, oddychała płytko, lecz spokojnie. Tkwiły tak we trójkę, jak przerysowana Pieta, przytulone do siebie, podparte o wilgotną ścianę łazienki - naga, niedokładnie opatulona szlafrokiem Dagmar, nowo narodzone dziecko, ledwie widoczne spod sterty ręczników okrywającej je i matkę, oraz Arlena, obejmująca ramionami obydwójce, umazana krwią, w swej niewygodnej, krępującej ruchy sukni z samodziału.

Dagmar znów traciła przytomność; jej oczy stawały się coraz bardziej mgliste, a dłoń przytrzymująca dziecko zachowywała resztki sił tylko dlatego, że podpierało ją uparte ramię przyjaciółki. Z oczu Arleny ciekły zimne łzy, mieszając się z wodą i krwią, tworząc wąskie strumyki na posadzce, spływające nie wiadomo gdzie, odtwarzając wiernie labirynt miedzianych rur na ścianach. Arlena nienawistnie obserwowała łazienkę, jak wrogą pieczarę zwabiającą ofiary po to, by napełnić ich krwią swój krwioobieg. Wydawało się jej, że nawet kamienie - jedyne istoty, które zawsze darzyła zaufaniem - pęcznieją teraz od tej krwi, a ich cienkie dotychczas



żyły nabrzmiewają do koloru purpury. Arlena nie potrafiła ani zatrzymać krwi wypływającej z Dagmar, ani nie miała odwagi zabrać jej z tego miejsca, tak jak wynosi się rannego z pola walki.

- Wytrzymaj jeszcze - powtarzała, jednak jej słowa brzmiały niewyraźnie, zniekształcone drżeniem ust. - Zaraz tu będą.

Ciągle na nowo spoglądała na telefon leżący na mokrej podłodze tuż przy jej kolanach, wbijając wzrok w jego maleńki ekran, jakby był zdolny pokazać sekundy dzielące od przybycia wezwanej pomocy. Jednak urządzenie milczało, ignorując dwie kobiety z dzieckiem, tak jak czyniły to kolejne strużki krwi przepływające tuż obok.

Mijały minuty, Arlena mówiła coś nieuważnie, zagadywała i uspokajała, siłą powstrzymując się od potrząsania zasypiającą Dagmar, bez względu na ból, który skurczami ścinał jej sinoblądą twarz. Od dawna mdlały jej ramiona; lekkie jak piórko niemowlę i słabnące ramię matki urosły do ciężaru wielu ton, którym ledwie potrafiła sprostać. Dagmar dygotała na całym ciele, jej wargi nabrały białosrebrnego odcienia, jednak Arlena nie mogła zdobyć się na to, by opuścić ją na mokrą posadzkę i, wydostawszy się spod niej, poświęcić minutę potrzebną na przyniesienie koca.

- Słyszysz? - zawołała trzęsącymi się ustami, choć sama nie czuła chłodu. - Dagmar, słyszysz? To karetka, już jadą! Tak jak mówili, zaraz tu będą, to tylko kilka minut, Dagmar, słuchaj!

Kłamała, przed Dagmar i przed samą sobą. Minęły jeszcze przynajmniej trzy drogocenne minuty, zanim sygnał karetki rozdzwonił się na ulicy o nieprzychylne fasady domów i potoczył po opustoszałych chodnikach. W końcu zatrzymał się przed drzwiami i zamienił w szum rozsuwanych drzwi, szczek stalowych noszy oraz zwięzłą wymianę zdań między ludźmi, którzy z ulicy weszli do budynku. Arlena zamarła, modląc się, by drzwi, którymi wpadła do mieszkania z zapasowym kluczem Adama, nie były zatrzaśnięte i aby nie musiała odrywać się od Dagmar, zostawiając ją na podłodze. Życzenia spełniło się, a tupot zbliżających się kroków sprawił, że odetchnęła z ulgą i zawołała z całych swych nadwyrężonych sił:

- Tu jesteśmy, tutaj! Szybko, pośpieszcie się, na litość boską!

Przekazawszy innym swój ciężar - nieprzytomną Dagmar oraz maleńkie, wydawało się, że niezagrożone niczym niemowlę - Arlena powróciła do swej dawnej postaci. Stała bez ruchu w pobliżu lekarza i pielęgniarzy, nie przeszkadzając, lecz zimno obserwując, jakby kontrolowała ich działanie. Znowu była obojętną i nieco wyniosłą kobietą Oloff, calehmską *lady*, której niezaprzeczalna władza sięgała dalej niż oficjalnie było wiadomo. Przypominała posąg i pasowała do kamiennego tła łazienki, z którym zlewały się jej krótkie siwe włosy, pobieląca twarz, osłabłe, nieruchome ramiona oraz suknia w marmurowym kolorze, jak owo tło powalana krwią.

Pielęgniarze włożyli dziecko do przenośnego inkubatora, a lekarz, który je zbadał, postał Arlenie uspokajające spojrzenie. Następnie zajął się Dagmar; jej oczy były zamknięte, oddychała płytko pod maską tlenową, a w żyły jej obydwu ramion spływał bładny płyn mający zastąpić krew, której wciąż nie udawało się zatamować. Jeden z pielęgniarzy zmieniał już trzeci opatrunek i jego szerokie plecy zasłaniały Arlenie widok dolnej połowy ciała Dagmar. Kolejną krwistą plamę na prześcieradle zobaczyła dopiero wtedy, gdy na rozkaz lekarza zespół przy noszach ruszył w kierunku wyjścia. Ktoś pobiegł przodem i przytrzymał drzwi, lekarz przyciskał maskę do twarzy Dagmar, pompował w nią tlen z przenośnej butli, a tuż za noszami szedł pielęgniarz z inkubatorem, uważając, by nie poślizgnąć się na mokrej podłodze. Arlena obserwowała ich wszystkich i zanim do nich dołączyła, rozejrzała się jeszcze wokół siebie, jakby zamierzała dokonać inspekcji mieszkania. Jednak odszukała tylko rzucony w pośpiechu na podłogę klucz i po schowaniu go do kieszeni zatrzasnęła za sobą wejściowe drzwi. W korytarzu spokojnie zaczekała na następną windę i zjechała nią na dół w chwili, gdy zespół karetki kończył zabezpieczanie noszy, na których powoli umierała Dagmar.

Arlena wsiadła do karetki niezaprośzona przez nikogo i o nic nie pytana. Miała nieruchomą twarz i puste oczy, które wbiła w zamknięte powieki Dagmar. Wyjący sygnał syreny wstrząsnął wnętrzem samochodu pędzącego przez puste ulice. Obudził na krót-

ką chwilę chorą, która nieprzytomnie otworzyła oczy, wprost na Arlenę, jakby były same w jakimś neutralnym pomieszczeniu, niepodobnym do karetki zatłoczonej ludźmi, urządzeniami i plątaniną kabli.

- Co się z nią stanie? - wydobyła z siebie głos stłumiony maską, której kawałek udało się jej odsunąć rozpaczliwym ruchem ramienia połączonego przewodem z kroplówką.

- Nie martw się, jest bezpieczna - odpowiedziała Arlena. Jej palce mimowolnie zacisnęły się na stalowym stelażu przenośnych noszy.

- Joachim nie... Joachim jej nie chce - wyjęczała Dagmar. - Nie oddawaj jej Joachimowi, może Matka Wszystkich...

- Nie. Twoja mała będzie bezpieczna, przyrzekam ci.

- Ty się nią zajmiesz? - blady, krzywy uśmiech napiął spękane do krwi usta chorej, której oczy znów ustępowały przed zasnuwającą mgłą.

- Tak, ja się nią zajmę - obiecała Arlena.

- Będzie szczęśliwa... - wyjęczała Dagmar. - Tam, na dole... Nie daj jej nikomu.

Arlena przechwyciła wymianę niespokojnych spojrzeń lekarza i pielęgniarki. Któryś z nich siłą poprawił maskę tlenową na bielejącej twarzy pacjentki.

- Nie, nie oddam jej nikomu - powtórzyła głucho Arlena.

# ARLENA: X

## ...ŻONY BLIŹNIEGO TWEGO

Drugiego dnia, który Arlena spędzała przy łóżku pogrążonej w śpiączce Dagmar, w szpitalu pojawił się Adam. Wrócił z podróży i wniósł ze sobą zapach obcych miejsc. Wszedł do pokoju, w którym znajdowało się łóżko chorej oraz mnóstwo urządzeń i okablowanej aparatury, a także fotel, teraz zajmowany przez Arlenę.

Drzemała, jednak otworzyła oczy w chwili, gdy dotknął ustami jej policzka.

- Słyszałem, że córka żyje i miewa się dobrze - oświadczył wesoło, jakby przyszedł na przyjęcie urządzone przez szczęśliwych rodziców noworodka. - I co my z nią zrobimy?

- Co masz na myśli? - zapytała flegmatycznie.

- Nie ma ojca, matka właściwie bez szans...

Arlena przetarła zaspane oczy. Nie spiesząc się, podniosła się z fotela i badawczo przyjrzała Dagmar, w wyglądzie której nic się nie zmieniło. Podłączona do kroplówek i respiratora przypominała dużą, pompowaną lalkę, która nie porusza nawet powiekami.

- Zastanawiam się - powiedziała, nie spuszczać oczu z leżącej kobiety - które z nas wygrywa w tym pojedynku na cynizm. Które z nas miało, a które teraz ma go więcej. I skąd się wziął.

Odwróciła się na pięcie, aby wyjść na korytarz. Adam, po chwili wahania, podążył za nią, nie zadawszy sobie trudu spojrzenia na nieprzytomną Dagmar.

- Znów chcesz powiedzieć mi to samo - oświadczył. - Chodzi ci o to, że zanim przyjechałaś do Calehm, nie miałaś pojęcia o cynizmie.

- Zanim tu przyjechałam, nie miałam pojęcia o cynizmie - potwierdziła.

Roześmiał się głośno.

- Droga moja, ty nawet dziś nie potrafisz być cyniczna. Ani trochę, choć może byś tego chciała.

- Ach tak? - powiedziała lodowato.

- Tak. Ty tylko nauczyłaś się mowy niektórych z nas. Mojej, mojego ojca. Jednak to tylko kod, system komunikacyjny. Tam, gdzie my potrafiliśmy - potrafimy - zdobyć się na cynizm, ciebie nigdy nie będzie. On nie leży w twojej naturze.

Patrzył na nią rozbawiony. Milczała, bojąc się, że zadrży jej głos, kolejny raz obnażając słabość. Nie zareagowała także wtedy, gdy pogładził ją po ramieniu, w protekcyjnym geście, stojąc przed okienkiem zapewniającym widok na izolatkę i łóżko, w którym wegetowała Dagmar.

- Mała poleży tu z miesiąc, może sześć tygodni - powiedział Adam. - Musi osiągnąć odpowiednią wagę.

- Skąd wiesz to wszystko?

Arlena nie odwiedziła dotąd oddziału noworodków.

- Rozmawiałem z lekarzem - oświadczył z błazeńską dumą. - Powiedział, że jej życiu nie zagraża niebezpieczeństwo, musi tylko nadrobić braki wynikające z wcześniactwa.

Nagle roześmiał się bez powodu, nie przestając manifestować ostentacyjnie znakomitego nastroju.

- Wcześniactwo - nie sądzisz, że to ładne słowo?

Przez dłuższą chwilę zwlekała z odpowiedzią.

- Wcześniactwo to takie coś, czego zwykle nie przeżywają dzieci, które rodzą się na dole - powiedziała w końcu.

- Ale ta mała nie urodziła się na dole - zripostował, błazeńsko wykrzywiając usta. - Z czego można wznosić, że miało to pewien sens. Podobno byłaś przy tym. Czy to ty przyjęłaś poród?

- Nie, tym razem nie.

Zamilkli oboje, ogarnięta niechcianą, podstępnie sprowokowaną nienawiścią Arlena oraz Adam, pełen irytującego spokoju.

- Kiedy tam przyszedłam - powiedziała szeptem, ponieważ jej gardło stało się nagle boleśnie suche - a zdołałam wejść do środka

ka tylko dlatego, że masz zwyczaj zatrzymywania kluczy do swoich mieszkań, Dagmar już urodziła, sama, bez niczyjej pomocy. Majaczyła, więc nie dowiedziałam się szczegółów, rozumiałam tylko tyle, że to stało się bardzo szybko. Zbyt szybko.

Kiwnął głową, czekając na ciąg dalszy. Kiedy nie nastąpił, odezwał się, odwracając się do okna:

- Dziecko jest maleńkie - powiedział, patrząc przez szybę na nieruchomą Dagmar, jakby oglądał nudną wystawę sklepu. - Nie było problemu, by wypluła je z siebie.

Arlena wstrzymała oddech.

- Ty łajdaku... - powiedziała tak cicho, że nie mógł jej usłyszeć.

- To nowa kolejność wydarzeń, prawda? - powiedział pogodnie. - Wcale nie musiałaś pomagać w przyjściu na świat temu dziecku, które urodziło się o dwa miesiące za wcześnie, zabijając przy okazji swoją matkę. Jednak pomyśl, wszystko wskazuje na to, że ono pozostanie na tym świecie i ktoś będzie musiał się nim zająć. A ponieważ nie zrobisz tego ty, wyląduje tam, gdzie inne dzieci - czyli na dole.

- Nie - jej przypominający warknięcie protest był bardziej groteskowy niż groźny. - Nie licz na to.

- Dlaczego? - spytał, jakby był czymś niebotycznie zdziwiony. - Dlaczego, droga moja? My z Calehm nie oddajemy naszych dzieci obcym. My ich potrzebujemy.

- Tamto dziecko - powiedziała Arlena niskim, obcym głosem, opędzając się od obrazów sprzed wielu lat - mogło być moim dzieckiem, mogło i może było twoim. Jego matka kochała się i z tobą, i ze mną, i z innymi. To było... To było wspólne dziecko nas wszystkich, a to, że poczęło się w tamtej kobiecie, było dziełem przypadku. Równie dobrze mogłam rodzić je ja albo Julia, albo którakolwiek z nas, sobotnich kochanek. Jednak wątpię w przypadek mojej obecności w dniu jego narodzin. Wymyśliliście dla mnie coś w rodzaju inicjacji, waszego wprowadzania mnie w arkana Matki Wszystkich. Zostawiliście mnie samą.

- I świetnie sobie poradziłaś.

- Nie! Ona powinna była rodzić w szpitalu! Dziecko byłoby zdrowe!

- Ona nie chciała iść do szpitala, Arleno. Tamta kobieta nigdy nie opuściła podziemia.

- Ta kobieta była szalona!

- I takie urodziła dziecko.

Dziecko nie było szalone, chciała powiedzieć Arlena, jednak w jednej chwili, krótkiej jak spięcie na elektrycznych przewodach, odeszła jej ochota na dalszą wymianę słów. Wtedy - przed kilkunastoma laty - wielokrotnie usiłowała rozmawiać na ten temat z Oloffem, Julą, Tomem, nawet z bardzo chorą wówczas Weroniką. Wszyscy zbywali ją niechętnie. Nikt nie widział problemu w tym, że podziemny poród, którego została świadkiem i jedyną pomocą, odbywał się na dole i trwał ponad dwanaście godzin. Została sama wśród jęków i szaleństw współprzutomnej położnicy, której nikt nie wywiózł do szpitala. Nie pojawił się żaden lekarz i nikt się niczym nie niepokoił - ani jeden z licznych zagląających do podziemnej kwatery rodzącej kobiety ludzi, niewzruszonych, jakby wszystko odbywało się według ustalonego porządku. Przy niezdarnej pomocy Arleny urodziło się wówczas niedotlenione dziecko, które reanimowała metodą usta-usta, znaną jedynie z opisów. Powinno było umrzeć, a jednak przeżyło po to, by dołączyć do wielu podobnych sobie w podziemnym Calehm postaci - uszkodzone, niedorozwinięte, bardziej niż człowieka przypominające wyprostowane na dwóch nogach zwierzę.

- To wy jesteście szaleni - powiedziała Arlena. - Wszyscy.

Wróciwszy do pokoju chorej, odwróciła swój fotel do okna. Była przygotowana na długie czuwanie, czynność, która od czasu towarzyszenia umierającemu Oloffowi stała się dla niej czymś w rodzaju przyzwyczajenia. Oczekiwał ją podobny finał: według słów naczelnego lekarza, szansa na przebudzenie Dagmar była równie nikła jak to, by Oloffowi dane było zmartwychwstać. Arlena nie miała złudzeń. Teoretycznie nic jej nie zatrzymywało - była gotowa do drogi i wyposażona w najpotrzebniejsze rzeczy. Jej asystowanie nieprzewidzianemu odroczeniu losu było niepotrzebne,

a jednak była nim wystarczająco zajęta, by nie planować najbliższej przyszłości. Coś działało się w jej umyśle - jeden z niezależnych poziomów świadomości metodycznie rozwiązywał powstałą życiową łamigłówkę, posługując się ściszym głosem, ledwie słyszalnym w jej uszach.

Otworzyła oczy na widok lekarza, który przerwał jej drzemkę przy łóżku Dagmar. Natychmiast po nim pojawił się Adam, rozjaśniony tym samym uśmiechem, którym zirytował ją przed niespełną godziną.

- Powinniśmy ją odłączyć - powiedział lekarz po pobieżnym zbadaniu nieprzytomnej pacjentki. - Ona już się nie obudzi.

Pod jego pytającym wzrokiem Arlena splótła zdrętwiałe ramiona.

- Czy wiemy, gdzie należy szukać jej męża? - zapytał lekarz, którego doskonale znała. Jeszcze niedawno był jednym z wielu medyków Oloffa.

Było ich tylko czworo w małym pomieszczeniu, troje żyjących oraz Dagmar, zatrzymywana sztucznymi urządzeniami przy życiu na czas, o długości którego mogli decydować. Przezornie nie towarzyszył im nikt z personelu prywatnego szpitala, bardziej niż placówkę służby zdrowia przypominającego elegancki hotel.

- Owszem, mamy jego adres - Adam nie rezygnował z uprzedniego uśmiechu, demonstrując przed Arleną swoją dobrą wolę.

- Powinien wyrazić zgodę na pobranie organów - powiedziała złośliwie, patrząc mu prosto w oczy.

- Och nie... - wyszeptał Adam. Oboje ignorowali lekarza. - Tu wszyscy podpisują taką zgodę już w momencie przyjęcia do szpitala.

Z pogodnym uśmiechem kpił z niej w żywe oczy.

- Nawet ci, którzy trafiają tu nieprzytomni - odwróciła się w stronę okna, by choć na moment uwolnić się od widoku rozmówcy.

Po chwili wstała. Lekarz zajęty był przeglądaniem teczek zawierających wyniki badań Dagmar; nie chcąc się wtrącać, pochylił głowę nad karteluszkami, jakby rzeczywiście interesowała go ich treść. Arlena zlekceważyła go; jego udział był czystą formalnością



w sprawie, która musiała sfinalizować się między nią i Adamem. Wszystko odbywało się według starego porządku: w Calehm nikt nie mieszał się między Arlenę, kobietę nadal niezastąpionego nikim Oloffa, oraz jego syna, najpewniej następcę.

- Ona się nie obudzi, Arleno - powiedział Adam głosem, w którym nagle przybyło powagi.

Wiedziała o tym. W ciężkiej od niechęci rozmowie nie pojawiła się żadna nowa informacja; wymieniali słowa jedynie po to, by za ich pomocą pokazać drugiemu własną pozycję. Wykładali karty na stół, demonstrując nie siłę, lecz stan posiadania. Grają starą, wciąż tą samą talią, którą i tak trzeba będzie złożyć i schować do znanego, będącego wspólną własnością pudełka.

- Oddacie mi dziecko - powiedziała swym zwykłym, monotonnym głosem. - To wszystko, czego chcę.

- Czyżbyś chciała się nim zająć, Arleno?

Udawał niedowierzanie.

- Nie żartujesz?

Przetarła oczy. Znała go dostatecznie dobrze, by wiedzieć, że nie kpi z niej ani nie ironizuje.

- Po prostu mi je dajcie - odrzekła znużona. - Wtedy ja zajmę się resztą.

Oddalony o zaledwie kilka kroków lekarz odłożył niegrubą teczkę z dokumentacją. Splótszy dłonie, odsunął się pod ścianę, w wyczekującej pozycji przyglądając się obojgu. Choć poprosiła go spojrzeniem o wsparcie, nie dopomógł jej w niczym. Jego kłamliwie uprzejma twarz nie zdradzała jakichkolwiek uczuć.

- A więc dobrze - powiedział Adam i szybciej niż ktokolwiek zdążyłby zareagować, przycisnął czerwony klawisz respiratora.

Arlena skamieniała; w przeciągu sekundy zmieniała się w zastygłą figurę o otwartych ustach, przez które i tak nie wydostałoby się żadne sensowne słowo. Była zdolna jedynie do tego, by w oszołomieniu wodzić wzrokiem za Adamem, który, odwróciwszy się od aparatury, kilkoma stanowczymi krokami dotarł do drzwi pokoju.

Zdążył zatrzaskać je za sobą jeszcze zanim monitory zmieniły zakres wydawanych tonów, a syczenie i zamierające popukiwa-

nie wysokich sygnałów przedarło powietrze jak ostry świder. Znajdował się już na korytarzu, gdy Arlena ocknęła się i chwyciła dłoń Dagmar. Było jednak zbyt późno i nic już nie drgnęło w ciele kobiety, która umarła dużo wcześniej.

- Muszę panu przeszkodzić... Wprawdzie pański szef zobowiązał się zawiadomić pana, jednak będzie lepiej, jeśli ja to zrobię. Dagmar i ja byliśmy przyjaciółkami....

- Tak, byliśmy.

- Pańska żona nie żyje. Przepraszam, pańska była żona nie żyje. Czy chce pan zdecydować, gdzie odbędzie się jej pogrzeb? Czy chce pan, by ktoś z nas zajął się jej pogrzebem?

- Przepraszam pana. Oczywiście, ma pan rację. Niestety, nie wiemy, co się stało. I jak dokładnie się potoczyło. To był wypadek - w łazience, prawdopodobnie upadła i rozbiła sobie głowę. Tak, straciła przytomność i zapewne w tym samym czasie zaczęła krwawić. Wykrwawiła się. Znalaziono ją dopiero po trzech dniach, nie, nie wiadomo, czy przez cały ten czas była nieprzytomna.

- Nikt nie wzywał pomocy. Nie. Ona także nie.

- Znalazła ją pomoc domowa Adama. Wysłał ją tam, by pomogła w sprzątanii, gdyż wiedział, że Dagmar nie czuje się najlepiej.

- To był wypadek. Jak mówiłam, nikt nie zdążył wezwać pomocy.

- Rozumiem. Oczywiście. Czekam na pański telefon. Tak, jestem w domu.

Joachim zadzwonił po czterdziestu minutach. Siedząca przy biurku Oloffa Arlena odebrała telefon spokojnie, nie przestając porządkować papierów rozłożonych w równe stosy. Najwyższy z nich stanowiły kartki zapisane jej starannym, trochę dziecinnym pismem.

- Dziękuję, że pan dzwoni. Jak pan się czuje?

Przekładając kartki, słuchała nieuważnie jego drżącego głosu. Mówił niemal bez przerwy, zadawał pytania, tak wiele, że brakowało mu czasu na wysłuchiwanie jej odpowiedzi. Nie mogła mieć wątpliwości co do tego, że prawda o śmierci Dagmar jeszcze do niego nie dotarła. Nagle potrzebował pomocy, wyjaśnień i siły. Nie wytrzymał poczucia winy, zapomniawszy o własnej krzywdzie, bezsilnie powtarzał jedyną, do siebie adresowaną wymówkę:

- Gdyby tylko nie była sama, gdyby nie była sama w mieszkaniu...

Przerwała mu chłodno:

- Wierzy pan w przeznaczenie?

- Nie... - odparł zaskoczony. - Skąd takie pytanie?

- Dagmar wierzyła w przeznaczenie. Nie sądzę, by przeczuwała coś złego, jednak kobiety ciężarne często zabezpieczają się na przyszłość. Podobno jest to pozostałość z czasów, gdy każdy poród potencjalnie stanowił ogromne ryzyko.

- Tak, jednak...

- Słucha mnie pan?

- Oczywiście, słucham panią.

- Kiedy pan wyjechał, Dagmar rozmawiała ze mną o sobie i dziecku. Twierdziła, że z całą pewnością nie jest pan jego ojcem. Pytała mnie, czy można liczyć na Adama, ponieważ wiedziała, że dobrze go znam. Uspokoiliam ją, na ile mogłam.

- Dlaczego mi to pani mówi? - powiedział głosem, w którym pobrzmiwał płacz.

- Chcę przez to powiedzieć, że ona pożegnała się z panem. Nie powinien pan czuć się winny, bo ona już do pana nie należała.

- Ale dziecko...

- Raczej martwy płód, proszę pana - jej głos brzmiał jednoznacznie. - Płód, któremu nie dane było ujrzeć światła dziennego.

Przecież ta ciąża trwała niecałe siedem miesięcy... Jednak chciałybym wrócić do mojej rozmowy z Dagmar. Powiedziała mi mianowicie, właściwie bez przyczyny, że gdyby coś się z nią stało, chciałyby być skremowana.

- Dlaczego?!

- Nie wiem. Może spodobał jej się cmentarz w Calehm, nasze niezwykle miejsca pod drzewami? Chciałam wiedzieć, czy miałby pan coś przeciwko spełnieniu jej życzenia?

W słuchawce zapadła cisza. Arlena czekała cierpliwie, w milczeniu czytając zapisane strony. Na biurku paliła się zielona lampa, rzucająca światło na szeroki dębowy blat oraz fragment podłogi z dużym wiklinowym koszem na śmieci, prawie do połowy wypełnionym wyrzuconymi papierami.

- Nie, właściwie nie mam nic przeciwko temu - odezwał się w końcu Joachim. - Skoro Dagmar mówiła o czymś takim...

- To dobrze - oświadczyła Arlena. - Czy mógłby pan zawiadomić ojca Dagmar o pogrzebie? Odbędzie się za tydzień. Adam i ja zajmujemy się wszystkim. I...

- Za tydzień? Jestem na drugim końcu świata! Jak miałbym zdążyć ze wszystkim?

- Przecież nie musi się pan o nic troszczyć. To nawet lepiej dla pana, prawda? Oczywiście, że wiem o pana niespodziewanej podróży, rozmawiałam z szefem biura, gdy pod pańską nieobecność próbowaliśmy się skontaktować. Teraz i tak jest za późno. Wystarczy, że przyjedzie pan na pogrzeb.

-Ale...

Arlena przerwała sortowanie papierów. Uniosła głowę, jakby na przeciw niej pojawił się realny rozmówca i ponaglona jego przyspieszonym oddechem w słuchawce stanowczo powiedziała:

- Proszę mi wierzyć, że tak będzie lepiej. I tak nie chciałby pan jej oglądać. Mówiłam panu: znaleziono ją po trzech dniach.

Kiedy po tygodniu Joachim i jego teść wraz żoną stawili się na pogrzeb Dagmar, odbyło się na ich potrzeby widowisko, jakiego nigdy dotąd nie widziały drzewa na cielemskim cmentarzu. Tego dnia zostały świadkami żałobnego czarnego konduktu, który pod przewodnictwem młodego księdza odprowadził urnę z prochami do starego dębu, wybranego dla Dagmar na ostatnie spoczywanie. Na drzewie czekała już tabliczka z imieniem i nazwiskiem zmarłej, większa od pozostałych, zawierająca dokładne daty urodzenia i śmierci.

Przebiegająca sprawnie zainscenizowana ceremonia nie różniła się niczym od klasycznego katolickiego pogrzebu z żałobnikami, kwiatami i do ziemi przygiętym ojcem zmarłej na pierwszym planie. Stary, roniący łzy człowiek nie został poinformowany o tym, że miał zostać dziadkiem; nie zdobył się na to towarzyszący mu zięć i nie uznali za stosowne organizatorzy pochówku. Mąż zmarłej, drugi z mężczyzn, dla których zorganizowano uroczystość, wciąż jeszcze był w stanie szoku i zamiast uczestniczyć w modlitwach, opędył się od obrazu żony. Wyobrażał ją sobie w momencie zderzenia z krematoryjnym piecem, a obraz jej nieruchomego ciała z wystającym, monstrualnie dużym brzuchem doprowadzał go do dygotu, jakby ogień dosięgał również jego. Pod koniec ceremonii wyglądał tak źle, że dawny kolega z biura zlitował się nad nim i odprowadził do samochodu, uwalniając od kondolencji, które spadły na głowy ojca zmarłej oraz jego małomównej małżonki. Dołączyli do zięcia po około pół godzinie, aby wspólnie z nim udać się do cielemskiego mieszkania na przygotowany poczęstunek.

W drzwiach przywitała ich Arlena, natomiast inna kobieta, przedstawiona Joachimowi jako Jula, podała na tacy filiżanki z kawą oraz kanapki. Oprócz nich zebrało się w mieszkaniu kilkanaście osób, wśród których Joachim poczuł się tak, jakby to on był gościem w miejscu, w którym przeżył kilkanaście miesięcy swego życia. Rozglądał się po ścianach, podświadomie usiłując odnaleźć ślady tamtego czasu jako dowodu na to, że rzeczywiście żył tu ze swoją

żoną, razem z nią odpoczywał, kochał się, spał i jadł. Jednak miejsce, które uważał za bezosobowe i zatrważająco puste już podczas wspólnego mieszkania, teraz nieodwołalnie sprawiało wrażenie niczyjego apartamentu do wynajęcia. Przez chwilę pomyślał o następnych lokatorach, którzy wprowadzą się do mieszkania nie wymagającego remontu i pokręcił głową, wątpiąc w ich dobry los. Rozejrzał się wokoło, jakby nie był tu od wieków, jednak dopiero po długim szukaniu dostrzegł coś nowego.

Przyłgnął wzrokiem do okna, za którym oczekiwał go znajomy widok szklanej fasady Biblioteki. W jej pastelowej poświacie Joachim pomyślał, że zapewne nigdy wcześniej nie była tłem dla tak wielu ciemno ubranych ludzi. Obejrzał się na rzekomych żałobników: byli dziwaczni jak upozowany desant zamaskowanych komandosów. Na żadnej z ulic miasta nigdy nie spotkał podobnej grupy. Przypomniał sobie: Calehm drwiło sobie z żałoby. Gdy to pojął, ogarnęła go ochota, by popukać się w głowę, wyłajając samego siebie i wyśmiać za naiwną głupotę.

Zapagnął wypić coś mocniejszego. Gotów wlać w siebie wiele kieliszków wódki, rozejrzał się za kobietą z tacą. Dostrzegając ją rozmawiającą z Arleną, zrozumiał, że żadna z niej kelnerka, więc, mylnie oceniając swą anonimowość, wymknął się do kuchni po alkohol. Dotarłszy tam, zastygł na progu, zmrożony pustą czystością pomieszczenia, które wyglądało jak część pawilonu targów mebli kuchennych. Pozbawiony szansy na znalezienie czegokolwiek, wycofał się do przedpokoju. Właściwie chciał wrócić do towarzystwa, jednak nie udało mu się uniknąć widoku drzwi do łazienki, które były otwarte i zapraszająco bezwstydne. Walcząc ze sobą, na drżących nogach i ze ściśniętym gardłem, zrobił kilka kroków w kierunku pomieszczenia, które - jak mu powiedziano - przez trzy długie dni oglądało jego zmarłą żonę. Niewiele brakowało, a wszedłby do środka, bojąc się i usiłując ten strach przewyciężyć, jednak ponownie jak spod ziemi wyrosła przed nim Arlena, kolejny raz gotowa ułatwić mu zadanie.

- Pański teść nie czuje się najlepiej - oświadczyła, uwalniając go od odpowiedzialności.

Jej czarny strój kontrastował z nią tak wyzywająco, jakby włożyła go przez przekorę lub dla zabawy. W sukni służącej do odgrywania żałoby, tak nowej, że widoczny był jeszcze ślad po oderwanej metce, Arlena była prawie bezczelna, jak ktoś, kto w karnawale dopasowuje zachowanie do kostiumu.

Joachim skłonił przed nią głowę, gdyby mógł dotknąłby brodą piersi, aby nie dostrzegła uśmiechu zawierającego uznanie dla jej skuteczności oraz zakłopotania i przesączonego bólem wstydu.

- Ma pani rację - powiedział. - Będziemy musieli się zbierać.

Uprzejmie milcząc, skinęła głową.

- Jest pani pewna, że mogę tak wszystko zostawić?

- Ależ tak - ustroiła usta w chłodny, wyrozumiały uśmiech. - Proszę się o nic nie martwić.

- Dziękuję.

- Jej rzeczy złożone są w sypialni. Oczywiście, jeśli chce je pan zobaczyć albo zabrać.

Rozłożył ręce.

- Nie chcę.

- Tak też myślałam.

Zamierzał odwrócić się i pójść po teścia, jednak rozmyślił się i w połowie ruchu, jakby sobie coś przypomniał, zatrzymał się, by spojrzeć w jej oczy.

- Wcale nie przywoziliśmy tu naszych rzeczy - powiedział cicho. - Przyjechaliśmy tu z niczym. Widzi pani, ja pochodzę z biednej rodziny, w której nikt nie zajmował się kolekcjonowaniem przedmiotów, wystarczyło, jeśli w domu było dość jedzenia, jednak Dagmar...

Zawahał się, ale nie na długo.

- Z nią było inaczej. Ona miała swoje gniazda, pełne własnych piór... Przedtem, kiedyś. Najpierw był jej dom rodzinny, gdzie zostawiła to, co uważała za najważniejsze, potem miała jego namiastkę w naszym pierwszym mieszkaniu... Swoje nowe gniazdo ze mną zbudowała od samego początku, poskładała, ale już wtedy wyszło jej o połowę mniejsze. Nie okazało się dla niej szczęśliwe. To ja chciałem, by spróbowała trzeci raz, zgodziła się, a ja, głupi, nawet

**nie** zauważyłem, że ona już niczego nie buduje, nie układa i nie ścieli. Teraz myślę, że brakowało jej piór, że nie miała już nic, czym mogłaby otoczyć się i osłonić. Kiedy przyjechaliśmy tu, była całkiem bezbronna.

Choć widział, że słucha go uważnie, nie był zaskoczony, gdy po zaaranżowanej dla okazania mu szacunku chwili milczenia zapytała:

- Czy mam rozumieć, że nie chce pan zabierać jej rzeczy?

Jeszcze raz przyjrzał się jej twarzy, jednak nie odkrył niczego prócz znudzenia. Ponownie uklonił się i powiedział:

- Tak właśnie. Proszę, aby tak to pani rozumiała.



# ARLENA: X

## ..ANI RZECZY, KTÓRA JEGO JEST

Siedzieli na najniższym stopniu przed ołtarzem, jak najmniej ważni ministranci.

- A ty, powiedz mi, czy ty masz swojego anioła stróża, Aaronie?

- Każdy z nas go ma, Arleno.
- Czy jest tylu aniołów, ilu ludzi?
- Tak sądzę, tylu albo nawet więcej.
- Czyli jeśli tobie nie potrzeba już stróżowania...
- Dlaczego miałbym go nie potrzebować?!
- Bo... bo jesteś prawie doskonały.

Ojciec Aaron roześmiał się serdecznie, aż jego śmiech poniosł się po Katedrze Świętego Franciszka.

- To czy twój anioł mógłby wspomóc moją Illę? - zapytała. - Proszę cię, Aaronie.

Objął ją ramieniem jak zbyt duży brat bliźniak.

- Mogę go poprosić, ale nie mam na niego zbyt wielkiego wpływu - powiedział. - Dlaczego sądzisz, że twoja lila sobie z tobą nie poradzi?

- Nie wiem, Aaronie - odpowiedziała szczerze i z wielką ulgą, ponieważ czuła się tak, jakby ubył jej lat. - Wszystko jest takie nowe, inne. Niezupełnie to rozumiem.

- Jedną k lila, nawet jeśli jest żeńskiego gatunku, jest twoim aniołem. Czy kiedykolwiek cię zawiodła?

- Jeszcze niedawno tak myślałam. Jednak teraz sędzę, że to wszystko musi mieć jakiś wielki porządek, jakiś nadrzędny cel. Przecież w wyniku tego jestem tu, przyszłam, siedzę razem z tobą...

Wnętrze Katedry było jasne, przez mleczne szyby witraży sączyło się światło wesołej i beztroskiej wiosny. Prócz Arleny i ojca Aarona nie pozostał nikt z gromady wiernych, którzy zgromadzili się na mszy zakończonej przed ponad godziną. Trwała ona dłużej niż zwykle, przedłużona o czas psalmów śpiewanych przez chłopięcy chór i solistę przybyłego ze świata na tę jedną niedzielę. W uszach Arleny pobrzmiwała jeszcze ich muzyka, prosta, niemal chropawa w czas postu zbliżającego się ku końcowi i gotowego do kulminacji Wielkiego Piątku.

- Boisz się, że nie poradzisz sobie z dzieckiem twojej przyjaciółki - stwierdził Aaron.

Milcząco skinęła głową.

- Nie mam dla ciebie odpowiedzi - powiedział. - Modliłem się o to, jednak nie otrzymałem żadnej jednoznacznej wskazówki. Mimo to nie czuję ani strachu, ani zagrożenia. Wierzę, że to, co postanowisz, będzie dobre.

Na ołtarzu stała misa pełna czerwonych tulipanów. Były przewiązane wielkopostną żałobną kokardą, jednak pozostawały kwiatami. Były świeże i żywe, bardziej niż krew Pana przypominały wiosną ogarniającą świat.

- Muszę odejść z Calehm, postanowiłam o tym dawno i nieodwołalnie. A skoro będę także zajmować się dzieckiem, które nieoczekiwanie zjawiało się moim dziwnym życiu, muszę zabrać je ze sobą. Właściwie nie mam innego wyboru.

Ojciec Aaron kiwnął głową. Wiedziała, że on jeden prawdziwie ją rozumie.

- Powiedz mi, jak udało ci się... Co zrobiłaś, że ci na to pozwolili? Uśmiechnęła się z rezygnacją:

- Umowa, znowu umowa... Ja dałam im to, czego ode mnie oczekiwali, oni zrewanżowali się tym samym. To samo, co zwykle.

- Arleno... - ojciec Aaron położył na jej ręce swą szeroką, ciepłą dłoń. - Nie bój się niczego. Twoja droga istnieje, jest wytyczo-

na i czeka na ciebie, nawet jeśli nie widzisz jej kolejnych odcinków. Wystarczy, że nią pójdziesz.

Oparła się o niego. Spokojne ciepło emanowało z jego dużego, popychanego w fałdy księżowskiej sutanny ciała. Poza kokardą przy kwiatach na ołtarzu był jedynym czarnym elementem na tle kamiennego kościoła i Arlena pomyślała o nim, że siedzący tak u stóp ołtarza przypomina górę rybackich sieci pozostawionych na opuszczonej piaszczystej plaży. Oraz że gdyby zabrałaby się za ich rozplątywanie, na spodzie odnalazłaby kotwicę.

- Ale dlaczego ty stąd nie odejdziesz? - zapytała, zbierając się na odwagę. - Minęło już tyle lat i nie udało ci się nas nawrócić...

Odsunął ją na odległość ramienia:

- Nawrócić? - powtórzył zdziwiony. - O czym ty mówisz, Arleno?

- O wyjściu spod ziemi... Uciekaniu od życia... O wierze w różnych bogów... O nieprzestrzeganiu tego wszystkiego, co głosi twoja religia.

Na jego twarzy nie dostrzegła ani niepokoju, ani irytacji.

- Jest wiele mieszkań w domu ojca mego - odpowiedział.

- Także Sala, ojciec Aaronie? Bo stamtąd pochodzi to dziecko.

- Wiem - stwierdził spokojnie. - Jednak dlaczego miałoby mnie to oburzać, skoro być może ja sam stamtąd pochodzę?

Objął ramieniem jej chude ramiona i znowu oparła się o niego, niepozorna przy nim, mniejsza niemal o połowę.

- Rozmawialiśmy kiedyś o tym, pamiętasz? - powiedział tak cicho, że poza nią nawet kwiaty z ołtarza nie ułowiłyby jego głosu.

- Mówiłem ci o wyborze, którego dokonałem. Nic się nie zmieniło i będę wierny religii, którą wybrałem, jednak to nie oznacza, że wszystko w niej lubię. Wierzę i akceptuję, bo na tym polega mój wybór, jednak rzeczywiście - nie wszystko lubię.

- Nie rozumiem - zaprotestowała. - Czy tobie wolno lubić albo nie? Masz swoje zadania, musisz je wykonywać i tyle. A ty patrzysz na grzech i jedynym, co przeciw niemu robisz, jest łagodne odwracanie uwagi.

Ojciec Aaron roześmiał się bezgłośnie całym ciałem, które rozkołysało się w miejscu i zaraziło ją amplitudą drgań.

- Tak uważasz? Uważasz, że zbyt łagodnie odwracam uwagę?  
- Na nikogo nie krzyczysz, niczego nie zakazujesz, nawet nie mówisz im wprost, że grzeszą...

- Arleno kochana, nie chcę, by przepędzili mnie z Calehm! To mój dom. I mój obowiązek. Wiele więcej mogę zrobić, pozostając na miejscu, o, chociażby ty, przecież któregoś dnia sama przestałaś chodzić tam w soboty. Może była w tym jakaś moja zasługa.

Nie odpowiedziała.

- Miałbym zadenuncjować Calehm, spalić je albo zniszczyć? - zapytał, patrząc jej w oczy. - Miałbym być takim misjonarzem, który nawraca mieczem w miejscu istniejącym od wieków? Posiadającym swoje prawa, starsze od jego własnych?

- O jakie prawa ci chodzi?

- Ludzkie - miejskie i kościelne. Boskie i cesarskie, Arleno - odpowiedział z przekonaniem. - Zauważ, że w Calehm nie były potrzebne nawet takie rozgraniczenia.

Pokręciła głową.

- Ponieważ Calehm naprawdę niczego takiego nie posiada - stwierdziła. - Nie ma w nim umów obowiązujących społeczności. Calehm nawet nie jest społecznością, jest miejscem, w którym ludzie zatrzymali się, osiedli, są, bo nie chce im się ruszyć dalej... Teraz degradują się, bo osiągnęli taki punkt indywidualizmu, że nie potrafią przynależeć do nikogo. Chcą być sami i nie interesuje ich żadna wspólna filozofia, nie chcą o nic walczyć, twierdząc, że walka to barbarzyństwo.

- A nie jest?

- Jest, jednak jak każdy wspólny cel jednocy ludzi. Gwarantuje rozwój. Calehm to pełna sprzeczności hybryda, Aaronie, hybryda, w której jednostki łączy tylko wspólne miejsce. Nie chce walczyć, nie chce zdobywać, tylko chronić się przed innymi i unikać stawiania celów. Ma tylko ten jeden - spokojnie przetrwać życie.

Ojciec Aaron odsunął ją od siebie. Najpierw przyglądał się jej z wyrazem twarzy, w którym igrało rozbawienie, potem nie wytrzymał! i z najszczerzym na świecie uśmiechem zaczął bić jej gromkie brawa, jakby zaprezentowała mu nie wyszeptany minimonolog pod ołtarzem, lecz oszałamiający monodram z wielkiej sceny.

- Brawo, brawo! - zawołał, aż zakotłosały się tulipany wraz z czarną szarfą. - Arleno, nie znałem cię takiej!

- To znaczy jakiej? - zapytała speszona.

- Konstrukttywnej! Stanowczej.

Zmarszczyła brwi.

- J a k sam zauważyłeś, bardzo dawno ze sobą nie rozmawialiśmy.

- Wiem - powiedział ciepło, nie spuszczać z niej uważnego wzroku. - Dlatego jestem taki szczęśliwy, że dzisiaj do mnie przyszedłeś.

- Pożegnać się.

- Wiem - powtórzył.

- A ty zostajesz. Ty będziesz tu...

Podniósł dwa palce jak do ślubowania.

- Póki życia... - oświadczył uroczyście.

Wstał i zamachał ramionami, jakby chciał je rozruszać po zbyt długim siedzeniu. Obserwowała go w wielkopostnej Katedrze i otworzyła szerzej oczy, kiedy z trudem wykonał kilka skłonów. Potraktowanie kościoła jakby był salą gimnastyczną wydało się jej tak obrazoburcze, że obejrzała się na ołtarz, spodziewając się kary dla proboszcza, który zachowuje się niczym rozpasany łobuziak. Jednak ani wiszący nad ołtarzem Chrystus, ani złożone przed nim kwiaty nie zapalały oburzeniem. Arlenie wydało się nawet, że stońce za witrażami nagrodiło Aarona dodatkową porcją promieni.

- Mówisz, że Calehm nie ma innego celu ponad spokojne przetrwanie życia - młóćąc ramionami powietrze, powiedział Aaron głosem, w którym słychać było zadyszkę.

- Owszem - odrzekła, obserwując go z rosnącym ciągle zdziwieniem.

- Czyż nie jest to cel wszystkich ludzi?

Kręcił teraz głową wokół osi swej tłustawej szyi.

- Nie sądzę.

- W Calehm - na dole - są ludzie, którzy się boją wielkiego wybuchu - oświadczył urywaniem głosem, w rytmie nowego ćwiczenia polegającego na wspinaniu się na palce i ciężkim opadaniu na posadzkę.

- Wiem - powtórzyła, wciąż nie domyślając się do czego zmierza.

Przez dłuższą chwilę słyszała tylko jego sapanie, bo zaczął biegać w miejscu, przez co jego wygląd nabrał prawdziwie komicznego wymiaru - podskakująca ponadwymiarowa kulka w czarnej, niewygodnej sukni.

- Nie tylko w Calehm ludzie boją się wielkiego wybuchu - zawołała za nim, bo zrezygnował z przebieżki w miejscu i ciężkim truchtem ruszył w bieg wzdłuż ścian Katedry.

Zmęczył się, albo tylko zrezygnował, pod sklepieniem głównej bramy. Zatrzymał się i uniósł do góry obie ręce. Nie wiedziała, czy to dalszy ciąg jego gimnastycznych ćwiczeń, czy wstęp do słów „Ojciec nasz”.

- Już twierdzi, że to archetypy strachu obecne w naszym umyśle. Świadectwa zdarzeń, które miały miejsce w historii Ziemi - dodała, wciąż prawie krzycząc, gdyż nie odpowiadał, jakby jej nie słyszał.

Jednak myliła się, ponieważ docierało do niego każde jej słowo. Z daleka nie widziała jego twarzy - wznosił głowę ku sklepieniu Katedry, z rękami ułożonymi na kształt dwóch gałęzi lub ramion krzyża.

- Nie przeczytałaś tego w Bibliotece - odkrzyknął wyraźnie, jak często zdarzało mu się podkreślać coś ważnego w niedzielnym kazaniu.

- Nie! W książce Junga.

- Gdybyś chciała, znalazłabyś w Bibliotece dokument mówiący o tym, że Calehm jest być może - i to ja, Aaron, dokładam od siebie to być może - miejscem, w którym ludzie przetrwali wielkie wybuchy.

Roześmiała się nerwowo.

- O czym ty mówisz? O wielkim wybuchu stworzenia świata?

Wolałaby, aby już wrócił do niej i usiadł obok na stopniach ołtarza, gdzie podsunęła sobie poduszkę, ponieważ kamienie, na których siedziała, nagle stały się niegościnnie zimne. On jednak, na drugim końcu Katedry Franciszka, rozkołysał się w miejscu z roz-

poztartymi ramionami i nie miała już wątpliwości co do tego, że jest nie krzyżem, lecz drzewem.

- Arleno! - napomniął ją tubalnie, jakby tylko na jej potrzeby wygłaszał płomienne kazanie. - To Pan Bóg stworzył świat i człowieka! W siedem dni, wliczając odpoczynek.

Wstała. Jej nogi zdrętwiały od długiego siedzenia, więc także ona poczuła potrzebę ruchu w przestrzeni opustoszałego kościoła; coś namawiało ją, by puściła się biegiem albo przynajmniej podskoczyła do gotyckiego sklepienia Katedry, ponad najwyższe witraże z widokiem na rzekę. Jednak nie zrobiła tego, nawet nie spróbowała. Przekonana o swojej niemocy podeszła do Aarona, który opuszczył ramiona i już na nią czekał.

- Masz rację - powiedział ze swym najczulszym uśmiechem. - Najlepiej zrobimy, jeśli wyjdziemy sobie na świat.

Rękawem czarnej sutanny otarł pot ściekający mu z czoła.

Idąc przez miasto, spotkali nieoczekiwanie wielu ludzi jak na czas wczesnego niedzielnego popołudnia. Musieli często przystawać; Arlena ograniczała się do krótkich pozdrowień, jednak ojciec Aaron z nieukrywaną przyjemnością ścisnął dłonie, głaskał główki dzieci i poklepywał po plecach dorosłych. Wdawał się w pogaduszki i śmiał tubalnym, szczerym śmiechem. Arlenie udało się zamienić z nim tylko kilka słów, jednak nie spieszyła się, jakby napięcie niedokończonych rozmów zostawili w Katedrze Franciszka, za ciężkimi drzwiami, których Aaron nie zamknął na klucz. Powietrze narzmięte wiosną nie sprzyjało poważnym sprawom.

- Dla mnie Calehm jest najważniejszym miejscem na świecie - oświadczył ojciec Aaron w chwili, w której zaczęła sądzić, że nie wrócą już do przerwanej rozmowy.

Zatrzymał się, stanął naprzeciwko niej i w jego oczach odbiło się calehmskie słońce. Pucółowata twarz jaśniała bezgranicznym zaufaniem.

- Kiedyś postanowiłem stąd odejść, na zawsze. W nic wtedy nie wierzyłem i czułem się pusty. Oloff właśnie budował Katedrę i - pewnie mówił ci o tym - przy tej okazji pierwszy raz wypróbował zastosowania szybów świetlnych... To był jeden z jego wielkich po-

mysłów i wielkie wydarzenie dla nas. Miało jednak dość paradoksalne skutki, bo wielu dopiero wtedy poczuło smak światła i zapragnęło mieć go więcej... Tłoczyliśmy się przy jasnych plamach i zaczynaliśmy wątpić, czy nasze życie rzeczywiście jest czymś lepszym. Ja w końcu wyjechałem.

Nie umówiwszy się wcześniej, podążali zgodnie w kierunku szpitala.

- Arleno, to w Calehm odkopano skamienieliny sprzed czterech milionów lat. Oraz narzędzie sprzed stu czterdziestu milionów lat! To stało się przy kopaniu korytarzy Katedry, tam, gdzie znajduje się Świątynia Jedyne Boga.

Zatrzymała się pewna, że się przesłyszała.

- O czym ty mówisz?

Marszcząc brwi, spoglądała mu w twarz.

- O czym ty mówisz, Aaronie? - miała nadzieję, że żartuje. - Narzędzia z czasów, kiedy nie było ludzi? Rasa ludzka liczy sobie dopiero pięćset tysięcy lat!

Jednak on, mimo całej pogody i uśmiechu nie schodzącego z jego okrągłej, zaczerwienionej spacerem twarzy, nie zamierzał stroić sobie z niej żartów.

- *Homo sapiens* - uściślił łagodnie. - Przed nim był jeszcze *homo erectus*, o milion lat starszy.

- Ale sto czterdzieści milionów lat temu raczkowały nawet dinozaury!

Aaron roześmiał się tak głośno, że słysząc go było na całej ulicy.

- Oloff patrzy na ciebie z góry i wścieka się, moja droga. I po co zadawał sobie tyle trudu? Po co umożliwił największe odkrycie archeologiczne, po stokroć ważniejsze od całego złota faraonskich grobów, abyś ty o niczym nie wiedziała? Nie wierzę, byście o tym nie rozmawiali!

- Owszem - odpowiedziała niechętnie. - To długa historia... Naturalnie mówił mi, że Calehm jest najstarszym miejscem na Ziemi, jaskinią Adama, po którym otrzymał imię jego syn.

- Nie przedstawił ci dowodów?



-Czekał z tym do chwili otwarcia Biblioteki. Znałeś jego upodobanie do dramatyzmu... Chciał mnie oszołomić nie tylko swoją nieprawdopodobną budowlą, ale także jej magiczną zawartością. Dla swoich relikwi wymyślił szklane opakowanie Biblioteki, jakby projektował nową arkę przymierza.

- Tak, znam to porównanie - stwierdził Aaron bez zachwyty. Na przeprosiny pośłała mu zawstydzony uśmiech.

- Pewnie myślał, że to będzie godne następnej... sam wiesz, Matki Wszystkich.

- Słyszałem o tym. Jednak nic z tego nie wyszło.

- Nie - Arlena przytknęła oczy. - Nigdy nie poszłam do Archiwum; nie zrobiłam tego, gdyż jego otwarcie zbiegło się w czasie z moją decyzją o odejściu z Calehm. Nie poszłam jako ktoś, kto przestał należeć do tego miasta. Zostałam na górze z Oloffem, Aaronie, ponieważ go kochałam, jego samego, bez tajemnic, których wcale nie chciałam poznać. Byłam przy nim jak jeden z kamieni, które zwoził z całego świata.

Ojciec Aaron uśmiechnął się, jakby czuł się czymś zakłopotany.

- I wywoził w świat, Arleno. Kiedyś wykorzystał mnie do tego celu, wysłał do Ameryki, kiedy jako młody chłopak postanowiłem jak ty opuścić Calehm. Nie protestował; znalazł mi pracę przy wykopaliskach, jednak przy okazji kazał podrzucić swoje odkrycie. Pracował tam niemiecki profesor, który podważał klasyczną teorię ewolucji. Cały świat naukowy go za to wyśmiewał, był niczym Kopernik pozywający Ptolemeusza... Oloff wiedział, komu zawierza swój największy skarb. Twój mężczyzna był wielkim budowniczym, Arleno, on nie uciekał od życia i nie chował się w pieczarze. Oloff rozwijał Calehm i tylko dzięki niemu połączyły się dwa światy, ucząc się jeden od drugiego. Calehm na dole nie było tylko miejscem ucieczki, ono było punktem wyjścia.

-Ale...

Nie pozwolił sobie przerwać.

- Tak naprawdę te znaleziska - kości, odciski i narzędzia, odkryto w Calehm na długo przed Oloffem i przed kopaniem funda-

mcntów pod Katedrę. Sądzę, że odkrywano je wielokrotnie i za każdym razem ponownie chowano. Za ostatnim razem były owinięte w szmatę, która rozpadła się pod dotykiem ludzkiej ręki.

- Dlaczego mieszkańcy Calehm mieliby robić coś takiego?

- Z różnych powodów - ze strachu przed odkryciem, sensacją, która poruszy świat i sprawi, że Calehm zostanie ujawnione. Z oazy spokoju miasto zmieniłoby się w jedno wielkie wykopalisko... Albo z powodów mistycznych, jako dowód na to, że Calehm jest miejscem wybranym, początkiem wszystkiego. Że jest nienaruszalne i bezpieczne, a człowiek przeżył w nim kataklizmy w czasie, gdy na powierzchni Ziemi ginęły twoje dinozaury... Kto wie? Te odkrycia stały się legendą; nie sądzą, by wcześniej ktoś zdawał sobie sprawę z ich wieku i znaczenia, nie wierzę, by ktoś choć w przybliżeniu wyobrażał sobie, że odwracają do góry nogami całą z trudem ukształtowaną wiedzę o pochodzeniu człowieka. Wiem natomiast, że istniało jakieś nieokreślone przeczucie o wartości tego znaleziska jako o rzeczy nie z tego świata, mimo że - znowu paradoksalnie - j e s t to rzecz jak najbardziej z tego świata, więcej, to jest dowód jego prawdziwej egzystencji.

Arlena oddychała głośno; szli wolniej i korzystała z czasu, który ojciec Aaron dał jej na poukładanie myśli.

- Mówisz, że Oloff pozbył się czegoś takiego? - Arlena powiedziała z wahaniem, jakby sama jeszcze nie wiedziała, dokąd zmierzają. - Włożył ci do plecaka i odesłał do Ameryki coś, co mogło stać się największą relikwią uwierzytelniającą wyjątkowość jego miasta? Nie wierzę w to. W Oloffie było zbyt wiele pychy, by mógł postąpić w ten sposób.

Aaron opuścił głowę i zachichotał, wpatrzony w czubki wystających spod sutanny butów.

- Dobrze go znałaś. I oczywiście masz rację. Nie odesłał wszystkiego...

Stali naprzeciw siebie na rozkwitającej wiosną ulicy.

- Oloff wykonał swoje zadanie jako człowiek świątły, ktoś, kto pragnie rozwoju i prawdy. Był genialnym architektem, budowniczym, lecz aby prawdziwie ocenić znaleziska, potrzebował specja-

listy. W stukrotnie poważniejszym odniesieniu, Oloff postąpił jak ktoś, kto posiada unikalną monetę i oddaje ją do rzeczoznawcy. Zrobi! to anonimowo, aby nie narazić miasta na inwazję badaczy. Myślę, że w gruncie rzeczy sam nie potrzebował potwierdzenia. On wiedział, że Calehm było początkiem rzeczy. Chodziło mu tylko o świadectwo autentyczności dowodów... Zapewne do Biblioteki.

- Powiedziałeś, że nie odesłał wszystkiego... - przypomniała spokojnie Arlena. - Mogę się domyślać... Przypominam sobie obrazy u Matki Wszystkich.

Milcząco skinął głową.

- Każdy z nich kwalifikowałby się do zbiorów Junga. Ja także uważałam większość z nich za archetypy wyobrażeń.

Ojciec Aaron splótł obydwie dłonie.

- Oloff pozostawił sobie odnaleziony fragment skrzydła - powiedział.

Silnie zacisnęła powieki; czekała, jednak nie pojawiły się żadne słyszalne głosy.

- Skrzydła anioła? - zapytała wyraźnie.

- Według paleontologicznej analizy przeprowadzonej na zlecenie słynnego profesora należało ono do pterodaktyla, latającego przedptaka. Jednak... to mogła być pomyłka. Nawet słynny profesor jest tylko człowiekiem.

- Widział to skrzydło? Oloff mu je pokazał?

- Nie... - pokręcił głową Aaron. - Zawiozłem tylko odcisk w kamieniu, do którego powierzchni przywarło. Spory sztab ludzi w Calehm pracował miesiącami nad tym, by je oddzielić. I udało się. Kamień odjechał ze mną do Ameryki, a szczątki kości pozostały na swoim miejscu.

- Oloff podzielił się sprawiedliwie - stwierdziła, znów pełna żalu.

- Miał słuszność, że tak postąpił. Tamten profesor odkrył coś, czego wcześniej w Calehm nikt nie zdołał odszyfrować.

- Czyli co?

- Ślad strzały. To skrzydło było ugodzone strzałem z łuku.

Arlena zadrzała, ogarnięta chłodem na ulicy pełnej rozkwitłej wiosny.

- Powinnam powiedzieć, że to niemożliwe, prawda?

Proboszcz Katedry przecząco pokręcił głową.

- Powinnam zapytać, gdzie jest teraz to skrzydło, którego nie ujrzał ważny archeolog - powiedziała wolno. - Jednak pozwól, że zgadnę. Nie ma go w Bibliotece, nie ma w Archiwum, o którym również powiadają *To niemożliwe, aby utrzymywało się w powietrzu...*

Tym razem Aaron potaknął, jakby grał z nią w ciepło-zimno.

- To ta skrzynia, prawda? Skrzynia, w którą zamknięto kamień węgielny pod Bibliotekę... Nie mogłam zrozumieć, dlaczego Oloff zakopuje kamień w trumnie. To nie miało sensu, było sprzeczne z jego przekonaniami, z mitami Calehm... Tymczasem to nie był kamień. Nie tym razem.

Uniosła na niego nierozumiejące oczy.

- Nie zostawił go dla siebie? - zapytała ledwie dosłyszalnie. - Mój cudowny Oloff, pełen geniuszu i pychy?

- Czy musiał być genialny, aby wiedzieć, że nawet on nie będzie żył wiecznie? - odpowiedział pytaniem ojciec Aaron. - Czyż nie miał w sobie dość pychy, by sądzić, że nikt po nim nie stworzy już rzeczy niemożliwych?

W szpitalnym pokoju Arlena trzymała na rękach maleńką dziewczynkę. Robiła to jak każdego dnia od chwili, gdy dziecko zostało umieszczone w inkubatorze. Czas, który dziecko mogło spędzić poza szklanym kloszem, stopniowo się wydłużał, jak teraz, gdy opatulone w kocyk, którego róg przysłaniał mu część twarzy, spokojnie spało na jej kolanach. Pielęgniarki twierdziły, że dziewczynka rozpoznaje Arlenę, a ta, choć niczego podobnego nie dostrzegła, potakiwała uprzejmie głową. Przychodziła tu, aby dziecko nie czuło, że jest niczyje. Brała je na ręce i głaskała, poświęcała mu czas, ponieważ przyrzekła Dagmar nie zostawić go bez pomocy. Teraz kotysała je, nie odrywając wzroku od jego spokojnej buzi, zaniedbując ojca Aarona, który przyszedł z nią do szpitala.

Poprosiła go o bajkę dla dziecka, jednak odpowiedział, że nie zna żadnej. Patrząc na niego, przypomniała sobie o bliskim odejściu i poczuła przygnębienie na myśl o wszystkich rzeczach, których wcześniej nie dowiedziała się o Oloffie. Pojęła także, że nie wie wszystkiego również o nim, proboszczu Katedry Świętego Franciszka, swoim jedynym przyjaciolem. Poprosiła go, by zamiast bajki na pożegnanie opowiedział jej jeszcze coś o sobie.

- J a k sobie życzysz, Arleno - zgodził się.

Usadowiła się w fotelu. Separatka z inkubatorem pierwszy raz wydała się jej przytulna i prawie bezpieczna.

- Dopiero gdy cała moja wiara w świat, Boga i człowieka stała się bardzo ciasna - rozpoczął opowiadanie ojciec Aaron - pojąłem znaczenie znalezisk z Calehm. To nie było łatwe i prawdziwe zrozumienie zabrało mi wiele lat. Pracowałem jako prosty robotnik wśród kamieni, ponieważ znakomicie je znałem. Patrzyłem z daleka, jak niemiecki profesor przeprowadza w laboratorium analizę po analizie. Konsultował się z innymi naukowcami, nie z pychy, nie po to, by chwalić się odkryciem, ale dlatego, że nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Nie mieściło mu się w głowie, że znalazł tyle dowodów naraz. Widziałem go dziesiątki razy, kiedy po zakończeniu prac krążył po obozie, jakby szukał dodatkowych wskazówek, przeczuwał coś albo podejrzewał, że padł ofiarą manipulacji.

Uśmiechnął się nostalgicznie, jednak wpatrzonej w śpiące dziecko Arlenie umknęła zmiana w jego twarzy.

- Piliśmy czasami piwo, wieczorami, po pracy. Pamiętam, że obserwowałem go jak kogoś, komu wypełnia się życiowy plan, komu marzenie zamienia się w rzeczywistość. Zastanawiałem się, co dzieje się w jego mózgu. **1** stało się - byłem świadkiem tego, że któregoś dnia przestał wątpić, ponieważ wszystkie przeprowadzone analizy, wszystkie ważne badania poparte opiniami równie ważnych kolegów, pozbawiły go ostatnich wątpliwości. On był... trudno w to uwierzyć, ale mój profesor był rozczarowany. Powiedział nawet coś takiego: *no cóż, więc teraz wszystko jest jasne*. Położył ostatnią kartę w pasjonującej grze, która przedwcześnie się skończyła. Poczuję wielki bunt... Nie mogłem pojąć, że ten człowiek się zatrzymał,

uznał swoją pracę za zakończoną, jak chemik, który odkrył pierwiastek i stracił zainteresowanie całą chemią. Nie obchodzi go nawet to, w jaki sposób inni posłużą się jego odkryciem.

Arlena patrzyła tylko na maleństwo, jakby ono było jej jedynym rozmówcą. Jej towarzysz nie był urażony; podobała mu się forma dialogu trzech osób, z których tylko jedna zajęta jest mówieniem.

- Jest tak, jak mówisz, Arleno: kiedy człowiek nie musi zdobywać pożywienia, uczyć się, starać o drugiego człowieka, zakochać się, kiedy nie potrzebuje budować domu i walczyć o przeżycie, pogrąża się w marazmie. Jest tak, nawet jeśli ma wszystkiego niewiele, akurat tyle, by odgonić pokusy... Marzenia stają się nieistotne, a pytania nic niewarte. Znam to, przeżyłem taki czas. W nic nie wierzyłem, a już najmniej w Boga - pomyśl, ja, Aaron, który później został księdzem!

Pokręcił głową ubawiony.

- Za co mielibyśmy go stawić, myślałem sobie, żyjąc w Calehm, tylko za to, że nas stworzył? A czy mrówki modlą się o zachodzie słońca? Czy króliki albo nawet mądre małpy, czy którekolwiek ze zwierząt pada przed nim na kolana? W tamtym czasie wszelkie formy zdobywania jego łask wydawały mi się żałosne, a cała ludzka wiara w to, że stworzył nas na swoje podobieństwo, zarazem arogancka i prostacka. Dla kogoś, kto wyrósł pod ziemią, niebo wygląda inaczej niż dla tego, kto ogląda je codziennie... Dla mnie największym bogiem było słońce, a każda gwiazda napomnieniem, które powtarza: / *co, głupi człowieczku, wciąż wierzysz, że jesteśmy tu tylko po to, abyś ty mógł nam się przyglądać?*

Niemowlę przez sen wykrzywiło usteczka w grymasie, który zafascynowana Arlena uznała za wyraz dezaprobaty. Choć miała ochotę się roześmiać, nie zdradziła się z tym przed Aaronem.

- Wszelkie religie uważałem za maraton o nagrodę za wymyślenie najdoskonalszej formy podlizania się Bogu. Porównywałem święte księgi, poznawałem licytacje proroków oraz historię zabiwania w ich imieniu. Jednocześnie uczyłem się historii stworzenia - a wierz mi, nigdy potem nie śmiałem się tak, jak studiując pasa-

że poświęcone opisom pierwszego człowieka. Wyobrażałem sobie człokształtną małpę o imieniu Adam. Przecież nie znał słów, myślałem, więc jak żalił się Bogu na tę krnąbłą Ewę? I od kogo to, pytałem, my, ludzie, naprawdę pochodzimy - z prostej kazirodczej linii dzieci wygnanych z raju Ewy i Adama czy też z krzyżówki pierwszych człokształtnych rodziców, którzy sparzyli się z innymi gatunkami małp? Bo i jedno, i drugie ładnie tłumaczyłoby naszą głupotę i ułomności.

Arlena uniosła głowę. Było jej ciężko oderwać się od maleństwa, które przez sen robiło śmieszne minki. Musiała się jednak upewnić, że to rzeczywiście ojciec Aaron jest autorem heretyckich opowiadań nijak mających się do jego żarliwej wiary. Wydały się jej nieodpowiednie dla bogobojnych ust kaznodziei oraz niewinnych uszu dziecka.

- I wtedy, niemal na moich oczach, ktoś udowodnił mi istnienie człowieka na długo wcześniej niż głosiła nauka. Ta sama nauka, która kwestionowała wiarę w stworzenie go przez Boga, musiała teraz uznać swoją pomyłkę. Dla profesora, który tego dokonał, oznaczało to koniec poszukiwań, natomiast dla mnie - przebudzenie! Jakbym szedł korytarzem, który zwęzał się przede mną, aż zwątpiłem w możliwość dalszego ruchu, a on rozszerzył się nieoczekiwanie w przestronną, oświetloną salę! Salę pełną okien, malowideł, rzeźb, ksiąg oraz zagadek, z których każda jest piękna i otwiera nieoczekiwane perspektywy.

- Salę... - powtórzyła Arlena.

Ojciec Aaron nie pozwolił się zwieść:

-Arleno, pomyśl! Jeśli człowiek rzeczywiście istniał tak dawno, że cudem odnaleziono dowód tego istnienia, ślad starszy od najśmielszych wyobrażeń, ilu wobec tego śladów jeszcze nie odnaleziono? Oraz ile śladów pozostanie nieodkrytych na zawsze, ponieważ dawno już obróciły się w proch! To wszystko zmienia perspektywę. Świat szukał brakującego ogniwa, aby móc włożyć między bajki podanie o stworzeniu świata, historii o Adamie, o Mojżeszu... A teraz? Jakie znaczenie ma to, od którego *homo* pochodzą kości przypominające nasze? Czy rzeczywiście możemy dowiedzieć się,

ilu owych *homo* żyło po Adamie, gdzie było ich miejsce, czy rzeczywiście wiemy, kim byli? I nie chodzi tu o ich genotyp, nie o ich zdolności i możliwości, nie, nic z tych rzeczy... Problemem jest zrozumienie, że na realnym, materialnym gruncie nie znajdziemy nic pewnego. Naturalnie, że możemy dalej poszukiwać rozwiązań, możemy grzebać w ziemi, jednak czy to, co znajdziemy, powie nam całą prawdę? Co da nam ich wątpliwa konkretność... Ślad materialny to tylko pretekst dla ludzkich interpretacji. Nigdy nie będzie przeciwwagą dla wiary i nie należy przypisywać mu ostatecznego znaczenia.

- Niektórzy wolą szukać sygnałów ludzkiej prapamięci - powiedziała Arlena.

- Właśnie.

- Nazywanej też pierwotnym sercem...

Uważnie patrzył na nią, kołyszącą śpiące niemowlę, jakby była jednym z biblijnych symboli. Kiedyś powiedział, że wobec cudu, jakim jest dziecko, większość ważnych słów traci swoją powagę.

- Arleno?

Postępnie uniosła głowę.

- To nade wszystko nasza prawiedza powiada nam o istnieniu Boga - dodał jeszcze, jakby obawiał się, że nie wszystko zostało powiedziane. - Stworzył nas tak dawno, że pamiętka tego wydarzenia istnieje jedynie w naszych umysłach. Zbyt dawno, by materialne podania o nim rzeczywiście mogły i powinny być prawdziwe. Zbyt dawno, by warto było się o to sprzeczać. Po co udowodniać, w którym roku przemówił do Mojżesza? Czyż nie przemawia codziennie do każdego z nas? Czy nie towarzyszy nam przy narodzinach i przy śmierci, nie jest z nami w chwilach smutku i radości? Po co przelewać krew za to, który z nich - Jezus, Mahomet czy jeszcze ktoś inny - był jego najważniejszym dzieckiem? Przez wędrówkę czasów Bóg zesłał nam wiele swoich dzieci, kto wie, być może w tej chwili rodzi się następne, gdzieś w dalekiej stronie świata. Wiara w to, że stworzył świat w siedem dni albo w siedemdziesiąt, powinna wystarczyć nam jako potwierdzenie Jego mocy.



Niemowlę w ramionach Arleny poruszyło się przez sen. Znowu było niespokojne, jakby krótka nieobecność przybranej matki i przyjaciela w sutannie wystarczyła, by w maleńkiej główce pojawiły się złe sny. Wyrzucając sobie przerwę na kawę w szpitalnej kawiarni, Arlena pogłaskała dziewczynkę po czótku, jednak nie zdołała odczarować lęku. Wstała i z otulonym w koc kłębuszkiem zaczęła chodzić po pokoju.

- Czy wiesz już, co z nią zrobisz, Arleno?

Głos Aarona brzmiał tak samo, jak wtedy, gdy ksiądz pogrążał się w rozważaniach o Bogu, sobie i o Calehm. Zmylona Arlena nie od razu zareagowała, skupiona na utulaniu niemowlęcia.

- Arleno? - powtórzył jeszcze raz.

Z trudem oderwała wzrok od maleństwa i zdziwiona sobą powiedziała:

- Słyszałeś? Śpiewałam...

Pokiwał głową.

- Nareszcie.

Zrobiła następną ostrożną rundę po pokoju.

- Tak... To wszystko jest trudne - westchnęła, jednak w jej głosie nie było zwątpienia. - Słyszałam twoje pytanie. Co z nią zrobię... Nie wiem. Nie wiem, co powinnam z nią zrobić, ojcze Aarone. Jest pod moją opieką, tak jak życzyła sobie jej matka. Nie chcę pozostawiać jej w Calehm.

- Dlaczego?

- Ona nie ma nikogo, jakby prawdą było to, że nawet Dagmar jej nie chciała.

- Jakby spełniały się wszystkie warunki do życia na dole...

- Ale teraz ja stoję między nią a Calehm. Tak chciał los. I wiesz

- Arlena uśmiechnęła się, jakby trzymała w zanadrzu zabawną tajemnicę - lila także tego chce.

- Ilia, lila... - zagderał przekornie. - Myślę, że przede wszystkim ty tego pragniesz.

- Nie, ja...

-Arleno! Dopiero niedawno odkryłaś, że twój Anioł Stróż i Anioł Ilia są tym samym... Problem w tym, że jeszcze nie zdążyłaś sobie wszystkiego poukładać.

- Wiem, Aaronie, ale to też nie jest proste.
- Oczywiście, że nie - przyznał z powagą.
- J a . . . Miałam zupełnie inne plany.

Nie zamierzała wyjaśniać mu wszystkiego. Po przedwczesnej śmierci Dagmar i niedokończonym rozrachunku z życiem, który nosił nazwę zakładu z Aniołem, postanowiła nie wciągać już nikogo w wątpliwe rozważania.

- Na początku chciałam tylko zabrać ją stąd i zatroszczyć się o dobrą adopcję u ludzi, którzy nie mogą mieć własnego dziecka - wyjaśniła. - Takich, którzy kochaliby ją jak własną córkę, gdzieś w świecie, gdzie posłaliby ją do normalnej szkoły i na lekcje baletu. Gdzie miałyby koleżanki, wakacje, święta, zwyczajne obowiązki i przyjemności... Wszystko to, co mnie było dane i czego nie umiałam docenić. Jednak potem powiedziano mi, że niekochane dziecko może umrzeć, więc zaczęłam do niej przychodzić i moje udawanie miłości do niej przemieniło się w stan łudząco ją przypominający... Aż boję się to nazywać, ojczy Aaronie. Pojawienie się tego maleństwa zburzyło porządek mojego życia, powyciągało na wierzch wszystkie niejasne elementy mojej duszy i mojego umysłu... Jak dziwna bomba, która podrzuciła wszystko w górę, wymiatając od razu większość rzeczy, natomiast resztę rozkładając inaczej niż leżała poprzednio. Coś się stało z moim podziałem spraw ważnych i nieważnych.

- I mówisz, że zmieniłaś plany? - ojciec Aaron miał na twarzy badawczy uśmiech, dzięki któremu przypominał jej Illę.

- Same się zmieniły... To nie jest łatwe, mówiłam ci już. Jestem jej pełnoprawną opiekunką, dali mi wszystkie papiery, wyroki z sądu, którego nigdy nie było, mam też pisemne pełnomocnictwo matki dziecka...

- Czyli ona też...

- Tak. I ona dała im papiery podpisane in blanco. Przecież należała do Calehm... Czym, jak wiem, była zachwycona, więc z pew-

nością nikt nie zmuszał jej do czegokolwiek. Myślę, że skwapliwie wypełniała wszelkie polecenia.

Pokiwał głową.

- A ty? - zapytał. - Czy i ty musiałś zrobić to samo?

- Sama im to zaproponowałam. W zamian za tę małą. Oni... i tak wiedzieli, że nic im z mojej strony nie grozi, jednak potrzebowali mojego zapisu dla Biblioteki. Byłam tu obecna przez tak wiele lat, że musiałam znaleźć się w relacjach innych ludzi, choćby przy okazji Oloff'a i jego ważnych spraw... Gdyby zabrakło dokumentu o mnie, zabrakłoby ciągłości. Teraz oni sami napiszą sobie coś w moim imieniu i wszystko będzie kompletne.

- Dlaczego ty tego nie zrobisz? Nie napiszesz prawdy?

-A jaka jest ta prawda, Aaronie? Nie dalej jak przed chwilą tłumaczyłeś mi bezpodstawność materialnych dowodów...

Ojciec Aaron klepnął się po udzie.

- *Touche!* - przyznał zadowolony.

- Co się tyczy prawdy... - powiedziała cicho, rewanżując się smutnym uśmiechem - Nie sądzę, by istniała jakakolwiek. Gdyby dane mi było ostateczne przekonanie - za albo przeciw, łatwiej by mi było żyć. Ale nie posiadam niczego takiego, niczego nie wiem. Nie mogę powiedzieć, że Calehm to remedium na ból świata, nie mogę powiedzieć, że jest skuteczną ucieczką. I nie wiem, czy świat jest wystarczająco dobry, by móc zrezygnować z Calehm i skoncentrować się na sobie samym... A skoro nie jest ani tak, ani tak, pozostaje mi obojętność. Jakby Calehm wcale nie istniało.

# DAGMAR: I

## ...NIE BĘDZIESZ MIEĆ BOGÓW

Dziś miałam skurcze. Pierwszy raz, przynajmniej pierwszy, który zauważyłam. To możliwe, że moja ciąża rzeczywiście dojrzeje do porodu, o którym nie wiem, czym się zakończy. Możliwe, że zostanę matką.

Zrozumiałam, że bardzo się tego obawiam; czuję zagrożenie ze strony dziecka, które noszę w brzuchu tylko dlatego, że dotąd nie zdecydowało się mnie opuścić. Ponieważ nie miało prawa zostać poczętym, nie wiem, czy jest realne. Nie jest mi też wiadomo, kto jest jego ojcem, podobnie jak w pewien sposób nie wiem nawet, czy rzeczywiście ja jestem jego matką; przecież przyrzekano mi, że nigdy nią nie zostanę... Skąd pojawiło się we mnie? I dlaczego teraz? To nieprzyzwoity żart, że przyszło akurat w czasie, w którym nie marzyłam już ani o nim, ani o rodzinie, zdystansowana do każdego rodzaju związków uczuciowych, jakby odpowiadały ważnością archeologicznym wykopaliskom z odległej planety.

Usłyszałam kiedyś, że mój brak zainteresowania nie jest niczym wyjątkowym, ponieważ istnieją ludzie, którzy kochają tylko jeden raz, podobnie jak istnieją kobiety zdolne do jednego tylko zapłodnienia. Uznałam się za taką kobietę na długo przedtem, nim los zesłał mi Calehm.

Los zesłał mi Calehm. Gdyby tego nie uczynił... Nie przyjechałabym tu, żyłabym starym życiem, usiłowała reanimować swoje małżeństwo, puścić w niepamięć złą małżeńską przeszłość, powrócić do mało satysfakcjonującej pracy, utrzymywać poprawne stosunki ze starzejącym się ojcem i macochą. Wydaje mi się nawet, że

mój mąż wspominał kiedyś o adopcji... I tak mogło być. Na szczęście nie było.

Podarowano mi szczególny los na loterii, odmianę wyptywającą ze zbyt precyzyjnego splotu wydarzeń, bym mogła wątpić w jej wyjątkowość. Czuję, że nic z tego, co się wokół mnie dzieje, nie jest pozbawione znaczenia i chcę wierzyć, że wezwano mnie z konkretnego powodu, tak, jakby właśnie mnie zabrakło w tym narodzie wybranym, w plemienu spod gwiazdy Calehm. Arlena, o której sędzę, że wbrew swoim deklaracjom i buntowi zostanie jednak Matką Wszystkich, ściągnęła mnie tu pod pretekstem nazwanym zakładem z Aniołem... Jej pomysł od początku nie był spójny; moim zdaniem, chciała mnie jedynie przygotować, sprawić, że osiągnę zdolność docenienia wagi i doskonałości Calehm. Nie żałuję jej długiej introdukcji, nie mam żalu za początkowy brak zaufania. Może i ja powinnam była szybciej domyślić się wszystkiego? Tak długo snułam się w bliskim sąsiedztwie opuszczonej kurtyny, za którą wprawdzie przeczuwałam trwanie wspaniałego spektaklu, jednak nie sprawdzałam, co się za nią kryje, oczekując, aż ktoś poda mi bilet wstępu. Dar Calehm został mi ofiarowany, kiedy byłam już kimś w rodzaju mechanicznego człowieka - kimś, kto niczego prawdziwie nie kocha, lecz zapewnia sobie przyzwoitą dawkę ludzkiej obecności, kto niczego głęboko nie pragnie, lecz dąży do pewnych, niewiele znaczących celów, kogoś, kto żyje, bo musi, uczestnicząc w życiu z rozpędu. Calehm znaczyło dla mnie więcej niż oszałamiająca niespodzianka: stało się dowodem na to, że realnie istnieją nieograniczone możliwości dla każdej egzystencji, tak jak realne jest miejsce na Ziemi - czy w ziemi - które oparło się ludzkiemu upodobaniu do bezmyślności.

Ze wszystkich widzianych w podziemiu pamiątek najbardziej zapamiętałam pewien obraz. Przedstawiał on Calehm jako enklawę Adama i Ewy, po wygnaniu z raju ukrytych pod ziemią. Było to w czasach, kiedy cała Ziemia była ogrodem Edenu, więc nie wolno im było pozostać w żadnym z jego zakątków. Bóg wyrzucił ich oboje po tym, jak nie spełnili jego nadziei, na samym początku oblali prosty test kwalifikacyjny. Przegnał ich w przestrzeń ziemi niczy-

jej, między piekło a niebo, pozbywając się tym samym swych najlepszych dzieci i skazując się na towarzystwo mniej doskonałych istot, które, eksperymentując, stworzył wcześniej. W całej boskiej frustracji z powodu nieposłuszeństwa Adama i Ewy oraz zniweczonego rozwoju rasy dzieci wybranych Bóg przekreślił ludzi jako niewartych jego wysiłku i całkowicie odwrócił się od Ziemi. Pozbawiony boskiego wejrzenia ogród Edenu przemienił się w zdziczałą dżunglę.

Adam i Ewa ukryli się w pieczarze przed deszczem, chłodem i burzami zsyłanymi przez Boga za karę. Miejsce to chroniło ich także przed wcześniejszymi dziećmi Boga, wrogimi, nisko rozwiniętymi istotami, które rozprzestrzeniły się na powierzchni Ziemi. Wprawdzie w miarę upływu stuleci następował rozwój tych istot, trwa on do dziś, jednak ciągle nie wynika z tego nic dobrego. Jedyne w pieczarze ludzkiej, tym schronieniu Adama i Ewy, pozostało prawdziwie ukochane boskie dziecko: człowiek, którego całą winą był jeden jedyny błąd. Tylko tam żyje unikalna rasa, która w nienaruszonej formie przetrwała od stworzenia świata.

Nie, oczywiście, że nie dałam wiary tej legendzie... Jednak bardzo mi się spodobała. Pomogła mi uwierzyć, że, zamieniając kiepskie życie na uczestnictwo w szczególnej sprawie, postępuję słusznie. To ona sprowadziła do śmieszności atrybuty dotychczasowej egzystencji, sprawiając, że utraciły destrukcyjną, wycelowaną we mnie siłę. I wystarczyła mi aż do czasu, gdy nastąpiło w moim życiu kolejne, nieprzewidziane wydarzenie, po którym znowu stanęłam na rozdrożu. To z powodu ciąży postanowiłam teraz, nie później, zakończyć tę historię o mnie, Dagmar z Calehm, zamknąć ją i oddać, by dołączyła do innych świadectw w Bibliotece. Czynię to z wyrachowanej przeczności, nie wiedząc, jak potoczy się mój czas, oraz na wypadek, gdyby cokolwiek miało zdarzyć się ze mną - lub we mnie. I nie myślę tu tylko o moim zdrowiu - zależnym od lekarstw sercu, ani nawet o czarnej dziurze, w której kiedyś się znalazłam. Obawiam się czegoś poważniejszego.

Wrzecz ruchami dziecka pojawił się we mnie przedsmak zrozumienia, że wszystkie ważne sprawy, owe fundamentalne, podstawo-

we rzeczy, mogą się jeszcze raz odwrócić. A jeśli zmienią kierunek i sprawią, że znowu będę... właśnie, kim? Niechętnie, jednak krok po kroku zaczynam sobie przypominać, jak gorąco oczekiwałam dziecka dawniej. Jak starannie przygotowywałam się na jego przyjęcie. Jak jasny i piękny wydawał mi się wtedy świat - ten sam, który później utracił wszelką wartość. Przypominam sobie ówczesną nadzieję i czułość, i tę uskrzydlającą radość, i wdzięczność życiu, losowi oraz - tak, także jemu - memu mężowi. Wiem, że wówczas czułam do niego całkowicie jednostkową i niezamienną miłość.

Wiem, że tamtego utraconego później wspólnego dziecka nie chciałam schować w pieczarze, nawet tej najmądrzejszej, najbezpieczniejszej i najbardziej rzetelnej. Tamtego dziecka nie zaniosłabym do żadnej podziemnej świątyni, choćby była najprawdziwszym Adamowym rajem. Dla tamtego dziecka miałam prostsze marzenia, gdyż dla niego, jak dla pisklęcia, chciałam uwić gniazdo pod samym niebem, w słońcu, w pierzynie czystego powietrza. Teraz, drażniona przez dawne obrazy coraz nieuchronniej rozumiem, że nie zdołałam zatopić całej zaduszonej pamięci, a moja odmiana nie wydaje mi się już tak dokładna i ostateczna, jak sobie niegdyś zaplanowałam. **1** pojmuję najważniejsze - to dziecko, które porusza się w moim brzuchu, to niezaplanowane i nieproszone, jest młodszym bratem lub młodszą siostrą tamtego.

Nie znam jeszcze odpowiedzi na pytanie, dlaczego wybrało mnie na swoją matkę, jednak wiem: istnieje możliwość, że wraz z jego urodzeniem Calehm przestanie dla mnie istnieć - Calehm, moje marzenie, moje spełnienie, mój cud.

# ZAKOŃCZENIE

- I co na to powiesz, Arleno, droga moja? - zapytał Adam.

Oddała mu starannie ponumerowane kartki, w całości wypełnione zamaszystym pismem Dagmar. Zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, schował je do eleganckiej aktówki, w której przechowywał już kilka pustych - wyłączając podpis *Dagmar N-*, umieszczony w prawym dolnym rogu każdej z nich - kartek.

Jednak Arlena nie chciała z nim rozmawiać. Milcząco wskazała spakowane, czekające już przy drzwiach walizki, więc, uśmiechając się, poszedł po nie. Otworzył drzwi i obserwował jej uważne, spowolnione ruchy, gdy unosiła z łóżka ubrane dziecko i delikatnie układała je w transportowym koszyku. Kiedy zbliżyła się do niego, przepuścił ją przez drzwi, w których zatrzymała się na chwilę.

- W jej dawnym mieszkaniu, w gabinecie, jest jeszcze pudełko pełne banknotów - powiedziała. - To ja je tam wkładałam.

- Wiem o tym - odpowiedział jej z uśmiechem, który zawsze lubił.

- Nie są dla ciebie. To znaczy, dla was.

- Czekam na rozkazy, Arleno.

- Przekaż je Aaronowi. Ojcu Aaronowi dla Katedry.

- Czy masz już dla niej imię, Arleno? - zapytał ojciec Aaron.

Stał na peronie i trzymał jej dłoń w swojej, choć było mu niewygodnie z ręką wyciągniętą do wysoko umieszczonego okna pociągu. Uśmiechał się ufnie i był szczęśliwy, mimo że ona ciągle na nowo odwracała głowę, aby z korytarza zajrzeć do otwartego, pu-



stego przedziału, w którym znajdowały się jej walizki oraz podróżny dziecięcy koszyk. Od odjazdu pociągu dzieliło ich zaledwie kilka minut. Zamiast odpowiedzi wychyliła się przez okno, jeszcze bliżej przyciągnęła jego pulchną dłoń i ucałowała ją serdecznie.

- Pożegnaj ode mnie calehmskie Anioły, Aaronie. Przekaż im moje wyrazy miłości.

- I co teraz, zrobisz, Arleno? Nasz zakład skończony - powiedział Anioł.

- Cieszę się z tego - odpowiedziała Arlena. - To znaczy, cieszę się, że ty tak uważasz. Jego przebieg nigdy nie był dla mnie jasny. Anioł wzniosł oczy do nieba.

- Przekażę to dalej, Arleno - obiecała z uśmiechem Ilia.

- Je ś l i nie macie nic przeciwko, będzie miała na imię... - Arlena nie dokończyła i roześmiała się głośno, wygładzając swą piękną, wciąż soczyście beżową suknię.